

# NIĘWOLNICA

Mende Nazer

Damien Lewis

Z angielskiego przełożyła  
HANNA SZAJOWSKA



Wydawnictwo  
Albatros

WARSZAWA 2004

## Prolog

# Napad

Dzień, który na zawsze zmienił moje życie, zaczął się pięknym porankiem. Powitałam słońce, zwracając się twarzą na wschód i odmawiając pierwszą z pięciu codziennych modlitw do Allaha. Było to wiosną 1994, pod koniec pory suchej. Miałam mniej więcej dwanaście lat. Po modlitwach przygotowałam się do wyjścia do szkoły. Dotarcie tam zajmowało mi godzinę, powrót kolejną godzinę. Uczyłam się pilnie, ponieważ w przyszłości chciałam zostać lekarzem.

Jak na zwykłą afrykańską dziewczynkę było to śmiałe marzenie. Pochodzę z plemienia Nuba, zamieszkującego góry Nuba w Sudanie, jedno z najbardziej zagubionych miejsc na ziemi. Mieszkałam w wiosce składającej się z glinianych chat o dachach krytych trawą, usadowionej w zagłębieniu między wielkimi wzgórzami. W moim plemienu wszyscy byli myśliwymi i rolnikami, w większości wyznawali islam. Ojciec miał stado bydła liczące pięćdziesiąt sztuk, co oznaczało, że nie był bogaty, ale nie był też biedny.

Po dniu wyczerpanej nauki wróciłam do domu i zajęłam się swoimi obowiązkami, a mama ugotowała wieczorny posiłek. Ojciec przez cały dzień pracował przy żniwach, a moi bracia mu pomagali, więc wszyscy byli bardzo głodni. Gdy skończyliśmy jeść, wyszliśmy na podwórze posłuchać opowieści

ojca. Pamiętam, jak siedzieliśmy wokół ognia, śmialiśmy się i śmialiśmy. Ojciec był bardzo zabawny, prawdziwy żartowniś. Kochałam moją rodzinę z całego serca.

Noc była zimna, więc nie zostaliśmy zbyt długo na dworze. Zasnęłam, jak zwykle przytulając się do ojca. Na środku chaty płonął ogień, żeby ogrzewać nas przez całą noc. Mała kotka Uran zwinęła się na moim brzuszku. Mama leżała w łóżku po przeciwnej stronie ognia. Szybko zasnęliśmy mocnym snem. Nie spaliśmy jednak długo, ponieważ nagle na zewnątrz zaczęło się potworne zamieszanie. Obudziłam się przestraszona i zobaczyłam niesamowite, pomarańczowe światło, rozświetlające wnętrze chaty.

— *Ook tom gua!* — krzyknął ojciec, wyskakując z łóżka. — Pożar! Pożar w wiosce!

Rzuciliśmy się do wyjścia i ujrzeliśmy płomień sięgające nieba aż po odległy kraniec wioski. Z początku myśleliśmy, że ktoś musiał niechcący zaproszyć ogień w chacie. Zdarzało się to dość często. Zauważyliśmy jednak obcych ludzi biegających między chatami z płonącymi pochodniami w rękach. Widziałam, jak ciskają głośno na dachy, które natychmiast stają w płomieniach. Mieszkańcy wybiegali na zewnątrz, ale ci ludzie rzucali się na nich i przewracali na ziemię.

— Mudzahedini! — zawołał ojciec. — Bandyci! Mudzahedini są we wsi!

Wciąż nie do końca rozumiałam, co się dzieje, ze strachu byłam jak skamieniała. Ojciec złapał mnie za ramię.

— *Go lore okone?! Go lore okone?* — krzyczał. — Dokąd mamy uciekać? Dokąd mamy uciekać?

Rozpaczliwie usiłował wymyślić drogę ucieczki. Czułam, że mama stoi tuż za mną i drży. Byłam przerażona. Jedną ręką kurczowo ścisnęłam kotkę, drugą trzymałam dłoń ojca. Zaczęliśmy biec.

— Biegnij na wzgórze! — rozkazał ojciec. — Za mną! Biegnij! Biegnij!

Mijaliśmy sceny jak z najgorszego koszmaru. Ojciec prowa-

dził, a ja za nim, na końcu mama. Wciąż trzymałam kotkę. Tyle chat stało w ogniu, że całe niebo rozjaśniały płomienie. Kobiety i dzieci rozbiegły się na wszystkie strony, płacząc i krzycząc, zagubione i przerażone. Widziałam Arabów wyrrywających dzieci z objęć rodziców.

— Jeżeli ktoś spróbuje cię złapać, trzymaj się mnie z całej siły, Mende! — krzyknął ojciec.

Bandyci podryznali ludziom gardła, zakrzywione sztylety błyskały w świetle ognia. Nie potrafię opisać wszystkiego, co widziałam, gdy bieглиśmy przez wioskę. Nikt nigdy nie powinien być świadkiem wydarzeń, jakie były moim udziałem tamtej nocy.

Mimo dymu i płomieni zorientowałam się, że ojciec zmierza w stronę najbliższego wzgórza. Dotarliśmy pod osłonę drzew, gdy dokładnie przed sobą zobaczyliśmy nierówną linię jeźdźców na koniach. Mieli dzikie, wytrzeszczone oczy, długie potargane brody, nosili obszarpane, brudne ubrania. Wymachiwali groźnie mieczami i wyglądali zupełnie inaczej niż ludzie z naszego plemienia. Zablokowali jedyną oczywistą drogę ucieczki. Widziałam przerażonych mieszkańców wioski, biegnących przed nami prosto w pułapkę. Gdy zorientowali się, że to zasadzka, zaczęli krzyczeć i próbowali zawrócić. Zapanował chaos i panika, a wszystko to wśród odgłosu wystrzałów.

Gdy usiłowaliśmy biec w przeciwną stronę, usłyszałam, że ojciec rozpaczliwie woła mamę. Zgubiliśmy ją w całej tej panice i zamieszaniu. Zostałam sama z ojcem, uciekaliśmy i uciekaliśmy. Czułam, że próbuje skłonić mnie, żebym biegła szybciej, ale wtedy potknęłam się i upadłam. Pamiętam, jak kotka wyskoczyła z moich ramion. Gdy usiłowałam wstać, jeden z mudzahedinów złapał mnie i zaczął wlec w stronę wioski.

Ojciec rzucił się na niego i pociągnął na ziemię. Widziałam, jak uderza napastnika w głowę, ten upada i już nie wstaje. Ojciec chwycił mnie za ramiona i zaczął odciągać w bezpieczne miejsce. Kiedy tak mnie ciągnął, miałam wrażenie, jakby ostre kamienie rozdzierały moje stopy na strzępy, ale nie przejm-

wałam się bólem. Po chwili postawił mnie na nogi i znów biegliśmy, biegliśmy, biegliśmy.

— Biegnij, Mende! Biegnij! Tak szybko, jak tylko możesz! — krzyczał ojciec. — Jeżeli Arabowie spróbują cię zabrać, najpierw będą musieli mnie zabić!

Pognaliśmy w stronę drugiego końca wioski, ale byłam zmęczona, naprawdę bardzo zmęczona. Słabłam z chwili na chwilę. I wtedy, niespodziewanie, wypadło na nas duże stado bydła uciekającego przed ogniem i upadłam po raz drugi. Gdy leżałam zwinięta na ziemi, czułam walące we mnie kopyta i słyszałam, jak ojciec woła łamiącym się głosem:

— Mende *agor* Mende *agor* Gdzie jesteś, Mende! Gdzie jesteś!

Próbowałam coś odkrzyknąć, ale gardło miałam ściśnięte z bólu i zapchane pyłem. Zdołałam wydobyć z siebie tylko chrapliwy szept:

— *Bal Bal Bal* Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu!

Ale ojciec mnie nie usłyszał. Gdy tak leżałam skamieniała, a łzy strumieniem ciekły mi po twarzy, jakiś mężczyzna zaszedł mnie od tyłu i przydusił do ziemi. Szczecina na jego brodzie kłuła mnie w kark i czułam paskudny smród jego oddechu.

Wiedziałam, że ojciec jest gdzieś w pobliżu i rozpaczliwie mnie szuka. Nadal usiłowałam go wołać, ale mężczyzna zacisnął mi na ustach brudną rękę.

— Zamknij się — syknął po arabsku. — Zamknij się i leż spokojnie. Jeżeli będziesz krzyczała, inni cię znajdą i zabiją.

Szarpnięciem postawił mnie na nogi i zaczął prowadzić przez wioskę. W świetle płonących chat zobaczyłam, że ma zakrzywiony sztylet, a za pasem zatknięty pistolet.

Jestem pewna, że gdy mnie prowadził, słyszałam jeszcze ojca, który wołał: „Mende! Mende! Mende!”. Mój ojciec był najodważniejszym człowiekiem na świecie. Wiedziałam, że próbowałyby mnie ratować, gdyby tylko udało mu się mnie znaleźć, choćby musiał walczyć z każdym mudżahedinem

w wiosce. Chciałam zawołać: "**Ba! Ba!** Jestem tutaj! Słyszę cię!", ale bandyta trzymał dłoń zaciśniętą na moich ustach.

Wokół płonęła wioska, zewsząd dobiegały krzyki. Widziałam kobiety Nuba leżące na ziemi, a na nich mudżahedinów, próbujących je obmacywać. Czułam swąd spalenizny, zapach krwi i strachu.

Przez cały czas modliłam się do Boga: „O Allahu, o Allahu, proszę, uratuj mnie, proszę, uratuj mnie”. I modliłam się, żeby Bóg ocalił też moją rodzinę. Oddalaliśmy się w stronę lasu, a ja wciąż i wciąż zanosiałam modły, żebyśmy wszyscy wyszli z tego cało.

Zostawiając za sobą płonąca wioskę, dotarliśmy na skraj lasu. Między drzewami zobaczyłam mniej więcej trzydzieścioro innych dzieci, zбитych w gromadkę. Pojawiali się kolejni mudżahedini, prowadzący małych chłopców i dziewczynki z plemienia Nuba. Ubrania i noże Arabów poplamione były krwią, wyglądali jak wcielone zło. Intonowali pełnym głosem: "**Allah akbar! Allah akbar! Allah akbar!**" — Bóg jest wielki!

Nie miałam pojęcia, czy komukolwiek z mojej rodziny udało się uciec, czy też wszyscy zostali zabici podczas napadu. Nie miałam pojęcia, co się teraz ze mną stanie. Tak właśnie skończyło się moje cudowne, szczęśliwe dzieciństwo i zaczęło życie niewolnicy.

Część 1

Dzieciństwo  
w plemieniu Nuba

## R o z d z i a ł 1

# Mój dom

Kiedy się urodziłam, ojciec wybrał dla mnie imię Mende. W języku Nuba **mende** oznacza gazelę — najpiękniejsze i najbardziej wdzięczne zwierzę żyjące w górach Nuba. Byłam piątym i ostatnim dzieckiem mojego ojca i uważał mnie za najśliczniejszą córeczkę na świecie. Naszą wioskę zbudowano u podnóża wielkiej skały, która górowała nad wszystkimi glinianymi chatami. Za tą skałą wznosiły się góry. Właściwie wioska otoczona była górami ze wszystkich stron. Po piętnastu minutach marszu było się już poza wioską, wśród wzniesień podgórza.

Nasz dom składał się z prostokątnego obejścia z dwiema stojącymi naprzeciw siebie glinianymi chatami. Nazywaliśmy je **shal**. **Shal** było ogrodzone ścianą z drewnianych palików, między którymi przepleciono słomę. Wzdłuż ogrodzenia ustawiono dwie ławy, na których wieczorami gromadziliśmy się wokół ognia, śmialiśmy się i opowiadaliśmy różne historie. Wokół **shal** znajdowało się znacznie większe podwórze, **tog**. Płot **tog** zrobiony był z mocnych prostych gałęzi i sięgał do wysokości dachu domu. Zdaje mi się, że **shal** można porównać do domu w krajach zachodnich, a **tog** do ogrodu, który go otacza. Nasze owce i kozy mieszkaly w **tog**. Musieliśmy uważać, żeby nie wdzierały się do **shal** i nie podkraδαły nam jedzenia.



Mieszkałam w jednej chacie z mamą i tatą. Wewnątrz stały trzy łóżka, po jednym dla każdego. Miały bambusowe ramy, a legowisko uplecione było z lin zrobionych z kory baobabu. Ojciec zawsze spał przy drzwiach, żeby nas chronić. W lasach i na pobliskich wzgórzach żyły węże oraz hieny i bałam się, żeby nie weszły do domu i mnie nie dopadły. Co wieczór wychodziłam ze swojego łóżka i przytulałam się do ojca, bo czułam się wtedy bezpieczniej. W porze deszczowej rozpalaliśmy pośrodku chaty ognisko, które ogrzewało nas w nocy. Pod ścianą trzymaliśmy wielki stos suchego drewna na opał, a kiedy się skończyło, musieliśmy zbierać wilgotne drewno w lesie. Wówczas ogień ledwie się tlił i całą chatę wypełniał dym.

W jednym z moich najwcześniejszych wspomnień ojciec przynosi mi małą kotkę. Była czarna jak węgiel i miała lśniące futerko. Nazwałam ją Uran, co znaczy „czarnulka”. Okazało się, że Uran znakomicie poluje na myszy i stała się dla nas wszystkich źródłem wielkiej radości. Nocą, kiedy wskakiwałam do łóżka ojca, Uran wskakiwała także. Wtedy ojciec się budził.

— Mam już w łóżku ciebie — mówił sennie. — Myślisz, że dam radę spać jeszcze z kotem?

— Oczywiście, że dasz radę — odpowiadałam, chichocząc. — Śpimy z tobą i koniec.

— Posłuchaj, jeżeli chcesz spać z Uran, to idź do swojego łóżka — śmiał się cicho.

Zawsze odmawiałam. Wtedy mama wołała z drugiej strony chaty:

— Chodź tutaj, Mende. Moje łóżko jest wystarczająco duże dla ciebie, dla mnie i dla twojej kotki.

— Nie! Chcę spać tutaj, z tatą.

Tak zaczynała się zabawa w komórki do wynajęcia. Znosiłam Uran do mamy, zostawiałam ją tam i wracałam do ojca. Jednak Uran natychmiast zeskakiwała z posłania mamy i pędziła z powrotem do nas. Teraz ojciec śmiał się już na cały głos.

— No dobrze — wzdychał — idź spać z mamą, a Uran zostaje ze mną.

— Dobrze, *ba* — odpowiadałam. Wiedziałam, czym skończą się te żarty.

Wracałam do mamy, a Uran oczywiście biegła za mną. W tym momencie cała chata trzęsła się od śmiechu.

— No więc czego byśmy nie zrobili, Uran chce spać z tobą — mawiał ojciec, a potem przynosił moje łóżeczko z przeciwnej strony chaty i ustawiał obok swojego. Wskakiwałam do własnego łóżka, Uran wskakiwała na mnie, a tata spał tuż obok. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni.

Po jednej stronie podwórza stały trzy wysokie stożkowate spichlerze, *durs*. Każdy miał niewielkie wejście wysoko w ścianie, dokładnie szerokości ciała ludzkiego. Aby dostać się do środka, trzeba było wspiąć się po drabinie i zanurkować, przeslizgując się przez otwór. Spichlerze zostały zaprojektowane tak, żeby nie mogły zakraść się do nich szczury czy kozy. Dzięki takiemu spichlerzowi ziarno pozostawało suche i wystarczyło go nam od jednej pory zbiorów do drugiej. Kiedy potrzebowaliśmy ziarna, ojciec wskakiwał do wnętrza *dur*, nabierał pełną tykwę i podawał ją mojemu bratu, Babo, który czekał przy wejściu, na drabinie. Ja stałam na dole, żeby wziąć ją od niego.

Moja najstarsza siostra, Shokan, mieszkała w sąsiednim obejściu z mężem i dziećmi, podobnie jak druga siostra, Kunnyant. Bracia Babo i Kwandsharan zajmowali *holua*, dom dla mężczyzn, poza naszym obejściem. Każda rodzina miała własny *holua*, gdzie jedli i spali nieżonaci chłopcy. W porach posiłków ojciec siedł tam, żeby jeść z innymi mężczyznami.

Tata zapraszał zwykle wszystkich naszych krewnych płci męskiej, żeby przyłączyli się do niego: „Przyjdźcie i jedzcie z nami! Chodźcie napić się herbaty!” — wołał. Wszyscy moi wujowie i ciotki mieszkali niedaleko od naszego domu, więc wystarczyło głośno krzyknąć. Nikt nigdy nie jadał sam. Taka była tradycja. Posiłek dzieliło się z każdym, kto w danej chwili znajdował się w pobliżu. Mógł to być członek rodziny, sąsiad, gość z innego plemienia albo nawet cudzoziemiec. To bez

znaczenia. Zaproszony bywał każdy, kto znajdował się w zasięgu głosu. Mama przypiekała na ogniu proso i orzeszki ziemne i mieliła je razem, robiąc pyszną pastę. Gotowano też *kal*, papkę z prosa z wodą i mlekiem lub *waj*, przyprawiony curry gulasz z warzyw i mięsa.

Nasza społeczność była bardzo zżyta. Mieliśmy niewiele sekretów i niezbyt dużą potrzebę prywatności. Kiedy byłam bardzo mała, korzystałam z toalety za naszym podwórkiem, ale gdy skończyłam mniej więcej sześć lat, zaczęłam chodzić do miejsca w buszu, które było toaletą dla dorosłych. Kuciałam za krzakiem, trawa muskała mi pupę, i zrywałam najbliższy liść, żeby się podetrzeć. W porze deszczowej liście były zbyt sztywne, by je zerwać z drzewa. Wówczas zabierałam ze sobą garść suchych liści palmy rafia. Z tym jednak wiązała się pewien problem. Liście tej palmy mają niezwykle ostre brzegi i można było skończyć ze skaleczeniami w bardzo niefortunnych miejscach.

Pewnego ranka, kiedy byłam jeszcze malutka, poszłam załatwić się w buszu w towarzystwie mojej przyjaciółki Kehko. Ona podeszła do jednego drzewa, ja do drugiego. Właśnie kucnęłyśmy, kiedy Kehko zawołała:

- Słyszę, że coś się rusza, Mende. Jak myślisz, co to jest?
- Pewnie tylko mysz — odkrzyknęłam.

Nagle pojawił się ogromny wąż. Kehko zobaczyła go na chwilę przede mną, krzyknęła, podskoczyła i zaczęła uciekać, a siusiu leciało jej po nogach. Gdybyśmy nie były takie przestraszone, wszystko to byłoby bardzo zabawne. Moja sytuacja była nieco gorsza i kiedy wysilałam się, żeby skończyć, wąż pełzł w moim kierunku. Nie było na co czekać. W mgnieniu oka zerwałam się na równe nogi i zaczęłam uciekać. Bardzo niewygodnie biegło mi się z wypiętą pupą. Kiedy byłyśmy już wystarczająco daleko od węża, zatrzymałyśmy się i padłyśmy na ziemię, śmiejąc się do rozpuku. Po tej przygodzie postanowiłyśmy z Kehko nigdy więcej nie wracać do tamtej części buszu.

Za domem mieliśmy ogród, w którym hodowaliśmy kukurydzę i warzywa takie jak fasola czy dynia. W październiku przychodziły deszcze i kukurydza stawała się gruba i soczysta. Moim ulubionym przysmakiem były kolby świeżej kukurydzy pieczone nad ogniem, z masłem domowej roboty. Kiedy wyjedliśmy z ogrodu wszystko, co nadawało się do jedzenia, wpuszczaliśmy tam kozy, żeby wyskubały pozostałe łodygi i liście.

My, dziewczynki, codziennie wyruszałyśmy w góry, żeby przynieść wodę i drewno na opał. Czasem musiałyśmy iść nawet przez dwie godziny wijącymi się w lesie ścieżkami. Ponieważ na wzgórzach pełno było węży i dzikich zwierząt, zawsze starałyśmy się namówić jakichś chłopców, żeby poszli z nami. Zdarzało się, że kiedy przychodziłyśmy z glinianymi naczyniami do źródła, były tam też dziewczynki z innej wioski. Wtedy często zaczynała się kłótnia, kto pierwszy ma nabrać wody. Zaczynałyśmy się przezywać: „Jesteś brzydka! Jesteś leniwa! Jesteś kłamczucha!”.

Potem ktoś wszczynał bójkę. Tak naprawdę wszystko odbywało się na wesoło, aleja zawsze wołałam mojego brata Babo, żeby mnie ratował. „Mende, chodź i stań za mną”, mówił. „A teraz, jeżeli ktoś chce dotknąć Mende, najpierw musi mnie pokonać”.

Gdy po długiej, gorącej porze suchej w końcu przychodziły deszcze, wszystkie dzieci wybiegały na dwór i tańczyły z radości, śpiewając deszczową piosenkę: *Are coucoure, Are konduk ducre* — nadchodzi deszcz, za dużo deszczu. Kołysaliśmy rękami nad głowami i tańczyliśmy w ciepłym, kojącym deszczu. Zawsze był to moment wielkiej ulgi, ponieważ deszcz oznaczał, że będziemy mieli dobre zbiory i tego roku nikt nie będzie chodził głodny.

Kiedy miałam mniej więcej sześć lat, po raz pierwszy w moim życiu deszcz zawiódł. Uprawy zmarniały i wyschły. Brakowało jedzenia. Sytuacja pogarszała się z tygodnia na tydzień. Niebawem wszystkie dzieci zaczęły chudnąć i chorować, a starsi ludzie umierać z niedożywienia. Pamiętam, że nigdy w całym swoim życiu nie czułam się taka głodna.

Pewnego dnia moim oczom ukazał się zdumiewający widok — nad starym traktem, który wił się dnem doliny, kłębiła się ogromna chmura pyłu. Gdy się dobrze przyjrzałam, zobaczyłam sznur lśniących białych ciężarówek, wynurzających się z kurzu. Wcześniej raz czy dwa widziałam starą ciężarówkę, jak sapiąc, wspinała się do naszej wioski, lecz nigdy przedtem nie spotkałam niczego takiego jak ten lśniący konwój. Zmierzał w stronę placu targowego w centrum wioski. Popędziłam tam i zobaczyłam dwóch mężczyzn wysiadających z ciężarówki jadącej na przódzie. Ze zdumieniem zauważyłam, że mają bladą, białą skórę. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam wtedy *hawaja*, białego człowieka. Stałam tam z innymi dziećmi z wioski, wpatrując się w *hawajas* z pewnej odległości, zastanawiając się, skąd też się mogli wziąć. Dla nas wyglądali jak duchy.

Podeszli do stojących rzędem ciężarówek i zaczęli wskazywać kierowcom, gdzie mają rozładować to, co przywieźli. Młodzi Nuba z naszej wsi pomagali przenosić wielkie worki, beczułki z olejem jadalnym, lekarstwa i koce do pustej chaty w pobliżu. Każda rodzina miała prawo do jednego koca, jednego worka soczewicy, jednej puszki z olejem i nasion proso do zasadzenia w przyszłym roku. Ojciec dołączył do kolejki, podczas gdy my tylko staliśmy i gapiliśmy się na *hawajas*. W końcu ruszyliśmy do domu, ojciec niósł worek soczewicy, mama olej, a ja duży koc.

— Ci *hawajas* to bardzo dobrzy ludzie — powiedział ojciec z uśmiechem, gdy wracaliśmy do chaty. — Przyjechali z bardzo, bardzo daleka, ponieważ wiedzą że deszcze zawiodły i jesteśmy głodni. Ale Arabowie nam nie pomagają, mimo że dzielą z nami jeden kraj.

Przez cały tamten rok konwoje ciężarówek wpełzały na stromą górską przełęcz, żeby dostarczyć nam pomoc. Okazało się, że przysłała ją Ameryka, więc wszyscy ciągle rozmawiali o tym, jakim dobrym człowiekiem jest prezydent Bush (ojciec obecnego prezydenta USA) i jak nam pomaga. Pewna kobieta z naszej wioski nazwała swojego syna Bush. Urodził się w środ-

ku okresu głodu. Później zaczęła się epidemia naśladownictwa i wkrótce wielu chłopców nosiło to imię. Niektóre kobiety postanowiły dać swoim córkom imię żony Busha, ale nikt nie potrafił się dowiedzieć, jak ono brzmi. Jedna kobieta ułożyła piosenkę wychwalającą prezydenta Ameryki. Szybko stała się bardzo popularna i wszystkie kobiety śpiewały ją przy pracy. Nie pamiętam dokładnie słów, ale brzmiało to mniej więcej tak:

*Bush, Bush, Bush, Bush,  
Bush jest bardzo dobry,  
Wspomaga lud<sup>^</sup>i Nuba  
soczewicą i olejem.  
Gdyby nie Bush  
wszyscy byśmy pomarli.  
Bush, Bush, Bush, Bush.*

Jedną z najgorszych rzeczy związanych z suszą było to, że zdechła znaczna część naszego inwentarza. W górach Nuba krowy są bardzo ważne — stanowią oznakę bogactwa. Można było usłyszeć, jak ludzie mówią: „Hmm... To bardzo bogaty człowiek. Spójrzcie tylko, ile ma krów”. Mój ojciec miał w sumie może pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt krów. Niektórzy mieli ich więcej, może nawet ze sto. Podczas kłęski głodu wiele naszych krów zdechło. Minęły lata, zanim ojciec odtworzył stado.

Zwykle za opiekę nad bydłem jako najmłodszy chłopiec odpowiedzialny był Babo, ale kiedy zaczął chodzić do szkoły, ojciec zatrudnił zamiast niego chłopca z sąsiedniej wioski. Miał jakieś trzynaście lat, nazywał się Ajeka. Nosił ze sobą włócznię i *ondo* — instrument muzyczny wykonany z tykwy, o trzech metalowych strunach. Jedyne strój Ajeki stanowił sznur paciorków wokół pasa. Zabierał krowy na pole albo do lasu i doglądał ich leniwie przez cały dzień, grając na *ondo*. Co roku ojciec dawał Ajece jedną krowę. To było jego wynagrodzenie.

Stado krów ojcazymane było jakieś dziesięć minut drogi

od naszego domu, w zagrodzie nazywanej *coh*. Zrobiono ją z wielkich gałęzi wetkniętych w ziemię. Duża *coh* przeznaczona była dla dorosłych krów, a cielaki miały własną mniejszą zagrodę, *cohnił* — co znaczy „dom małych krów”. Przed zachodem słońca Ajeka i moi bracia szli do zagrody dla bydła i zabierali głodne cielaki do matek. Gdy małe się najadły, chłopcy odprowadzali je i doili krowy. Trochę mleka zostawiali dla cieląt, a resztę zanosili mojej mamie.

Czasami wypijaliśmy mleko od razu — pyszne, świeże i jeszcze ciepłe. Czasami stawialiśmy je na ogniu, żeby przygotować kleik z prosa. Zdarzało się też, że z miską świeżego mleka posyłano mnie na podwórze, gdzie na wbitym w ziemię słupie wisiała na sznurze tykwa z małym otworem u góry zatykanym korkiem. Przez ten otwór wlewałam mleko do środka, umieszczałam na miejscu korek i potrząsałam tykwą żeby ubić masło. Robiłam to przez pięć minut, a potem odpoczywałam, znów potrząsałam i odpoczywałam, potrząsałam i odpoczywałam, dopóki nie oddzieliłam maślanki i twarogu. W ten sposób robiliśmy mleko i jogurt.

Ludzie twierdzili, że wyglądam dokładnie jak moja matka. Mama była bardzo szczupła i bardzo, bardzo piękna. Jednak włosy miałam takie jak ojciec — miększe i dłuższe niż włosy mamy. W najwcześniejszych wspomnieniach widzę ją chodzącą zupełnie nago. Mniej więcej przez pierwszych osiem lat mojego życia nikt w naszej wiosce nie miał żadnych ubrań, o których warto by wspomnieć. Później mama zaczęła nosić krótki kawałek kolorowej tkaniny owinięty wokół bioder. Kiedy było zimno, zdarzało jej się zarzucać na ramiona koc. Nigdy nie poznałam wieku mojej matki, ale wyglądała na mniej więcej dziesięć lat młodszą od ojca. W naszym plemieniu mężczyzna zawsze poślubiał znacznie młodszą kobietę.

Mama miała na całym ciele ozdobne blizny. Kiedy była jeszcze dzieckiem, babka spędziła wiele godzin, nacinając jej skórę ostrym kamieniem, żeby uzyskać piękne geometryczne wzory. Wycięła jej spirale i krzywizny na piersiach, a długi

rząd prostych linii na brzuchu. Uważałam, że te blizny — w języku Nuba *kell* — czynią moją mamę jeszcze piękniejszą. Skórę nacinano zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Moja mama najpiękniejszą bliznę, kształtem przypominającą trójkątową strzałę, miała na policzku. Babka nacięła skórę tak głęboko, że zaczęła płynąć krew.

„Widziałam krew kapiącą na ziemię, Mende, opowiadała mama, dotykając blizny czubkami palców. Ale uczono nas dzielności, więc się nie skarżyłam”.

Miałam czworo starszych braci i siostr, ale żadnemu z nich nie nacinano skóry. Mama powiedziała mi, że to stara tradycja, której zaprzestano, zanim się urodziliśmy. Żałowała tego, ale rozumiała, dlaczego trzeba było położyć temu kres. Zawsze nosiła naszyjnik z czerwonych i białych paciorków, a wokół talii szeroki pas zrobiony ze sznurów białych, czerwonych, żółtych i czarnych koralików. W kulturze Nuba każde plemię nosi inne paciorki i w ten sposób można odróżnić poszczególne plemiona. Jeżeli do wioski przyszli obcy, wystarczyło spojrzeć na ich paciorki i blizny, by wiedzieć, z jakiego plemienia pochodzą.

Mama nosiła też warkoczyki, ale prawie nigdy nie pozwalała mi zaplatać swoich włosów, ponieważ nie robiłam tego najlepiej. Zwykle pomagała jej w tym mieszkająca w pobliżu przyjaciółka, która spędziła długi czas na nauce zaplatania włosów zgodnie z tradycją Nuba. Właściwie była w naszym plemienu kimś w rodzaju fryzjerki, ale nikt nigdy nie płacił jej za czesanie. Tak właśnie wszyscy postępowaliśmy; jeżeli można było komuś pomóc, to się pomagało.

Każda dziewczynka miała różne fryzury na różne okazje — na przyjście deszczu, czas zbiorów, zawody zapaśnicze albo na ceremonię obrzezania chłopców. Mama opowiedziała mi, że w czasach jej młodości dokonywano obrzezania chłopców, gdy mieli siedemnaście lub osiemnaście lat, żeby zaznaczyć ich wejście w wiek męski. Jednak moi bracia zostali obrzezani, kiedy byli znacznie młodsi, mieli jakieś dziesięć czy jedenaście



lat. Tradycje się zmieniały i uważano, że obrzezanie jest znacznie bezpieczniejsze w młodszym wieku.

Mój ojciec, jak na Nuba, nie był wysoki, ale dobrze zbudowany, gibki i silny. Rysy twarzy miał piękne, prawie europejskie, jednak skórę bardzo czarną. Jedyne strój, jaki kiedykolwiek nosił, to mały kawałek tkaniny owinięty wokół pasa i białą myckę. Jego ręce były twarde i pełne odcisków. Czasami, po zwijaniu kory baobabu, żeby zrobić z niej linę przeznaczoną na sprzedaż na targu, krwawiły. Od chodzenia boso po ostrych kamieniach i głazach na wzgórzach na podszewkach stóp miał głębokie pęknięcia i szramy. Nosił krótką brodę, właściwie jakby ślad zarostu. Lśniące czarne włosy strzygł krótko, ale odrastały niezwykle szybko i wtedy były miękkie, inaczej niż u większości Nuba, którzy mają włosy sztywne i kręcone.

Wielu mężczyzn w naszej wiosce miało po kilka żon. Moi wujowie, Jerongir i Foneshir, mieli po dwie żony. Jednak ojciec był żonaty tylko z mamą. Ale ja kochałabym go nawet, gdyby poślubił dziesięć kobiet. Nie wiem, czy mamie by się to podobowało, ale nie miałyby nic do powiedzenia. Taka była tradycja. Ojciec bardzo kochał mamę. Mawiał do nas: „Wasza matka jest ogromnie dobrą kobietą, wystarczy mi za dziesięć żon”.

Życie w naszym domu płynęło bardzo spokojnie. Rodzice nigdy się nie kłócili. Ja, moi bracia i siostry kłóciliśmy się jedynie podczas zabawy. Ojciec zawsze żartował z sąsiadami i zapraszał ich, żeby z nami jedli. Podczas gdy on był hałaśliwy, mama była cicha i skryta. Wszyscy lubili ją i szanowali. Nie włączała się w wiejskie plotki. Ludzie mawiali, że mama jest jak anioł, a ojciec przypomina bardzo uroczego, ale niegrzecznego diabła.

Ojciec miał wielką włócznię z długim drzewcem i ostrym, metalowym grotem. Gdy wyruszał na polowanie w góry, zabierał włócznię, długi kij, topór, tykwę pełną wody, a także wielki krowi róg. Na ogół przynosił do domu królika albo niedużego, podobnego do bażanta ptaka, czasami trafiał się też *shukul*, duży jelen, lub nawet hiena. Jeżeli zabił jakieś większe zwierzę,

dał w róg, a dźwięk odbijał się echem od gór. Słyszeliśmy go w wiosce i zaczęła się wielkie zamieszanie. Mężczyźni wyruszyli do lasu, żeby pomóc ojcu przynieść martwe zwierzę do wioski.

Kiedy miałam jakieś sześć lat, zaczęłam się bardzo martwić o moją kotkę, Uran. Była tak gruba, że pomyślałam, iż zaraz pęknie.

— *Umi*, dlaczego Uran robi się taka gruba? — zapytałam mamę. — Chyba je za dużo myszy.

— Nie jest gruba, dlatego że za dużo je — wyjaśniła mama ze śmiechem. — Jest w ciąży, będzie miała dzieci.

Byłam wstrząśnięta. Zapytałam, jak to się stało, że Uran jest w ciąży?

— Cóż, Uran zaszła w ciążę, bo jadła za dużo myszy — powiedziała mama, zaprzeczając sobie. Myślę, że był to dla niej po prostu wygodny sposób, żeby uniknąć wyjaśnienia mi kwestii rozmnażania.

— *Umi* — jęczałam — nie rozumiem. Czy w takim razie Uran urodzi myszy? Przecież przynieśliśmy ją tutaj, żeby pozbyć się wszystkich myszy.

Mama usiadła na drewnianym stołku i przytuliła mnie do siebie.

— Posłuchaj, Mende, Uran może jeść myszy, ale urodzi kotki. Zaczekaj, to zobaczysz.

Wciąż nic nie rozumiałam, ale byłam szczęśliwa, że Uran będzie miała kocięta. Przyniosłam kotkę mamie.

— Kiedy będzie miała te kotki? — chciałam wiedzieć.

— Nie wiem dokładnie. — Mama obmacała brzusek Uran. — Ale sądząc po dotyku, zdaje mi się, że całkiem niedługo.

Byłam bardzo podniecona. Tydzień później poszłam zajrzeć do Uran i znalazłam ją leżącą z czterema cudownymi kociakami, czarnymi w białe łatki. Wyglądała na bardzo z siebie dumną,

Uran naprawdę była moją najlepszą przyjaciółką. Pobiegłam na podwórze, złapałam kozę, wydoiłam ją i popędziłam z powrotem z tykwą pełną mleka dla Uran. Spędziłam cały dzień, leżąc przy niej na ziemi. Brałam kociaki na ręce i głaskałam je. Później pobiegłam powiedzieć o tym moim przyjaciółkom i one też przyszły pobawić się z kociętami. Gdy kotki urosły, zaczęły po mnie skakać i bawić się moimi palcami i uszami. Stały się najważniejszą rzeczą w moim życiu. Jednak pewnego ranka mama oznajmiła, że musi ze mną porozmawiać.

— Jeden z naszych sąsiadów zapytał, czy mógłby dostać kociaka — powiedziała. — Możemy im dać jednego. Czy to nie miłe?

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę.

— Chcesz oddać komuś dzieci Uran? — jęczałam. — Jak możesz? Dlaczego nie oddasz swoich dzieci, skoro tak ci się to podoba?

— Nie złość się na mnie — powiedziała mama delikatnie. — Uran niedługo urodzi pięć kolejnych i wtedy będziemy mieli dziesięć kotów. Jak myślisz, skąd weźmiemy tyle mleka, żeby wykarmić wszystkie?

— Mamy krowy i kozy. Możemy pić krowie mleko, a koty kozie.

— A gdzie będą mieszkały? Może powinniśmy zbudować zagrodę i trzymać Uran i jej wszystkie dzieci na dworze jak krowy? Chciałabyś tego?

— Dlaczego nie możemy mieszkać wszyscy razem w naszej chacie? Koty są przecież malutkie i jest dużo miejsca.

Mama była jednak nieugięta. Lecz ja się tak zdenerwowałam, że nie wiedziałam, co robić. W końcu powiedziała:

— Posłuchaj, Mende, na razie mogą zostać z nami, w porządku? A teraz przestań płakać.

Czułam taką ulgę, że pobiegłam do Uran przekazać jej dobre wieści. Oczywiście mama mnie oszukała. Pewnego ranka, kilka dni później, obudziłam się i odkryłam, że kocięta zniknęły. Biegałam w panice po chacie, wszędzie ich szukając. Potem

wypadłam z domu i przeszukałam podwórze. W końcu usiadłam i wybuchnęłam płaczem.

— *Umi* — szlochałam — nigdzie nie mogę znaleźć kociąt. Gdzie zniknęły?

Mama udała zdziwienie.

— Naprawdę? Dokąd mogły trafić? — Zaczęła przeszukiwać ze mną chatę, ale po jakichś pięciu minutach poddała się. — Może Uran zabrała je do ogrodu. Szukałaś tam?

Już miałam popędzić i przeszukać ogród, kiedy mama oznajmiła, że najpierw muszę zjeść śniadanie. Odparłam, że zjem, kiedy znajdę kotki. Wyruszyłam w towarzystwie Uran. Byłam zdenerwowana tym, że mama mi nie pomaga. Godzinę później wciąż jeszcze przeszukiwałam podwórze, gdy przybiegła jedna z moich przyjaciółek. Powiedziała, że strasznie się cieszy, bo — zgadnijcie? — dostali jednego z kociaków Uran. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że mama mnie oszukała. Nie mogłam uwierzyć, że potrafiła postąpić tak okrutnie.

Pobiegłam z powrotem do chaty.

— Dlaczego oddałaś dzieci Uran? Jak mogłaś? — krzyknęłam, tupiąc nogą. — Jak możesz być taka podła? Okłamałaś mnie.

Mama próbowała wyjaśnić mi, że Uran urodzi kolejne kocięta i następnym razem ich nie oddamy, aleja byłam niepokieszona. Martwiłam się, że Uran nie będzie mogła mieć więcej dzieci, ponieważ zjadła wszystkie tłuste myszy i zostały tylko same chude. Byłam smutna jeszcze przez kilka dni, ale kiedy kocięta urosły, widywałam je bawiące się radośnie w wiosce i szybko wybaczyłam mamie.

Ponieważ byłam najmłodszym dzieckiem i ostatnią córką ojca, myślę, że trochę mnie rozpuścili. Miałam dwie starsze siostry, Shokan i Kunyant, a po nich dwóch braci, Babo i Kwandsharana. Shokan była starsza ode mnie o mniej więcej trzynaście lat. J<sup>^</sup>j imię oznacza „bez włosów”, ponieważ kiedy się

urodziła, była całkiem łysa. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek chodziła do szkoły, a gdy się urodziłam, zdążyła już wyjść za mąż i opuścić dom. Często chodziłam do niej w odwiedzin, ponieważ ścieżka do lasu biegła obok jej domu, a potem także obok domu Kunyant. Wołałam do niej z naszej chaty: „Shokan, gdzie jesteś?”. Słyszała mnie i odpowiadała ze swojego domu: „Tutaj, Mende, tutaj”.

Kunyant musiała być starsza ode mnie o jakieś dziewięć lat. Jej imię, dla kontrastu, znaczy „dużo włosów”, ponieważ urodziła się z gęstą czupryną. Pamiętam, że wszyscy uważali ją za bardzo piękną, choć niezbyt mądrą. Chodziła do szkoły, ale jej nie ukończyła. Także wyszła za mąż mniej więcej w wieku trzynasto lat.

Mój najstarszy brat miał na imię Kwandsharan, co znaczy „niski chłopak”, ponieważ, gdy się urodził, był bardzo mały. Cały czas się śmiał i żartował. Był też bardzo przystojny. Kwandsharan miał nadzieję wyjechać, żeby się uczyć i zostać oficerem w armii. Lubiłam go, ale nie rozumiałam, dlaczego chce opuścić wioskę i zostać żołnierzem. Drugi brat, Babo, był tylko o dwa lata ode mnie starszy, więc najbliższy mi wiekiem. Jego imię oznacza w naszym języku „dziecko” i Babo był ulubieńcem mamy. Wysoki, szczupły, zawsze zamyślony, Babo był bardzo mądry i uczył się najlepiej z całej klasy. Opowiadał mi, że chce zostać kupcem i handlować na targu. Ze wszystkich braci i sióstr jego lubiłam najbardziej. Ilekroć był w wiosce, nie odstępowałam go na krok.

Babo zostawiał mnie samą tylko wtedy, gdy szedł do lasu polować na ptaki. Strzelał do nich z procy zrobionej z włókna palmy rafia, jako pocisków używając kamyków. Czasami korzystał też z drewnianej procy. Jeżeli mieliśmy szczęście, trafiał dużego gołębia. Po powrocie do domu dawał go mnie, żebym opaliła nad ogniem wszystkie pióra. Potem patroszył ptaka i gotowaliśmy mięso w żelaznym garnku, z cebulą i solą. Uczta palce lizać.

Babo często się ze mną bawił. Jedną z naszych ulubionych

gier, gra w kamyki, nazywała się **kak**. Braliśmy osiem niewielkich kamyków, siadaliśmy na ziemi twarzami do siebie i układaliśmy je rzędem między nami. Babo zawsze pozwalał mi zaczynać. Musiałam rzucić jeden z kamieni w powietrze, chwycić kolejny, leżący na ziemi, i złapać ten spadający, a wszystko to jedną ręką. Kiedy miałam już w ręku osiem kamyków, musiałam zacząć od początku, ale teraz należało złapać dwa kamienie naraz, potem trzy, cztery i tak dalej. Jeżeli udało mi się chwycić wszystkie i zakończyć sekwencję, wołałam **kak!** Oczywiście, jeśli upuściłam jakiś kamień, wypadałam z gry. Babo i ja grywalismy w kamyki całymi godzinami.

Moją ulubioną zabawą była **omot nwaid**, księżycowa gra. Mogliśmy w nią grać tylko wówczas, gdy księżyc był w pełni i oświetlał całą wioskę i otaczające ją góry srebrnym światłem. Wtedy dwadzieścioro albo trzydzieścioro dzieci gromadziło się na środku wioski. Najpierw budowaliśmy wielki kamienny krąg, potem jedno z nas rzucało płaski dysk z krowiej kości, tak że wirował w powietrzu, najdalej jak się dało. Bieglismy za nim z krzykiem i śmiechem, wpadając na siebie w pośpiechu, bo każdy chciał go znaleźć pierwszy.

Jeżeli znalazłam kość, zachowywałam się bardzo cicho i próbowałam dobiec z powrotem do kamiennego kręgu, zanim ktoś mnie złapie. Ale kiedy tylko pozostali zobaczyli, że mam kość, krzyczeli: „Szybko! Szybko! Łapcie Mende! Zatrzymać ją!”. Jeżeli dotarłam do kamiennego kręgu i nie zostałam złapana, tańczyłam dookoła i wołałam: **Eyee langaa! Eyee langaa!** Udało mi się! Udało się! Byłam wtedy zwycięzcą i ja rzucałam kość. Ale jeżeli mnie schwytano, wypadałam z gry. Gdyby nam pozwolono, gralibymy w **omot nwaid** przez całą noc, jednak po paru godzinach rodzice wołali: „Chodź, Mende! Chodź już do domu. Czas spać!”.

## R o z d z i a ł 2

# Tata i ja

Pewnego dnia, tuż po rozpoczęciu pory deszczowej, ojciec poprosił, żebym poszła z nim na pole prosa. Proso to nasza główna uprawa. Miałam wtedy zaledwie sześć lat, ale wiedziałam, że pola są bardzo daleko, na równinie, gdzie znajdowały się bardziej żyzne ziemie.

— Idę tam na kilka dni, by zasadzić proso — wyjaśnił. — Potem muszę wrócić do wioski, więc chcę, żebyś tam została, kiedy mnie nie będzie, i odganiała ptaki, bo inaczej zjedzą wszystkie nasiona. Nie będzie mnie tylko jeden dzień, a potem po ciebie wrócę, dobrze?

— Tak! Tak! — powiedziałam, tańcząc dookoła ojca. — Bardzo bym chciała z tobą pójść, **ba**. Ale proszę, **ba**, **czy** mogę zabrać ze sobą Uran?

— Uran zgubi się w lesie, Mende, może też zostać zjedzona przez jakiegoś drapieżnika, więc lepiej, żeby została tu, w wiosce, prawda?

Mimo że musiałam zostawić Uran, byłam bardzo szczęśliwa. Po raz pierwszy ojciec zabierał mnie ze sobą. Kiedy był poza domem, tęskniłam za nim, a szczególnie brakowało mi jego opowieści. Wieczorem przed wyjazdem mama spakowała dla nas jedzenie i naczynia do gotowania. Następnego ranka o brzaszku umieściliśmy worki z zapasami na grzbiecie osła, ojciec

wskoczył na niego, podniósł mnie i posadził przed sobą. Gdy wyruszaliśmy, wszyscy machali nam na do widzenia. Czułam się bardzo ważna i wyjątkowa.

— Kiedy wracasz, Mende? — zawołała moja przyjaciółka Kehko.

— Nigdy — krzyknęłam przez ramię. — Całe życie spędzę na polach z moim tatą. Pa, pa!

— A kto się będzie wtedy z tobą bawił? — wołała za nami Kehko.

— Nikt — opowiedziałam wyniośle. — Nie jadę tam dla zabawy. Mam do zrobienia bardzo ważną pracę. Muszę bronić naszych pól przed ptakami.

Lasy i wzgórza, które mijaliśmy, były mi zupełnie nieznane, jednak ojciec miał włócznię, topór i mocny kij, więc się nie bałam. Gdy tak jechaliśmy, zagadywałam go:

— Zanim wyjechaliśmy z wioski, powiedziałaś, że zostanę na polu, kiedy ty pojedziesz. Ale co zrobię, jeżeli przyjdą duchy?

Ojciec sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

— Dobrze pytanie — rzekł w końcu. — Powiniennem być poprosić Babo, żeby też pojechał. Te lasy są pełne duchów.

— Naprawdę? No to nie zostanę tam sama. Będziesz musiał zabrać mnie ze sobą do domu.

— Jeżeli zabiorę cię do domu, kto odstraszy ptaki z pól?

— Duchy mogą odstraszyć ptaki równie dobrze jak ja. — Zaczynałam się denerwować.

— Nie jestem taki pewny, Mende — wolno powiedział tata, kręcąc głową. — Zdaje mi się, że ty zrobisz to znacznie lepiej.

Zaczęłam głośno płakać i kopać boki osła.

— Jak możesz myśleć, że zostanę tam sama z duchami! — szlochałam.

— Nie kop tak osła — poprosił ojciec, próbując powstrzymać śmiech — bo zaczniesz biec tak szybko, że pospadamy.

— Nic mnie to nie obchodzi. Wolę to, niż zostać sama z duchami.

Ojciec nie potrafił już dłużej zachować powagi.



— Drażnię się z tobą, Mende! W lasach nie ma żadnych duchów. Rozejrzyj się. Widzisz tu jakieś duchy?

Przestałam w końcu płakać. Ojciec próbował mnie rozweselić, ale nie odzywałam się do niego całe wieki. Dąsałam się.

— Nie kochasz mnie — wypaliłam w końcu. — Chcesz, żebym została całkiem sama z duchami. Jeżeli mnie dotkną albo chociaż na mnie chuchną, umrę!

— Powiedziałem ci, że to były tylko żarty.

— No to poczekaj, zobaczysz, że nie zostanę tam sama. Wracam z tobą do domu.

— Zaczekajmy i zobaczmy, dobrze? — odpowiedział ojciec, chichocząc.

Musieliśmy wyglądać na dziwną parę, krzycząc, śmiejąc się i płacząc podczas drogi przez las. Im dłużej trwała podróż, tym bardziej obcy wydawał się krajobraz. Wkrótce las wokół nas zgęstniał. Było parno i mokro. Drzewa ociekały wilgocią po niedawnych deszczach. Gdzieś między wielkimi drzewami wiły się źleby, które zmieniały się sezonowo w koryta rzek, a po deszczach na kilka dni stawały się rwącymi potokami. Przez resztę roku pozostawały suche.

W końcu dotarliśmy do jednego z wąwozów wypełnionego głęboką, wzburzoną wodą, przecinającego nam drogę. Ojciec poszedł sprawdzić, czy prąd jest wartki, i stwierdził, że nie jest to bezpieczne miejsce na przeprawę. Należało poczekać, aż woda trochę opadnie. Jakąś godzinę później uznał, że musimy spróbować. Przywiązał osła do drzewa, a potem posadził mnie sobie na ramionach. Kazał mi mocno trzymać się siebie obiema rękami. Bardzo powoli ruszył w bród przez rwący potok. W każdej ręce trzymał długi kij i kiedy krok za krokiem przeprowiał się przez wodę, używał ich, żeby badać głębokość i siłę prądu przed nami. Z wysokości jego ramion dźwięk pędzącej wody wydawał mi się ogłuszający. Ojciec brnął coraz głębiej, woda sięgała mu już do piersi, a po chwili zaczęła wirować wokół moich bosych stóp.

— Trzymaj się mocno, Mende! — krzyknął ojciec. — Trzymaj się mocno!

— Jak mam się ciebie trzymać? — odkrzyknęłam. Nie chciałam, żeby ojciec się zorientował, że tak naprawdę jestem bardzo przestraszona. — Jestem tylko małą dziewczynką. Dlaczego ty nie możesz mnie trzymać? A może chcesz, żeby woda mnie porwała?

Ojciec nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

— Chcesz, żebyśmy wpadli do rzeki?

— Oczywiście, że nie!

— No dobrze, to jak mam trzymać jednocześnie ciebie i te kije?

— Nie wiem! Ale musisz mnie mocno trzymać. Jestem mała. Czy nic cię nie obchodzi, że mogę się utopić?

— Ile mam rąk? — zawołał ojciec, ale chichotałam tak bardzo, że nie mogłam odpowiedzieć. — Ile mam rąk? — zawołał głośniejszym głosem. — Ile mam rąk? Masz zamiar mi odpowiedzieć, Mende?

— **Ore, ba**, dwie, tato — wydusiłam w końcu. — Dwie ręce!

— Tak. Dwie ręce. No więc, jak mogę jednocześnie trzymać ciebie i kije?

— Nic mnie to nie obchodzi — krzyknęłam. — Ale nie waż się mnie upuścić! Idź powoli. I nie wejdź w jakąś wielką dziurę, bo oboje utoniemy!

— Zwariowana z ciebie dziewczynka. Dlaczego trafiła mi się taka córka? Jeden wielki kłopot z tobą.

Gdy dotarliśmy na środek rzeki, śmialiśmy się tak bardzo, że zapomniałam o strachu. Kiedy wreszcie dotarliśmy na drugi brzeg, ojciec zdjął mnie z ramion i padł na ziemię, dysząc z wysiłku i śmiechu. Potem wrócił po osła.

— Nie podchodź blisko rzeki — ostrzegł mnie. — To bardzo niebezpieczne. Trzymaj się z daleka od wody.

Niedługo potem ojciec ciągnął osła za lejce po przeciwległym brzegu rzeki, ale zwierzak był niezwykle uparty i odmówił wejścia do rwącej wody. Rżał w panice „Iiih-aaa! Iiih-aaa!

liih-aaa!". Ojciec stał w wodzie, starając się wciągnąć do niej osła, a ten wyrwał się w przeciwną stronę. Z miejsca, w którym siedziałam, wyglądało to bardzo zabawnie.

— Z czego się śmiesz? — zawołał ojciec, udając zagniewanego. — Uważasz, że to śmieszne, tak? Jeżeli osioł wpadnie do wody, całe jedzenie się zamoczy, a mąka z prosa spłynie w dół rzeki. I co wtedy będziemy jedli? Umrzemy z głodu! Albo będziemy musieli wrócić do wsi i zrobimy z siebie pośmiewisko!

W końcu, klnąc i ciągnąc z całej siły, ojciec przeprowił się z osłem na drugi brzeg. Potem, dysząc, całkiem przemoczony, usiadł i mocno mnie uściskał. Ta pierwsza rzeka była najtrudniejsza do przejścia, wciąż jeszcze znajdowaliśmy się wysoko wśród wzgórz, więc woda płynęła głęboka i rwąca. W miarę jak schodziliśmy ku równinom, było coraz łatwiej. Późnym popołudniem dotarliśmy do skraju lasu. Przed nami, jak okiem sięgnąć, rozciągała się rozległa bezdrzewna równina. Przywykłam do gór i w tej bezkresnej pustce czułam się osamotniona i bezbronna.

— Nie podoba mi się tutaj — powiedziałam do ojca. — Jest płasko i pusto. Zgubimy się.

— Wiem, mnie też nie za bardzo się tu podoba — odparł. — Ale *ta* jest żyzna ziemia.

Na skraju swoich pól ojciec zbudował niewielki prostokątny szałas z suchych łodyg prosa. Wewnątrz znajdowało się palenisko z czterema wielkimi kamieniami, na których można było postawić garnek. Po przeciwnej stronie stały łóżka z rafii. W głębi, daleko od drzwi, znajdowało się miejsce wyścielone słomą z prosa, na którym siadywało się wieczorami i opowiadało różne historie.

Wnieśliśmy do chaty wszystkie nasze rzeczy i rozgościliśmy się. Ojciec rozpałił ogień, żebyśmy ogrzali się po długiej, mokrej podróży i zagotowali słodką herbatę. Zdjął koc, który nosił na ramionach, i powiesił go pod dachem, by wysechł. Miałam na sobie jedynie majtki, więc zdjęłam je i także

powiesiłam nad ogniem. Kiedy zjedliśmy trochę z tego, co przygotowała dla nas *umi*, byliśmy gotowi do snu. Ojciec ułożył się na jednym z niewielkich łóżek przy ogniu, a ja wskoczyłam obok niego. Podróż była wyczerpująca i szybko zasnęliśmy mocnym snem.

Następnego ranka ojciec obudził mnie śniadaniem z kleiku z prosa na mleku. Potem wyszliśmy w pole. Tata rozpoczął od kopania w ziemi dziur za pomocą długiego kija z metalowym zakończeniem. Szłam w ślad za nim, wrzucając do każdej dziury kilka ziaren i przydeptując ziemię bosą stopą. Była mokra po deszczu i bardzo miękka. Ojciec śpiewał podczas pracy. Na lewo i prawo widziałam innych ludzi z plemienia Nuba, którzy robili to samo, co my. Rankiem trzeciego dnia ojciec przygotował śniadanie, a kiedy zjedliśmy, powiedział łagodnie:

— Dzisiaj muszę wracać do wsi.

— Nie zostanę tu sama, bez ciebie — odparłam.

— Owszem, zostaniesz — stwierdził spokojnie. — Zostaniesz *ta*, tak jak to uzgodniliśmy, żeby trzymać ptaki z daleka od pól.

— Za bardzo się boję — powiedziałam płacząco. — Nie mogę zostać tu sama.

— Spójrz na mnie, Mende — nakazał surowo. — Wiesz, że przywozłem cię *ta* dokładnie po to, żeby...

Zanim zdążył dokończyć, weszłam mu w słowo:

— Ale zanim tu przyjechaliśmy, nie mówiłeś mi o dzikich zwierzętach i duchach, prawda? O tym powiedziałeś mi po drodze.

— Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem. — Ojciec mówił poważnie, co jak na niego było niezwykłe. — Wyjaśniłem ci, dlaczego chciałem, żebyś *ta* ze mną przyjechała. Będiesz sama tylko przez jeden dzień. Pojutrze wrócę. Tylko się z tobą droczyłem na temat duchów i dzikich zwierząt, przecież na pewno o tym wiesz.

— Wiem — powiedziała, wybuchając płaczem — ale nie uważam, żeby żarty na temat dzikich zwierząt i duchów były zabawne.

— Więc co chcesz, żebym zrobił? Nie ma mowy, żebyś wracała ze mną. Musisz tu zostać i uważać na ptaki. Kiedy słońce zajdzie, możesz pobiec do u wuja Jerongira. Jego pola są tuż obok.

Byłam na skraju hysterii.

— Nie będę pilnowała żadnych głupich ptaków — jęczałam. — Pozwolę im zjeść wszystkie nasiona. Sam zobaczysz, że tak zrobię.

— Dobrze — odparł ojciec. — Pozwolisz ptakom zjeść wszystkie nasiona i zobaczysz, co będzie, kiedy wrócę.

Z tymi słowami wskoczył na osła, szturchnął go w boki i ruszył kłusem w stronę lasu. Zaczęłam za nim biec, wołając przez łyzy ile sił w płucach:

— **Ba! Ba!** Nie zostawiaj mnie. Zabierz mnie ze sobą. Zabierz mnie do wsi. Nie możesz mnie tu zostawić. Umrę!

Ojciec naprawdę się teraz rozgniewał.

— Wracaj, Mende! — krzyknął. — No już! Wracaj.

Ale ja nie przestałam za nim biec. Gdy kopnął osła mocniej i ten ruszył szybciej, i ja przyspieszyłam. W końcu ojciec się zatrzymał. Gdy go dogoniłam, nachylił się i mnie objął. Przez sekundę sądziłam, że zabierze mnie ze sobą, ale nagle zawrócił osła i pokłusował z powrotem w stronę szałasów.

— Nie myśl, że wracasz do wsi, bo nie wracasz — powiedział surowo. — Wracasz pilnować pól.

Przez całą drogę powrotną płakałam i kopałam ojca w łydki, a on najwyraźniej tracił cierpliwość. Marnował cenny czas, miał przed sobą długą podróż. Gdy dotarliśmy na miejsce, usiadł pod drzewem i wziął mnie na kolana.

— Mende — powiedział, głaszcząc mnie po głowie. — Posłuchaj, proszę. Słyszałaś, co powiedziałem. Jeżeli ze mną wrócisz, ptaki wygrzebią ziarno i będziemy musieli zrobić wszystko od nowa. W ten sposób nasze proso nie zdąży wyrosnąć na czas. Czy naprawdę tego chcesz?

— Nie — odparłam cicho, spuszczać głowę.  
— Więc musisz tu zostać i być dzielna. Wróć jutro, tak jak obiecałam.

— Dobrze, *ba*.

— Tym razem uśmiechnij się do mnie na pożegnanie — powiedział, szczerząc zęby. Kiedy wsiadł na osła, przestałam płakać i usiłowałam się uśmiechnąć.

— Do widzenia, do zobaczenia jutro — zawołał, kłusując ścieżką.

Gdy zniknął za zakrętem, nagle poczułam się bardzo samotna i bardzo przestraszona, ale wiedziałam, że nie mogę znów za nim pobiec. Siedziałam więc pod drzewem, rzucając w ptaki kamieniami.

— Idźcie sobie, głupie ptaki — wołałam. — Idźcie sobie. Idźcie sobie! — Jednak przez cały dzień wyobrażałam sobie, że słyszę zwierzęta poruszające się w cieniach w pobliskim lesie.

O zachodzie słońca popędziłam na pole wuja Jerongira. Biegłam tak szybko, że moje stopy prawie nie dotykały ziemi. Wuj dał mi trochę koziego mleka i kleiku z prosa. Byłam taka zmęczona, że od razu poszłam spać. Następnego dnia o brzasku wyruszyłam na pole. Cały ranek odstraszałam ptaki, ale jednym okiem zerkałam na ścieżkę, wypatrując taty. Czekałam i czekałam, ale nie przyjechał. Wczesnym popołudniem zauważyłam kobietę z naszej wioski idącą ścieżką w moją stronę.

— Dlaczego mój ojciec jeszcze nie wrócił? — zawołałam do niej, bliska paniki. — Obiecał, że wróci dzisiaj rano.

— Och, kazał ci powiedzieć, że nie da rady — odparła — więc wróci tu jutro.

Pierwsza moja myśl była taka, że ojciec mnie oszukał, jednak po chwili zdałam sobie sprawę, że na pewno wydarzyło się coś, co nie pozwoliło mu przyjechać. Nie miałam wyboru, musiałam na niego czekać, więc nadal rzucałam kamienie i krzyczałam na ptaki. Wczesnym popołudniem usłyszałam okropne wycie dobiegające z lasu. „Auuuuu. Auuuuu”, niosło się echem między drzewami. A potem jeszcze raz! Poczułam dreszcz wzdłuż

kręgosłupa. Znałam ten dźwięk bardzo dobrze. Było to wycie dzikiego psa, zwierzęcia o przerażającej reputacji. Dzikie psy polowały w stadach i atakowały wszystko, co się rusza, szczególnie zaś gustowały w małych dzieciach Nuba. Kręciłam głową na wszystkie strony, próbując stwierdzić, skąd dochodzi wycie. Trzęsłam się ze strachu.

Nagle dostrzegłam między drzewami ruch. Jak zahipnotyzowana przyglądałam się, jak dziki pies przeskakuje przez płot otaczający pole. Wiedziałam, że reszta stada jest gdzieś w pobliżu. Bałam się, że jeśli wykonam jakiś ruch, usłyszy mnie i się na mnie rzuci, ale wiedziałam też, że jeśli zostanę na miejscu, w końcu mnie wyczuje. Jedyne, co potrafiłam wymyślić, to ucieczka w kierunku wielkiego drzewa na środku pola.

Gdy wreszcie dotarłam do drzewa, wskoczyłam na najniższe gałęzie i szybko wspięłam się na wierzchołek. Tyle czasu spędziłam na chodzeniu po drzewach w wiosce, że przyszło mi to bez trudu, ale czułam, że nogi trzęsą mi się w sposób zupełnie niekontrolowany. Wciąż bałam się, że psy mnie usłyszały albo zobaczyły. Wiedziałam, że nie potrafią wspinać się na drzewa, jednak wyobraziłam sobie, jak czekają, aż zasną i spadnę.

Odwrociłam się i zobaczyłam dzikiego psa skradającego się powoli przez pole w moją stronę, z brzuchem tuż przy ziemi. Gdy był już całkiem blisko, nagle skoczył. Usłyszałam ptaka wydającego przyprawiający o mdłości, skrzekliwy dźwięk, gdy pies zatopił zęby w jego szyi, przytrzymując go łapami. To był duży *shengokor*, leśny kurczak. Pies przeskoczył przez płot i zniknął w lesie z ptakiem w pysku. To mogłam być ja, pomyślałam.

Minęło wiele czasu, zanim zebrałam się na odwagę i zeszałam z drzewa. Kiedy to wreszcie zrobiłam, najszybciej, jak potrafiłam, pobiegłam do wuja. Nic mnie już nie obchodziło, czy ptaki zjedzą wszystkie nasiona, które zasadziliśmy. Gdy zauważyłam wuja Jerongira, rzuciłam mu się na szyję. Nie płakałam, bo to był wujek Jerongir, nie tata, ale zauważył, że jestem zdenerwowana.

— Co się stało, Mende? — zapytał. — Co się wydarzyło?

— Wujku Jerongirze, przysły dzikie zwierzęta! Przysły dzikie zwierzęta.

— Nie przysły po ciebie, Mende. Przysły po ptaki!

— Ale wujku, tak się przestraszyłam, że wspięłam się na drzewo!

Wuj Jerongir wybuchnął śmiechem. Kiedy się trochę uspokoił, zerknął na cień rzucany na ziemię przez pobliskie drzewo. Obserwując położenie cieni, określaliśmy czas.

— Robi się późno — stwierdził wuj, chichocząc. — Nie ma potrzeby, żebyś teraz wracała na pole. Wszystkie ptaki i tak poszły już spać. Bardzo się przestraszyłaś, hę? Zostań tutaj, a jutro rano wrócisz do siebie.

Weszłam do chaty wuja Jerongira i wypłam trochę koziego mleka, ale byłam zbyt zdenerwowana, żeby jeść, więc poszłam prosto do łóżka. Przez całą noc miałam koszmary. Śniły mi się dzikie zwierzęta atakujące mnie w łóżku. Następnego ranka wuj Jerongir poszedł ze mną na pole ojca, żeby sprawdzić, czy nic mi nie grozi. Gdy odszedł, spędziłam godzinę, pilnując ptaków, wypatrując dzikich psów i ojca. Nagle z lasu dobiegło powitalne wołanie:

— Mende! Mende! Mende! — To był ojciec. Prowadził ścieżką osła obładowanego zapasami.

Poczułam ogromną ulgę. Już miałam podbiec i uściskać go, kiedy przypomniałam sobie, jaka jestem na niego zła. Zatrzymałam się więc i spuściłam głowę.

— Nie mam zamiaru powiedzieć ci „dzień dobry”! — zawołałam. — Mówiłam, że przyjdą dzikie zwierzęta! — Wybuchnęłam płaczem. — Mówiłam, że przyjdą dzikie zwierzęta i będą chciały mnie zjeść. Gdybym nie wspięła się na drzewo, już byś mnie tu nie znalazł.

— Nie wierzę ci, Mende. Nie było żadnych dzikich zwierząt. Mówisz to tylko po to, żebym czuł się winny, że nie wróciłem wczoraj.



— Jeżeli mi nie wierzysz, idź i spytaj wuja Jerongira. On wie, że mówię prawdę. Albo chodź ze mną, to pokażę ci krew na ziemi.

Teraz ojciec wyglądał na naprawdę zamartwionego.

— Czyją krew? — zapytał.

— Moją — powiedziałam, wskazując na swoje lewe ramię. — Ten zwierzak mnie ugryzł, tutaj, w rękę.

Owinęłam się kocem, bo wciąż jeszcze było dość chłodno. Ojciec zostawił osła i podbiegł, by obejrzeć moje ramię, ale wyrwałam mu się, udając, że mnie to zabołało. Zaczęłam biec przez pole, a ojciec za mną. Gdy obejrzałam się za siebie, zauważyłam, że zapomniał przywiązać osła, który właśnie oddalał się w stronę lasu. Ojciec złapał mnie, kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym dziki pies zabił ptaka. Chwytał mnie za ramiona i odwrócił, żebym spojrzała mu w twarz.

— Mende, przestań się ze mną droczyć i powiedz, co się stało. Twoja mama i wszyscy inni też przyszli się z tobą zobaczyć, popatrz.

Spojrzałam tam, gdzie wskazywał, i zobaczyłam całą naszą rodzinę idącą ścieżką w moją stronę. Byłam szczęśliwa, że ich widzę, ale nie zrezygnowałam jeszcze z dokończenia żartu.

— Popatrz, tam jest ta krew. — Wskazałam na ziemię. Była tam mała kałuża zaschniętej krwi i wielki pęk piór. Nie wpadłam na to, że pióra mnie zdradzą. Ojciec śmiał się i śmiał, aż łzy strumieniem pociekły mu po twarzy. W końcu udało mu się złapać oddech.

— No więc, Mende, odkąd to jesteś ptakiem? — zapytał. — No, dalej, pokaż mi swoje piórka! Chyba pofruniesz z powrotem do domu, do wsi, prawda?

Uściskaliśmy się na zgodę.

— Nabrałam cię, bo nie wróciłeś wczoraj — powiedziałam.

— Przepraszam, ale miałem ważne sprawy do załatwienia. A teraz idź i przywitaj się z mamą, braćmi i siostrami. Przeszli taki kawał specjalnie po to, żeby się z tobą zobaczyć.

Tego wieczoru ojciec ustrzelił z łuku *shengokora*. Oskubaliś-

my go i wypatroszyliśmy, a mięso ugotowaliśmy. Urządziliśmy sobie wielką rodzinną ucztę. Zostaliśmy wówczas na polach tydzień albo dłużej. Ojciec zabił także kilka królików. Duszone mięso królicze było chyba moją najbardziej ulubioną potrawą. Jednak począwszy od tamtej pory, za każdym razem, kiedy ojciec prosił, żebym poszła z nim na pola, z początku odmawiałam. Mówiłam, że chce mnie tam zostawić, żeby zjadły mnie dzikie zwierzęta. A potem śmialiśmy się bez końca i wspominaliśmy moją przygodę z dzikimi psami.

## R o z d z i a ł 3

# Wesela i pogrzeby

Niedługo po wydarzeniach na polu czekała mnie kolejna niespodzianka. Pewnego dnia mężczyzna imieniem Musa przyszedł porozmawiać z ojcem o poślubieniu mojej siostry Kunyant. Był z nią zaręczony niemal od dnia jej narodzin, ale nigdy wcześniej się nie spotkali. Wszyscy mężczyźni zniknęli w *holua*, żeby omówić szczegóły ślubu. Mama przygotowała coś do jedzenia i Babo im to zaniósł. Po rozmowie trwającej jakieś trzy godziny, Musa odszedł, a ojciec wrócił przedyskutować wszystko z mamą.

— Musa przyszedł, żeby ułożyć się w sprawie ślubu z Kunyant — oznajmił.

— No i co powiedział?

— Że jego zdaniem nadeszła właściwa pora na ślub. Powiedział, ile krów i kóz nam da, i uzgodniliśmy uczciwą cenę.

W naszym plemienu pan młody musiał wnieść do rodziny panny młodej posag — zwykle pewną liczbę krów oraz kóz i worków prosa. Była to „cena za pannę młodą”, kwota, którą płaciło się rodzicom, żeby poślubić ich córkę.

Gdy nadszedł dzień ślubu Kunyant i Musy, postanowiłam, że będę się wszystkiemu bardzo uważnie przyglądała, by jak najwięcej się nauczyć. Przecież pewnego dnia ja też wyjdę za mąż. Zaproszona została cała wioska. Ludzie zaczęli przy-

chodzić przed południem. Na końcu zjawiła się rodzina pana młodego, niosąc na głowach wielkie misy daktyli i worki z cukrem — podarunki dla naszej rodziny. Przynieśli też ślubny strój dla Kunyant, piękną niebiesko-żółtą szatę. Potem wszystkie dziewczęta zgromadziły się w jednej chacie, żeby przygotować Kunyant do ślubu. Próbowałam wejść razem z nimi, ale zamknęły mi drzwi przed nosem, mówiąc, że jestem za młoda, żeby się do nich przyłączyć.

Przyjaciółki Kunyant przez kilka godzin szykowały ją do uroczystości i kiedy wyszła z chaty, wyglądała prześlicznie. Całe jej ciało lśniło od oleju. Dziewczęta usunęły całe owłosienie z jej nóg i spod pach, oczy i brwi miała pomalowane na czarno. Ubrana była w tunikę i spódniczkę z paciorków, miała też paciorki wokół nadgarstków i kostek nóg. Z zachwytem przyglądałam się, jak idzie dołączyć do męża na łożku, które zostało wystawione na zewnątrz i użyte jako ślubna ława. Pamiętam, że pomyślałam: Ta piękna kobieta nie może chyba być moją siostrą Kunyant, prawda?

Przyszedł mężczyzna, który grał na *ondo*. Dziewczęta i chłopcy zaczęli śpiewać i klaskać, stojąc w kręgu wokół młodej pary. Wszyscy wiwatowali, gdy Kunyant i Musa tańczyli razem, uśmiechając się do siebie. Przyjęcie trwało cały dzień i całą noc, ale późnym wieczorem Kunyant włożyła piękną niebiesko-żółtą ślubną szatę i razem z Musą udali się na spoczynek do swojej chaty. Jakiś czas później musiałam zasnąć, bo ojciec zaniósł mnie do łożka.

Po ślubie Kunyant i jej mąż zamieszkali z nami. W naszym plemieniu młodzi małżonkowie przez pierwszy rok mieszkają z rodziną panny młodej. Kilka tygodni przed ślubem Musa zjawił się na naszym dziedzińcu, żeby sprawdzić, gdzie może wybudować nową glinianą chatę dla siebie i żony. Kilka dni później wrócił z gromadą przyjaciół. Najpierw postawili okrągły drewniany szkielet, powiązany paskami kory. Następnie zbudowali stożkowatą ramę na dach i umieścili ją u góry. Do pokrycia ścian i dachu użyli suchych łodyg prosa. Zwykle

obkładano chaty gliną lub błotem, ale oni nie zawracali sobie tym głowy, ponieważ ta miała być używana tylko przez rok.

Po ślubie Kunyant ojciec przez miesiąc spał w domu dla mężczyzn, ponieważ nasz dom pełen był przyjaciółek mojej siostry. Przychodziły, żeby pomagać w gotowaniu, sprzątaniu, praniu i czerpaniu wody dla młodej pary. Dzień po ślubie spałam do późna, ale zbudziły mnie głośne okrzyki na zewnątrz: *Aye, aye, aye, aye!* Z początku byłam trochę przestraszona, nie wiedziałam, co się dzieje. Ponieważ ojca nie było, nie mogłam wskoczyć do jego łóżka, żeby tam znaleźć bezpieczne schronienie. Okrzyki stawały się coraz głośniejsze.

— *Umi* — zapytałam nerwowo — co to za hałas?

— Twoje ciotki robią *Mil* dla Kunyant — wyjaśniła z uśmiechem mama. — Pewnego dnia, kiedy wyjdiesz za mąż, zrobią to też dla ciebie. — Później miałam się dowiedzieć, że zgodnie z tradycją naszego plemienia ja także byłam zaręczona od urodzenia. Moim narzeczonym został mężczyzna, którego nigdy nie widziałam, miał na imię Juba i pochodził z odległej wioski.

Już miałam zadać kolejne pytania, gdy mama kazała mi pójść ze sobą i zobaczyć wszystko na własne oczy. Przy jednej ze ścian chaty Musy i Kunyant zebrał się tłum kobiet. Nuciły i wskazywały na prześcieradło wywieszzone na płocie. Mama spędziła poprzedni tydzień na tkaniu dla Kunyant i Musy pięknego nowego materaca z rafii. W noc przed ślubem przykryła ich ślubne łoże specjalnym białym ślubnym prześcieradłem. Teraz zostało ono rozwieszzone na płocie. Widniała na nim duża, czerwona plama, która wyglądała jak krew. Co to może znaczyć? Z przerażeniem pomyślałam, że może Kunyant umarła w nocy, ale rozejrzałam się dookoła i wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi, więc chyba nie mogła umrzeć, prawda?

— Chodź, Mende — powiedziała mama. — Chodź i zobacz. — Wzięła mnie za rękę i podprowadziła bliżej do płotu. — Przyjrzyj się dobrze, a kiedy wyjdiesz za mąż, dowiesz się, co to jest. Ciotki będą szczęśliwe, kiedy znajdą to i.a. twoich prześcieradłach.

Naprawdę martwiłam się o Kunyant i bardzo chciałam ją zobaczyć, ale drzwi do chaty pozostawały zamknięte. Mama powiedziała mi, że nowożeńcy są w środku i nie wolno im przeszkadzać. W miarę upływu dnia byłam coraz bardziej zaniepokojona.

— Boję się, że Kunyant umarła — powiedziałam w końcu do mamy. — Czy nie mogę się z nią zobaczyć? Proszę.

— Nie, nie możesz. To nie jest dozwolone — oznajmiła mama.

— Dlaczego nie mogę jej zobaczyć, *umil* — błagałam, zaczynając płakać. — To moja siostra.

— Kiedy Kunyant wyjdzie, wtedy ją zobaczysz — obiecała mama.

Tuż przed zachodem słońca zauważyłam, że Musa wychodzi z chaty i idzie do domu dla mężczyzn. Mama ruszyła w stronę chaty Kunyant, a ja potruchtałam za nią. Nikt nie mógł mnie powstrzymać przed zobaczeniem się ze starszą siostrą. Mama nachyliła się i cicho zapytała przez drzwi:

— Kunyant, jak się czujesz? Wyjdź na *shal* i porozmawiaj z nami.

Odpowiedzi nie było. Nie mogłam dłużej tego znieść. Drzwi do chaty były lekko uchylone, więc szybko jak błyskawica prześlizgnęłam się obok mamy i wpadłam do środka. Mama próbowała mnie złapać, ale byłam szybsza. Rozejrzałam się i zobaczyłam Kunyant leżącą na boku w łóżku. Płakała cicho. Miała zaledwie trzynaście lat i była o wiele za młoda, żeby wychodzić za męża. Podbiegłam do łóżka. Kunyant miała na sobie *gurbab*, kolorową chustę wiążaną na jednym ramieniu. Pociągnęłam za cienką bawełnę.

— Kunyant, Kunyant, nic ci nie jest? Wyjdź i porozmawiaj z nami na podwórzu.

— Nie mogę, Mende. Nie mogę się ruszyć — szlochała cicho. — Usiądź tu obok i potrzymaj mnie za rękę.

Nie wiedziałam, co się stało Kunyant, więc zawołałam mamę. Kiedy próbowałyśmy pomóc jej usiąść na łóżku, okazało się to

dla niej zbyt bolesne. Ze wszystkich sił starałyśmy się ją pocieszyć, lecz nie przestawała płakać. Byłam zaszokowana. Dzień po ślubie, kiedy moja starsza siostra powinna być szczęśliwa, ona szlocha i cierpi męczarnie.

— Czy to boli? — zapytała mama, przytulając ją. — Proszę, przestań płakać. Po tygodniu czy dwóch nie będziesz już czuła bólu. Nic ci nie będzie.

Przez cały pierwszy tydzień Kunyant nie opuszczała chaty. Znosiłam jej naszykowane przez mamę jedzenie. Najlepsza przyjaciółka Kunyant, Mardiah, została z nią przez cały ten tydzień. Mardiah była w tym samym wieku co Kunyant, i też niedługo miała wyjść za mąż. Kunyant większość czasu spędzała, rozmawiając przyciszonym głosem z Mardiah. Z początku próbowałam podsłuchiwać, ale Mardiah zbesztła mnie i przepędziła.

— Idź posiedzieć z mamą, żebyśmy mogły porozmawiać — nakrzyczyła na mnie.

— A czyja to siostra? — odgryzłam się. — Moja siostra właśnie wyszła za mąż czy twoja? To moja siostra i chcę z nią być. /

Mardiah zaczęła się śmiać i zauważyłam, że nawet Kunyant się uśmiecha.

— Mende, nic nie rozumiesz — powiedziała Mardiah. — Teraz idź i pobaw się z dziećmi w twoim wieku.

Kiedy mama zorientowała się, co się dzieje, zawołała mnie.

— O co chodzi tym razem? — zapytała.

— Mardiah kazała mi iść i się bawić, ale ja chcę zostać z moją siostrą.

Mama wzięła mnie na kolana.

— Wyjrzyj na dwór — mówiła, głaszcząc mnie po głowie. — Wszyscy przyjaciele za tobą tęsknią. Mardiah ma rację, idź się z nimi bawić.

Poszłam więc się bawić, ale wciąż nie rozumiałam, co się stało Kunyant i skąd się wzięła krew. Ktoś musiał ją skrzywdzić. Miałam pewność, że tym kimś był jej mąż, Musa. To zupełnie

zbiło mnie z tropu, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby cokolwiek mi wyjaśnić.

Po mniej więcej pięciu tygodniach Kunyant znów chodziła po wodę i na pola. Byłam bardzo szczęśliwa, że wygląda lepiej. Wydawało się, że cieszy ją bycie mężatką. Z czasem zapomniałam o wszystkich moich obawach związanych z zakrwawionymi prześcieradłami i całą resztę. Kilka miesięcy później z zaskoczeniem zauważyłam, że brzuch Kunyant zaczyna robić się duży i okrągły. Po doświadczeniach z Uran miałam pojęcie, co się może szykować, ale poszłam zapytać mamę, tak dla pewności.

— Kunyant ma w brzuszku dziecko — wyjaśniła mama.

— Tak jak Uran, kiedy miała kociaki?

— Coś w tym rodzaju. Ale prawdopodobnie będzie miała tylko jedno dziecko. Nie czworo jak Uran.

W ciągu kilku następnych miesięcy Kunyant sprawiała wrażenie szczęśliwej i dumnej z tego, że jest w ciąży. Pozwalała mi kłaść głowę na swoim dużym okrągłym brzuchu. Jednak czasami za nic nie chciała wyjść z chaty.

— Nie chcę, żeby **ba** widział mnie z takim wielkim brzuchem — mówiła. — Za bardzo się wstydę.

Pewnego dnia zaczęła odczuwać bolesne skurcze. Mama powiedziała, że nadszedł czas porodu. Do chaty przyszły ciotki, żeby jej pomóc. Wszyscy mężczyźni, także Musa, zostali wypędzeni do domu dla mężczyzn. Mnie wysłano na dwór, żebym się pobawiła, ale nie miałam na to ochoty, siedziałam więc przed chatą Kunyant. Gdy nadszedł wieczór, słyszałam jej rytmiczne krzyki i głosy ciotek, które przynaglały ją żeby parła i była silna. Gdy tylko usłyszałam płacz dziecka, zerwałam się i popędziłam do domu dla mężczyzn.

— Dziecko się urodziło, Musa! Dziecko się urodziło! — zawołałam.

— To dziewczynka czy chłopiec, Mende? — zapytał Musa, wybiegając na zewnątrz.

• — Nie wiem. Usłyszałam tylko płacz.



Musa i ja pobiegliśmy do ich chaty. Zobaczyłam dziecko. Było takie maleńkie i takie piękne. Osłabiona Kunyant wzięła je w ramiona, jednocześnie śmiejąc się i płacząc.

— Moje maleństwo. Moje maleństwo. Moja mała dziewczynka — rozpłakała się. Dziecko miało zamknięte oczka. Kunyant ucałowała je i przytuliła, a potem pogładziła maleńką główkę z miękkimi włoskami. Gdy podała maleństwo Musie, on podniósł je, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

— To moje pierwsze dziecko — oznajmił z dumą. — Oby było ich o wiele, wiele więcej.

Potem moja mama ukołysała dziecko na kolanach, wzięła trochę oleju sezamowego, który zrobiła tego ranka, i natłuściła pępek maleństwa oraz pozostałości pępownicy. Gdy obserwowałam to nowe życie rozkwitające w chacie Kunyant i Musy, byłam bardzo szczęśliwa.

— Będę je wszędzie ze sobą zabierała — postanowiłam. — Jest taka śliczna.

— Nie ma mowy. Przewrócisz się — powiedziała Kunyant ze słabym uśmiechem. — Więc siedź cicho. Nigdzie nie zabierzesz mojego dziecka.

Jednak kilka chwil później zauważyłam, że mama wygląda na zmartwioną. Podała dziecko Kunyant, żeby je nakarmiła, ale maleństwo nie chciało ssać piersi. Mijały minuty, a niemowlę oddychało coraz słabiej i słabiej. Parę chwil później nie żyło. Biedna Kunyant szlochała, a ja płakałam razem z nią. Musa wyglądał na zrozpaczonego, w świetle ognia widziałam, jak błyszczą jego łzy. Jednak starsze kobiety nie wydawały się specjalnie zmartwione. Myślę, że wiele razy widziały własne dzieci umierające tuż po urodzeniu, więc do tego przywykły.

— Nie martw się, Kunyant. Nie płacz — mówiła mama, starając się ją pocieszyć. — Twoje dziecko odeszło, żeby być ptakiem w raju. Niedługo będziesz miała następne. *Insz Allah*, jeśli taka jest wola Allaha.

Mama wzięła ciało dziecka, umyła, owinęła w maleńki biały

całun pogrzebowy i zabrała. Kiedy maleństwo zostało pochowane, szybko o nim zapomniano. Nie było ceremonii pogrzebowej i wydawało się, jakby ta dziewczynka nigdy nie istniała.

— Dlaczego dziecko musiało umrzeć? — zapytałam mamę smutnym głosem.

— Allah zdecydował, że powinna się urodzić i On zdecydował, że powinna umrzeć — odpowiedziała spokojnie mama. — Taka jest Jego wola.

## Arabska szkoła

Wkrótce po śmierci dziecka Kunyant zaczęłam chodzić do szkoły. Miałam wówczas jakieś osiem lat. Pierwszy dzień w szkole był dla mnie przygodą. Musiałam włożyć szkolny mundurek: zieloną sukienkę, którą mężczyzna na wiejskim targu uszył na maszynie do szycia, i skórzane sandały, które zrobił dla mnie ojciec. Tak więc poszłam do szkoły, mając na sobie pierwszą w życiu parę butów i pierwszą w życiu sukienkę. Ponieważ do tej pory biegałam niemal nago, było to wielkie przeżycie. Byłam bardzo dumna z eleganckiej zielonej sukienki i sandałów.

Dla mojej najlepszej przyjaciółki Kehko także był to pierwszy dzień w szkole. W nocy nie mogliśmy spać, takie byłyśmy podniecone. Dojście do szkoły zajmowało nam około godziny, zabierałyśmy ze sobą lunch. Tego pierwszego dnia miałam kleik z prosa na mleku. Kiedy indziej mama dawała mi kukurydzę, jogurt i orzechy. Przez pierwszy rok szkoła zaczynała się o ósmej, a kończyła tuż po dwunastej, mogłyśmy więc całe popołudnie poświęcić na wypełnianie naszych zwykłych obowiązków — przynoszenie wody i drewna na opał. W drugim roku miałyśmy spędzać w szkole cały dzień, więc po wodę i drewno musiał chodzić ojciec. Kiedy wracałam do domu, pomagałam tylko przy sprzątaniu i przygotowywaniu kolacji.

Szkoła składała się z sześciu budynków o solidnych kamiennych ścianach i krytych strzechą dachach. Były to pierwsze budynki, których nie zrobiono z gliny, jakie widziałam w życiu. Nauczyciele także mieli domy z kamienia, z oddzielnymi pokojami i kuchnią. W górach Nuba nie było elektryczności, więc w nocy używali lamp naftowych. Szkołę otaczał wysoki drewniany płot, był tam też szeroki pas trawy. Jedyne, czego uczono nas w tym pierwszym tygodniu, to jak utrzymać w szkole czystość i porządek.

W klasach znajdowało się bardzo podstawowe wyposażenie — drewniane biurka i długie ławy. Nauczyciel miał tablicę i kredę, ale w oknach nie było szyb. Kiedy było gorąco, a zwykle było, jedyną wentylację stanowił powiew z zewnątrz. No i musieliśmy dzielić się książkami, w większości bardzo starymi. Z tyłu szkoły znajdowało się coś w rodzaju toalety — dół, a nad nim drewniana pokrywa z dziurą. Toaleta pachniała tak brzydko, że większość dziewczynek nie używała jej, o ile nie była do tego zmuszona. Latała tam też masa much i innych robaków. Wstrzymywałyśmy się aż do pory lunchu, a potem pędziłyśmy ulżyć sobie w lesie.

Nie uczyli nas ludzie z plemienia Nuba, tylko Arabowie. Nauczycielka arabskiego miała na imię Fatima. Była bardzo wysoka i nosiła piękną białą szatę oraz chustę. Nauczycielka Koranu nazywała się Miriam i wyglądała na półkwi Arabkę. Arab Amruba prowadził gimnastykę na szkolnym podwórzu. Dyrektorem był mężczyzna imieniem Osman. Bardzo dbał o szkołę. Jedno z jego dzieci, dziewczynka, Taysir, była w mojej klasie.

Zaczęliśmy od nauczania się na pamięć wszystkich dwudziestu ośmiu liter arabskiego alfabetu. Potem przyszła pora na liczenie po arabsku, a następnie przystąpiliśmy do czytania Koranu, świętej księgi islamu. Czasami nauczyciele kazali nam przynosić do szkoły siekiery i wysyłano nas do lasu, żebyśmy narabiali drewna. Potrzebne było do budowy nowego płotu lub do naprawy dachu. Wszyscy cieszyliśmy się z dnia

przerwy w nauce, wiedzieliśmy też, że jeśli nie utrzymamy płotów w dobrym stanie, krowy zjedzą całą trawę, a kozy wszystkie szkolne książki. Bo kozy jedzą, co popadnie.

Szkołę finansował rząd, nauka nie była więc płatna, jednak nauczyciele często prosili nas o pieniądze, mówiąc, że potrzebują ich na zakup piór, książek albo kredy. Na ogół nie wiedzieliśmy, na co je przeznaczają. Jeżeli nie daliśmy im pieniędzy, bili nas i odsyłali do domu. Czasami nie mogłam wrócić do szkoły przez tydzień albo dłużej, ponieważ przykazano, bym nie wracała bez pieniędzy.

— Ci nauczyciele ciągle proszą o pieniądze — mawiał ojciec, kręcąc głową. — Na co je wydają?

Chciał jednak, żebyśmy dobrze radzili sobie w szkole, więc wypłatał liny z kory baobabu, żeby potem sprzedać je na wioskowym targu. Jednego roku odcinał korę z jednej strony baobabu, a w następnym roku ze strony przeciwnej, żeby drzewo nie obumarło. Jeżeli tydzień był udany, ojcu udawało się zrobić dwie liny i sprzedawał je za równowartość jednego dolara w lokalnej walucie. Mogłam więc wrócić do szkoły i dać nauczycielom pieniądze, których żądali. Jeżeli zostawało jeszcze trochę pieniędzy, kupowaliśmy cebulę, cukier, olej i herbatę.

Pod koniec pierwszego roku zdawaliśmy dwa egzaminy. Ku mojemu zdumieniu, na jednym z nich moja przyjaciółka Kehko zajęła pierwsze, a ja drugie miejsce w klasie. Pokonałam nawet Taysir, córkę dyrektora. Jej rodzina pochodziła z El Obeid, dużego miasta leżącego daleko od gór Nuba. Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem taka mała wieśniaczka jak ja mogła ją pokonać. Byłam tylko córką biednego rolnika. Po egzaminach odbyło się specjalne zebranie. Czułam się taka dumna, gdy szłam odebrać wyniki egzaminów, które pokazywały, że zajęłam drugie miejsce w naszym roczniku.

Kiedy zniosłam świadectwo rodzicom, nie potrafili go odczytać, ponieważ byli niepiśmienni. Musiałam im je przeczytać i przetłumaczyć z arabskiego na język nuba. Na końcu moja nauczycielka napisała: „Jesteś bardzo mądrą dziewczynką, niech

Allah pomoże ci zrealizować twoje marzenia". Dodała też wiadomość dla ojca: „Ma pan bardzo inteligentną córkę. Musi ją pan zostawić w szkole i zachęcać do nauki”.

Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że istniała też zła strona nauki. Podczas pierwszego tygodnia w szkole byłam zaszokowana, kiedy nauczycielka powiedziała nam: „Musicie przestać mówić w języku nuba. Będziecie uczyli się arabskiego. Nuba to bardzo głupi język, ponieważ nikt go nie rozumie. Arabski znacznie go przewyższa”. Zналиśmy arabski bardzo słabo, ale gdy próbowaliśmy odpowiadać nauczycielom w nuba, byliśmy natychmiast karani. Jeśli miało się szczęście, nauczyciel tylko chwycił za policzek i szczypał albo bił po twarzy, ale każdy z nich nosił ze sobą długi pręt i bicie nim po pupie albo po plecach było bardzo bolesne.

Po jakimś czasie nauczyciele oznajmili, że nie wolno nam używać imion w języku nuba. Wszystkim nadano imiona arabskie. Mnie przemianowano na Zainab, moja najlepsza przyjaciółka Kehko miała się nazywać Fatiyah. Powiedziano nam też, że między sobą, podczas przerw, też nie wolno nam rozmawiać w nuba i musimy zwracać się do siebie, używając arabskich imion.

Nauczyciele wyznaczyli w każdej klasie po jednym dziecku, żeby pełniło funkcję klasowego policjanta i informowało o każdym, kto sprzeciwi się tym poleceniom. Nasza nauczycielka wyznaczyła do tej roli Mohameda. Był najmądrzejszym chłopcem w klasie, ale nie tak mądrym jak Kehko czy ja. Zawsze pokonywałyśmy go na egzaminach. Nauczycielka zrobiła dużo zamieszania wokół Mohameda i sprawiła, że uważał się za bardzo ważnego. Od tej chwili zaczęłam go nienawidzić.

Kehko i ja oraz chłopiec imieniem Anur utworzyliśmy bandę. Zawsze kiedy nauczycielki nie było w klasie, hałasowaliśmy i żartowaliśmy. Od początku nie lubiłam Mohameda, bo próbował popsuć nam zabawę i zgłaszał nauczycielce, kiedy mówiliśmy w nuba. W krótkim czasie między mną a Mohamedem rozpętała się wojna. Wiedział, że jestem bystrzejsza niż on,

i chciał, żebym pomogła mu w nauce, ale ilekroć mnie o coś zapytał, nie odpowiadałam.

— Nie rozumiem cię. Nie odzywaj się do mnie — mówiłam zawsze.

— Dlaczego mnie nie lubisz? — zapytał Mohamed któregoś dnia.

— Bo jesteś Nuba i ja jestem Nuba, a pozwalasz, żeby nauczyciele wmawiali ci, że nie możemy rozmawiać w naszym języku, a potem zgłaszasz im, jeżeli to robimy. Jesteś głupi. Niczego nie rozumiesz.

— Ale kazali mi to robić — powiedział rozżalony Mohamed. — Nie mam wyboru. Więc dlaczego jesteś dla mnie paskudna?

— Nieprawda — odparłam. — Czemu nie możesz po prostu siedzieć cicho?

— No dobrze, może mogę — odparł niepewnie. — Ale jeżeli musisz mówić w nuba w klasie, rób to cicho i wtedy nie będę musiał tego zgłosić. Albo kiedy nie ma w pobliżu nauczycielki. I bądź ostrożna na podwórzu. Każda klasa ma policjanta.

Od tamtej pory starałam się być miłsza dla Mohameda. Zdałam sobie sprawę, że znalazł się w trudnej sytuacji.

W trzecim roku szkoły zaczęłam się uczyć geografii, historii, przyrody i sztuki. Moim ulubionym przedmiotem była przyroda, ponieważ lubiłam się uczyć o cudach natury. Wieczorem wracałam do domu i opowiadałam ojcu o wszystkich nowych rzeczach, których się dowiedziałam. Myślę, że pewnie słyszał to samo od moich starszych sióstr i braci, ale i tak udawał, że go to ciekawi.

Starałam się dużo uczyć, ponieważ naprawdę chciałam być najlepsza w szkole, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że arabscy nauczyciele traktują nas w niewłaściwy sposób. Zachowywali się, jakbyśmy nie byli równie dobrzy jak oni. Czasami miało się uczucie, że traktują nas jak dzikusów.

## Węże i grupy poszukiwawcze

Wcale nie byliśmy dzikusami. Byliśmy dumni z naszych tradycji. W górach Nuba mężczyźni chlubili się tym, że są wojownikami. Byli silni i odważni. Kiedy my, dziewczynki, szłyśmy do lasu, zwykle zabierałyśmy ze sobą siekiere, ale po to, by rąbać drewno. Jeśli zobaczyłyśmy na przykład węża, zaczynałyśmy krzyczeć i zawsze przybiegał na pomoc jakiś mężczyzna. Nie miało znaczenia, czy pochodził z naszej wioski, czy nie, ponieważ każdy Nuba szczeni się swoją odwagą. Chwytał kij i jeśli wąż był mały, zabijał go. Jeżeli trafił się duży, mężczyzna ruszał na poszukiwanie kamienia. Potem podkradał się powoli do węża, podczas gdy my przyglądałyśmy się temu z bezpiecznej odległości. Zdarzały się węże długie na prawie dwa metry i grube jak męskie udo oraz wiele mniejszych, bardzo szybkich. W porze deszczowej w okolicy pojawiało się ich więcej niż zwykle. Były bardzo piękne, jeśli ktoś zaryzykował i uważnie im się przyjrzał.

Widziałam wiele ofiar ukąszeń, ale jedna szczególnie wryła mi się w pamięć. Miałam zaledwie osiem lat i po raz pierwszy zobaczyłam czyjaś śmierć. Mama poszła ze swoją ciotką Nhe naciąć w lesie rafii. Po mniej więcej godzinie miała wielki pęk rafii, związany i gotowy do zabrania do wsi. Ustaliła, że spotkają



się z Nhe przy wielkim baobabie. Było to ulubione miejsce spotkań, ponieważ można było posiedzieć pod gałęziami w chłodnym cieniu. Mama czekała tam długi czas, aż wreszcie zaczęła się niepokoić.

— Nhe! Nhe! Nhe! — wołała. — Nhe! Gdzie jesteś?

Ale jedyną odpowiedzią było echo jej własnego głosu. Poszła więc szukać Nhe, jednak nigdzie nie mogła jej znaleźć. Tykwa z wodą była już prawie pusta, więc jedyne, co mama mogła zrobić, to wrócić do wsi. Zwykle droga od wielkiego baobabu do wsi zajmowała godzinę, ale mama pokonała ją w trochę ponad trzydzieści minut. Kiedy usłyszałam, jak rzuca rafię na podwórzu, wybiegłam jej na spotkanie. Natychmiast zorientowałam się, że stało się coś złego.

— Czy Nhe już wróciła? — zapytała mama.

— Nie — odparłam. — Myślałam, że poszła z tobą.

— Tak, poszła, ale czekałam na nią pod wielkim baobabem i się nie zjawiła. Myślałam, że wróciła do wsi.

Mama wyglądała na bardzo zmartwioną. Rozпалиłam ogień z suchych łądyg prosa, by zaparzyć dla niej mocną kawę z cukrem. Zanim była gotowa, zjawił się ojciec.

— Musiało stać się coś poważnego — stwierdził, gdy mama skończyła swoją opowieść. — Nhe nie poszłaby sama do lasu, zwłaszcza że umówiłyście się na spotkanie pod drzewem. I nie mogła się zgubić. Zna las jak własną kieszeń. Może została ukąszona przez węża? W tej części jest ich pełno.

Wtedy mama powiedziała coś, czego nie rozumiałam.

— A może złapała ją milicja?

Milicja? Kim jest milicja?, zaciekałam się.

— Może. — Ojciec powoli pokiwał głową. — Ale nie widziano ich w okolicy od bardzo dawna, nie wspominając o tym, by kogoś atakowali. — Wstał, żeby przynieść topór, włócznię i długi, mocny kij do walki. — Lepiej, byśmy byli gotowi na wszystko — dodał, idąc po starą strzelbę, którą trzymał w domu dla mężczyzn.

— Co to jest milicja, *umil* — zapytałam mamę.

— Milicja? Bardzo źli ludzie. Arabowie, którzy przyjeżdżają nas atakować. Martwimy się, że mogli napaść na Nhe. Kiedy w przeszłości dochodziło do bójki albo wybuchała wojna, to działo się to zawsze z powodu najazdu milicji. Ale nie martw się, Mende, twój ojciec cię obroni.

Organizowano grupę poszukiwawczą, więc nie miałam czasu na zadawanie kolejnych pytań. Gdy grupa wreszcie się zebrała, przypominała raczej oddział bojowy. Ojciec miał ze sobą starą strzelbę, a na biodrach pas na naboje. Przyłączyli się do niego wszyscy moi wujowie i oni także zabrali strzelby i włócznie.

— Nhe poszła do lasu naciąć rafii — wyjaśnił ojciec, stojąc na stołku, żeby wszyscy go widzieli. — Ale nie wróciła, więc na pewno ma kłopoty. To prawdopodobnie wał albo może po prostu upadła i się zraniła. Może to jednak być milicja, więc miejcie oczy i uszy otwarte i zachowajcie ostrożność.

Ojciec próbował powstrzymać mnie od pójścia z nimi, ale tak energicznie protestowałam przeciw zostawieniu mnie samej, bez żadnej ochrony przed milicją, że w końcu zmiękł. Gdy dotarliśmy do wielkiego baobabu, zaczęliśmy wołać:

— Nhe! Nhe! Gdzie jesteście?

Nastawialiśmy uszu w oczekiwaniu na odpowiedź, ale nikt się nie odezwał.

Ojciec kazał mi zaczekać przy drzewie, ponieważ wejście do lasu było dla mnie zbyt niebezpieczne. Tym razem wiedziałam, że nie ma sensu się awanturować. Po jakimś czasie usłyszałam wołanie mamy:

— Znalazłam ją! Nhe jest tutaj! Jeszcze żyje.

Popędziłam tam, skąd dochodził głos mamy. Nhe leżała na plecach. Miała potworne drgawki i jęczała rytmicznie:

— Erhh, erhh, erhh...

Ojciec ukląkł przy niej.

— Co się stało? Powiedz nam, co się stało! Odezwij się do

nas, Nhe! — Ale Nhe albo go nie słyszała, albo nie była w stanie odpowiedzieć.

Zawsze uważałam Nhe za bardzo piękną kobietę, ale teraz jej twarz spuchła jak balon. W pierwszej chwili jej nie poznałam. Wyglądała tak strasznie, że zaczęłam płakać. Ojciec oglądał całe jej ciało, aż znalazł to, czego szukał — dwa punkciki na przedramieniu będące śladami po zębach. Część jednego z kłów odłamała się i utkwiała w skórze, teraz obrzmiałej i zaczynającej pokrywać się czarnymi plamami.

— *Kung anyam*, ukąszenie węża — powiedział ojciec. — Tego się obawiałem.

Zaczął płakać. Był bardzo dzielny, ale był też delikatnym, wrażliwym człowiekiem, a teraz bał się, że Nhe umrze. Przeszukał krzaki dookoła i w końcu znalazł dużą dziurę w ziemi. Była to nora węża. Wziął gruby kij i wetknął go do środka, ale nie mógł wymacać końca. Chwytnął więc strzelbę, wepchnął do dziury i pafl, rozległa się potężna eksplozja. Dziurę wypełnił dym, poczułam ostry zapach prochu.

Ojciec próbował wlać kilka kropli wody w usta Nhe, ale miała mocno zaciśnięte szczęki.

— Nie mogę zmusić jej do picia. — Popatrzył na nas z rozpaczą. — Może jeśli zabierzemy ją do wsi, zdołamy wmusić w nią trochę wody łyżką. \

Ojciec i paru innych mężczyzn pognało do wsi, żeby przynieść łożko, którego można by użyć jako noszy. Gdy wrócili, delikatnie ułożyli na nim Nhe. Czterech mężczyzn wzięło „nosze” na ramiona i ruszyli do wsi. Od czasu do czasu ekipa niosących zmieniała się, bo było to wyczerpujące zadanie. Gdy wreszcie dotarli do naszego domu, postawili łożko na podwórzu, a ojciec zaczął przygotowywać lekarstwo. Wziął trochę liści, które trzymał w chacie, i rozgotował je na gąbczastą papkę. Potem rozsmarował ją wokół ukąszenia, gdzie opuchlizna była największa.

— Nhe? Nhe, czujesz to? Słyszysz mnie? — powtarzał.

Ale odpowiedzi nie było. Nhe jęczała tylko:

— Erhh, erhh, erhh...

Wszyscy w naszym plemienu wiedzieli, jak przyrządzać lekarstwa. Ojciec zaczął uczyć tej sztuki również mnie. Próbował zmusić Nhe do wypicia odrobiny płynu z łyżki, lecz nie potrafił otworzyć jej ust. W miarę jak upływało popołudnie, ciało Nhe zaczęło nabrzmiwać. Gdy ojciec jej dotknął, palce po prostu zniknęły mu w ciele Nhe jak w gąbce. Do wieczora jej twarz była tak napuchnięta, że nie było widać oczu.

Gdy zapadła noc, Nhe zaczęła krwawić. Najpierw z ust, potem z oczu, nosa, uszu i genitaliów, a wreszcie nawet spod paznokci. W niedługim czasie oblewała się też krwawym potem. Było to tak straszne, że nie mogłam na to patrzeć. Stało się jasne, że Nhe umrze. Z nadejściem świtu przestała jęczeć i zapadła śmiertelna cisza.

— Nhe zaraz umrze — oznajmił ojciec siedzący przy jej boku. Kilka minut później była martwa.

Rozpoczął się czas żałoby. Kobiety płakały i jęczały, a mężczyźni strzelali ze strzelb w powietrze. Kobiety zabrały Nhe do chaty, żeby ją obmyć i owinać od stóp do głów w biały pogrzebowy całun. Czterech młodych mężczyzn wyniosło ciało Nhe, ponieważ wiedzieli, że ojciec jest zbyt wyczerpany i za bardzo cierpi, żeby im pomóc. Gdy nieśli ją na wzgórze, zmieniali się często, bo mieli do przejścia długą drogę. Zmierzali do *tilling*, miejsca umarłych. Żadnej z kobiet nie wolno było uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej. Pochowanie Nhe należało do mężczyzn.

Po pogrzebie cała wieś zebrała się, żeby wybudować szałas z drewnianych pali pokrytych z wierzchu świeżymi liśćmi prosa. Przez cały dzień mężczyźni pozostawali w środku, a kobiety szykowały jedzenie. Żałobna uczta, która potem nastąpiła, trwała trzy dni. Trzeciego dnia mężczyźni zabili kilka kóz, podrzynając im gardła, a kobiety ugotowały *mulla*, gulasz

z *ngera*, naleśnikami z prosa. Ostami posiłek był cichym spotkaniem, na którym ludzie modlili się, żeby Allah przyjął Nhe do raju.

Urodziłam się jako muzułmanka i niemal wszyscy w naszej wiosce byli muzułmanami. W islamie dobry człowiek odchodzi, żeby po śmierci połączyć się z Allahem w raju. Wierzyłam, że tak właśnie stało się z Nhe. Kiedy byłam mała, ojciec nauczył mnie modlić się pięć razy dziennie, z twarzą zwróconą na wschód, w stronę Mekki — miejsca narodzenia proroka Mahometa. Pierwsza modlitwa, *subr*, zaczynała się o świcie. Druga, *duhur*, koło południa, a potem była *assur*, wczesnym popołudniem. Czwarta modlitwa, *mahgreb*, następowała tuż przed kolacją, a ostatnia, *aisha*, przed samym pójściem do łóżka.

Nasza rodzina starała się pilnować pory pięciu codziennych modlitw, nawet gdy przebywaliśmy w lesie albo pracowaliśmy w polu. Gdy modliliśmy się razem, ojciec zajmował miejsce przed mamą i przede mną. Pod koniec modłów pochylaliśmy się nisko i dotykaliśmy czołami ziemi, zwracając się do Allaha z pokorną prośbą. Ojciec powiedział mi, że jeśli nie będę się modliła, zostanę zesłana w ogień piekielne, co było przerażającą perspektywą. Od czasu do czasu ojciec chodził do wioskowego meczetu modlić się z pozostałymi mężczyznami ze wsi. Meczet wyglądał jak zwykła gliniana chata, tylko nieco większa. Mieliśmy w wiosce osobę pełniącą obowiązki imama, muzułmańskiego duchownego, który przewodził mężczyznom w modlitwach.

Najbardziej lubiłam czas, w którym przypadało muzułmańskie święto eid, trochę podobne do Bożego Narodzenia w zachodnim świecie. Miesiąc przed eid wszyscy pościli od wschodu do zachodu słońca i kończyli post wielką wieczorną ucztą. W tym czasie nosiliśmy nasze najlepsze paciorki i staraliśmy się pięknie wyglądać. Gdy miesiąc się kończył, odbywało się

całodniowe święto dla uczczenia końca eid. Urządzano je na podwórzu *kujura* — wioskowego szamana i znachora. Imam siadał w pierwszym rzędzie wiernych, pomiędzy starcami. Za nimi modlili się młodszy mężczyźni i chłopcy, potem kobiety, a my, dziewczynki, siedziałyśmy z tyłu.

*Kujur* wywodził się z czasów i religii, którą wyznawano w górach Nuba przed nadejściem islamu. Któregoś dnia ojciec opowiedział mi wszystko o tej starej religii. Mówił, że w czasach ojca jego ojca *kujur* był traktowany jak święty człowiek. Gdy w wiosce trzeba było o czymkolwiek zdecydować, zawsze jego pytano najpierw o zdanie. Wierzano, że był człowiekiem, przez którego bogowie przemawiają do Nuba. W tamtych czasach nie było jednego Boga, ale wielu bogów. Bóg Wzgórz, Bóg Słońca, Bóg Księżyca, Bóg Deszczu, Bóg Lasu i Bóg Wiatru. Potem nadszedł islam i zastąpił starą religię, a *kujur* stracił na znaczeniu.

Jednak w naszej wiosce stara religia tak naprawdę nie została zapomniana. Pewnego dnia, gdy od wielu tygodni nie spadł deszcz, pewna staruszka obeszła wszystkie domy, oznajmiając, że ma zamiar „pomówić z *kjurem* o deszczach”. Powiedziała też, że następnego ranka każda kobieta ma przygotować garść ziarna, którą *kujur* pobłogosławi. Nazajutrz, wcześniej rano, obserwowałam, jak stare kobiety idą do domu *kujura*. Spędziły tam jakieś dwie godziny i słyszałam, jak *kujur* wykrzykiwał i mamrotał modlitwy i zaklęcia. A potem, całkiem nagle, zaczęło padać.

Ludzie wybiegli z chat i z niedowierzaniem wpatrywali się w niebo. Razem z innymi dziećmi zaczęłam skakać i śpiewać deszczową piosenkę. Widziałam staruszki wychodzące z domu *kujura*. Nie sądzę, żeby naprawdę chciały się modlić do nowego Boga, Allaha. Wciąż wierzyły w stare zaklęcia. Teraz, kiedy pokazały reszcie wsi, że *kujur* nadal potrafi sprowadzić deszcz, wyglądały na bardzo z siebie zadowolone. Przeszły przez wieś, kołyszac szerokimi biodrami i całkowicie wszystkich ignorując. Byłam zakłopotana. Wiedziałam, że jestem muzumanką i że

nie wierzymy w *kujura* ani starą religię, ale właśnie widziałam dowód, że *kujur* potrafi wywołać deszcz. Poszłam poprosić ojca o wyjaśnienie.

— *Ba*, czy *kujur* naprawdę sprowadził deszcz?

— Tak, *kujur* naprawdę sprowadził deszcz — odpowiedział ojciec, uśmiechając się do mnie i dodał: — Ale oczywiście *kujur* mógł to zrobić wyłącznie z pomocą Allaha.

Tak więc, chociaż mieszkańcy mojej wioski byli wyznawcami islamu, to tak naprawdę egzystowały w niej obie religie. Uznałam, że odpowiedź ojca była bardzo sprytna. Nigdy nie chodził do szkoły, ale uważałam, że jest bardzo mądry.

## Mistrzowie zapasów

Moja ulubiona pora roku nadchodziła, gdy świętowaliśmy żniwa. Wszystkie plemiona Nuba zbierały się, by oglądać wielkie zawody zapasnicze. Dokładny moment rozpoczęcia zawodów wyznaczał *kujur*, który badał pozycje gwiazd i księżycy. Nie pozwalano mi oglądać zapasów, dopóki nie skończyłam dziewięciu lat, ponieważ mama uznała, że wcześniej byłam na to za mała. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego razu, kiedy poszłam na zawody. Nadszedł czas, że to Karko, nasze plemię, miało być ich gospodarzem. Wszystkie pozostałe plemiona miały przybyć na naszą ziemię, żeby stoczyć walki. Po zawodach zapraszaliśmy ich na poczęstunek do naszej wsi. Miałam nadzieję, że moi rodzice zarobią na targu dość pieniędzy, żeby móc pozwolić sobie na przyrządzenie słodkiego ryżu dla wszystkich gości. Dla nas taki ryż to był prawdziwy luksus — jedzony na gorąco, mleczny i słodki, przypominał pudding ryżowy.

Zbliżał się dzień zapasów i mama zaczęła przygotowywać dla mnie nowe sznury paciorków. Mieliśmy w domu misę z tykwy pełną koralików, większość należała do naszej rodziny od pokoleń. Na szczęście mama musiała nawlec paciorki tylko dla mnie, ponieważ Kunyant i Shokan miały mężów i nie wybierały się na zawody. W poprzedzającą je noc byłam tak



podniecona, że nie mogłam spać. Gdy tylko zobaczyłam, że słońce zaczyna rozjaśniać horyzont, zerwałam się i poszłam z przyjaciółkami po wodę. Zwykle szłyśmy do zagłębienia z wodą, wcale się nie spiesząc, ale tego ranka całą drogę przebiegłyśmy.

Gdy wróciłam do domu, rozpoczęły się przygotowania. Na początek mama natłuściła moje ciało, by stało się miękkie i błyszczące. Wybrałam koraliki czerwone, żółte, niebieskie i białe — moje ulubione kolory. Najpierw owinęłam dwa zwykłe sznury paciorków wokół pasa. Potem jeden za drugim wsuwałam sznurki koralu na nadgarstki, tak że sięgały mi do połowy ramienia. Tuż poniżej obojczyków miałam korale ułożone w specjalny wzór, a mama spędziła wiele godzin, wplatając grube rolki paciorków w moje włosy. Szerokie opaski z czerwonych i białych koralu krzyżowały się na ramionach i na piersiach jak szarfy, a kolejna, bardzo szeroka biało-żółta taśma pionowo przecinała mi plecy od szyi do ud.

Mama przygotowała dla mnie cudowną niespodziankę. Musiała pracować nad tym noc w noc przy ogniu, gdy ja szłam już spać. Kiedy wyjęła prezent z ukrycia i z dumą mi go pokazała, byłam bardzo szczęśliwa. Oglądałam go, obracając na wszystkie strony. Uznałam, że to najpiękniejsza rzecz na świecie — szeroki pas na biodra, z czerwonych, białych i żółtych paciorków, z wieloma sznurkami koralików zwieszającymi się z brzegu. Wyglądał jak minispódniczka z koralu.

Ponieważ nie mieliśmy lustra, nie mogłam zobaczyć, jak wyglądam, ale mama powiedziała mi, że bardzo pięknie. Mężczyźni zaczęli już głośno dąć w krowie rogi. W wiosce narastało podniecenie. Podczas zapasów mężczyźni z naszego plemienia mieli zmierzyć się ze wszystkimi okolicznymi plemionami Nuba: Fenee, Shimii, Keimii, Maelii i Kunuk.

Już w bardzo wczesnym wieku każdy chłopiec Nuba chce zostać zapaśnikiem. Zabawa w zapasy zaczyna się, zanim jeszcze nauczą się chodzić. Gdy ojciec był młodym człowiekiem, został wielkim mistrzem zapasów, zwanym *kuul*. Za to

Kwandsharan, mój najstarszy brat, nienawidził walki. Przez jakiś czas ojciec próbował zachęcać go do zapasów, ale on po prostu nie był tym zainteresowany. Natomiast Babo już w dzieciństwie postanowił, że gdy dorośnie, będzie walczył dla naszego plemienia. Moje pierwsze zapasy były też pierwszymi, w których miał wziąć udział Babo — ponieważ właśnie został przyjęty jako jeden z młodszych zawodników do drużyny Karko. Przez wiele tygodni trenował walki z innymi chłopcami w wiosce, a ojciec udzielał im wskazówek.

— Nie, nie tak! — krzyczał, wysuwając się do przodu, żeby wszyscy mogli go widzieć. — Jeżeli chcesz go rzucić, ustaw się tak, nogę postaw tutaj, a potem szarpnij go, o tak. — Trzask i jeden z chłopaków poleciał na ziemię. Gdy uporałam się z porannymi obowiązkami, obserwowałam ćwiczenia chłopców, okrzykami zagrzewając Babo do walki.

— Trzymaj nogi z tyłu, Babo — wrzeszczałam. — Nogi z tyłu! Lepiej uważaj! — wołałam do przeciwnika Babo. — Mój straszy brat jest bardzo silny i cię zbije!

Jeżeli chłopak zdołał wziąć Babo w zapaśniczy uścisk, zaczynałam szaleć.

— Co robisz! — darłam się. — Chcesz skrzywić mojemu bratu kark? Lepiej uważaj. Jeżeli zrobisz Babo krzywdę, mój tata cię zbije. Powiemy twoim rodzicom, że oszukiwałeś.

— To uczciwa walka — wołał ze złością chłopak. — A ty chcesz naskarzyć ojcu. Czy Babo nie umie sam się bronić?

— Oczywiście, że umie! — odpowiadałam. — Jesteś po prostu kiepskim zapaśnikiem. — Usiłowałam w ten sposób rozżłościć i zdekoncentrować przeciwnika Babo, żeby ten mógł go pokonać.

W końcu to Babo musiał mnie powstrzymać.

— Nie, Mende — mówił. — Przestań się wtrącać. To uczciwa walka.

Rankiem w dniu zapasów, gdy ja się stroiłam, Babo przygotowywał się do walki. Kiedy byłam gotowa i wyszłam z chaty, usłyszałam, jak woła z drugiego końca podwórza:

— Hej, patrzcie na Mende! Co za piękność. Czy to naprawdę moja siostrzyczka Mende? To najpiękniejsza dziewczynka w całej wsi.

— Tak jest — odkrzyknęłam. — A dzisiaj ty będziesz najlepszy i będę ci klaskała i śpiewała!

Przybiegły po mnie moje przyjaciółki i podziwiałyśmy się nawzajem. Wszystkie wyglądały prześlicznie w paciorkach i nasmarowane olejem, ale uważałam, że nikt nie ma tak pięknych wzorów z koralu jak ja. Pożegnałam się z rodzicami i wraz z innymi dziewczynkami ruszyłam górską ścieżką. Po trzech czy czterech godzinach znalazłyśmy się w części naszych plemiennych terenów, której nigdy wcześniej nie widziałam. Teraz szłyśmy w wielkim tłumie, który podążał w tę samą stronę co my. Starsze dziewczynki z naszej grupy niosły na głowach tykwy pełne gorącej zupy dla wszystkich zapaśników. Byłyśmy ogromnie podniecone. Zastanawiałyśmy się, czy nasze plemię wygra. Rozmawiałyśmy o jedzeniu czekającym w domach, a potem zauważyłyśmy dziewczyny z innego plemienia.

— Patrzcie! Patrzcie na te dziewczynki! — zawołałam do moich przyjaciółek. — Patrzcie na ich włosy. Piękne, prawda? Na następne zawody chcę mieć taką fryzurę.

— Ale nie możesz, Mende — powiedziała Kehko ze śmiechem. — To jest styl Shimii. Wszyscy pomyślą, że jesteś Shimii, nie Karko.

— Nic mnie to nie obchodzi. — Podniosłam głowę, grzechocząc przy tym paciorkami. — I tak poproszę mamę, żeby mnie tak uczesała. A jeżeli odmówi, ucieknę i przyłączę się do Shimii.

Gdy wreszcie dotarłyśmy do miejsca przeznaczenia, naszym oczom okazał się niezwykły widok — jak okiem sięgnąć, ogromny tłum ludzi. Zapasy odbywały się na płaskowyżu, z trzech stron otoczonym wzgórzami. Było to niezwykle piękne miejsce. Z każdej strony dobiegały odgłosy dęcia w krowie rogi i zapaśnicze piosenki. Zawodnicy gromadzili się na środku placu. Byli całkiem nadzy, od stóp do głów pomalowani farbą zrobioną z popiołu. Z daleka wyglądali szaro i upiornie.

Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że na pokrytych farbą ciałach mają wymalowane lśniącą czernią dziwne, geometryczne wzory. Blizny wyglądały pod farbą jak czarne wzniesienia. Tworzyły postacie zwierząt, ptaków, węży albo wojowników. Zapaśnicy z któregoś z plemion przebrali się za wielkie zawzięte orły. Do pleców mieli przymocowane ogromne ptasie skrzydła, założyli też wysokie, pierzaste nakrycia głowy. Wydawało się, że są gotowi do lotu i ataku na przeciwników. W zapaśnikach było coś dzikiego i ponurego zarazem.

Każdy z walczących miał tykwę pełną kamyków zawieszoną nad pośladkami. Kiedy przytupywał, kamienie grzechotały jak niesamowite bębny. Podobne do duchów postacie wieńczyły fantastyczne nakrycia głowy zrobione z drewna, materiału, zwierzęcych skór i piór. Wiedziałam, że tak wojownicy Nuba ubierali się na wojnę, żeby wzbudzić strach w sercach wrogów. Teraz zrozumiałam dlaczego.

Stopniowo my, dziewczynki, przepychałyśmy się przez tłum na sam przód. Gdy wreszcie tam dotarłyśmy, zapaśnicy zaczęli już biegać wokół ringu, a napełnione kamykami tykwy grzechotały głośno i rytmicznie. Włóczykami uderzali w obciążone skórą tarcze. Podczas biegu zaczęli głębokie, gardłowe skandowanie — odpowiadali na nie mężczyźni z tłumu, ogłuszająco bijący w bębny.

Gdy mijali nas z tupotem, oddaleni zaledwie o kilka stóp, w gorące powietrze wzniosły się tumany kurzu. Prawie mogłam dotknąć nabrzmiałych, lśniących mięśni. Ogłuszyło mnie bębnienie, szcęknięcie włóczy o tarcze, tupot bosych stóp o gorącą ziemię, odgłosy gwizdków, dęcie w rogi i dzikie dzwonięcie dzwonek na kostkach zapaśników. Mój nos wypełniał gęsty zapach potu, zmieszany ze słodkim aromatem zupy i suchą wonią kurzu. Wszędzie dookoła rozlegały się okrzyki tysięcy podekscytowanych młodych dziewcząt i tysięcy mężczyzn, które wprawiały zapaśników w stan kipiącego się podniecenia.

W całym tym hałasie i zamieszaniu dało się jednak zauważyć pozory porządku. Góry tworzyły naturalny amfiteatr z zapaś-

nikami w środku, otoczonymi przez tłum. Młodzi mężczyźni z włóczniami i pałkami stali twarzami w stronę zebranych, żeby utrzymać ich w bezpiecznej odległości. Jeżeli ktoś przepchnął się zbyt blisko, „porządkowi” odpychali go z powrotem. Niektórzy zawodnicy zaczęli wybierać sobie przeciwników. Zapaśnik występował naprzód, głośno rzucał wyzwanie temu, z kim chciał walczyć, stawał przed nim, podnosząc garść piasku i pozwalał mu wolno przesypać się między palcami obu dłoni. Było to tradycyjne wyzwanie do walki. *Heya! Heya!* – walczy my, walczy my, wykrzykiwał.

Wkrótce na całym przeznaczonym do zapasów terenie pary walczących zaczynały zmagania. Najpierw przykucali, zginali się w pół, sięgając rękami ziemi, kołyszac się w tył i w przód i rozciągając mięśnie. Pozostawali w tej pozycji jakieś dziesięć minut, próbując ocenić nawzajem swoje silne i słabe strony. Zwykle zapaśnik wybierał do walki mężczyznę w podobnym wieku i o podobnej budowie, ale jeśli okazywało się, że mniejszy mężczyzna został wyzwany przez większego, wyzwanie przejmował zawodnik z jego zespołu o bardziej odpowiedniej budowie. Takie były niepisane zasady zapasów.

Nasze plemię reprezentowało około pięćdziesięciu zapaśników i podobną liczbę zawodników wystawiało pozostałych pięć plemion. W sumie walczyło jakichś trzystu mężczyzn. Wygrywał ten, kto rzucił przeciwnika na ziemię. Pod koniec dnia ogłaszano zwycięzcę: w imieniu swojego plemienia wygrywał zawodnik, który miał na koncie najwięcej rzutów. Jeśli dwaj mężczyźni z dwóch różnych plemion mieli taką samą liczbę rzutów, musieli walczyć ze sobą w finałowej potyczce. My, Nuba, braliśmy udział w zapasach dla podtrzymania tradycji, wzmocnienia poczucia wspólnoty, uczczenia żniw i dla czystej przyjemności. Nie było żadnych nagród i nikt nigdy nie walczył dla pieniędzy czy osobistych zysków. Po ogłoszeniu wyników zwycięski zapaśnik zasypywany był dowodami uznania. Dziewczęta zdejmowały z szyi paciorki i zakładały je na głowę mistrza.

Gdy rozpoczęła się pierwsza runda, nigdzie nie mogłam znaleźć Babo, więc uznałam, że jeszcze nie walczył, jednak w ostatniej chwili zobaczyłam go w oddali. Razem z przyjaciółkami przepchnęłam się w jego stronę. Zauważyłam, że przeciwnik Babo jest silny i wygląda na starszego niż mój brat. Nie zmartwiło mnie to jednak. Po mniej więcej pięciu minutach walki Babo nagle przerzucił przeciwnika przez ramię i cisnął nim o ziemię. Podskoczyliśmy z radości i zaczęliśmy skandować: **Bire! Bire! Bire!**, co oznacza w naszym języku, jeden", ponieważ był to pierwszy rzut Babo. Teraz czekaliśmy na następne wyzwanie. Gdy z szeregów przeciwnej drużyny wystąpił kolejny przeciwnik, moje serce zamarło. Był tylko trochę wyższy od Babo, ale tak krępy i przysadzisty, że Babo wyglądał przy nim jak karzełek. Wiedziałam, że mój brat jest zwinny i silny, jednak uznałam, że tego starcia na pewno nie wygra.

— Nie! Nie, Babo! — zawołałam. — Nie walcz z nim! Jest od ciebie znacznie większy. Jest za gruby! Wybierz kogoś tak chudego jak ty!

— Powstrzymaj go! Powstrzymaj go, Mende! — popędzały mnie dziewczyny. — Paskudnie go zrani, jeżeli tego nie zrobisz. — Najwyraźniej mój brat cieszył się wśród dziewcząt z naszej wsi dużą sympatią.

Ale kiedy Babo zobaczył całe to poruszenie, tylko się do nas uśmiechnął.

— Bez obaw — powiedział chłodno. — Wygram.

— Ale nie możesz walczyć z tym grubasem, Babo! — krzyknęłam. — Pamiętaj, co powiedziała mama! Wolno ci walczyć tylko z kimś podobnym do ciebie!

Słyszając to, tłum wybuchnął śmiechem.

— Bez obaw — powtórzył, tym razem bardziej zdecydowanie. — Pokonam go!

Gdy zaczęli walczyć, po prostu nie mogłam na to patrzeć. Zakryłam oczy rękami, zerkając tylko co jakiś czas przez palce.

— Nie mogę na to patrzeć! Za bardzo się boję! — mówiłam do przyjaciółek. — Mówcie mi, co się dzieje! Mówcie, co się dzieje!

— Cicho bądź, Mende! — odparły ze śmiechem. — Nic takiego się nie dzieje. Przestań się chować. Czemu nie patrzysz i nie cieszysz się walką?

Pozostawali w zwarciu mniej więcej przez dwadzieścia minut. Złapałam się na tym, że naśladowuję każdy ruch Babo. Jeżeli się pochylał, nachylałam się do ziemi razem z nim.

— Uważaj! Nie daj się! — dopingowałam go, ale nie wiem, czy mnie słyszał.

Tyle razy zanosilo się na to, że tłuścioch rzuci Babo na ziemię, ale zawsze jakimś sposobem udawało się mojemu bram wytrzymać. Nagle złapał grubasa za nogi i posłał go przez ramię w powietrze, a potem bum!, rzucił o ziemię. Na sekundę zapadła pełna zdumienia cisza. Chyba nikt nie był do końca pewny, co się wydarzyło. Naraz wszyscy rzucili się w stronę Babo, gratulując mu i krzycząc:

— *Ore! Ore! Ore! Ore!* — Dwa! Dwa! Dwa!

— Mój brat jest taki silny! Taki odważny! Rzucił na ziemię takiego grubasa! — krzyczałam, tańcząc wokół Babo. — Jest mistrzem!

Całe plemię Karko zaczęło śpiewać piosenkę zwycięstwa:

*Babo, cherio — condore shine,*

*Mende net — condore shine,*

*Kunyant net — condore shine,*

*Kwandsharan net — condore shine,*

*Shokan net — condore shine,*

*Babo kuul — Hussain do.*

Młody Babo — w zapaśniczym kręgu,  
Brat Mende — w zapaśniczym kręgu,  
Brat Kunyant — w zapaśniczym kręgu,  
Brat Kwandsharana — w zapaśniczym kręgu,  
Brat Shokan — w zapaśniczym kręgu,  
Babo mistrz — syn Hussaina.

Kiedy piosenka dobiegła końca, popędziłam do Babo i zdjęłam z szyi paciorki. On zaś pochylił głowę, wyczerpany, ale uśmiechnięty, więc mogłam mu je założyć. Byłam taka szczęśliwa i taka z niego dumna, że po twarzy płynęły mi łzy radości. Inne dziewczęta także dawały Babo korale. Potem został podniesiony przez swojego sekundanta i poniesiony w paradzie zwycięstwa wokół zapaśniczego ringu. Kolejno podawało go sobie całe plemię Karko, bo każdy chciał ponieść Babo na ramionach.

Zawody trwały jeszcze przez dwie godziny, ale Babo był zbyt wyczerpany, żeby znów walczyć. Byłam tak przejęta zwycięstwem brata, że nie zauważyłam, które plemię wygrało. Gdy zawody wreszcie dobiegły końca, zapaśnicy uścisnęli sobie dłonie, a niektórzy przepaszali swoich przeciwników, że za mocno nimi rzucili albo ich zranili. Szłam wśród zawodników, trzymając Babo za rękę. Słyszałam, jak któryś zapaśnik powiedział do innego: „Hej, jesteś bardzo silny, rzuciłeś mną o ziemię!”. Obejmowali się i śmiali. Do Babo podszedł grubas i także go objął. Cieszyłam się, że nic mu nie jest, chociaż jego upadek wyglądał na poważny.

— Wiesz, jesteś bardzo gruby — stwierdził Babo, uśmiechając się do niego. — Myślałam, że to ty mną rzucisz.

— Ja też — przyznał ze śmiechem tłuścioch. — Ale teraz mam zamiar solidnie trenować i stanę się tak chudy jak ty. Następnym razem cię pokonam.

Grubas podniósł Babo.

— Zobacz — powiedział, ciągle się śmiejąc — jesteś taki lekki, że mogę cię podnieść jedną ręką. Jak to możliwe, że zdołałeś mnie pokonać? No, mów, co to za tajemnica?

— Nie wydaje mi się, żebym walczył dobrze — zaczął Babo powoli. — Potrafię to robić znacznie lepiej. Ale ty popełniłeś poważny błąd. Oczywiście nie powiem ci jaki.

— Babo, proszę, powiedz, jak dałeś radę mnie powalić.

— Jeżeli zdradzę ci ten sekret, następnym razem ty rzucisz mną o ziemię.



Grubas tak nalegał, że Babo w końcu zmiękł.

— No dobrze, posłuchaj. Kiedy próbowałeś podstawić mi nogę, zrobiłeś krok w przód, odsłoniłeś nogi i to cię zgubiło. Podciąłem cię, a potem przrzuciłem przez ramię i powaliłem.

— Dobrze — powiedział grubas, chichocząc pod nosem. — Teraz, kiedy cię namówiłem, żebyś mi to zdradził, mam zamiar następnym razem użyć tego chwytu przeciwko tobie.

— Świetnie. Ale nie wiesz, że to w mojej wsi mieszka wielki *kuul*, jeden z największych mistrzów naszego plemienia. Dopilnuję, żeby nauczył mnie kolejnych sztuczek, zanim znów się spotkamy.

Oczywiście Babo miał na myśli naszego ojca, ale się z tym nie zdradził. Grubas nazywał się Shadal. Zanim odszedł, Babo zaprosił go, żeby przyszedł do nas w odwiedziny.

Po drodze do domu za każdym razem, gdy spotkałyśmy dziewczęta z innych plemion, chwytaliśmy je za ręce.

— Chodźcie, chodźcie z nami — mówiłyśmy. — Przyjdźcie do nas coś zjeść.

Chociaż pochodziły z różnych plemion, mówiły tym samym językiem co my, językiem kaakbii. Jednak pewne regionalne odmiany sprawiały, że zabawnie się z nimi rozmawiało. Ponieważ Babo wracał do wsi z pozostałymi zapaśnikami Karko, dziewczyny nie wiedziały, że jest moim bratem.

— Widziałyście, co się dzisiaj wydarzyło? — zapytała jedna z nich, ze zdziwienia szeroko otwierając oczy. — Chudy chłopak pokonał prawdziwego grubasa! Byłam tak zachwycona, że dałam mu swoje paciorki.

— O tak, widziałyśmy! — zaśmiały się moje przyjaciółki, wskazując na mnie. — Ten chudy nazywa się Babo, a to jest jego siostra.

— To twój brat! — wykrzyknęły, odwracając się, żeby na mnie spojrzeć. — To naprawdę bardzo, bardzo dobry zapaśnik. Będzie z niego wielki *kuul*.

Wszyscy byli głodni, ale nie zdradziłam dziewczętom, co czeka na nie w domu. Chciałam je zaskoczyć tym, że podamy

słodki ryż. Dotarliśmy na skraj wioski dokładnie w chwili, gdy zaczęło zachodzić słońce.

— Wracają zapaśnicy! — wołali ludzie, wybiegając nam na powitanie. — Witajcie! Witajcie!

Najpierw poszliśmy do mojego domu. Dziewczeta martwiły się, że może niegrzecznie jest tak od razu jeść.

— Nie wstyďte się. Chodźcie i jedzcie — zachęcałam je. — Czujcie się jak u siebie w domu. Może któregoś dnia przyjdę do waszej wsi i wtedy ja będę waszym gościem.

Kiedy skończyliśmy słodki ryż, odwiedziłyśmy kolejno domy wszystkich moich przyjaciółek. Zjadłyśmy trochę w każdym z nich, aż w końcu byłyśmy nieźle napchane. Na koniec poszliśmy do domu *kujura*. Ubrany był w obszerną tęczową szatę i obwieszony paciorkami. Na głowę założył płaski filcowy kapelusz, w rękę trzymał laskę. Oczy miał wywrócone białkami na wierzch, trząśł się i drżał. Zaczął przemawiać językiem opętanych przez duchy. Wszyscy trochę się go baliśmy, więc siedzieliśmy cicho, nie chcąc zwracać na siebie jego uwagi. Niektórzy ze starszych z naszego plemienia rozumieli, w jakim języku mówi.

— Tego roku nadejdzie bardzo, bardzo dobry deszcz — przetłumaczył jeden z nich. — Nikt nie będzie chodził głodny. Ale za kilka dni do wioski przyjdzie śmierć. Uważajcie, żeby nie zostawić w chatach niepilnowanego ognia. To bardzo niebezpieczne i widzę, że wydarzą się złe rzeczy, jeśli tego nie zrobicie.

Wreszcie nadszedł czas, by dziewczynki wróciły do siebie. Pożegnałyśmy się na skraju wioski i razem z dorosłymi ze swojego plemienia wyruszyły w drogę do domu. Mieli iść całą noc, a drogę oświetlało im światło księżyca.

Kiedy Babo wrócił do domu, wziął mnie na kolana i mocno uściskał, a ja powiedziałam mu, jaka jestem z niego dumna.

— Chudzielec zawsze jest silniejszy niż grubas, Mende, ponieważ w grubasie nie ma nic — wyjaśnił mi z uśmiechem. — Grubas jest jak balon. Ukłucie szpilką i pęknie. Ale

słyszałem, co krzyczałaś: „Nie walcz z tym grubasem! Mama powiedziała, że masz walczyć tylko z kimś chudym!” — prze-drzeźniał mnie. — Wszyscy to słyszeli, także wszystkie dziewczyny, i byłem naprawdę zawstydzony.

Miesiąc później Shadal przyszedł odwiedzić Babo. Mama przyrządziła wspaniały posiłek i Babo oraz mój ojciec zabrali Shadala do *holua*, żeby zjadł z nimi. Po jedzeniu Shadal oznajmił mojemu bratu, że odkrył sekret jego zapaśniczej sztuki: miał ojca *kuula*. Nawet w plemienu Shadala, Keimii, mój ojciec wciąż był wspominany jako znakomity zapaśnik. Spędzili wiele godzin, słuchając zapaśniczych opowieści ojca, i zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Kilka miesięcy po zawodach zapaśniczych mieliśmy kolejnego gościa. Jednym z przyjaciół ojca był Corba z plemienia Shimii. W młodości obaj zostali wielkimi *kuulami*, mistrzami zapasów. Często walczyli przeciw sobie. Wieczór był chłodny, więc siedzieliśmy wszyscy w chacie wokół ognia, słuchając ich opowieści. W pewnym momencie ojciec zapytał Corbę o innego zapaśnika z plemienia Shimii, ich wspólnego przyjaciela. Przez twarz Corby przemknął smutek. Wyjaśnił ojcu, że człowiek ten został zabity podczas ostatniego ataku na wioskę Shimii.

— On też zginął? Nie wiedziałem. — Ojciec zapatrzył się w ogień. — Ta wojna to bardzo zła rzecz.

Często słyszałam rozmowy o wojnie, ale myślałam, że to coś bardzo, bardzo odległego, szczególnie że nasza wieś wydawała się taka cicha i spokojna.

— To bardzo smutne — ciągnął przyjaciel ojca. — Zabito tylu ludzi z naszego plemienia.

Mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, ale zauważyłam, że ojciec płacze. Zerwałam się i otarłam mu łzy.

— *Ba*, czemu płaczesz? — zapytałam. — O co chodzi? Co się stało?

Ojciec milczał przez chwilę i gładził mnie po głowie, po czym powiedział:

— Mende, nie chciałybyś tego wiedzieć. Kiedy zaatakowali Shimii, zabili wielu naszych przyjaciół.

— **Ba**, powiedz mi, co się stało.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — zapytał ojciec cicho. A potem poprosił, żeby Corba opowiedział o napaści na wioskę. Jednak przyjaciel nie chciał mówić. Wspomnienia wciąż były zbyt żywe, więc ojcu nie pozostało nic innego, jak tylko samemu opowiedzieć tę historię.

— Pewnego dnia, dwa lata temu, Arabowie zjawili się w nocy w wiosce Shimii. Zakradli się do chat i popodrzynali gardła wszystkim śpiącym mężczyznom oraz kobietom. Potem podpalili chaty. Ogień zauważyli mieszkańcy sąsiedniej wsi Shimii i ruszyli na pomoc. Nie wiedzieli o ataku Arabów. Myśleli, że po prostu wybuchł pożar. Nie wiedzieli też, że w lesie zaczęli się Arabowie z bronią. Zabito setki Shimii. Bandyci wyłapali młode kobiety i dzieci. Wiele dziewcząt zostało zgwałconych, nawet bardzo małych, młodszych od ciebie, Mende.

— To wręcz niewiarygodne — ciągnął ojciec, a po jego twarzy płynęły łzy. — Wszystkie dziewczynki w twoim wieku, które nie zostały zabite, zabrano jako *abids*, niewolnice. Więc jeśli nawet rodziny dziewczynek przeżyły ten najazd, nigdy więcej nie zobaczą swoich córek.

Ja także zaczęłam cicho płakać.

— Dlaczego ojcowie nie wyruszyli ich szukać? — zapytałam. — Dlaczego po prostu zostawili je z Arabami?

— A gdzie mieliśmy ich szukać? Zabrali te dziewczynki bardzo, bardzo daleko. Zabrali je, żeby dla nich pracowały, były ich własnością a w niektórych przypadkach zrobili z nich swoje żony.

Ojciec opowiedział mi, że kiedy usłyszeli o masakrze, wszyscy z naszego plemienia obawiali się, że i my zostaniemy zaatakowani. Shimii są naszymi sąsiadami. Ale jak do tej pory, stwierdził ojciec, mieliśmy szczęście.

— Gdy zdali sobie sprawę, że Arabowie ukrywali się wśród drzew, grupa wojowników Shimii zaatakowała ich, używając pistoletów i włóczni — ciągnął. — Arabowie zostali wzięci z zaskoczenia i uciekli. Do świtu było po bitwie. Ci z Shimii, którzy przeżyli, przeszukali spaloną wioskę. Setki ludzi zostały zarżnięte nożami jak zwierzęta.

Wśród ocalałych byli mężczyźni, których żony zostały zamordowane albo porwane. I pewien mały chłopiec Shimii, któremu zabito całą rodzinę. Starszyzna Shimii zebrała oddział wojowników, żeby ruszyć za bandytami. My, Nuba, potrafimy bardzo szybko biegać i pokonywać duże odległości. Kiedy następnego dnia dogonili Arabów, zaatakowali ich, ale tamci mieli nowoczesne strzelby i byli w stanie wystrzelić wiele pocisków na raz. Shimii, uzbrojeni tylko włóczniami i kilka starych strzelb z czasów *hawajas*, nie mieli szans.

— Nikt nie zapomniał tego dnia — mówił ojciec, podnosząc na mnie wzrok — ale nie myśl, że coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy, Mende. W przeszłości wielu zostało zabitych lub schwytanych przez arabskich najeźdźców. — Ojciec spojrzał mi prosto w oczy. — Mende, tu nie ma sprawiedliwości. Byliśmy pierwszymi ludźmi w Sudanie. Arabowie przybyli z daleka, zabrali nam ziemię i zaczęli nami rządzić, stali się bogaczami. Teraz napadają na nas i nas zabijają, ponieważ chcą pozbyć się wszystkich czarnych. Ale z pomocą Allaha zostaniemy w Sudanie. I nadejdzie dzień, kiedy między Nuba a podobnymi do Arabów zapanuje równość.

Odkąd tylko sięgam pamięcią na naszych ziemiach panował pokój. Wydawało się, że wojna zupełnie nas nie dotyka. Od czasu do czasu widywałam dziwnego człowieka w mundurze, który zjawiał się, by odwiedzić rodzinę w naszej wsi, ale nie byłam świadkiem żadnych walk. Czasami nad wioską przelatywały samoloty. Przyglądałam im się, osłaniając oczy i zastanawiając się, dokąd zmierzają. Nie wiedziałam wtedy, że one też stanowiły element wojny — to były latające na wysokim pułapie bombowce, które szykowały się do ataku w południo-

wym Sudanie albo w innych częściach gór Nuba. Bombardowały wioski, szkoły, kościoły i szpitale.

Miałam nie więcej niż dziewięć lat, kiedy ojciec opowiedział mi tę historię. Długo chronił mnie przed prawdą. To, co mówił, było przerażające. Wiedziałam, że gdyby Arabowie zaatakowali naszą wieś, ojciec by z nimi walczył. Tak jak wojownicy Shimii próbowaliby ratować swoją rodzinę i swoje plemię.

## Czas obrzezania

Dopiero kiedy miałam około jedenasto lat, dowiedziałam się w końcu, co tak naprawdę oznaczała krew na ślubnym prześcieradle Kunyant. Pewnego dnia mama oznajmiła mi, że mam zostać obrzezana. W naszej tradycji obrzezanie oznacza przejście z okresu dzieciństwa do dorosłości. Chłopców poddawano obrzezaniu, kiedy mieli około dwunasto lat, a dziewczynki nawet wcześniej.

Poprosiłam mamę, żeby wyjaśniła mi, co to takiego obrzezanie \*. Zabrała mnie do chaty i zamknęła drzwi. Posadziła mnie na łóżku i kazała rozsunąć nogi. Pokazała, gdzie mnie natną, a potem zszyją, zostawiając tylko małą dziurkę. Byłam przerażona. Brzmiało to strasznie. Powiedziałam mamie, że nie chcę, żeby mi to zrobiono. Przez cały miesiąc, za każdym razem, kiedy próbowała o tym porozmawiać, zaczynałam płakać. Kiedy ojciec dowiedział się, jaka jestem zdenierwowana, wziął mnie na kolana i delikatnie gładził po głowie.

**\* Obrzezanie kobiet praktykowane jest do dzisiaj w Somalii, Sudanie czy Egipcie. Polega na wycięciu łechtaczki i w zależności od kraju, mniejszej lub większej części warg sromowych. Srom jest zszywany, pozostawia się jedynie małą dziurkę, czasem tak małą jak główka zapalki. Dopiero w noc poślubną męczyzna siłą rozszerza wejście do pochwy.**

— Nie płacz, Mende. Wszystkie dziewczynki we wsi w twoim wieku zostaną obrzezane, więc nie jesteś osamotniona.

Mama usiadła przy nas i wzięła mnie za rękę.

— **Ba** ma rację, Mende. To dla twojego dobra. Jeżeli tego nie zrobisz, nie będziesz mogła wyjść za mąż.

Ostatecznie przekonali mnie, że to najlepsze, co można zrobić. Ufałam moim rodzicom, więc postanowiłam spróbować przejść przez to najszybciej jak to możliwe. Mama poszła zobaczyć się z kobietą zajmującą się obrzezaniem i ustaliła, że zostaną nacięta za trzy dni. Niektóre z moich przyjaciółek, te starsze, już obrzezane, powiedziały mi jednak, że to potworność i że nie powinni mi tego robić. Wróciłam do domu we łzach. Mama zapytała, co się stało.

— Nie chcę, żeby mi to zrobiono — wyszlochałam. — Czy muszę? Inne dziewczynki powiedziały, że to okropne. Proszę, nie każ mi tego robić.

— Nie wierz w to, co mówią — powiedziała mama. — Nie martw się. Dopilnuję, żeby ta kobieta obeszła się z tobą wyjątkowo delikatnie.

Kobieta, która wykonywała w naszej wiosce obrzezanie, była też akuszerką, ale większość czasu spędzała, pracując na swoich polach. Trzy dni później, tuż przed świtem, zjawiła się w naszym domu. Przyszły też Kunyant i Shokan. Ojciec oddalił się do domu dla mężczyzn. Kobieta posadziła mnie na drewnianym stołeczku, rozsuwając mi nogi na boki najszerzej, jak się dało. Wygrzebała pode mną dziurę w ziemi. Zdrętwiałam z przerażenia, kiedy wyjęła starą brzytwę i opłukała ją w odrobinie wody. Potem, bez słowa, przykucnęła między moimi nogami.

Czułam, jak mnie chwyta. Mój krzyk ścinał krew w żyłach: szybkim ruchem ostrza wcięła się w moje ciało. Płakałam, kopałam i próbowałam się wyrwać. Ból był gorszy niż wszystko, co kiedykolwiek sobie wyobrażałam.

— Nie! Nie! **Umi! Umi!** Każ jej przestać! — krzyczałam, ale siostry i matka przytrzymały mnie i siłą rozsuwały moje nogi, żeby kobieta mogła kontynuować cięcie.



— Przepraszam, przepraszam, przepraszam — powtarzała cicho mama ze łzami w oczach.

Na moje uda tryskała krew i spływała na ziemią. Czułam, jak kobieta chwyta moje ciało, odcina je i wrzuca do dziury w ziemi. Miałam wrażenie, że umieram. Ojciec musiał usłyszeć moje krzyki, bo złamał wszystkie zasady obowiązujące w naszym plemieniu i wpadł do chaty. Usiadł, trzymał mnie mocno i powtarzał mi do ucha:

— Proszę, nie płacz, Mende. Wiem, że to boli. Proszę, bądź dzielna i nie płacz.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Poczułam, że kobieta znów za coś chwyta i urywanymi ruchami zaczyna odcinać to ostrzem brzytwy. Ból był jeszcze silniejszy niż przedtem, o ile to w ogóle możliwe. Krzyczałam, rzucałam się i próbowałam ją od siebie odepchnąć, ale trzymano mnie tak mocno, że nie mogłam się ruszać. Wreszcie, zakrwawionymi rękami, wyciągnęła ze mnie coś jeszcze i też wrzuciła do dziury. Pamiętam wyraz zadowolenia na jej twarzy, jakby wszystko poszło znakomicie.

— Postaw wodę na ogniu, żeby się zagotowała — nakazała chłodno, odwracając się do mojej mamy.

Gdy leżałam, dysząc, łkając i drżąc, zobaczyłam, że nawleka na igłę grubą, bawełnianą nić. Zanurzyła igłę w garnku z gotującą się wodą, po kilku sekundach wyjęła ją i ponownie nachyliła się między moimi nogami.

— Nie! — krzyknęłam, wrywając się. — Nie! Nie! Nie!

Ale znów mocno mnie przytrzymało, ponieważ zaczęła zaszywać krwawiące pozostałości mojego ciała. Nie potrafię opisać bólu, jaki wówczas czułam. Pamiętam, że przez mgłę szoku i bólu myślałam niejasno: Mama obiecała, że to nie będzie bolało. Okłamała mnie. Okłamała mnie. Okłamała mnie.

Gdy kobieta skończyła, byłam półprzytomna z bólu. Akuszerka zasypała dziurę w ziemi i starannie przydeptała. Tam, gdzie było wejście do pochwy, został tylko maleńki otvorek wielkości końca mojego najmniejszego palca. Wszystko inne zniknęło.

Cała ta potworna operacja musiała trwać ponad godziną. Rodzice zapłacili kobiecie połową worka prosa.

Natychmiast po jej wyjściu przyszły ciotki i zrobiły dla mnie *Mil*.

— *Aye, aye, aye, aye* — skandowały, tańcząc wokół mnie.

Potem zjawili się wszyscy nasi krewni i odbyła się wielka biesiada. Mama próbowała nakłonić dzieci, żeby śpiewały dla mnie i tańczyły, bym mogła zapomnieć o bólu i stracie, ale byłam ledwie świadoma ich obecności. Przez trzy dni leżałam w malignie. Z bólu nie mogłam spać, ale też nie byłam całkiem przytomna. Rodzice również nie spali, ponieważ cierpiałam takie męczarnie, że przez cały czas płakałam. Myślę, że próbowali mnie ukoić i wynagrodzić mi to, że przyczynili się do tego, co mnie spotkało, ale prawie niczego nie pamiętam. Drugiego dnia ból się nasilił. Każda chwila była męczarnią. Przypuszczam, że musiałam cierpieć z powodu infekcji.

— Dlaczego mi to zrobiłaś? — zapytałam mamę, gdy na moment odzyskałam świadomość. — Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że nie będzie bolało. Okłamałaś mnie.

— Będiesz przez to zdrowsza. Będiesz czysta. I pozostaniesz dziewicą — powtarzała w kółko mama. Wiem, że wierzyła w to, co mówiła.

Pierwsze, co wyraźnie pamiętam, to wyjście na siusiu trzeciego dnia. Z powodu bólu nie mogłam ukucnąć, więc mama musiała mnie podtrzymywać. Ale kiedy tylko poleciały pierwsze krople, poczułam między nogami palący ból. Płakałam, drżałam i kurczowo trzymałam się mamy.

— Nie mogę zrobić siusiu — jęczałam. — Za bardzo boli. — Mama pomogła mi wrócić do chaty i przemyła mi krocze ciepłą herbata. Kiedy to robiła, zachciało mi się siusiu i popuściłam parę kropel.

Gdy leżałam, dochodząc do siebie, miałam dużo czasu na przemyślenie tego, co się stało. Z tego, co dotychczas widziałam, różnica między obrzezaniem a małżeństwem była niewielka. W obu przypadkach krwawiło się, znosiło męczarnie i nie

można było podnieść się z łóżka. Postanowiłam wtedy, że nie wyjdę za mąż. Podstępem nakłoniono mnie do obrzezania. Nie dam się nabrać na małżeństwo.

Byłam zła na mamę, ojca i moje siostry, Kunyant i Shokan. Powiedzieli mi, że poddanie się obrzezaniu jest słuszne. Obiecali, że nie będzie bolało. Kiedy próbowałam powstrzymać tę kobietę, wszyscy mnie przytrzymywali. Ale najbardziej zła byłam na akuszerkę. Zmasakrowała mnie, nie siląc się nawet na delikatność czy choćbyjedno miłe słowo. Po tygodniu znów przysłała do naszego domu. Kiedy się pojawiła, odmówiłam rozmowy z nią. Chciała zdjąć mi szwy, ale nie pozwoliłam, żeby się do mnie zbliżyła.

— Nie dotykaj mnie! — krzyczałam. — Nie wąż się mnie dotknąć! Nie zbliżaj się do mnie! Nie zbliżaj się!

Wydawała się nieco zaszokowana moją reakcją. Próbowła wyjaśnić, że przysłała zdjąć mi szwy i że mnie nie skrzywdzi.

— Tak jak nie skrzywdziłaś mnie ostatnim razem — obraziłam się. — Nie dotkniesz mnie. Moja mama zdejmie szwy, nie ty.

Widziałam mamę stojącą z boku i skręcającą się ze wstydu, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie chciałam, żeby ta okrutna kobieta się do mnie zbliżała. Mama przeprosiła ją za moje zachowanie.

— Nie przejmuj się. Sama wyjmę szwy. Zostaw to mnie.

Przez cały tydzień mama przemywała moje szwy ciepłą herbatą i olejem, starając się je zmiękczyć, ale za każdym razem, kiedy próbowała je usunąć, prosiłam ją, żeby przestała. Mama była bardzo delikatna i czuła, więc nadal namaczała szwy, by po godzinie próbować ponownie. Minęły trzy tygodnie, zanim się z tym uporałyśmy. Przez cały ten czas zarówno mama, jak i ojciec sprawiali wrażenie bardzo smutnych i pełnych poczucia winy.

Niektóre dziewczęta z naszego plemienia umarły po obrzezaniu z powodu infekcji. Kolejne umierały przy porodzie, ponieważ miały zbyt wąskie pochwy. Jeszcze częściej podczas

porodu z tej samej przyczyny umierały dzieci. Prawdopodobnie właśnie dlatego zmarło pierwsze dziecko Kuyant.

Dopiero po dwóch miesiącach wybaczyłam rodzicom, że pozwolili mnie obrzezać. Wiedziałam, że wyrazili na to zgodę, ponieważ bali się, że jeśli nie zostanę obrzezana, nigdy nie wyjdę za mąż. Żaden mężczyzna z plemienia Nuba nie poślubi dziewczyny Nuba, o ile nie jest „ciasna”, co dowodzi jej dziewictwa. Moi rodzice naprawdę szczerze wierzyli, że robią to, co dla mnie najlepsze.

## Moje marzenie

W szkole radziłam sobie naprawdę dobrze. Miałam jedenaście lat, byłam ambitna i nie zamierzałam całego życia spędzić w wiosce. Postanowiłam zostać lekarzem. Wiedziałam, że trzeba by cudu, żebym mogła ukończyć szkołę, a potem zostać wysłana do dużego miasta, by studiować medycynę, ale modliłam się do Allaha o taki właśnie cud.

Pewnego dnia poruszyłam ten temat z ojcem.

— *Ba*, kiedy dorosnę, chciałabym być doktorem — powiedziałam. — Nie będziesz mógł chodzić na polowanie i pracować w polu, kiedy będziesz stary. Będziesz za bardzo zmęczony. Jeżeli zostanę doktorem, zarobię dość pieniędzy, żeby opiekować się tobą na starość. Takie jest moje marzenie. Co o tym sądzisz?

Tata zapewnił, że zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby pomóc mi to marzenie zrealizować. Powiedziałam mu, że doszłam do wniosku, iż chcę zostać lekarzem z powodu tego, co spotkało mojego brata Babo. Pewnego dnia strasznie się rozchorował. Potwornie bolał go brzuch, a gdy próbował oddawać mocz, leciała tylko krew i śluz. W naszej wsi nie było lekarza. Pozostawało zwrócić się do *kujura* albo próbować leczyć Babo w domu. Jeżeli ktoś chorował naprawdę poważnie, można go było zabrać do najbliższego dużego miasta, Dillingu.

Leżało ono co najmniej o dzień drogi od wioski, ale był czas żniw i rodzice musieli pracować w polu, więc nie było nikogo, kto mógłby zabrać Babo do szpitala.

Trzeciego dnia mój brat czuł się tak źle, że babcia postanowiła, iż wyruszy do Dillingu pieszo, wioząc Babo na osle. Mój najstarszy brat Kwandsharan i dziadek postanowili jej towarzyszyć, ponieważ była to daleka podróż. Zalewałam się łzami. Mój ukochany brat Babo był już tak wyczerpany chorobą, że jego stan właściwie nie pozwalał na podróżowanie. Próbowaliśmy namówić babcie, żeby pozwoliła mi pójść z nimi, ale powiedziała, że jestem za mała. Odprowadziłam ich więc na skraj wsi, a potem obserwowałam, jak znikają między wzgórzami.

Minęły dwa dni i nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości. Spadło tyle deszczu, że ścieżka do Dillingu stała się nie do przebycia. Trzeciego dnia dotarł do nas jakiś mężczyzna. Był wyczerpany i od stóp do głów pokryty błotem. Mama zdążyła już wrócić z pola. Przygotowała dla niego coś do jedzenia, a on przekazał nam wieści. Babo miał krwotok z nosa, którego nie można było zatamować. Był błydy jak trup z powodu utraty krwi. Lekarze powiedzieli, że jest ciężko chory. Tego wieczoru wrócił do domu ojciec i kiedy mama wszystko mu opowiedziała, postanowił ruszyć prosto do Dillingu. Mama, Kuntary, Shokan i ja chcieliśmy iść z nim, ale ojciec powiedział, że musimy zostać i pomóc przy żniwach.

— **Ba**, proszę, pozwól mi pójść z tobą — jęczałam. — Nie zostawiaj mnie. Nie możesz! Babo jest moim najlepszym przyjacielem! Jak możesz mnie tu zostawić, kiedy on jest taki chory?

— Posłuchaj, nie możesz pójść — uspokajała mnie mama. — To za daleko i trzeba przejść przez wiele rzek. To niemożliwe. Wiem, że to twój brat i że go kochasz. Wszyscy chcemy pójść, ale będziesz musiała zostać tu z nami i pomóc w polu.

Nie zamierzałam tego słuchać. Im bardziej stanowczo rodzice zabraniali mi iść, tym bardziej upierałam się, że pójdę. W końcu ojciec ustąpił.

— Amnur — powiedział do mamy — puść ją. Jeżeli ją zostawimy, będzie tak płakała, że jeszcze i ona gotowa się rozchorować. Weźmiemy ją. Zapytam wuja Jerongira, czy pożyczy nam osła.

Następnego ranka, bardzo wczesnie, wyruszyliśmy. Wuj Jerongir nie tylko pożyczył nam osła, ale zdecydował się pójść z nami. Podróż okazała się najgorsza z możliwych. Wiał porywisty wiatr, siekąc nam deszczem w twarz i przyginając drzewa do ziemi. Osioł wciąż grzązł w błocie, więc nie mógł mnie nieść. Jednak najgorsze były strumienie, które zmieniły się w szerokie rwące rzeki, niektóre tak głębokie, że woda sięgała ponad moją głowę. Kiedy miałam przejść przez wodę, wujek trzymał mnie za jedną rękę, tata za drugą i dosłownie mnie przenosili. Wyszliśmy z domu o szóstej rano, ale do ósmej wieczorem nie zdołaliśmy jeszcze dotrzeć do Dillingu. Zatrzymaliśmy się w końcu nad rzeką tak wezbraną po deszczu, że wiedzieliśmy, iż nie damy rady się przepawić. Z miejsca, w którym staliśmy, widzieliśmy nawet światła Dillingu, ale nie mieliśmy wyboru i musieliśmy spędzić tu noc. Wybraliśmy miejsce wysoko na brzegu, pod drzewem. Byłam tak zmęczona, że położyłam głowę na kolanach ojca i natychmiast zasnęłam.

Do wschodu słońca następnego dnia burza minęła i rzeka opadła na tyle, że mogliśmy się przez nią przepawić. Godzinę później dotarliśmy do Dillingu. Pierwszy raz w życiu byłam w mieście. Gdy szliśmy główną ulicą, rozglądałam się ze zdumieniem dookoła. Niemal wszystkie domy zbudowano z kamienia i pokryto lśniącymi blaszanymi dachami. Droga, po której szliśmy, zrobiona była z twardej czarnej substancji. Ojciec wyjaśnił mi, że służy dojazdy samochodami. Większość mieszkańców stanowili Arabowie i wszyscy mieli na sobie ładne ubrania. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby na świecie mogło istnieć większe czy bardziej eleganckie miasto.

Mój ojciec był wcześniej w Dillingu raz czy dwa na wielkim targu, więc zaprowadził nas prosto do szpitala, jednak Arab pilnujący wejścia poinformował nas, że musimy kupić bilet.

Ojciec powiedział, że nie ma pieniędzy, a szliśmy cały dzień i całą noc, żeby tu dotrzeć. Arabski ojca był kiepski i strażnik stwierdził, że nie rozumie ani słowa z tego, co ojciec mówi. Byłam okropnie zła, bo wiedziałam, że celowo rzuca ojcu obelgę w twarz. Spróbuj mówić w nuba!, pomyślałam. Zobaczymy wtedy, kto wyjdzie na głupka.

Musiałam tłumaczyć z nuba na arabski, gdy ojciec powtórzył całą historię od początku. Mój arabski był już wówczas całkiem niezły i strażnik w żaden sposób nie mógł udawać, że źle rozumiał. Wyglądał na strasznego waźniaka i głośno sapał. W końcu powiedział, że wpuści tylko ojca. Wuj Jerongir i ja musieliśmy zaczekać na zewnątrz. Nie mogłam uwierzyć, że po całej tej potwornej podróży ktoś chce mi przeszkodzić w spotkaniu się z Babo. Gdy usiadłam na szpitalnych schodach, po policzkach ciekły mi gorące łzy gniewu.

Po chwili zebrał się tłum ludzi pytających, co się stało. Powiedziałam im, że mój brat jest w szpitalu i pewnie umiera, ale strażnik nie chce mnie wpuścić. Gdy wykrztusiłam całą tę łzawą historię, wskazałam na strażnika i sądzę, że musiał czuć się bardzo zawstydzony. Wyszedł ze swojej budki i zapytał, dlaczego płaczę. Oczywiście wiedział to doskonale, próbował tylko dobrze wypaść w oczach innych. Okazując nam wielką uprzejmość, otworzył drzwi i wpuścił wuja Jerongira i mnie do środka. Nie zatrzymałam się nawet na chwilę, żeby mu podziękować, tylko popędziłam szukać brata.

Babo leżał w łóżku z igłą wbitą w ramię i workiem jakiegoś podobnego do wody płynu nad głową. Wyglądał na bardzo chorego. Podbiegłam do niego, ale zobaczyłam, że ma na wpół otwarte oczy, tak że widać tylko białka. Próbowałam go uściskać, ale nie reagował. Przez jedną potworną chwilę myślałam, że nie żyje. Ale mój starszy brat, Kwandsharan, który siedział obok niego, musiał domyślić się, co mi przyszło do głowy.

— Nie martw się, Mende — powiedział. — Babo tylko śpi.

— Jeżeli tylko śpi, to dlaczego ma na wpół otwarte oczy? — zapytałam spanikowana.



Kwandsharan powiedział mi, że Babo zawsze sypia z otwartymi oczami. Wkrótce zjawił się arabski lekarz, który powiedział nam, że Babo miał bardzo ostrą dyzenterię. Gdy dotarł do szpitala, myśleli, że jest już za późno, żeby go uratować. Pierwszego dnia podłączono mu kroplówkę. Przez trzy dni walczyli, żeby utrzymać go przy życiu, ale teraz dochodził już do siebie. Zostałam przy nim, tuląc go długo. Dla mnie nie wyglądał jak ktoś, komu jest lepiej. Miał suchą, bladą skórę i spieczoną usta.

Później, kiedy Babo się obudził, zdołaliśmy wyprowadzić go na szpitalne podwórze, żeby zaczerpnął trochę świeżego powietrza. Pierwsze, co nam powiedział, to że chce wracać do domu. Mówił, że szpital paskudnie pachnie i nienawidzi przebywania ze wszystkimi tymi chorymi ludźmi. Lekarze uznali jednak, że jest o wiele za wcześnie, żeby teraz zabierać go do wioski. Tamtej nocy spaliśmy na ziemi na szpitalnym podwórzku. Przed zaśnięciem ojciec odbył ze mną krótką pogawędkę:

— Wiesz, Mende, to chyba z woli Allaha poszłaś z nami. Gdyby cię nie było, nie przekonalibyśmy strażnika, żeby nas wpuścił.

Trzy dni później Babo czuł się na tyle dobrze, żeby opuścić szpital, więc wsadziliśmy go na osła i wyruszyliśmy z powrotem do wsi. Dla Babo była to trudna podróż, ponieważ nadal był osłabiony.

Tak więc mój brat omal nie umarł, a ja zdałam sobie sprawę, że gdyby w naszej wsi był lekarz, Babo nie musiałby odbywać tej okropnej wyprawy do Dillingu. Stało się oczywiste, że musimy mieć w wiosce lekarza z plemienia Nuba. I wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że ja mogę zostać tym lekarzem.

Po rozmowie z ojcem zdecydowałam, że naprawdę to właśnie chcę robić. Zaczęłam uczyć się jeszcze pilniej. Chodziłam do szkoły już piąty rok i nadeszła pora na naukę angielskiego. Najpierw nauczyliśmy się alfabetu, a potem prostych słów w rodzaju „kapelusze”, „kot” i „pies”. Angielski był językiem *hawajas*, więc jego uczenie się było dla mnie czymś bardzo egzotycznym i podniecającym.

Wciąż rozmawiałam z ojcem o tym, że chcę zostać lekarzem. Wiedziałam, że bez jego wsparcia nie zdołam zrealizować mojego marzenia.

— Jeżeli ci się to uda, będziesz mogła leczyć chorych ludzi — powiedział. — To dobry sposób na życie.

Wiedziałam, że chodziło mu o to, że powinnam wrócić i być lekarzem w naszej wsi.

Po ukończeniu wiejskiej szkoły musiałabym uczęszczać do szkoły średniej w El Obeid, bardzo, bardzo odległym mieście. Uczył się w niej tylko mój najstarszy brat. Dla ojca wysłanie mnie tam byłoby bardzo kosztowne. Wiedziałam, że każdego roku musiałyby sprzedać przynajmniej jedną krowę. Moja nauka wiązałaby się z ogromnymi wydatkami, jednak ojciec przez cały czas wspierał mnie i dodawał odwagi.

Miałam ze dwanaście lat i zaczęłam szósty rok szkoły. W tym czasie uczyłam się ośmiu przedmiotów: arabskiego, angielskiego, geografii, historii, przyrody, matematyki, sztuki i Koranu. Radziłam sobie w szkole coraz lepiej i razem z Kehko miałyśmy najlepsze oceny. Klasowy policjant, Mohamed, zwykle był trzeci. Wówczas wiedzieliśmy już, że zdobycie dobrego wykształcenia jest kluczem do realizacji naszych marzeń, więc wszyscy naprawdę przykładaliśmy się do nauki. Jednak sześć miesięcy później naszą wieś zaatakowali bandyci.

Część 2

W niewoli

## Allah Akbar!

Był koniec pory suchej. To piękny czas, słońce mocno praży, a na bezkresnym afrykańskim niebie nie ma ani jednej chmurki. Ranki były jeszcze stosunkowo chłodne, więc najpierw odbywała się gimnastyka. Po przerwie mieliśmy arabski, a potem lekcje Koranu. Szczególnie cieszyłam się na angielski, ponieważ należał do moich ulubionych przedmiotów. Tamtego dnia studiowaliśmy strukturę angielskiego zdania „Ptak przeleciał nad drzewem”, „Kot przeskoczył nad psem”. Po angielskim była geografia i przyroda, a potem dzwonek obwieszczał koniec lekcji. Wyruszyłam do domu z moją przyjaciółką Kehko. Po drodze bawiłyśmy się: klepałam ją biegłam między drzewa, a ona mnie goniła i w końcu wpadałyśmy na siebie ze śmiechem.

Kiedy przyszedłam do domu, rzuciłam szkolne rzeczy w kątek chaty, przyszła Uran, żeby pocierać się o mnie ogonem. Sprawdziłam, czy ma mleko, a potem poklepałam się po kolanach, a ona na nie wskoczyła. Później zajęłam się codziennymi obowiązkami: posprzątałam chatę, zamiotłam podwórce i pozmywałam. Wreszcie zjawiała się Kehko i poszłyśmy po wodę. Gdy wróciłyśmy, wszyscy byli już w domu, po pracy w polu, bo mieliśmy czas żniw. Dałam wodę mamie i poszłam wydoić kozy. Kiedy cała tykwa napełniła się spie-

nionym mlekiem, wypitałam trochę, bo byłam spragniona po długim marszu, a resztę wlałam do miski Uran.

Po kolacji usiadłam przy ogniu z mamą, Babo i wujami. Niebo było bezchmurne, a noc zimna. Ojciec opowiadał historię o tym, dlaczego Nuba nie polują na małpy. Słyszałam ją wcześniej wiele razy, ale ojciec potrafił tak opowiadać, że zawsze wydawała się zabawna. W lasach wokół naszej wsi żyło mnóstwo czarnych, włochatych małp, ale nie polowaliśmy na nie. Ojciec powiedział, że są tak bardzo podobne do ludzi, ponieważ kiedyś naprawdę były ludźmi, i dlatego nie zabijamy ich i nie jemy. Po opowieści Babo i Ajeka poszli na noc do domu dla mężczyzn, a my udaliśmy się na spoczynek do chaty. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale było już po ósmej, a rodzice mieli za sobą ciężki dzień w polu, więc ułożyłam się koło ojca i wszyscy mocno zasnęliśmy.

W środku nocy obudziłam się przestraszona. Usiadłam na łóżku i zorientowałam się, że ojciec i mama także nie śpią. Nasłuchiwaliliśmy, próbując odkryć, co nas zbudziło. Słyszeliśmy w oddali stłumione krzyki. Ojciec wstał cicho i podszedł do drzwi. Odsunął drewniany skobel i wystawił głowę na zewnątrz. Mama i ja podkradliśmy się do niego. Zobaczyliśmy płomienie i usłyszeliśmy krzyki. Daleki koniec wsi stał w ogniu.

Podczas żniw od ognia, który utrzymywano w chatach, często zajmowało się suche poszycie. Czas żniw nazywano *karangit* — zimnym czasem, bo była to najchłodniejsza, najbardziej wietrzna pora roku. Gdy wybuchał pożar, cała wieś biegła na pomoc. Kiedy pospiesznie wyszliśmy na podwórze, zauważyliśmy, że ludzie uciekają od ognia, pędząc w naszą stronę. Ojciec od razu wiedział, że stało się coś złego. Ludzie byli jeszcze daleko i nie mogliśmy zrozumieć, co krzyczą.

Wkrótce jednak zobaczyliśmy obcych gnających przez wieś z płonącymi pochodniami w rękach. Zauważyłam, jak jeden

z nich cisnął głownię na strzechę i chata stanęła w płomieniach. Gdy mieszkańcy chaty wybiegli na dwór, ci ludzie rzucili się na nich i zadźgali ich nożami.

— Mudżahedini! — krzyknął ojciec. — Arabowie! Mudżahedini są we wsi!

Wciąż nie rozumiałam, co się właściwie dzieje, ale ojciec złapał mnie za rękę i zaczęliśmy uciekać. Wtedy ojciec przypomniał sobie nagle o Babo i Ajece.

— Babo! Ajeka! — wrzasnął, spoglądając to na dom dla mężczyzn, to na szybko nadjeżdżających napastników. Widziałam, że jest rozdarty między pragnieniem ostrzeżenia współplemieńców a koniecznością ucieczki. Nagle podjął decyzję.

— Biegiem! Biegiem! — krzyknął, popędzając nas. — Będą musieli sami się ratować.

Mama zaczęła płakać, ja łkałam rozpaczliwie, jednak nie mieliśmy wyboru, musieliśmy uciekać. Kurczowo chwyciłam ręce rodziców i zaczęliśmy biec. Arabowie byli wszędzie, wyciągali ludzi z chat i zabijali ich jak zwierzęta, podcinając nożami gardła. Widziałam ojca, który próbował ratować swoją córkę, ale napastnik chwycił go z tyłu i dźgnął nożem. Czułam, jak mój ojciec mocniej chwyta mnie za rękę, ponaglając do szybszego biegu.

Mimo dymu i płomieni zorientowałam się, że ojciec zmierza w stronę wzgórz. Miałam wrażenie, że biegniemy już całe wieki, gdy wreszcie w zasięgu wzroku pojawiła się linia lasu. Gdybyśmy zdołali się tam dostać, moglibyśmy ukryć się wśród drzew. Nagle ojciec stanął jak wryty.

— Mudżahedini! — krzyknął, wskazując na wzgórze. — Mudżahedini! — Na skraju lasu stał długi rząd jeźdźców na koniach i blokował nam drogę ucieczki. Ludzie z wioski biegli prosto w pułapkę. — Mudżahedini! — krzyczał ojciec, próbując ich ostrzec. — Mudżahedini! — A wtedy bandyci wydali przeszywający okrzyk bojowy i ruszyli w naszą stronę.

Natychmiast zaczęliśmy biec w przeciwnym kierunku, lecz za nami rozległ się ogłuszający huk wystrzałów. Zapanowała panika i przerażenie, ludzie rozpaczliwie usiłowali gdzieś się ukryć. W całym tym chaosie nagle puściłam rękę mamy. Przez kilka sekund ojciec wołał:

— Amnur! Amnur! Amnur! — Nie było odpowiedzi. — Nic nie możemy zrobić — krzyknął. — Chodź, Mende! Biegnij! Biegnij! Musimy biec dalej!

Pobiegliśmy więc z powrotem do wsi. Czułam, jak falami zalewa mnie zmęczenie. Moje nogi stawały się coraz cięższe. Płuca gorączkowo chwyciły zimne powietrze. I wtedy ojciec zauważył stado spłoszonego bydła, które pędziło prosto na nas. Próbował przeprowadzić nas bezpiecznie przez oszalałe ze strachu, szarżujące stado, ale nagle jedna z krów wpadła prosto na mnie i runęłam jak długa na ziemię. Leżałam zwinięta w kłębek, czując walące we mnie kopyta. Teraz zgubiłam także ojca, myślałam, że zaraz umrę.

Wydawało się, że trwało to wieki, ale bydło popędziło dalej, a ja wciąż żyłam. Leżałam w pyłe, jęcząc, sparaliżowana strachem, a łzy strumieniem ciekły mi po twarzy. Modliłam się, żeby ojciec jakimś cudem mnie odnalazł, ale nagle jakiś mężczyzna chwycił mnie od tyłu i przydusił do ziemi.

Wciąż jeszcze próbowałam wołać ojca, bo wiedziałam, że musi być gdzieś w pobliżu, ale mężczyzna mocno zacisnął brudną rękę na moich ustach. Spodziewałam się, że zostanę pobita albo nawet gorzej, ale on podniósł mnie z ziemi. Spojrzałam na niego.

— Chodź — syknął. — Chcę ci pomóc. Chodź ze mną, a będziesz bezpieczna i wrócisz do swojej rodziny. Jeśli nie, inni cię znajdą i zabiją. Chodź.

Widziałam, że odwraca się i szepcze coś na ucho jednemu z towarzyszy. Zaczęli się śmiać. To byli Arabowie, mieli na sobie brudne ubrania. W świetle płomieni widziałam, że każdy miał za pasem zakrzywiony sztylet i pistolet. Ruszyliśmy przez płonąca wieś.

Po czasie, który wydawał mi się wiecznością, dotarliśmy do lasu. Tam, pod drzewami, siedziała mniej więcej trzydziestka innych dziewcząt i chłopców. Mimo że wyglądali na zaszkokowanych i wstrząśniętych, byłam szczęśliwa, że ich widzę. Rozpoznałam wiele dzieci z mojej wsi. Przynajmniej nie byłam już sama.

— Zostań tu, aż wszyscy napastnicy odjadą — powiedział do mnie mężczyzna. — Tu będziesz bezpieczna.

Usiadłam i rozejrzałam się. Nieopodal stały spętane konie. Pilnowało nas czterech ludzi. Wyglądali podobnie jak mężczyzna, który mnie przyprowadził. Przez cały czas myślałam o ojcu, mamie i Babo. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę. Przyprowadzano coraz więcej dzieci. Wiele z nich płakało rozdzierająco i nie mogło się uspokoić. Inne siedziały w milczeniu, patrząc wielkimi, nieprzytomnymi oczami. Najmłodsze miały około ośmiu lat, a najstarsze, jak ja, mniej więcej dwanaście. Spomiędzy drzew wciąż dochodziły nas odgłosy walki, ale teraz wydawały się odległe i przytłumione.

Siedzieliśmy tak do rana. Była tam dziewczynka, która, jak wiedziałam, mieszkała w sąsiedniej wsi. Nazywała się Sharan i miała zaledwie osiem lat. Zawodziła głośno, a ja bałam się, że rozzłości to strażników, więc namówiłam ją, żeby usiadła obok mnie, mając nadzieję, że uda mi się ją uspokoić.

Jakiś mały chłopiec, szlochając, opowiedział mi swoją historię. Cała rodzina uciekła przed pożarem, ale w zamieszaniu zostawili w płonącej chacie jego osiemnastomiesięczną siostrzyczkę. Inny chłopiec zorientował się, że to napad, kiedy mudzahedini wyważyli drzwi chaty. Widział, jak matka próbuje ukryć jego małe siostrzyczki, bliźniaczki, ale napastnicy złapali ją i poderżnęli jej gardło. Potem zabili niemowlęta. On ukrył się pod łóżkiem, ale napastnicy znaleźli go i wywlekli z chaty.

Do końca nocy wysłuchiwałam wielu okropnych opowieści. Przypomniałam sobie historię, którą ojciec opowiedział mi



0 ataku na plemię Shimii. Podczas napadu na naszą wieś widziałam dziewczęta powalone na ziemię i leżących na nich napastników. Wiedziałam, że te dziewczyny były gwałcone. Starałam się zwinąć w kłębek i wyglądać na jak najmniejszą, żeby nie zwrócić uwagi strażników. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że gdyby tamtej nocy po prostu mnie zgwałcili i zostawili w lesie, nie byłoby to takie złe w porównaniu z tym, co spotkało mnie później.

Gdy tylko świt zaczął rozjaśniać niebo nad drzewami, z mroku wyłonił się długi szereg mężczyzn. Gdy przechodzili obok, zauważyłam, że wszyscy mieli noże, niektórzy także nieduże pistolety i większe strzelby. Ręce wielu z nich ubrudzone były po łokcie krwią. Niektórzy mieli też krew wokół pasów, tam gdzie trzymali sztylety, a inni krew na wysokości łądźwi. Wyglądali na opętanych przemocą i złem.

W długim szeregu twarzy wypatrywałam człowieka, który przyprowadził mnie do lasu. Kiedy wreszcie go zobaczyłam, spojrzałam mu prosto w oczy, ale on odwrócił wzrok i zaśmiał się, unosząc lekko rękę i pomachał złotowrogo.

Mężczyźni weszli w las za nami. Musiało ich być około setki. Ustawili się w rzędach po pięciu, plecami do wzgórz, które widzieliśmy przed sobą. Modliłam się, żeby góry runęły i zabiły ich wszystkich. Mężczyzna, który szedł na przedzie, stanął teraz przed nimi i zaczął urywanym głosem rzucać rozkazy. Nie słyszałam, co dokładnie powiedział, ale wszyscy odpowiedzieli mu grzmiącym okrzykiem: **Allah akbar! Allah akbar! Allah akbar!**, Bóg jest wielki! Powtarzali ten okrzyk wciąż od nowa, a ich głosy odbijały się echem w dolinie.

Byłam zaskoczona i przestraszona. Mój ojciec mówił „**Allah akbar**”, kiedy zabił kozę albo kurczaka. Jeśli nie powierzyło się zwierzęcia opiece Allaha, nie było **halal**, było nieczyste i nie nadawało się do jedzenia. Ale dlaczego ci ludzie krzyczeli teraz „**illah akbar**” po tym, jak spalili waszą wieś, gwałcili i zabijali? Czy uważali, że robienie tego było **halal**? Byliśmy muzułmanami, tak jak oni, więc jak mogli tak myśleć?

Przez mniej więcej godzinę siedzieliśmy i czekaliśmy wśród porannych cieni, aż przestaną wznosić swoje zwycięskie okrzyki. Gdy skończyli, ruszyli pędem w naszą stronę. Najszybsi chwycili najstarsze dziewczynki, potem zaczęli zabierać młodsze, aż wreszcie wzięli się za chłopców. Jakiś mężczyzna chwycił Sharan. Krzyknęła głośno, bo chciała zostać ze mną ale on tylko przerzucił ją jak worek przez konia i odjechał w las.

## Ciemny las

Po chwili zjawił się mężczyzna, który mnie złapał. Zapytał, jak mam na imię, i pociągnął w stronę swojego konia. Nie chciałam nic mówić, ale za bardzo się bałam, żeby się sprzeciwić, więc powiedziałam, że Mende. Zostałam wrzucona na siodło, a on wskoczył za mnie. Koń był ogromny, znacznie większy niż osioł mojego ojca. Kiedy ruszyliśmy, chwyciłam się siodła i trzymałam z całej siły. Zbierając całą odwagę, krzyknęłam przez ramię:

— Dokąd jedziemy? Powiedziałeś, że zabierzesz mnie z powrotem do mojej rodziny!

— Kiedy się stąd oddalimy — uśmiechnął się drapieźnie — powiem ci dokąd.

Droga wiodła przez gęsty las, z dala od osad Nuba. Widziałam innych jeźdźców migających między drzewami. Nie minęło wiele czasu, kiedy mężczyzna zaczął macać mnie po całym ciele. Poczułam, jak chwyta mnie za piersi, choć nie miałam piersi, o których warto by wspominać, byłam przecież zaledwie dwunastolatką. Ścisnął mnie mocno, a ja nie mogłam go odepchnąć, bo trzymałam się siodła.

— Przestań! To boli — rozpłakałam się. — Proszę, przestań.

— Hej! Chcę tylko, żebyś była bezpieczna, w razie gdyby koń się potknął — odkrzyknął.

— Trzymam się siodła! Nie potrzebuję pomocy!

Jechaliśmy kamienistym łożyskiem rzeki, która wiła się przez las. Jest bardzo nierówne i niebezpieczne, wyjaśnił, i musi trzymać mnie mocno, żeby mnie chronić. Moje piersi były małe i delikatne, a on wciąż je obmacywał. Kiedy wjechaliśmy głębiej w las, wepchnął mi rękę między nogi. Poczułam gwałtowny ból i krzyknęłam, ale nie przestawał. Gdy byłam młodsza, mama powiedziała, że nie mogę pozwolić żadnemu mężczyźnie dotykać mojego ciała, dopóki nie wyjdę za mąż. Jeżeli na to pozwolę, spłonę w ogniu piekielnym. Rozpaczliwie wczepiona obiema rękami w siodło, nie byłam w stanie się obronić i zaczęłam płakać.

Po około dwóch godzinach jazdy powiedziałam, że chcę się zatrzymać na siusiu. Ściągnął wodze i postawił mnie na ziemi. Oddaliłam się za drzewo, ale zanim ukucnęłam, zorientowałam się, że podkradł się za mną. Czułam, że mi się przygląda, i słyszałam jego przyspieszony oddech. Byłam tak sparaliżowana strachem, że nawet nie mogłam się obejrzeć, żeby sprawdzić, co robi. Nagle rzucił się na mnie. Wrzasnęłam, kiedy upadałam na bok, a on siłą przewrócił mnie na plecy.

Zostałam przywoźdzona do ziemi, nie mogłam złapać tchu. Gdy próbował wepchnąć mi język do ust, o mało nie zwymiotowałam. Usiłowałam trzymać szczęki zaciśnięte, ale wtedy tak mocno ugryzł mnie w wargę, że poczułam smak krwi. Zaczął siłą rozsuwać mi nogi. Za każdym razem, kiedy starałam się je złączyć, mocno uderzał mnie w twarz. Poczułam, że próbuje wepchnąć we mnie palce. Ponieważ byłam zaszyta, moje ciało dosłownie się rozdzierało. Cierpiałam potwornie. Starałam się go odepchnąć i ścisnąć nogi, ale on wciąż mnie bił.

Potem położył się na mnie, siłą rozsunał moje uda i poczułam, że wpycha mi coś między nogi. Byłam przekonana, że to nóż albo pistolet i że próbuje mnie zabić. Czułam odór jego spoczonego ciała. Próbował siłą wepchnąć coś we mnie, ale z powodu mojego obrzezania najwyraźniej mu się to nie udawało. Nagle wydał z siebie długi jęk. Leżał tak, dysząc, przez czas, który

wydał mi się wiecznością, a potem zsunął się ze mnie. Zwinęłam się w kłębek, płacząc i zawodząc.

Jego ubranie było poplamione na wysokości kolan. Nie wiedziałam, co się stało. Zastanawiałam się, czy się zmoczył, ale był przecież dorosłym człowiekiem. Miałam nadzieję i modliłam się, żeby dostał ataku serca albo czegoś podobnego i żeby umarł. Czułam taki ból, że nie mogłam się ruszyć, więc leżałam we łzach i bólu, mając pewność, że moje życie dobiegło końca.

Obok nas przejechało kilku jeźdźców i kiedy nas zobaczyli, zatrzymali się. Może myśleli, że ich towarzysz ma kłopoty, a może po prostu także chcieli spróbować mnie zgwałcić. Mężczyzna usiadł i dał im znak, więc odjechali. Potem zaczął czyścić ubranie w miejscu, gdzie widniały plamy. Kiedy postawił mnie na nogi, chodzenie okazało się potwornie bolesne, ale posadził mnie na koniu i znów ruszyliśmy przez las.

Jechaliśmy może pięć minut, kiedy znów zaczął ścisnąć moje piersi. Chwycił mnie za brodę i siłą odwrócił mi głowę, żeby mnie pocałować. Pamiętam jego twarz tuż przed moją i ból obrzmiałej wargi. Pamiętam, jakie to było odrażające i pamiętam smak krwi w ustach. Pamiętam też dotyk jego ohydnych rąk i łzy strumieniami płynące po moich policzkach.

— Dlaczego płaczesz? To przyjemne! — powtarzał.

Kiedy znów próbował mnie pocałować, mocno ugryzłam go w usta, w rozpaczliwej próbie powstrzymania go, ale zamiast odepchnąć, przyciągnął mnie bliżej siebie.

— Tak! To przyjemne — zamruczał mi do ucha. — Ale nie gryź tak mocno. Pocałuj mnie!

Błagałam, żeby przestał, ale powtarzał, że niedługo zacznie mi to sprawiać przyjemność. Jechaliśmy tak cztery czy pięć godzin, a ja przez cały czas próbowałam z nim walczyć. Znów zachciało mi się siusiu, ale nie zamierzałam dawać mu okazji do postoju.

W końcu przyjechaliśmy na polanę, gdzie czekała reszta jeźdźców. Wiele dziewczynek płakało, niektóre wydawały się cierpieć bardziej niż ja.

— Nie mogę iść się załatwić, to tak bardzo boli — szlochała jedna. — Ten człowiek pociął mnie tam na dole.

Zauważyłam Sharan, która pędem do mnie przybiegła. Przestraszonym szeptem opowiedziała mi, że mężczyzna, z którym jechała na koniu, całował ją i dotykał. Miała zaledwie osiem lat. Słyszałam, że napastnicy rozmawiają po arabsku i śmieją się, wskazując na różne dziewczynki. Potem jeden z nich krzyknął do „mojego” jeźdźca:

— Attif, a jak u ciebie? Jak tam podróż? Dobrze się bawiłeś?

— Ech — gwizdnął Attif. — Świetna zabawa. Chciałbym to ciągnąć bez końca!

Kiedy zebrali się wszyscy mudżahedini, znów ruszyliśmy w drogę i dotarliśmy do dużego miasta. Okrążyliśmy je i znaleźliśmy się w obozie złożonym z dwudziestu lub więcej namiotów w kolorze khaki, ustawionych w rzędach. Przy bramie spotkaliśmy grupę mężczyzn w wojskowych mundurach. Przywódca mudżahedinów zatrzymał się, żeby z nimi porozmawiać.

— Wszystko w porządku — powiedział z uśmiechem. — Poszło dokładnie według planu.

Gdy jeźdźcy mijali żołnierzy trzymających straż przy głównej bramie, wykrzykiwali pozdrowienia.

— Jak jazda, bracie? — wołał żołnierz ze śmiechem. — Udała się?

— O tak, bracie. Mieliśmy bardzo, bardzo udaną podróż! — odkrzykiwał zapytany.

— Żałujemy, bracie, że nie mogła trwać dziesięć dni — włączył się inny jeździec. — Te dziewczynki są trudne do otwarcia. Wiesz, dziewczyny Nuba są dokładnie takie jak Arabki! Też obrzezane.

— Więc dowiedziałeś się czegoś nowego, co, bracie? — zaśmiał się żołnierz. — Ale wiesz, że te dziewczynki są takie małe, że i tak będzie trudno!

W obozie zostaliśmy rozdzieleni: dziewczynki do jednego namiotu, chłopcy do drugiego. Po mniej więcej półgodzinie przyszedł żołnierz i zostawił nam chleb, gotowaną soczewicę

i trochę prażonych orzeszków ziemnych, ale wszystkie byłyśmy zbyt wyczerpane i zbyt zaszokowane, żeby jeść. Położyłam się na podłodze namiotu, żeby spróbować się przespać, ale ból, który odczuwałam, był prawie tak silny jak przy obrzezaniu. Teraz wszyscy wiedzieliśmy już, że nie zobaczymy więcej naszych rodzin. Przyszła Sharan i przytuliła się do mnie.

— Ten człowiek próbował zjeść moje usta, jakby to było mięso — szlochała.

Inne dziewczynki także zaczęły opowiadać o tym, co spotkało je podczas jazdy. Wiele zostało zgwałconych, nawet te mające po dziewięć, dziesięć lat. Czują straszny ból. Wszystkie byłyśmy jednak za młode, żeby zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło.

— Próbował na siłę coś we mnie włożyć — opowiadałam ze łzami — ale nie dał rady, więc wepchnął tam rękę. To tak strasznie bolało, myślałam, że mnie zabije.

Tego pierwszego wieczoru pilnujący nas strażnik wydawał się mieć dla nas trochę współczucia.

— Nie płaczcie — mówił — macie szczęście. Wszystkie pojedziecie w bardzo dobre miejsce. Nie ma się czego bać. A teraz odpocznijcie trochę.

• Było już późno i próbowałyśmy zasnąć, ale przez całą noc budziłyśmy się, ponieważ wiele z nas miało koszmary i krzyczało.

Przez kilka pierwszych dni nie pozwalano nam wychodzić z namiotu. Chłopcom Nuba także. Trzeciego dnia przyszedł do nas mężczyzna ubrany w strój, który, jak teraz wiem, był oficerskim mundurem. Przeprowadził Araba ubranego w galabiję, długą tradycyjną szatę. Człowiek ten przeszedł się po namiocie, przyglądając się wszystkim dziewczynkom. Wskazał na trzy lub cztery i powiedział oficerowi, że chce właśnie te. Jakąś godzinę później przyszedł żołnierz i je zabrał. Nie wiedziałyśmy, że zostają zabrane na zawsze, więc nikt ich nie uściskał ani nie pożegnał.

Następnego dnia po zachodzie słońca strażnik dał nam dwie godziny, żebyśmy odetchnęły świeżym powietrzem. Wypuszczono też chłopców. Strażnik powiedział, że możemy się bawić, ale nikt nie miał nastroju do zabawy. Zauważyłam Ajoka, przyjaciela z mojej wsi. Sharan i ja poszliśmy z nim posiedzieć. Zapytałam go, gdzie zniknęli niektórzy chłopcy, bo wydawało mi się, że jest ich mniej.

— Zostali wczoraj zabrani — powiedział Ajok przyciszonym głosem.

— Część dziewczynek też została zabrana. Jak myślisz, gdzie się podziiali?

Ajok nie wiedział, ale nie przypuszczał, żeby kiedykolwiek wrócili. Tuż przed tym, jak kazano nam wracać do namiotu, Ajok zapytał:

— Co ci się stało wargę? Spadłaś z konia?

— Nie, nie spadłam — odparłam. — Ten człowiek, z którym jechałam, mnie ugryzł.

— Dlaczego? Próbowełaś z nim walczyć? — zapytał Ajok zaskoczony.

— On chciał mnie zabić! Próbował dźgnąć mnie nożem — wyjaśniłam.

Zaraz potem kazano nam iść spać. Następnego dnia strażnik zapytał, czy chcemy pójść do łazienki i się umyć. To była cudowna perspektywa, ale bałyśmy się, że to może być podstęp i że żołnierze się na nas rzucą. Poszliśmy więc grupą starszych dziewczynek, które były na tyle odważne, żeby zaryzykować. Łazienka okazała się mniejszym namiotem. Stałyśmy na drewnianej platformie, nabierałyśmy wody z dużego kamiennego zlewu i polewałyśmy się nawzajem. Tak dobrze było zmyć z siebie dotyk tamtych mężczyzn. Po raz pierwszy od wielu dni miałyśmy uczucie, że jesteśmy czyste.

— Tylko na pewno dobrze się wymyć — nalegał jeden ze strażników przez ścianę namiotu. — Macie tyle czasu, ile chcecie. Bo jak nie, to się pochorujecie.

Wzięłyśmy ze sobą majtki, żeby sprać z nich krew. Strażnik



dał nam stare koszule, dość duże, żeby nosić je jak sukienki. Były to takie same koszule jak te, które mieli na sobie żołnierze. Choć znoszone i poplamione, były czyste. Później przekonaliśmy się, dlaczego tak zależało im, żebyśmy się umyły. Chodziło o to, byśmy się lepiej prezentowały. Znowu zjawił się w naszym namiocie oficer, tym razem z dwoma Arabami. Rozejrzeli się i wybrali dziesięć dziewcząt.

Jedną z pierwszych, którą wybrali, była Kumał, moja przyjaciółka z sąsiedniej wsi. Poznałam ją na zawodach zapaśniczych i zaprosiłam do domu na poczęstunek. Ja zostałam wybrana na końcu. Wiedziałam już, że nie wrócę, więc podeszłam do Sharan i uściskałam ją na pożegnanie. Wybuchnęła płaczem i nie chciała mnie puścić.

— Posłuchaj, Sharan, kiedy stąd wyjdę, już nie wrócę — powiedziałam cicho, biorąc jej twarz w dłonie i patrząc prosto w oczy. — Nawet tobie nie pozwolą zostać na zawsze tu, w namiocie. Nie wiem, dokąd nas zabierają, ale postaraj się nie płakać. Powiedz mi teraz do widzenia. I bądź dzielna i silna.

Zostałyśmy zaprowadzone do „biura”, namiotu w odległym końcu obozu. Gdy czekałyśmy, słyszałyśmy dyskusję oficera z dwoma Arabami. W końcu wszyscy trzej wyszli z namiotu, śmiejąc się i żartując. Wydawali się bardzo zadowoleni z wyniku rozmowy. Arabowie wymienili uścisk dłoni z oficerem i powiedzieli: *Shokran* — dziękuję. Następnie rozdzielili nas na dwie grupy po pięć dziewczynek. Strażnik kazał nam oddać wojskowe koszule, więc Arabowie poprosili go, żeby popilnował nas przez godzinę, kiedy pojedą kupić nam jakieś ubrania.

Gdy tak siedziałyśmy, czekając w słońcu na powrót Arabów, wróciłam myślami do tego, co się wydarzyło. Najpierw napadnięto na moją wieś, potem zostałam porwana. No i jeszcze koszmarna jazda przez las. A teraz żołnierze przekazują nas dwóm Arabom. Nie mogłam uwierzyć, że mnie to spotyka. Czekałyśmy mniej więcej dwie godziny, żadna z nas nie mówiła zbyt wiele, byłyśmy wyczerpane i bałyśmy się przyszłości.

W końcu wrócili Arabowie, niosąc torby z nowymi ubraniami. Dostałyśmy po parze majtek i po sukience.

— Widzicie, mówiłem, że pojedziecie w dobre miejsce — odezwał się przyjacielski strażnik. — A teraz dostałyście piękne, nowe ubrania, więc same widzicie, że miałem rację.

Poszłyśmy do łazienki, żeby się przebrać, przymierzając różne sukienki, aż znalazłyśmy coś mniej więcej w naszym rozmiarze. Kiedy wyszłyśmy na zewnątrz, Arabowie podziękowali strażnikowi i wręczyli mu kilka zwiniętych banknotów.

— Proszę. To za przypilnowanie ich. — Potem odwrócili się do nas i nakazali: — Chodźcie z nami.

## Do Chartumu

Za bramą obozu czekały na nas dwie półciężarówki. Jeden z Arabów pomógł naszej piątce wejść na tył swojego pikapa. Zanim odjechalśmy, ostrzegł nas, że będzie miał na nas oko we wstecznym lusterku, ale nie zrozumialiśmy, o co mu chodzi. W górach Nuba nie mieliśmy luster, więc żadna z nas nie wiedziała, co to takiego wsteczne lusterko. Kiedy ruszyliśmy, spojrzałam na cztery pozostałe dziewczynki. Znałam już ich imiona: Ashcuana, Khumał, Kayko i Ammo. Byłam najstarsza, reszta chodziła do szkoły rok niżej. Dogoniliśmy większą ciężarówkę i przyspieszyliśmy, wiatr wpychał nam włosy do oczu.

Po kilku minutach dojechalśmy do rzeki i natychmiast rozpoznałam, gdzie jesteśmy. To była ta sama rzeka, na brzegu której spałam rok temu z ojcem i wujem w drodze do mojego brata Babo, który był wtedy w szpitalu. Wtedy rzeka wezbrała po deszczach i była nie do przebycia. Pamiętałam to wszystko tak dobrze — szczególnie podróż ze szpitala do domu, z Babo na osle. Wspomnienia napełniły moje oczy łzami. Gdzie jest teraz moja rodzina? Czy ktoś z nich jeszcze żyje?

Ale przynajmniej wiedziałam, gdzie jesteśmy. Obóz wojskowy musiał się znajdować na przedmieściach Dillingu. Teraz w rzece nie było wody. Arab przejechał ciężarówką przez jej

wyschnięte koryto. Pół godziny później gnaliśmy główną ulicą miasta. Rozpoznałam niektóre budynki. Ostatnim razem, kiedy tu byłam, szłam tą ulicą z ojcem i wujem, mała dziewczynka chora ze strachu o swojego brata. Teraz wioził mnie przez miasto na półciązarówce Arab, który traktował nas, jakby miał do czynienia z pięcioma sztukami bydła.

Ponieważ byłam najstarsza, pozostałe dziewczynki szukały we mnie oparcia. Jak tylko zdałam sobie sprawę, że jesteśmy w Dillingu, zaczęłam myśleć o ucieczce. Powiedziałam reszcie, że już kiedyś *ta* byłam. (Żadna z nich nigdy nie opuszczała wioski). Wydawało mi się, że umiałabym sobie przypomnieć drogę powrotną do wsi.

— Jak dotrzemy do centrum miasta, będzie musiał zwolnić z powodu innych pojazdów — wyszeptałam do nich. — Kiedy zwolni, dam znak i wyskakujemy. A potem biegniemy co sił w nogach.

Z początku dziewczynki były przestraszone, ale wyjaśniłam im, że to może być nasza jedyna szansa. Stałyśmy więc, wyczekując na odpowiedni moment, ale ruch był niewielki i ciągle jechaliśmy ze sporą prędkością. Kiedy Arab musiał zwolnić, starał się nie zatrzymywać ciężarówki. Ashcuana zauważyła jego oczy pilnie śledzące nas we wstecznym lusterku.

— Mende! — syknęła. — Zapomniałaś o tej specjalnej rzeczy, którą ma, żeby nas obserwować? On nas widzi z tyłu.

Właśnie wtedy mężczyzna zwolnił, żeby wyminąć ciężarówkę jadącą z przeciwnej strony. Może to jest nasza szansa? Ale kiedy zjechał na bok, wychylił się przez okno i zawołał do nas:

— *Salam alejkum!* Wszystko w porządku? Co się dzieje tam z tyłu?

Najwyraźniej domyślił się, że coś kombinujemy. Usiadłyśmy zniechęcone. Znowu przyspieszyliśmy i niedługo Dilling został daleko za nami w chmurze pyłu. Ciężarówka zaczęła podskakiwać i trząść się na gruntowej drodze prowadzącej przez rozległą przestrzeń płaskiego buszu. Z każdym obrotem kół odjeżdżaliśmy od gór Nuba coraz dalej i dalej.

Siedziałyśmy w gorącej, pylistej fali powietrza, którą zostawiał za sobą samochód. Z powodu hałasu niewiele mogłyśmy do siebie powiedzieć, więc trwałyśmy pograżone w smutnych myślach. Po dwóch lub trzech godzinach jazdy byłyśmy zgrzane i spragnione. Obok nas leżały butelki z wodą ale bałyśmy się, że jeśli się napijemy, zechce nam się siku. Po ostatnich doświadczeniach wszystkie bardzo niechętnie myślałyśmy o tym, żeby siusiać w buszu pod okiem Arabów.

Ciężarówka miała twardą drewnianą podłogę i metalowe boki i bardzo nami rzucało. W normalnych warunkach już samo to byłoby wystarczająco uciążliwe, a my wszystkie na dodatek wciąż jeszcze odczuwałyśmy dotkliwy ból. Widziałam, że inne dziewczynki są w gorszym stanie niż ja. Mijało popołudnie, a kierowca jechał coraz szybciej. Próbowałyśmy trzymać się boków pikapa, kiedy skręcał, żeby omijać dziury w drodze, ale metal był rozgrzany od słońca i nie dało się go dotknąć. Położyłyśmy się więc na podłodze i próbowałyśmy zaklinować jedna o drugą, żeby podróż stała się mniej męcząca.

Jechaliśmy w ciemności, ani na chwilę się nie zatrzymując. W nocy temperatura na pustyni gwałtownie spadła. W połączeniu z chłodnym powiewem pędzącego pojazdu sprawiło to, że zrobiło się dotkliwie zimno, a miałyśmy na sobie tylko majtki i letnie sukienki. Przytuliłyśmy się do siebie i próbowałyśmy ogrzać. W końcu zabębniłam w dach kabiny i krzyknęłam do Araba, że zamarzamy, ale on tylko pokazał na wepchniętą w kąt czarną płócienną plandekę.

— Jeżeli wam zimno, użyjcie tego — krzyknął, nie zatrzymując się. — To plandeka od deszczu, powinna osłonić was od wiatru.

Pociągnęłyśmy plandekę, ale okazała się ciężka i sztywna. W końcu częściowo ją nad sobą rozpostarłyśmy, a częściowo pod nią wpełzłyśmy. Znalazłszy schronienie przed dotkliwym wiatrem, przytuliłyśmy się do siebie i zapadłyśmy w sen. Zanim pierwsze światło poranka zaczęło zabarwiać odległy horyzont, byłyśmy zmarznięte na kość. Do tego tak bardzo chciało się

nam siusiu, że nie mogłyśmy dłużej wytrzymać. Zabębniłam zmarzniętą ręką w dach kabiny i powiedziałam Arabowi, że musi się zatrzymać. Prowadził już od osiemnastu godzin i wyglądał na wyczerpanego. Zjechał na pobocze.

— O co chodzi? — zapytał, obchodząc ciężarówkę i stając z tyłu.

— Musimy siusiu — powiedziałam.

— Och, musicie siusiu, co? Dobra. Idźcie po kolei, tu, za ciężarówkę. — Wskazał miejsce za kołem. — Ale nikt nie idzie do buszu. Jasne?

Próbowałyśmy zeskoczyć, ale byłyśmy za bardzo przemarznęte, żeby się poruszyć. Musiał zdjąć każdą z nas i postawić na ziemi. Staliśmy jakieś pięć minut. Siusianie sprawiało dziewczynom potworny ból. Zanim ruszyliśmy, powiedziałam Arabowi, że umieramy z głodu.

Uniósł brwi.

— Hm... jesteście głodne, co? Chyba powinienem się zatrzymać i dać wam coś do jedzenia.

Wzeszło słońce i oświetliło płaski, monotony, pustynny krajobraz. Po pięknych górach Nuba miejsce to sprawiało przygnębiające wrażenie. Gdy słońce trochę nas ogrzało, usiadłyśmy na zwiniętej plandecie, by nie lądować na twardych deskach przy każdym podskoku auta. Wydawało się, że jedziemy tak godzinami. Straciłyśmy już nadzieję, że zatrzymamy się, żeby coś zjeść, kiedy ciężarówka zajechała przed niedużą chatą. Była to przydrożna kafejka.

Wewnątrz unosiły się apetyczne zapachy, napływające z kuchni na tyłach. Właściciel kafejki przyniósł kilka bochenków chleba, trochę mięsa, *dhal* z soczewicy i sałatę. Chociaż byłyśmy na wpół żywe z głodu, podzieliłyśmy jedzenie równo między siebie, dokładnie tak, jak robiłyśmy to w domu. Kierowca jadł sam, przy osobnym stole.

Kiedy skończyłyśmy, spojrzął na nas.

— Najadłyście się? — zapytał. — Czy potrzebujecie więcej jedzenia?

Powiedziałyśmy mu, że jesteśmy najedzone, ale poprosiłyśmy o trochę mleka. W domu zawsze popijałyśmy posiłki mlekiem.

— Tu nie ma mleka — powiedział ze śmiechem. — To środek pustyni. Skąd miałyby się tu wziąć?

Wróciliśmy do ciężarówki.

— Wiecie, dokąd jedziecie? — zapytał, zanim usiadł za kierownicą. — Do pięknego miejsca, bardzo dużego miasta. Nazywa się Chartum.

Żadna z nas nie wiedziała jednak, gdzie leży Chartum. Ruszyliśmy. Było teraz koło południa, więc jechaliśmy od ponad dwudziestu czterech godzin. Słońce ogrzało nas po mroźnej nocy i z napełnionymi brzuskami wszystkie zasnęłyśmy. Musiałam spać wiele godzin, chociaż budziłam się na moment, gdy podrzucało nas na większych wybojach. Kiedy całkiem się rozbudziłam, zapadał wieczór. Podniosłam wzrok i moim oczom ukazał się czarodziejski widok. W oddali widać było wielkie skupisko pięknych wielobarwnych świateł. Niektóre się poruszały, inne zapalały i gasły. Nigdy niczego takiego nie widziałam.

— Patrzcie! Patrzcie! — zawołałam, potrząsając pozostałymi dziewczynkami, żeby się obudziły. — Patrzcie! Nie ma księżycy, więc skąd się bierze całe to światło? — W górach Nuba nie mieliśmy elektryczności, więc myślałam, że światło musi pochodzić albo od słońca czy księżycy, albo od ognia.

Gdy podjechaliśmy bliżej, zdałyśmy sobie sprawę, że światło pada z setek tysięcy budynków. Niektóre były wysokie jak góry, które otaczały naszą wieś. Na chwilę zapomniłyśmy o strachu i bólu, tak pochłonęło nas to magiczne miejsce. Gdy wjechaliśmy do miasta, wstałyśmy, żeby wszystko lepiej zobaczyć, a kierowca przebijał się przez uliczny ruch. Lśniące samochody tłoczyły się zderzak w zderzak. W górach Nuba jedyne, co większość z nas kiedykolwiek widziała, to kilka starych ciężarówek.

— Czy to miasto jest zbudowane dla ludzi, czy dla samochodów? — zapytała Ashcuana. Samochodów było tyle, że żadna z nas nie знаła odpowiedzi.

— Gdzie mieszkają te wszystkie auta? — chciała wiedzieć inna dziewczyna.

— Może w tych wielkich domach — zasugerowałam. — Może dlatego są takie duże.

— A czy duże samochody rodzą małe samochody? — dopytywała się Ashcuana. — Może dlatego jest ich tak dużo.

Nagle zobaczyłam młodego człowieka na motorowerze, kluczącego wśród samochodów.

— Patrzcie! Patrzcie! — zawołałam, wskazując na niego. — Jest taki mały, że na pewno urodził się dzisiaj.

Dla nas, po dwunastu latach w górach Nuba, wjazd do tego wielkiego miasta był jak wkroczenie do innego świata. Nawet powietrze było inne. W górach jest świeże i czyste, a tu, po zaledwie pięciu minutach, czułyśmy, że pieką nas oczy. Zatkaliśmy nosy palcami, nie mogąc znieść brzydkiego zapachu. Nie wiedziałyśmy, skąd się bierze. Z samochodów, domów, a może nawet od ludzi?

— Gdzie są krowy? — zapytała Ammo. Nigdzie nie widziałyśmy żadnych pól ani zwierząt. Zastanawiałyśmy się, co ci ludzie jedzą. — Gdzie są kozy? Tu są tylko ludzie i samochody!

Arab prowadził uważnie, przebijając się przez ruch. Naciskał na klakson i dodawał gazu, kiedy tylko widział przerwę w strumieniu pojazdów. Musiałyśmy się mocno trzymać.

Niektóre domy miały wiele pięter, a wszystkie okna rozjaśnione lśniącem, żółtym światłem, ale najbardziej zadziwiły nas uliczne latarnie. Mijałyśmy rzędy czarnych słupów ustawionych wzdłuż chodników, z okrągłymi światłami na czubkach przypominającymi słoneczka. Nie miałyśmy pojęcia, co to może być.

— Patrzcie! Patrzcie! — wołałam. — Na tych drzewach rośnie światło zamiast owoców! Nazwijmy je „światłowymi drzewami”.

— Patrzcie! Ten dom jest taki duży jak wzgórze u nas



w domu — krzyknęła Ashcuana, gdy minęliśmy budynek, który musiał być wieżowcem.

— Patrzcie! Ten mężczyzna nie ma nóg. Jak on może chodzić? — Jedna z dziewczynek wskazywała na człowieka, mającego na sobie spodnie w zachodnim stylu.

Była tam masa elegancko ubranych ludzi. Nikt nie wyglądał na pochodzącego z plemienia Nuba. Niektóre kobiety miały bardzo długie i piękne włosy. Zauważyły, jak wpatrujemy się w nie i pokazujemy je palcami, ale nie wydawały się zaciekawione — pięć małych, czarnych dziewczynek w tanich sukienkach na tyle pikapa. W końcu zatrzymaliśmy się przed pięknym domem. Arab podszedł do drzwi, nacisnął coś i usłyszałyśmy dzwonięcie. Ku naszemu zaskoczeniu mężczyzna, który otworzył drzwi, wyglądał na Nuba. Miał na sobie galabiję i zauważyłam, że jej rękawy są przemoczone.

— *Salam alej/cum* — powiedział, co jest tradycyjnym arabskim powitaniem. — *Salam alejkum*, panie.

— *Alejkum wasalam* — odparł Arab zgodnie z tradycją. — Idź zabrać torby z samochodu.

Mężczyzna z plemienia Nuba wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Na ziemi koło wielkiej bali leżał duży stos ubrań. Mężczyzna pewnie robił pranie.

— *Salam alejkum, atfall*. Witajcie dzieci — powiedział cicho, podchodząc do samochodu. Pomyślałam, że ma bardzo miłą twarz. Nie patrzył jednak na nas, nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. Zastanawiałam się, jak to się stało, że ten Nuba trafił tutaj, tak daleko od domu? Czy z własnej woli? A może też został porwany? Wyglądał na człowieka w wieku mojego ojca. Zanim jednak zdążyłyśmy zadać mu jakieś pytania, Arab warknął na niego:

— Rusz się! Nie ma czasu na rozmowy! Wnieś moje torby do domu.

Potem zwrócił się od nas:

— Chodźcie za mną.

## Handlarze niewolników

Do domu prowadziły dwa wejścia, każde z parą słupów ze światłem na szczycie. Zaprowadzono nas na frontowy dziedzi-  
niec. Stały tam dwa samochody zaparkowane pod dachem  
z drewnianej kraty, obrośniętej gęstą winoroślą.

Ruszyliśmy za Arabem, rozglądając się z podziwem: pa-  
trzyliśmy na porośnięty winem dach, dwa lśniące samochody  
i wznoszący się przed nami dom. Był z cegły, a we wszystkich  
oknach było szkło, przez które padało na podwórze piękne  
żółte światło. Dla nas wyglądało to jak pałac z bajki. Pomyś-  
lałam sobie, że ten Arab musi być naprawdę bardzo bogaty.  
Poszliśmy w ślad za nim korytarzem i przez dwoje drzwi,  
pierwsze z metalu, a drugie drewniane.

Gdy ostatnia z nas weszła do środka, zaniknął je za nami.  
Znalazłyśmy się w czymś w rodzaju holu. Widziałam schody  
prowadzące w górę i kamienne w dół. Nigdy jeszcze nie byłam  
w budynku, który miałby więcej niż jedno piętro. Najbardziej  
wymyślną budowlą, jaką widziałam, była szkoła.

Arab poprowadził nas na dół, do piwnicy. Miała umieszczone  
wysoko maleńkie okienka i jedną żarówkę, świecącą u sufitu  
jak gwiazda na niebie. Stanęliśmy stłoczone w kącie. Rozej-  
rzałam się. Na ziemi leżał stos materaców, a pod jedną ze ścian  
trzy wielkie białe pudła, które wydawały głośny, mrużący

dźwięk. Nie miałam pojęcia, co to takiego. Później odkryłam, że to zamrażarki.

— Joahir! — zawołał mężczyzna. — Joahir! Zejdź na dół i mi pomóż.

— Abdul Azzim? To ty? — odrzyknął kobiecy głos. Więc tak się nazywał, Abdul Azzim.

— Tak! A teraz zejdź na dół i pomóż mi z tymi dziewczynkami.

Kilka sekund później do pokoju wpadła gruba, zaafierowana Arabka. Najpierw podbiegła do Abdula Azzima i mocno go uściskała, więc uznałam, że musi być jego żoną. Potem odwróciła się do nas, a my spuściliśmy wzrok, kiedy nam się przyglądała.

— Znakomicie! Wygląda na to, że podróż wspaniale się udała — zachwycała się z szerokim uśmiechem. — Tym razem śliczne te niewolnice, co?

Użyła arabskiego słowa *abids* — liczby mnogiej od *abda*, czyli niewolnica. Wtedy jeszcze żadna z nas nie знаła arabskiego na tyle, żeby zrozumieć, co miała na myśli. Joahir krzyknęła coś i na dół zesłała inna starsza kobieta. Kiedy ją zobaczyłam, moje serce podskoczyło. Mimo że ubrana w śliczną suknię, także wyglądała na pochodzącą z plemienia Nuba. Joahir kazała jej wziąć z kąta materace i rozłożyć je dla nas na podłodze.

— Wiesz, prowadziłem cały dzień i całą noc — narzekał Abdul Azzim, zwracając się do żony. — Nie mogę już sam się tym zajmować. Potrzebuję kogoś do pomocy.

Joahir pokiwała głową ze współczuciem.

— Gdzie znalazłeś te dziewczynki? Drogie były?

— Słuchaj, jestem zmęczony. Pozwól, że najpierw wezmę prysznic — odparł Abdul Azzim. — Niech Asha rozlokuje dziewczynki. Potem ci wszystko opowiem.

Wydawało się, że Asha to ta starsza kobieta wyglądająca na Nuba. Abdul Azzim i jego żona zniknęły na górze. Asha została z nami, żeby pomóc ułożyć materace. Kiedy się z tym uporałyśmy, powiedziała, żebyśmy odpoczywały, dopóki znów nie

zejdzie na dół. Kiedy poszła, dziewczynki zasypywały mnie pytaniami:

— Jak myślisz, gdzie jesteśmy? Czyj to dom? Co się teraz z nami stanie? — Stwierdziłam, że musimy być w Chartumie, ponieważ Abdul Azzim powiedział, że tam pojedziemy.

Jakieś dwadzieścia minut później przyszła Asha i postawiła na podłodze jogurt i chleb oraz pięć metalowych łyżek. Umierałyśmy z głodu i kiedy Asha zauważyła, że żadna z nas nie zaczęła jeść, zapytała dlaczego. Wyjaśniłyśmy jej, że nie wiemy, co zrobić z tymi „metalowymi, błyszczącymi rzeczami”. Asha wybuchnęła głębokim, dobrotliwym, gardłowym śmiechem. Podniosła jedną z łyżek, nabrała trochę jogurtu i włożyła do ust. Głośno przełknęła, uśmiechając się szeroko.

— Pyszne! — oznajmiła. — Teraz wy spróbujcie.

Wręczyła każdej z nas łyżkę i starałyśmy się najlepiej jak umiałyśmy, ale skończyło się tym, że więcej jogurtu wylądowało na podłodze i na naszych twarzach niż w buziach. Po pierwszych niezdarnych próbach poddałyśmy się, porwałyśmy chleb na kawałki i użyłyśmy go do nabierania jogurtu, dokładnie tak, jak robiłyśmy to w domu. Asha miała rację. Był pyszny. Wsypała do niego dużo cukru i cały jogurt zniknął w parę sekund.

Pojakimś czasie przyszedł Abdul Azzim i zapytał, czy któraś z nas chce skorzystać z toalety. Potrzebowałyśmy tego wszystkie, cała piątka. Poszłyśmy za nim na górę, przez dziedziniec, do stojącej za domem ubikacji. Abdul Azzim powiedział, że w toalecie znajdziemy sznurek zwisający z sufitu. Kiedy skończymy, musimy za niego pociągnąć.

To była najpiękniejsza toaleta, jaką w życiu widziałam. Podłogę i ściany pokrywały lśniące białe kwadraty, a na środku znajdowała się dziura do siusiania. Weszłam pierwsza i kiedy kucnęłam, zauważyłam coś zwisającego z sufitu. Zrobione było z metalu i wyglądało trochę jak wąż. Uśmiechnęłam się do siebie, kiedy przypomniałam sobie węże w naszej „toaletcie” w górach Nuba. To musiał być sznurek, o którym mówił Abdul Azzim, jednak nie przypominał wcale sznurków ani lin, jakie

wyrabiał mój ojciec z kory baobabu. Gdy skończyłam, po-  
ciągnęłam za ten dziwny sznurek. Krzyknęłam zaskoczona,  
kiedy usłyszałam głośny, bulgotliwy dźwięk i dziurę spłukał  
strumień wody.

Gdy zasypiałam, zobaczyłam Ashę wchodzącą cicho do  
piwnicy. Zamierzała się położyć, ale zorientowała się, że jeszcze  
nie zasnęłam.

— Wciąż jeszcze nie śpisz, *betu*, moja córeczko — wyszep-  
tała łagodnie.

— Jestem taka zmęczona i chce mi się spać, ale nie mogę,  
*khaki Asha*, ciociu Asho — odszepnęłam.

Asha usiadła przy mnie.

— Jeżeli będziesz bardzo cicho, możemy przez chwilę poroz-  
mawiać. Ale jeżeli nas usłyszą, zejda na dół i zapytają, dlaczego  
nie śpimy. Więc cicho, cicho, dobrze, córeczko?

— Dobrze, ciociu, będę cicho. Mam na imię Mende.

— Skąd jesteś?

— Z gór Nuba.

— Ja też jestem z gór Nuba — prawie wykrzyknęła. — Z ja-  
kiego plemienia pochodzisz?

— Karko.

— Nie słyszałam o Karko, ale wystarczy, że jesteś Nuba i ja  
też jestem Nuba.

Asha ścisnęła mnie mocno przez parę minut. Po raz pierwszy  
od porwania ktoś dorosły potraktował mnie z prawdziwie  
ludzkim ciepłem i dobrocią. Byłam uszczęśliwiona.

— Jak długo tu jesteś, ciociu? — zapytałam, podnosząc na  
nią wzrok.

— Ponad dwadzieścia lat.

— Ponad dwadzieścia lat! Ale gdzie twoja mama i tata?

— Nie mówmy o tym — powiedziała cicho. — Opowiedz  
mi swoją historię.

Próbowałam opisać Ashy, co się stało, ale kiedy tylko za-  
częłam o tym myśleć, rozpłakałam się. Asha przytuliła mnie  
mocno i powiedziała, żebym porządnie się wypłakała.

— Wiem, wiem — szeptała, kiedy cicho szlochałam. — Nie wiesz, czy twoja mama i ojciec żyją, czy umarli.

— Skąd wiesz? — zapytałam przez łzy.

— Ze mną jest tak samo — odparła. — Nie słyszałam o rodzicach od dwudziestu lat. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyją.

Spojrzałam Ashy w twarz i zobaczyłam, że po jej policzkach też płyną łzy. Uściskałam ją tak mocno jak ona mnie i razem wypłakiwałyśmy nasz ból i utratę rodzin.

— Dlaczego od tak dawna nie widziałas swojej rodziny? — zapytałam w końcu.

— Cóż... Kiedy miałam zaledwie dziesięć lat, byłam taka mała jak ty, zostałam porwana i przywieziona tutaj i od tamtej pory tu jestem. Nie wiem, co jeszcze ci powiedzieć. Chyba tylko to, żebyś była cierpliwa i robiła wszystko, co ci każą. Jeśli nie, zbiją cię.

— Kto mnie zbije?

— Wiesz, nie zostaniesz tu długo. Niebawem odeślą cię do innego domu.

— Jakiego innego domu?

— Ten człowiek, Abdul Azzim, przywozi *ta* wiele dziewczynek takich jak ty. Prawie co tydzień. A potem zjawiają się inni Arabowie i zabierają te dziewczynki do swoich domów.

— Po co?

— Żeby dla nich pracowały.

— Czy to właśnie spotkało cię?

— Tak. Najpierw pracowałam dla matki i ojca Abdula Azzima. Kiedy umarli, Abdul Azzim sprowadził mnie tutaj.

Asha uściskała mnie, ucałowała w czubek głowy i kazała iść spać. Gdy obudziłam się następnego ranka, wciąż jeszcze myślałam o tym, co powiedziała.

Abdul Azzim miał w piwnicy dużą szafę pełną dziecięcych ubrań. Tamtego ranka powiedział, żeby każda wybrała sobie coś w odpowiednim rozmiarze. Potem kazano nam się umyć, wyprać nasze stare sukienki i włożyć nowe.

Łazienka była kolejnym pokojem z błyszczącymi, białymi kaflami i tam miałyśmy pierwszy bliski kontakt z lustrem. W górach Nuba, gdy długo padało, można było zobaczyć swoje odbicie w kałuży, ale nie było tak wyraźne jak w lustrze. Stałyśmy przed nim, robiłyśmy miny, wystawiałyśmy języki i skręcałyśmy się ze śmiechu. Rozmawiałyśmy też o tym, która z nas jest najładniejsza. Dziewczynki stwierdziły, że najładniejsza jestem ja, bo mam najdłuższe włosy i najjaśniejszą skórę.

Zaczęłyśmy rozglądać się w poszukiwaniu wody, ale zobaczyłyśmy tylko dziurę w podłodze i metalową balię sterczącą ze ściany. W domu w porze deszczowej myśliśmy się w górskich wodospadach. Jako mydła używaliśmy liści pewnej leśnej rośliny. W zimnej porze suchej korzystaliśmy z miski. Ponieważ wodę trzeba było przynosić z naturalnego zbiornika, myśliśmy się tylko raz w tygodniu. Zawsze gdy mama wołała mnie do mycia, krzyczałam i uciekałam, więc nacierała mnie tylko olejem sezamowym. Szczególnie nie znosiłam moczenia włosów, które były myte mniej więcej raz na trzy miesiące.

Gdy zastanawiałyśmy się, gdzie jest woda, Asha wetknęła głowę przez drzwi i wskazała gałkę pod rurą. Kazała mi ją obrócić i zobaczyć, co się stanie. Gdy to zrobiłam, woda trysnęła z rączki prysznica, a my krzyczałyśmy i piszczałyśmy, bo całkiem nas zmoczyła. Po kąpieli nie miałyśmy nic do roboty, zapytałam więc Ashę, czy nie przyniosłaby nam jakichś kamyków, żebyśmy mogły pograć w *kak*. Usiadłyśmy w kręgu i zaczęłyśmy zabawę. Bardzo szybko w piwnicy rozległy się okrzyki podniecenia i śmiechy. Jednak po mniej więcej półgodzinie przez drzwi zajrzała rozzłoszczona Joahir.

— Co to ma znaczyć? — warknęła.

— Gramy w kamyki — odpowiedziałam cicho, ponieważ byłam najstarsza.

— Co? Myślisz, że po co tu jesteście? Żeby się bawić? Nie ma na to czasu. Mam dla was robotę. Chodźcie — nakazała. — Na górę, wszystkie, na podwórze.

Po ciemnej piwnicy dobrze było znaleźć się w słońcu i na świeżym powietrzu. Joahir przyniosła duży worek cebuli, spora miskę i kilka noży.

— Kiedy już to obierzecie, macie wszystko bardzo cienko pokroić. Zrozumiałyście?

Usiadłyśmy w kręgu wokół worka. Po kilku minutach obierania cebuli wszystkie płakałyśmy rzewnymi łzami. Zawołałam do Ashy, którą widziałam przez okno, żeby się do nas przyłączyła, ale odkrzyknęła, że ma dużo pracy, ponieważ tego ranka przyjdzie dużo gości. Wkrótce usłyszałam, jak wchodzi frontowymi drzwiami. Z jednego z pokoi na piętrze dobiegał śmiech i głośne rozmowy.

Gdy siedziałyśmy tak, obierając cebulę, zauważyłam starego człowieka z plemienia Nuba zamiatającego podwórze. Następnie zaczął sprzątać balkon, na którym później mieli usiąść goście. Wróciłam myślami do tego, co w nocy powiedziała mi Asha. Czy tak właśnie skończę?, pomyślałam. Pracując dla Arabów jak Asha i ten staruszek? Pierwszy raz, odkąd zostałam porwana, zaczęłam zdawać sobie sprawę, co niesie przyszłość.

Po mniej więcej godzinie na podwórze wbiegło dwoje małych dzieci.

— Popatrz, popatrz! — powiedziała dziewczynka do brata, wskazując na nas. — Te dziewczynki mają śmieszne włosy, prawda? — Podbiegła i wzięła w dwa palce kosmyk moich włosów, ostrożnie jak robaka.

— Nie dotykaj ich włosów! — krzyknął jej brat, przybiegając do nas. — Są paskudne! I śmierdzą.

Joahir musiała to usłyszeć, bo wychyliła się przez okno i zawołała do dzieci:

— Nie bawcie się tam! Tam jest brudno! A od cebuli będą was piekły oczy. Jeżeli chcecie się bawić na dworze, idźcie od frontu.

Gdy skończyłyśmy obierać pierwszy worek cebuli, Joahir przyniosła następny.

— Macie obrać to wszystko dzisiaj — oznajmiła.



W porze obiadu Asha przyniosła nam trochę sałaty, ryżu i soczewicy. Usiadła z nami i gawędziła przez cały obiad, próbując nas rozweselić. Wyjaśniła, że jedzenie, które szykujemy, przeznaczone jest na święto ramadan wypadające za kilka miesięcy. Cebula zostanie wyłożona do suszenia na słońcu razem z posiekanym chili, czosnkiem i mięsem. Gdy nadejdzie ramadan, wysuszone składniki zostaną użyte do przygotowania pikantnego mięsnego gulaszu.

— Co się dzieje w tamtym pokoju? — zapytałam ją. — Tam, gdzie ci ludzie rozmawiają i piją?

— Och, to ich najpiękniejszy pokój — powiedziała Asha. — Muszę go utrzymywać w wielkiej czystości. Abdul Azzim korzysta z niego, gdy przychodzą goście. Jest tam duży stół i krzesła i jeśli chcą, mogą posadzić przy nim dwanaście albo więcej osób. Gotowanie dla nich wszystkich to bardzo ciężka praca.

Dokładnie w tym momencie Joahir przyprowadziła na podwórze cztery kobiety po trzydziestce. Wyszły tylnymi drzwiami i stały nad nami, przyglądając się, jak pracujemy. Pomyślałam, że wyglądają jak księżniczki, tak pięknie były ubrane. Ich włosy były starannie uczesane, miały też na sobie bransolety i naszyjniki. Mimo zapachu cebuli czułam płynący od nich piękny aromat. Myślałam wtedy, że tak pachną z natury. Później dowiedziałam się, że to perfumy.

— Co za wspaniały pomysł, Joahir — powiedziała jedna z nich z wymuszonym uśmiechem. — Możesz kazać im robić, co tylko zechcesz, na przykład przygotowywać wszystko, czego potrzebujesz na ramadan. Ale masz szczęście! Ja nawet nie zaczęłam przygotowywania dań na ramadan. Wiesz, nie mogę znieść zapachu mięsa i cebuli. Nie mogę ich tknąć! Może potrzebuję *abids* jak twoje, żeby zajmowały się taką paskudną robotą.

Gdy usłyszałam, co mówi, strasznie się rozżłościłam. Zachowywała się, jakby Allah stworzył ją kimś lepszym od nas. Wiedziałam, że to nieprawda. Kiedy byłam mała, ojciec wyjaśnił

mi, że Bóg stworzył nas wszystkich równymi. Najbardziej na świecie chciałam, żeby tata był teraz ze mną. Wiedziałam, co powiedziałyby tej kobiecie: „Moja córka jest najcenniejszą rzeczą na całym świecie. Nie waż się tak o niej mówić!”.

Gdy sobie poszły, Asha wyjaśniła, że za każdym razem po przywiezieniu grupy dziewczynek, Abdul Azzim i Joahir wydają duże przyjęcie.

— Zapraszają tutaj te kobiety, żeby mogły obejrzeć dziewczynki i wybrać sobie jedną. Tak było ze mną wiele lat temu. Mówię wam to, bo nie chcę, żebyście później wpakowały się w kłopoty — ciągnęła — gdy stąd odejdziecie. Musicie zrozumieć, że jeżeli każą wam coś zrobić, macie być posłuszne.

Następnego dnia dostałyśmy wielkie kawały mięsa do pocięcia na długie paski, które zostały powieszzone do wysuszenia na sznurku rozciągniętym na podwórzu. Trzeciego dnia Joahir przyniosła worek fasoli do łuskania. Po wyłusaniu musiałyśmy utrzcę fasolę na miazgę przy użyciu tłuczka i moździerza. Papka z fasoli została użyta do przygotowania hummusu, który wstawiono w słojach do lodówki, gdzie miał stać do czasu ramadanu. Pod koniec trzeciego dnia ręce miałam czerwone, pokryte pęcherzami i zdarte do krwi. Wszystkie byłyśmy wyczerpane. Tego wieczoru Joahir kazała nam wszystkim wziąć prysznic.

— Ale myłyśmy się rano — powiedziałam bez namysłu. — Jesteśmy zbyt zmęczone, żeby się myć.

— Kazałam wam iść teraz pod prysznic! — rzuciła ostro, błyskając oczami. — Nie waż się pyskować!

Po kąpieli Asha przyniosła nam do piwnicy jedzenie. Nasza kolacja składała się z chleba z dżemem i z odrobiny mleka. Gdy Asha usiadła z nami, by zjeść, zauważyłam, że jest zmarzwiona.

— Nie odpowiadaj jej tak, Mende — wyszeptała. — Musisz jej słuchać. Jeżeli każe ci wziąć prysznic, musisz iść. I koniec. A może chcesz, żeby cię zbiła?

— Nie, ciociu Asho — powiedziałam, kręcąc głową. — Nie chcę, żeby mnie zbiła. Ale byłyśmy takie zmęczone.

— Asho, nigdy w życiu nie musiałam tak ciężko pracować — wyszeptała Ashcuana, pokazując jej czerwone i krwawiące ręce. — Dlaczego ona każe nam to wszystko robić?

— Wiem, wiem — odparła Asha. — Wiercie mi, gdybyście były moim dziećmi, byłoby inaczej. Ale tacy są Arabowie. Będziecie musiały do tego przywyknąć.

Po kolacji zaplotłam Ashcuanie włosy. Były bardzo krótkie i kręcone, ale zwinęłam je ciasno i trzymały się tak przez kilka kolejnych dni.

— Pamiętasz, jak tu przyjechałyśmy i zobaczyłyśmy te drewniane rzeczy ze światłami na czubku, i pomyślałyśmy, że to drzewa? — zapytała Ashcuana. — To nie drzewa tylko lampy!

— Tak — odparłam z uśmiechem. — A kiedy jechaliśmy przez miasto, myślałyśmy, że duże samochody rodzą małe samochody!

Przez jakiś czas rozmawiałyśmy w ten sposób i wkrótce Asha śmiała się głośno. Potem zadałam pytanie, które męczyło mnie od przyjazdu.

— Dlaczego mają *ta* taki wielki pokój pod ziemią? Zupełnie jak w grobie, ale groby są dla ludzi, którzy umarli. Więc dlaczego musimy *ta* mieszkać? Nie jesteśmy nieżywe. Dlaczego ci Arabowie zbudowali swój dom nad takim wielkim grobem?

— Kiedy byłam w domu ojca Abdula Azzima, wsadzili mnie do piwnicy tak jak was — odparła Asha. — I tak jak wy, byłam przestraszona. To była dziura w ziemi przypominająca grób i pomyślałam, że będzie pełna duchów. A musiałam zostać tam całkiem sama. Wyobraź sobie, jak się czułam! To nie jest grób, po prostu Arabowie w taki sposób budują swoje domy.

Przerwała nam Joahir, która przyprowadziła do piwnicy grupę kobiet z mężami. Umilkłyśmy, a Asha cicho wstała i wyszła. Tamci przechadzali się i przystawali, żeby nam się przyjrzeć.

— Och... więc tym razem Abdul Azzim przywiózł śliczne dziewczynki — powiedziała jedna z kobiet do Joahir. — Są znacznie ładniejsze niż te ostatnie. I wyglądają też na bardzo czyste.

— Tak — przyznała Joahir z uśmiechem. — Pilnujemy, żeby brały prysznic rano i wieczorem. To oznacza dwa mycia dziennie.

— Och, i nie mają nic przeciw temu? Cóż, chyba wezmę jedną z nich. Jak myślisz, Joahir?

— Ta tutaj to Ashcuana, a ta Ammo — powiedziała Joahir. — Mają takie głupie imiona. A to jest Mende, nietrudno to wymówić. Zresztą to bez znaczenia. Gdy którąś weźmiesz, możesz ją nazwać, jak zechcesz! Więc którą byś chciała?

— O nie, nie teraz. Nie umiem zdecydować tak od razu. — Kobieta pokręciła głową. — Zadzwoń jutro i dam ci znać.

— Jeżeli nie zdecydujesz się teraz, może zjawić się ktoś inny i wybrać tę, którą sobie upatrzyłaś — ostrzegła Joahir.

— A więc dobrze — powiedziała kobieta ze śmiechem. Przyglądała nam się jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się do Joahir: — Chodźmy na górę, napijemy się kawy i przedyskutujemy to.

Gdy wyszły z piwnicy, usłyszałam, jak Joahir woła do Ashy:

— Asho, pospiesz się i przygotuj kawę dla gości.

— Tak, proszę pani — odparła Asha. — Oczywiście. Już szykuję.

## Rozdział 13

# Sprzedana

Gdy Asha zeszła na dół, by położyć się spać, kończyłam właśnie zaplatanie włosów Ashcuany.

— Jeszcze nie śpisz? — odezwała się łagodnie Asha. — Jeszcze nie skończyłaś?

— Już prawie kończę — powiedziałam, spoglądając na nią.

— Och, to naprawdę śliczne. Bardzo bym chciała, żebyś i mnie tak uczesała, ale nie mam na to czasu. — Milczała przez chwilę, patrząc na nas. — Mende, posłuchaj, właśnie usłyszałam, że być może jutro wyjedziesz.

— Dokąd? — zapytałam zaniepokojona, puszczając kilka kosmyków włosów Ashcuany.

— Pamiętasz te kobiety, które przyszły do piwnicy? Myślę, że pojedziesz do domu jednej z nich.

— Skąd wiesz?

— Kiedy zaniiosłam im kawę do bawialni, podsłuchiłam, jak rozmawiały. Joahir powiedziała do jednej z kobiet: „Więc co, zdecydowałaś się? Którą byś chciała?”. „Tak, ale jak ona ma na imię? Wiesz, tak trudno to zapamiętać. Tę z najłatwiejszym imieniem” — odparła kobieta. „Masz na myśli Mende?”, zapytała Joahir. „Tak. Zgadza się. Wygląda na grzeczną dziewczynkę, mądra”. „Tak. Bardzo mi pomogła, przygotowując całe jedzenie na ramadan. Myślę, że jest też lepiej od innych wy-

kształcona. Kiedy Abdul Azzim wróci, zaraz go zawiadomię. Wtedy będziesz musiała przedyskutować z nim szczegóły".

— Nie pojadę! — krzyknęłam, wybuchając płaczem.

— Przykro mi — powiedziała Asha, tuląc mnie. — Tak mi przykro. Ale wiesz, Mende, nic na to nie możesz poradzić. Próbowалаm cię przygotować, żeby nie było to dla ciebie takim szokiem.

— Ale Mende nie może jechać całkiem sama — stwierdziła Ashcuana, która też zaczęła płakać. — Chcę z nią pojechać.

— Wiem, Ashcuano. — W głosie Ashy czuć było zmęczenie. — Ale nie możesz. Ciebie też ktoś zabierze. Może żadna z was nigdy więcej nie zobaczy pozostałych.

Widziałam, że Asha bardzo nie chciała nam tego mówić.

— No, chodź, Mende. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. — Wzięła mnie za rękę. — Chodź, prześpisz się w moim łóżku. Całą noc będę cię tuliła.

Wzięła mnie w swoje rozłożyste ramiona i ukołysała do snu. Śniłam, że śpię z ojcem w naszej chacie, ale za każdym razem, kiedy usiłował mnie przytulić, wyslizgiwałam się z jego objęć i oddalałam. Następnego ranka, kiedy Asha chciała wstać, próbowałam ją zatrzymać. Czułam, że gdybym tylko się jej trzymała, nikt nie mógłby mnie zabrać. Odsunęła delikatnie moje ręce i wyszła, mówiąc, że zobaczy się ze mną później.

Leżałam w łóżku Ashy, czułam się zagubiona i pusta. Tak rozpaczliwie chciałam zostać z nią i pozostałymi dziewczynkami. Skoro nie mogę, pomyślałam, spróbuję uciec, wiedziałam jednak, że wszystkie drzwi są zamknięte. Nawet gdybym zdołała wydostać się z domu, co bym zrobiła? Byłabym tylko małą czarnoskórą dziewczynką z plemienia Nuba, zagubioną w wielkim mieście pełnym Arabów, o którym niczego nie wiedziałam i w którym nie miałam przyjaciół.

Usłyszałam, że inne dziewczynki się budzą.

— Dzisiaj chyba wyjeżdżam — powiedziałam cicho.

— Co? Dlaczego? Dokąd wyjeżdżasz? — pytały.

— Joahir znalazła panią, która chce mnie zabrać, żebym mieszkała w jej domu — wymamrotałam. Do tej pory starałam się być silna, ale teraz załamalam się i rozpłakałam na oczach dziewczynek. — Nie chcę jechać — jęczałam. — Chcę tu zostać. Nie chcę was zostawić.

Wszystkie usiadły przy mnie na łóżku Ashy.

— Nie martw się, Mende. Nie płacz — mówiły, głaszcząc mnie po głowie i trzymając za ręce. — Może wcale tak nie będzie. Skąd wiesz, że wyjeżdżasz? Kto ci powiedział?

— Asha — wyszlochałam. — Podśluchała, jak Joahir rozmawiała z jedną z tych pań.

I właśnie wtedy rozległ się hałas oznaczający, że ktoś schodzi na dół. Dziewczynki pobiegły do drzwi. Gdy zobaczyły Ashę wchodzącą ze śniadaniem, stłoczyły się wokół niej, prosząc o wyjaśnienie.

— Cóż, tak myślę, że Mende dzisiaj wyjedzie — powiedziała Asha, odstawiając tacę. — Niedługo wszystkie was zabrają, a ja znów zostanę sama. Mówiłam wam to już wcześniej. Wiem, że to trudne. Przykro mi, ale żadna z nas nic nie może na to poradzić. — Asha spojrzała na mnie. — Mende, pamiętasz, co ci powiedziałam?

— Nie, nie pamiętam.

— Powiedziałam, że jeśli każą ci coś zrobić, musisz to zrobić. Jeżeli się im sprzeciwisz, zbiją cię.

— Dobrze. Teraz pamiętam — wyszlochałam.

— Mende, prawdopodobnie nigdy więcej się nie zobaczymy — Asha objęła mnie. — Nie wolno mi opuszczać tego domu, a tobie prawdopodobnie też nie będzie wolno wychodzić z domu twojej pani...

Przerwało jej wołanie z góry.

— Asho, gdzie jesteś! Dlaczego nie ma cię w kuchni? — krzyczała Joahir. — Co robisz tam na dole?

— Zjedzcie śniadanie — niespokojnie wyszeptwała Asha. — Tak, proszę pani! Przepraszam, proszę pani! — zawołała do Joahir. — Jestem w piwnicy. Już idę.

Słyszałyśmy Joahir, jak tłucze się na górze. Po chwili dobiegł nas głos Abdula Azzima:

— Joahir, możesz pójść ze mną? Muszę się wybrać na zakupy do miasta.

— Nie, jedź sam — odkrzyknęła Joahir. — Muszę przypilnować, żeby te *abids* zrobiły jeszcze sporo rzeczy.

Usłyszałyśmy trzaśnięcie frontowych drzwi, gdy Abdul Azim wychodził z domu. Potem Joahir znów zawołała z góry:

— Asho, pospiesz się! I przygotuj też dziewczynki. Jest dużo roboty.

Resztę poranka spędziłyśmy, łuskając chili i rozcierając je z solą. Potem musiałyśmy wetrzeć tę mieszankę w paski mięsa. Szybko wżarła się we wszystkie skaleczenia i pęcherze na moich rękach. Była to straszna męczarnia. Tamtego wieczoru, gdy siedziałyśmy w piwnicy, usłyszałam dźwięk, którego tak się bałam — dzwonek do frontowych drzwi. Zaraz po tym dotarła do mnie z salonu ożywiona pogawędka kobiet i na dół zeszła Asha.

— Mende — powiedziała — wróciły kobiety, które były tu wczoraj. Myślę, że dzisiaj cię ze sobą zabiorą.

— Nie chcę.

— Nie mów tak — łagodnie poprosiła Asha. — Nie masz wyboru. Mende, postaraj się nie wyglądać na zbyt zdenerwowaną, bo źle to odbiorą.

Siedziałyśmy w piwnicy w pełnej napięcia ciszy, żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. To byli ludzie z plemienia Nuba i moje przyjaciółki. Na krótki czas stały się dla mnie rodziną. Co bym bez nich zrobiła? Arabki siedziały na górze w nieskończoność. Zastanawiałam się, czy naprawdę przyszły mnie dzisiaj zabrać. Modliłam się, żeby była to tylko kolejna zwykła wizyta\*.

W końcu milczenie przerwała Ashcuana:

— Jeżeli cię zabiorą, Mende, kiedy znów cię zobaczymy? Wszystkie miałyśmy w głowach to pytanie.

— Być może już nigdy nie zobaczycie Mende — odpowie-



działa ze smutkiem Asha. — Powinnyście się pożegnać teraz, bo potem możecie nie mieć okazji.

Zwróciłam się do dziewczynek:

— Może już nigdy was nie zobaczę. — Łzy spływały mi po twarzy. — Tak mówi Asha. Kocham was i nie chcę nigdzie iść.

Teraz płakałyśmy wszystkie. Uściskałam każdą z dziewcząt po kolei, Ashcuanę na końcu. Zaraz potem Joahir zawołała z góry:

— Asha! Nadal jesteś w piwnicy?

— Tak, proszę pani! Jestem tu! — odrzyknęła Asha.

— No to chodź na górę! I przyprowadź Mende!

Asha wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na górę. Teraz wiedziałam na pewno, że zostanę zabrana.

— Asho, ostatnio ciągle siedzisz w piwnicy — oskarżycielsko stwierdziła Joahir, gdy spotkała nas w holu. — Dlaczego? Kiedy przyjeżdżają inne dziewczynki, nie spędzasz z nimi tyle czasu. Czemu ciągle siedzisz z tymi dziećmi? — Asha tylko spuściła głowę, zgarbiła się i wbiła wzrok w podłogę. — Nie będę tego znosiła! Zaczęłaś nawet robić sobie przerwy w pracy, żeby zejść na dół i z nimi porozmawiać. To nie jest właściwe zachowanie, prawda?

— Nie, proszę pani — cicho odparła Asha.

--- Słusznie. A teraz idź do kuchni. Masz tam górę zmywania.

Asha była co najmniej o dziesięć lat starsza od Joahir. W naszej kulturze zawsze szanowaliśmy starszych. Współczułam jej, gdy zniknęła w kuchni. Zostałam sama przy wejściu do salonu. Trzy Arabki, które widziałam poprzedniego wieczoru, siedziały z Joahir i Abdulem Azzimem. Zignorowały mnie i ciągnęły pogawędkę. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam salon. Podłoga wyglądała jak lśniąca tafla wody. Widziałam w niej nawet swoje odbicie. Ostrożnie weszłam do pokoju, uważnie stawiając stopy.

Pod każdą ścianą stała wielka drewniana sofa obita białym materiałem, a w każdym kącie wypolerowane drewniane stoły, nad niektórymi wisały okrągłe lustra, na innych stały wazon.

Obok wysokie lampy stojące. Pokój przechodził w piękny taras ze srebrnymi kaflami i białą metalową poręczą. Wychodziło się na niego przez wykładane drewnem drzwi, teraz otwarte, żeby wpuścić wieczorny powiew. Kolejne drzwi prowadziły do dużej jadalni. Zajrzałam do środka i zobaczyłam ogromny stół, o którym opowiadała Asha, z ustawionymi dookoła krzesłami. Po każdej stronie stały przeszkłone kredensy pełne srebrnych talerzy i szkła. I wtedy kobiety zaczęły wstawać, a Abdul Azzim zwrócił się do mnie:

— Mende, wyjeżdżasz z tą panią — powiedział, wskazując na jedną z nich. — Musisz być jej posłuszna, ponieważ jest teraz twoją panią.

Spojrzałam na kobietę, ale ta po prostu mnie zignorowała i kontynuowała rozmowę o pogodzie i nadchodzącym ramadanie. Gdy szykowały się do wyjścia, Joahir o czymś sobie przypomniała.

— Och, momencik — powiedziała. — Prawie zapomniałam. Ona ma drugi komplet ubrań. Asho! — zawołała. — Zejdz na dół i przynieś drugą sukienkę Mende.

— Nie trzeba — powiedziałam szybko. — Sama po nią zejde.

— Nie! Kazałam zrobić to Ashy! — krzyknęła Joahir.

— Myślałam, że pożegnam się z moimi przyjaciółkami — wyjąkałam.

— Od przyjazdu każdy dzień spędzałaś ze swoimi przyjaciółkami — ucięła zirytowana Joahir. — Chcesz powiedzieć, że nie znalazłaś czasu na pożegnanie z nimi? Fatalnie. Zresztą i tak więcej ich nie zobaczysz.

Goście spojrzeli na mnie i roześmieli się. Już miałam coś odpowiedzieć, kiedy zauważyłam Ashę stojącą w drzwiach. Trzymała palec wskazujący przytknięty do ust i pociągała się za ucho, jakby chciała mi powiedzieć: „Nie odpowiadaj! Po prostu słuchaj tego, co do ciebie mówią”. Milczałam.

Asha szybko zeszła na dół po moje ubranie. Przygnębiona wyszłam za Joahir, Abdulem Azzimem i trzema kobietami

przed dom. Wezwały swojego kierowcę i gdy czekałyśmy na dziedzińcu, nadeszła Asha z moją sukienką. Chwyła mnie za rękę i mocno uścisnęła.

— Pa — szepnęła.

— Pa, pa, ciociu Asho — wymamrotałam w odpowiedzi.

Kobieta, która była teraz moją „panią”, usiadła na przednim siedzeniu, a ja z tyłu, obok pozostałych dwóch kobiet. Gdy odjeżdżaliśmy, Abdul Azzim i Joahir wykrzykiwali do Arabek pożegnania, ale żadne z nich nie pożegnało się ze mną.

## Pani Rahab

Podczas jazdy przez Chartum Arabki przez cały czas rozmawiały. Żadna nie odezwała się do mnie, żadna nie przyjęła do wiadomości mojej obecności. Zupełnie jakbym była niewidzialna. Dwie kobiety pogratulowały mojej pani dokonania bardzo dobrego wyboru. Wiedziałam, że mówiły o mnie i innych dziewczynkach i nazywały nas *abids*, ale nie wiedziałam, że oznacza to „niewolnice”. Potem zaczęły plotkować o swoich przyjaciółkach, strojach, które włożą podczas ramadanu, i nowych perfumach.

— Och, widziałaś Joahir? — zapytała jedna z kobiet siedzących obok mnie. — Ten nowy naszyjnik, który miała na sobie? Uszczypnęłam cię w kolano, żebyś zwróciła uwagę. Wyglądał na bardzo drogi.

— Myślisz, że mogłabym go przeoczyć? — odezwała się druga. — Był taki piękny. Musiał kosztować majątek, nie uważasz, Rahab? — zwróciła się do kobiety siedzącej z przodu. Więc tak ma na imię moja tak zwana pani.

— Oczywiście, wszystkie widziałyśmy — odparła Rahab. — Ci ludzie mają masę pieniędzy, mogą kupić, co tylko zechcą.

— Wiesz, Rahab — powiedziała jedna z kobiet — jeżeli Dhalia usłyszy, że masz w domu tę dziewczynę, będzie bardzo zazdrosna. Będzie musiała postarać się o jakąś dla siebie.

— No to powinna się pospieszyć, dopóki Abdulowi Azimowi coś zostało — ze śmiechem odparła Rahab.

Gdy przyjaciółki Rahab wysiadły, jechałyśmy w milczeniu. W końcu zwolniliśmy przy metalowej bramie w wysokiej ceglanej ścianie. Rahab wysiadła z samochodu i otworzyła bramę, po czym odwróciła się do mnie:

— Chodź. Wsiadaj. Idź za mną.

Zamknęła za nami bramę i ruszyliśmy długim żwirowym podjazdem. Przez frontowe drzwi weszliśmy do dużego otwartego salonu. Jedna ze ścian była przeszklona. Podążyłam za panią Rahab do przyległego pokoju, który okazał się kuchnią. Pani wskazała na stołek w kącie.

— Usiądź tu i zaczekaj na mnie — powiedziała sucho.

Zostałam sama. Rozejrzałam się. Na środku stał długi drewniany stół i krzesła — tyle byłam w stanie rozpoznać. Wysoko na ścianie wisały rzędy drewnianych pudeł z gałkami. To, jak miałam się dowiedzieć, były szafki kuchenne, zawierające naczynia i przybory do gotowania. Stał tam też niebieski metalowy cylinder pod obszerną metalową lśniącą powierzchnią, pokrytą gałkami i kurkami — kuchenka gazowa. Zauważyłam stertę brudnych filiżanek i talerzy w metalowej misce na nogach, z metalowymi rurami pod spodem, ale nie wiedziałam ani tego, że to zlew, ani jak działa.

Rahab wróciła z Arabem, który, jak odgadłam, musiał być jej mężem.

— Oto ona, Mustafo — powiedziała, wskazując na mnie. Mężczyzna stał przez kilka sekund, wpatrując się we mnie, a potem wyszedł, nic nie mówiąc. Rahab przebrała się w miękką piżamę, na wierzch narzuciła szlafrok. Jej skóra była nieco jaśniejszego koloru niż moja, miała długie lśniące czarne włosy. Uznałam, że w tym ślicznym stroju i z cudownymi włosami wygląda bardzo pięknie.

— Chodź ze mną — nakazała, odwracając się, żeby wyjść z kuchni. Wyszłam za nią na dwór. Szłyśmy alejką wzdłuż domu do małej ceglanej szopy z drewnianymi drzwiami. Rahab

wyłowiła z kieszeni szlafroka klucz i otworzyła drzwi. Sięgnęła do środka, rozległo się pstryknięcie i jakby za sprawą czarów rozjaśniła się goła żarówka zwisająca z sufitu.

— Wchodź do środka, *yebit*—powiedziała. *Yebit* to arabska obelga, która oznacza dosłownie „dziewczynę niezastugującą na imię”. Byłam zaszokowana, po raz pierwszy ktoś użył tego słowa wobec mnie. Weszłam. Podłoga była brudna, w jednym kącie stała stara drewniana skrzynia i połamany stół. O jedną ze ścian oparty był cienki materac.

— Połóż go na podłodze, *yebit* — nakazała Rahab, wskazując materac. — Tu będziesz spała.

Odwróciła się, żeby wyjść. Już miała zamknąć drzwi, kiedy się zatrzymała.

— Och, to jest włącznik światła — oznajmiła, pokazując białe pudełko na ścianie. — Kiedy wyjdę, musisz wyłączyć światło. Robi się to, naciskając włącznik w ten sposób.

Zamknęła drzwi i usłyszałam klucz obracający się w zamku. Rozejrzałam się po pokoiku. Był potwornie brudny, jakby przez lata go nie używano. Poszukałam czegoś, czym można by się przykryć. Znalazłam brudne prześcieradło zwinięte w kącie. Wyciągnęłam je, strzepnęłam i położyłam na materacu. Usiadłam, podciągnęłam nogi pod brodę, otoczyłam kolana ramionami i zaczęłam cicho płakać.

W mojej głowie kłębiły się myśli. Myślałam o Ashy, dziewczynkach, które spały teraz skulone w piwnicy Abdula Azzima. Potem zaczęłam myśleć o ojcu i mamie, śpiących w naszej małej przytulnej chacie z gliny. Myślałam o moim bracie Babo, Ajece i pozostałych śpiących w domu dla mężczyzn. O Kuntary i jej mężu, śpiących w pobliżu we własnej chacie. I myślałam o mojej kotce, Uran, zwiniętej samotnie w kącie, zamiast spać mocno na moim brzuszku.

Myślałam też o napadzie. Czy ktoś z mojej rodziny jeszcze żyje? Czy nasza wieś wciąż istnieje? Przejął mnie żal, ale bardziej niż cokolwiek innego dokuczała mi bezgraniczna samotność. Przez całe życie otaczała mnie miłość i dobroć,

a teraz byłam całkowicie i kompletnie sama. Wreszcie przeważyło wyczerpanie i wsunęłam się pod prześcieradło. Ta noc była pierwszą z wielu, kiedy własny płacz ukołysał mnie do snu.

Nie spałam długo, ponieważ do szopy przesaczył się nocny chłód. Usiadłam, włożyłam zapasową sukienkę na tę, którą miałam na sobie, i zwinęłam się jak kot, próbując się zagrzać, ale wciąż było mi zimno. W końcu położyłam się w poprzek materaca, naciągnęłam na siebie dolną połówkę i zwinęłam się w środku. Nadal jednak marzłam i przez całą noc to zapadałam w sen, to się budziłam.

Wcześniej rano zostałam obudzona przez Rahab, otwierając drzwi.

— Chodź. Wstawaj, *yebit*. *Idź* do łazienki i się obmyj. Nie chcę, żebyś zasmrodziła dom.

Przy końcu alejki, pod wysoką ceglana ścianą, która biegła wokół domu, znajdował się prysznic i toaleta podobne do tych w domu Abdula Azzima. Obmyłam oczy. Gdy szłam z powrotem do szopy, Rahab zobaczyła mnie przez kuchenne okno.

— Skończyłaś mycie, *yebit*? — zawołała.

Skinęłam głową.

— To wejdź do środka.

Rahab siedziała z mężem przy stole w kuchni nad herbatą i biszkoptami.

— Dzień dobry — powiedział jej mąż, kiedy weszłam, nie podnosząc wzroku znad gazety, ale Rahab syknęła na niego z dezaprobatą i wskazała na stołek.

— Usiądź tam — nakazała. Wręczyła mi starą filiżankę, miskę i talerz.

— Te są twoje — wyjaśniła — do jedzenia i picia. — Otworzyła jedną z szafek. — Tu będziesz je trzymała. A tu będziesz siedziała. Rozumiesz? — Wskazała metalowy stolik w kącie.

Skinęłam głową.

— A teraz słuchaj — ciągnęła. — Będziesz tu mieszkała i pracowała dla mnie. Zostaniesz *ta* przez resztę życia. Rozu-

miesz? Teraz możesz napić się herbaty. Kiedy skończysz, pokażę ci dokładnie, co masz do zrobienia.

Gdy usiadłam z herbatą, zaczęła mnie instruować, co mam robić w ich domu. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i zapaść się pod ziemię. Chciałam umrzeć.

— Mam dwie dziewczynki, którymi musisz się opiekować. Musisz je bardzo dobrze traktować. Musisz sprzątać dom i utrzymywać porządek i czystość. Masz sprzątać dziedziniec i patio od frontu.

Powiedziała mi, że mam też prać ubrania i „prasować je”. Nie wiedziałam, co to prasowanie, ale pamiętałam, co przykazała mi Asha, więc tylko kiwałam głową i mówiłam: „Tak, proszę pani”.

Kiedy skończyłam pić herbatę, kazała mi pozmywać po śniadaniu. Pokazała, jak używać kurków i środka do mycia i jak wyciągać korek, żeby wypuścić wodę. Pokazała, jak wszystko spłukiwać i ustawiać na suszarce.

— Kiedy raz ci pokażę, jak coś się robi — dodała — nie zamierzam tego powtarzać. Jutro masz wstać i sama zacząć pracę.

Zostawiła mnie przy zlewie. Wszystko pokryte było śliskimi mydlinami i musiałam bardzo uważać, żeby niczego nie upuścić. Byłam przerażona, że mogłabym coś stłuc, bałam się też, że przyjdzie Rahab i nakrzyczy na mnie, że tak długo to trwa. Cała się trzęsłam. Gdy skończyłam, sprawdziła, czy wszystko jest czyste.

— Tak — powiedziała — dobrze. Tu się chowa filiżanki, tu talerze i inne naczynia. Masz ściereczkę. Wytrzyj wszystkie te rzeczy i ustaw je na miejscu.

Po wytarciu naczyń musiałam posprzątać kuchnię. Zdumiało mnie, jakie wszystko było brudne. Podłoga lepiła się od porozlewanego jedzenia. Nawet wewnątrz szafek było zabrudzone. Mama nauczyła mnie czystości i porządku. Mieszkaliśmy w glinianej chacie z podłogą z ubitej ziemi, ale za to codziennie zamiataną.



Zaczęłam sprzątać kuchnię około wpół do ósmej i nie skończyłam aż do południa. Do tej pory umierałam już z głodu. Rahab przyszła w towarzystwie dwójki dzieci, żeby mnie sprawdzić. Jedna dziewczynka wyglądała na jakieś dwa lata, a druga na cztery. Gdy tylko mnie zobaczyły, zapytały:

— Mamo, kto to jest?

— Ma na imię Mende — odparła Rahab. — Będzie teraz z nami mieszkała.

— Będziesz sprzątała dom i prała nasze ubrania? Jak Sadhia? Czy Sadhia już nie wróci, mamo? — zapytała starsza dziewczynka.

— Nie, nie. Nie tak jak Sadhia — powiedziała Rahab. — Sadhia pojechała do domu zamieszkać z rodzicami. Wychodzi za męża.

— Ale mamo, ona sprząta i pierze ubrania tak samo jak Sadhia, więc dlaczego nie jest jak Sadhia? — upierała się mniejsza.

— Chodź, kochanie, wypij trochę mleka — poleciła Rahab, sadzając dziewczynki przy stole. — Kiedy zjecie śniadanie, pójdziemy do salonu i wszystko wam wyjaśnię. — Rahab posadziła sobie mniejszą dziewczynkę na kolanach i zaczęła ją karmić chlebem z masłem i dżemem oraz jajkami.

Potem odwróciła się do mnie.

— Kiedy skończysz sprzątać, możesz to zjeść — oznajmiła, wskazując miskę orzechów.

Zaczęłam się zastanawiać, kim była Sadhia? Gdzie zniknęła? Po skończonym jedzeniu Rahab pokazała mi resztę domu. Był to długi, parterowy budynek z kuchnią od frontu. Obszerny salon ciągnął się niemal przez pół jego długości. Obok znajdował się mniejszy salonik „dla pań”, do użytku Rahab i jej przyjaciółek, oraz oficjalna jadalnia. Na drugim końcu łazienka, sypialnia Rahab i oddzielna sypialnia dla dziewczynek.

Dom Rahab był mniejszy niż dom Abdula Azzima, ale również pięknie umeblowany. W każdym pokoju stały ciężkie drewniane sofy i wymyślne lampy oraz wazon. W głównym

salonie ogromny telewizor, wideo i urządzenia do odtwarzania muzyki. Wtedy jeszcze nie umiałam rozpoznać żadnej z tych rzeczy. W sypialni Rahab kolejny telewizor i trzeci w saloniku dla pań. Rahab przykazała mi, bym utrzymywała wszystkie pokoje w czystości i porządku, także sypialnie. Nigdy wcześniej nie widziałam niczego takiego jak dywany, więc z początku uznałam, że muszą być robione z jakichś skór.

Dom okazał się zakurzony i zabałaganiony, ale najgorsze były dwie sypialnie, w których panował nieopisany bezład. Zaczęłam od salonu, ale byłam wyczerpana po zimnej, bezsennej nocy. Rano wypićłam tylko filiżankę herbaty i zjadłam kilka orzechów. Jakim sposobem miałam skończyć pracę, którą kazano mi wykonać tego dnia? Przez całe popołudnie Rahab siedziała w salonie i czytała czasopisma. Pracowałam przy niej w milczeniu. Raz na jakiś czas brała do ręki dziwny biały przedmiot, przykładała go do ucha i zaczynała do niego mówić. Do jednego końca miał przymocowany długi skręcony sznur i kiedy go odkładała, robił „dzyń”. Nie mogłam zrozumieć, z kim ona rozmawia.

Potem włączyła telewizor. Osłupiała, przyglądałam się z kąta pokoju małym ludziom poruszającym się wewnątrz kwadratowego czarnego pudła z lśniącym szklanym przodem. Nie mogłam zrozumieć, jak dostali się do środka, ale widziałam, że chodzili tam, i słyszałam ich rozmowy. Bardzo trudno było sprzątać i nie patrzeć. Dla mnie wyglądało to zupełnie jak czary, ale wiedziałam, że jeśli Rahab przyłapie mnie na oglądaniu, rozżłości się.

Później do domu wrócili dzieci. Starsza znalazła mnie w saloniku.

— Mende — powiedziała — chodź się z nami pobawić. No, chodź. — Przyniosła duże pudło zabawek. Usiadły i zaczęły je wyjmować.

Odłożyłam przybory do sprzątnięcia i usiadłam obok dziewczynek. Sama wciąż jeszcze byłam dzieckiem i nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknych zabawek. Podniosłam młodszą

dziewczynkę i uściskałam ją, ale kiedy to zrobiłam, do pokoju wpadła Rahab.

— *Yebit* — wrzasnęła na mnie — postaw ją! Nie waż się dotykać moich dzieci! Słyszysz?

Ukucnęła przed córkami.

— Usro. Hanin. Nie pozwólcie, żeby was dotykała, dobrze? Chodźcie. Chodźcie stąd. Miałyście ciężki dzień. Czas na odpoczynek. Później możecie pooglądać telewizję.

Potem zwróciła się do mnie:

— *Yebit*, masz co robić — warknęła — więc nie trać czasu na zabawy.

Gdy Rahab wyprowadziła dziewczynki, znów upadłam na duchu. Kilka minut później wróciła i stanęła przede mną z rękami na biodrach.

— *Yebit*, chcę, żebyś skończyła dzisiaj całą tę pracę, nieważne, ile to potrwa. Rozumiesz?

Skinęłam głową i dalej sprzątałam. Skończyłam salony i jadalnię dosyć szybko, mimo że było tam bardzo brudno. Po obiedzie wszyscy poszli do swoich pokoi na popołudniową drzemkę. Zanim wyszli, Rahab powiedziała do mnie:

— W kuchni jest jedzenie dla ciebie. Kiedy skończysz, pozmywaj.

Na moim stoliku w kącie kuchni znalazłam na talerzu resztki po ich posiłku. Byłam tak głodna, że zjadłabym wszystko, ale nigdy w życiu nie jadłam sama. W górach Nuba nikt nie jadał sam. Kłóciło się to z naszą tradycyjną gościnnością. W naszej wsi to, czego nie chciało się już jeść, dawano w misce psu, stawiając ją w kacie. Dokładnie tak potraktowali mnie ci ludzie.

Pojedzeniu zaczęłam zmywać. Zanim skończyłam, w domu zapadła cisza, ponieważ wszyscy przesypiali popołudniowy upał. Teraz przynajmniej nie było w pobliżu nikogo, kto by na mnie krzyczał albo sprawdzał, jak pracuję. Około siódmej

wieczorem usłyszałam hałasy dobiegające z dziecinnego pokoju. Rahab weszła do salonu i włączyła telewizor, a Hanin i Usra się do niej przyłączyły.

Sprzątanie łazienki zostawiłam na koniec, kiedy cała rodzina poszła już do łóżek. Potem zjadłam resztki z kolacji, pozmywałam, powycierałam naczynia i powstawiłam do szafek. Było już koło północy i ledwie trzymałam się na nogach. Kończyłam, kiedy Mustafa, mąż Rahab, przyszedł po szklankę wody. Wrócił do ich sypialni i podsłuchiłam, jak mówi do Rahab:

— Hej, dom wygląda naprawdę wspaniale, co? Kuchnia jest jak nowa.

— Tak. Cóż, dostała bardzo szczegółowe wskazówki, prawda? — odparła Rahab, zadowolona z siebie. — Myślę, że ta okaże się bardzo dobrą *abda*, nie uważasz?

— Mówiłaś, że jak jej na imię? — zapytał Mustafa.

— Na imię? Na imię? Ciągle zapominam — sennie odpowiedziała Rahab. — Mówię do niej po prostu *yebit*.

— Cóż, wydaje mi się, że za parę tygodni, *insz Allah*, będzie w stanie robić wszystko, co? Może nawet nauczysz ją gotować.

— Może — mruknęła Rahab. — Ale nigdy nie wiadomo, prawdopodobnie roznosi jakieś choroby. Dopilnuję, żeby codziennie rano i wieczorem brała prysznic. Kiedy będziemy pewni, że jest czysta i zdrowa, wtedy może zacznie gotować.

Rahab pojawiła się w kuchni w szlafroku.

— Skończyłaś wszystko?

Skinęłam głową.

— Dobrze, czas, żebyś poszła do łóżka. Jutro będziesz miała więcej do zrobienia. Chodź ze mną. Och, zapomniałam — powiedziała, gdy już miała zamknąć drzwi do mojej szopy. — Musisz wziąć prysznic przed pójściem do łóżka. Idź i zacznij, a ja coś ci przyniosę.

Byłam tak zmęczona, że chciało mi się płakać. Ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę, to prysznic. Umyłam się najszybciej jak umiałam. Rahab wróciła z olejem, czymś kremowym w słoiku i niewielką białą pałeczką.

— Codziennie rano masz tym nakremować ciało, natłuścić włosy olejem i wetrzeć to pod pachami i w szyję — poleciała, wskazując na białą pałeczkę. — Nie chcę, żebyś mi zasmrodziła dom.

Potem zamknęła mnie w szopie. Włożyłam zapasową sukienkę, zwinęłam się w kłębek i naciągnęłam na siebie materac. Nie miałam nawet siły płakać. Wyczerpana, natychmiast zapadłam w sen. O szóstej rano wciąż jeszcze spałam głęboko, kiedy Rahab mnie obudziła. Po prysznicu ubrałam się i poszłam do kuchni.

— *Yebit*, nie możesz nosić tej brudnej sukienki — syknęła na mój widok. — Dlaczego się nie przebrałaś?

— Mam tylko dwie sukienki — wymamrotałam. — Obie są brudne.

Westchnęła i zniknęła w sypialni. Po paru chwilach wróciła z trzema sukienkami i spódnicą.

— Masz, możesz zatrzymać moje stare rzeczy. A teraz idź się przebrać.

Rahab powiedziała, że to stare ubrania, ale mnie wydawały się bardzo piękne. Nie były oczywiście w moim rozmiarze, ponieważ miałam zaledwie dwanaście lat, ale udało mi się związać spódnicę w pasie tak, żeby nie opadała.

Rahab oznajmiła, że co rano mam zaczynać od sprzątnięcia całego domu. Potem pokazała mi, jak prać ich rzeczy na podwórzu i gdzie rozwieszać je do suszenia. Ostrzegła, żebym nie prała swoich ubrań razem z ubraniami rodziny.

— Nie chcemy czegoś od ciebie złapać — powiedziała.

Pokazano mi także, jak opróżniać dwie duże beczki z tyłu domu, do których spływała cała brudna woda. Nienawidziłam tej pracy. Każdy zbiornik mieścił jakieś pełnych dziesięć wiader cuchnącej wody, którą musiałam wylewać za domem.

Gdy rodzina zjadła obiad, pozwolono zjeść mnie. Zostawili resztki swojego posiłku na głównym stole, więc wzięłam ich talerze i usiadłam w swoim kącie. W tym momencie zjawiła się Rahab.

— *Yebit!* — wrzasnęła, gdy zobaczyła, co robię. — Nie waż się jeść z naszych talerzy! Włóż jedzenie do swojej własnej miski! Pokazałam ci wczoraj, jak masz to robić, prawda? A może jesteś głupia czy co? — Drżącymi rękami zsunęłam jedzenie do miski. Co jest ze mną nie tak? Dlaczego mnie tak traktuje?

Kolejne dni zlewały się ze sobą, dzień po dniu ta sama harówka, te same nieustanne wyzwiska. W tamtym pierwszym tygodniu dzieci wciąż usiłowały się ze mną pobawić. Mniejsza, Usra, prosiła, żebym głaskała ją po głowie. Tak bardzo chciałam ją ucałować i uściskać, bo tak właśnie traktowałam mniejsze dzieci w wiosce, i kiedy Rahab nie patrzyła, robiłam to. Umierałam z tęsknoty za uczuciem i ciepłem. Kiedy jednak zaczęłam gładzić włosy starszej dziewczynki, Hanin, wyszarpnęła się.

— Nie rób tego — rzuciła. — Mama powiedziała, że nie mogę pozwolić, żebyś mnie dotykała. Powiedziała, że masz choroby i że jesteś brudna. Poskarżę na ciebie.

— Nie jestem chora — wymamrotałam. — Nie jestem chora. — Byłam zdenerwowana, czułam, że pęka mi serce. Obejrzałam się od góry do dołu. — Jestem czysta — powiedziałam. — Nie jestem brudna.

— Ale mama mówi, że nie wolno ci mnie dotykać. — I Hanin odwróciła się do mnie plecami.

Nawet dzieci traktowały mnie jak zwierzę. Gorzej niż zwierzę; przecież psy są głaskane i pieszczone. Chciało mi się płakać, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, Rahab wpadnie do pokoju i zacznie na mnie wrzeszczeć. Pod koniec pierwszego tygodnia byłam wyczerpana, emocjonalnie i fizycznie. Próbowałam ukryć smutek i ból, starałam się nie reagować na odtrącenie. Czułam się zaszczuta, cały czas pod obserwacją, bezwzględnie wykorzystywana.

Nic więc dziwnego, że w końcu coś poszło nie tak. Używałam miotełki do kurzu, żeby zmieść pajęczyny w kącie salonu, jak pokazała mi Rahab, jednak miotełka zawadziła o brzeg wazonu, który z trzaskiem spadł na podłogę. Stałam jak wrośnięta

w ziemię, wpatrując się w potłuczone szkło i kwiaty rozrzucone na dywanie w wielkiej kałuży wody. Nie wiedziałam, co robić. Czułam, że zaczynam trząść się ze strachu.

— Idiotka! Ślepa jesteś? — usłyszałam wrzask Rahab, kiedy wpadła do salonu. — Co zrobiłaś?

— Ja... ja... ja... — jąkałam się, nie patrząc na nią. Nie mogłam wydusić słowa.

— Widzę, co narobiłaś! — wściekała się. — Wiesz, ile mnie to kosztowało? Ten jeden wazon jest wart więcej niż całe twoje cuchnące plemię!

Głowa odskoczyła mi do tyłu, kiedy chwyciła mnie za włosy i poczułam palące uderzenie w policzek.

— *Mailesh* — przepraszam. — *Mailesh*, pani Rahab — rozpłakałam się. — Przepraszam. Proszę mnie nie bić. — Ale uderzała raz za razem.

— Ty głupia dziewczyno! Dlaczego nie patrzysz, co robisz? Ostrzegam cię, jeżeli jeszcze raz coś stłuczysz, to zobaczysz, co będzie!

— Przepraszam, przepraszam — szlochałam. — Przepraszam.

— Przystań ryczeć i sprzątnij ten bałagan — rzuciła. — Nie chcę znaleźć ani kawałka szkła. Jeżeli dzieci pokaleczą sobie stopy, pożałujesz.

Uklęłam i zaczęłam zbierać kawałki stłuczonego wazonu. Byłam w szoku. Pierwszy raz w życiu ktoś mnie zbił. Pomyślałam o tym, jacy delikatni i kochający byli moi rodzice. Nie pamiętam, żeby ojciec kiedykolwiek kogoś z nas uderzył. Gdy pojawiał się problem, zawsze wolał go omówić, niż karać przy użyciu siły. Mama uderzyła mnie tylko raz. Poprosiła, żebym poszła na rynek kupić sól, a ja odmówiłam. „Zostaw mnie, powiedziałam do niej niegrzecznie. Nie pójdę”.

„A dlaczego nie? zapytała mama, zaskoczona. Każę ci iść. Za kogo się uważasz?”.

Ale ja nie odpowiedziałam, tylko nadęłam się obrażona. Ten jeden jedyny raz mama straciła cierpliwość i uderzyła mnie

w ramię. Wybuchnęłam płaczem. Potem mama wzięła mnie na kolana i utuliła. „Przepraszam, że cię uderzyłam, mówiła, kołyszac mnie w ramionach. Ale jeżeli proszę, żebyś poszła na targ, nie powinnaś odmawiać. Nie płacz. Pójdę i sama kupię sól”.

Przestałam szlochać i powiedziałam: „*Umi*, pójdę na targ”. Wiedziałam, że brzydko się zachowałam i że mama miała rację, karząc mnie. Ale teraz stłukłam wazon niechcący. Było jednak jasne, że nie mogłam oczekiwać od tych ludzi uczciwego traktowania i dobroci.



## Bez wyjścia

Bez przerwy myślałam o ucieczce. Pewnego dnia wylewałam pomyje z tyłu domu i zauważyłam przewrócone na bok połamane krzesło. Sprawdziłam, czy utrzyma mój ciężar. Byłam dobra we wspinaczce i uznałam, że gdybym stanęła na krzesle, zdołałabym dosięgnąć do szczytu muru, który otaczał dom. Potem mogłabym się podciągnąć, zeskoczyć po drugiej stronie i przekraść się do drogi. Ale co bym wtedy zrobiła? Samotna i zagubiona w środku Chartumu, a dookoła sami Arabowie. Kto by mi pomógł? Im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam pewna, że próba samotnej ucieczki nie ma sensu. Potrzebowałam pomocy.

Co tydzień przychodził człowiek, który przycinał trawę, opiekował się ogrodem i drzewami owocowymi otaczającymi dom. Rahab nazywała go *janiney* — ogrodnik. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, pozdrowiłam uprzejmie:

— *Salam alejkum.*

— *Alejkum wasalam, biti.* Witaj, moja córko — odparł z uśmiechem. Był Arabem, ale wyglądał na biednego i zachowywał się miło. Po dwóch miesiącach zebrałam się na odwagę i spróbowałam z nim porozmawiać. Poszłam do sadu i zastałam go przy strzyżeniu trawnika.

Gdy próbowałam zadać mu pytanie, pokazał ręką, że mnie nie słyszy. Pochylił się i wyłączył kosiarkę.

— Czy masz córkę, wujku? — zapytałam.

— Tak, *biti*, mam. Jest mniej więcej w twoim wieku. Hej, chciałabyś, żebym ją przyprowadził, żeby się z tobą pobawiła?

— Tak! Tak, bardzo bym chciała — odrzekłam z niepewnym uśmiechem.

— Dobrze. Albo jeszcze lepiej, dlaczego nie przyjdiesz do nas do domu następnym razem, kiedy będziesz miała wolne? Przed tobą pracowała tu dziewczyna imieniem Sadhia. W dni wolne przychodziła do nas. Może zrobisz tak samo?

A więc Sadhia była kimś, kto pracował tu jak ja. Ale ona miała wolne i mogła wychodzić z domu. Ja pracowałam codziennie i Asha powiedziała mi, że nigdy nie wolno mi będzie wyjść poza dom.

— Nie mogę opuszczać domu, wujku *janineyu*. Możesz zamiast tego przyprowadzić swoją córkę tutaj?

— Czemu nie, *biti!* Sadhia często przychodziła do nas do domu.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usłyszałam wołanie:

— *Yebit!* Gdzie jesteś? Przyjdź tu natychmiast! — To wołała Rahab.

— Tu jestem, *saieda* Rahab — odrzyknęłam. Popędziłam na dziedziniec, nie mówiąc już ani słowa do *janineya*. — Sprzątam podwórze.

Rahab wielkimi krokami szła w moją stronę.

— Sprzątasz czy rozmawiasz? — ze złością zażądała odpowiedzi. — Wejdz do środka!

Poszłam za nią do kuchni z nisko spuszczoną głową. Odwróciła mnie do siebie. Jej twarz pociemniała z wściekłości.

— Z kim rozmawiałaś? Mów!

— Rozmawiałam z *janineyem*, pani Rahab — wymamrotałam.

— O czym rozmawialiście? Znasz go skądś?

— Nie, nie znam. Spotkałam go w ogrodzie.

— Kłamiesz! — naskoczyła na mnie. — Rozmawialiście bardzo długo! Słyszałam. Myślisz, że możesz mnie okłamywać?

Chwyciła jeden ze swoich butów, sandał z drewnianą podszwą, i zaczęła bić mnie nim po głowie. Krzyknęłam i podniosłam ramiona, żeby się osłonić.

— A teraz powiesz mi, o czym rozmawialiście? — zażądała zadyszana. — Czy mam cię jeszcze zbić?

— Zapytałam go, czy ma córkę, z którą mogłabym się pobawić — wyszlochałam. — To wszystko.

— I co ci odpowiedział?

— Że jeśli chce, zabierze mnie do siebie do domu, żebyśmy mogła się pobawić z jego córką.

— Ach tak, w takim razie wszystko w porządku, prawda? — powiedziała szyderczo. — Więc ma zamiar zabrać cię, żebyś pobawiła się z jego córką. Bardzo miło. Naprawdę tak myślisz, co?

— *Mailesh*, przepraszam — wyszlochałam. — *Mailesh*, proszę pani. Może mógłby ją przyprowadzić tutaj, żeby się ze mną pobawiła? — wyszeptalam, wpatrując się w podłogę.

— O tak! Niech ją to przyprowadzi! Za kogo ty się uważasz? — parsknęła. — Myślisz, że jesteś moją córką? Myślisz, że możesz *tu* zapraszać dziewczynki, żeby się z tobą bawiły? Nie wiesz, kim jesteś? W takim razie ci powiem. Jesteś *abda*. *Abda. Abda. Abda*. Wiesz, co to znaczy, prawda? No, to nigdy o tym nie zapominaj.

— Nie, nie jestem *abda*. Jestem Mende — wymamrotałam. W górach Nuba „Abda” to żeńskie imię. Myślałam po prostu, że Rahab nie pamięta, jak się nazywam.

— Tak, wiem, że nazywasz się Mende — uśmiechnęła się szyderczo. — Ale jesteś *abda*. Nie wiesz, co to znaczy?

— Jestem Mende — odparłam cicho.

— Nie! Jesteś moją *abda!* — wrzasnęła. — Więc się nie kłóć. To oznacza, że zostajesz tu, w tym domu, i robisz, co ci każę. Pracujesz, nie bawisz się. Rozumiesz? *Abda! Abda!* Jedna *abda*, wiele *abids*.

Nagle przypomniałam sobie historię opowiedzianą mi przez ojca o Arabach, którzy napadli na wieś Shimii. Powiedział

wtedy, że zabrali dziewczynki jako *abids* — niewolnice. Teraz wreszcie wiedziałam, co mówi Rahab. Nazywała mnie swoją niewolnicą.

— Przepraszam panią—odezwałam się płacząco. — *Mailesh*. — Byłam przerażona, że znów mnie uderzy.

— Myślisz, że to takie proste, tak? — stwierdziła sarkastycznie. — *Mailesh, mailesh*, a potem wszystko w porządku? Uważasz, że powinnam po prostu o tym zapomnieć, tak? Cóż, nie sądzę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc w milczeniu wpatrywałam się w podłogę. Czułam, że na czole, w miejscu, gdzie mnie uderzyła, rośnie wielki guz.

— Nie wracasz na dwór — rzuciła. — Mam tu rzeczy do prania. I żebym nigdy więcej nie przytąpała cię na rozmowie z tym człowiekiem.

Wychyliła się przez kuchenne okno i krzyknęła:

— *Janiney! Janiney!* Kiedy skończysz pracę, przyjdź tu. Muszę coś z tobą omówić.

Po mniej więcej godzinie ogrodnik zapukał do drzwi. Hanin poszła mu otworzyć.

— Mamo! Mamo! — zawołała. — Przyszedł *janiney!*

Usiedli na jednej z ławek na dziedzińcu. Podkradłam się do kuchennego okna, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają.

— *Janineyu* — zaczęła Rahab — wyjeżdżam na wakacje i poprosiłam, żeby pewien człowiek przychodził tu i opiekował się domem, więc nie będziesz mi więcej potrzebny. Ile jestem ci winna?

— Och... — był zaskoczony — wyjeżdża pani bardzo nagle.

— Nie, właściwie nie — odpowiedziała Rahab. — Po prostu zapomniałam ci o tym powiedzieć, to wszystko.

Rahab wręczyła ogrodnikowi pieniądze. Patrząc, jak odchodzi ścieżką, zaczęłam płakać. Jedyna osoba, która okazała mi odrobinę życzliwości, teraz odchodziła. Nie mogłam powstrzymać łez, więc zaniknęłam się w toalecie i solidnie wypłakałam. Niedługo potem mąż Rahab, Mustafa, wrócił z pracy. Wszedł do salonu z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Aha! Dzisiaj był *janiney*, co? — stwierdził. — Przyciął drzewa w sadzie i skosił trawę. Dobry pracownik z tego *janineya*.

— Przestań gadać o tym cholernym *janineyu!* — rzuciła ostro Rahab.

— Co się stało? — zapytał Mustafa nerwowo.

— Potąd mam tego *janineya* i tej *yebit*. Chcą mnie doprowadzić do szaleństwa!

— No, kochanie — powiedział Mustafa uspokajająco. — Co się stało? Kto cię zdenerwował, co?

— Miałam koszmary dzień — oznajmiła Rahab. — I umieram z głodu. Wyjaśnię ci wszystko po kolacji.

Zostawiono mnie w salonie z prasowaniem, podczas gdy Rahab i Mustafa poszli zjeść w kuchni. Jako niewolnicy nigdy niczego mi nie wyjaśniano, ale ponieważ zwykle nie zauważano mojej obecności, mogłam zebrać trochę informacji, podsłuchując rozmowy innych. Podsłuchiwałam prawie codziennie i zostałam prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Tym razem przysłuchiwałam się, o czym rozmawiają w kuchni.

— Dzisiaj *yebit* i *janiney* odbyli miłą rozmówkę — powiedziała Rahab.

— O czym?

— *Janiney* zaprosił ją, żeby odwiedziła go w domu i pobawiła się z jego córką! — parsknęła Rahab.

— Naprawdę?

— Tak. A potem nie chciała mi o tym powiedzieć. Musiałam to z niej wytłuc.

— Dobra robota — odparł Mustafa. — Mam nadzieję, że *janineyowi* też pokazałaś, gdzie jego miejsce?

Od tej pory wiedziałam już, jakim człowiekiem jest mąż Rahab. Było jasne, kto w tym domu nosi spodnie. Pomyślałam: On przypomina owcę. To ona rządzi. W górach Nuba żaden mężczyzna nigdy by do tego nie dopuścił. Mustafa hie bił mnie ani nie krzyczał i wydaje mi się, że w głębi ducha nie podobało

mu się, że Rahab to robi, ale nigdy nic na ten temat nie powiedział. Zachowywał się, jakby mnie tam nie było.

— Ha! — ciągnęła Rahab. — Oczywiście, że ustawiłam go jak trzeba. Zapłaciłam mu, co się należało i odesłałam.

— Zwolniłaś *janineya*"? Cóż... dobra robota — powtórzył Mustafa. — Wygląda na to, że gdyby został, mógłby narobić kłopotów, prawda?

Wydawało się, że w miarę upływu kolejnych tygodni incydent z *janiney em* został zapomniany. Zdążyłam już porzucić nadzieje na ucieczkę. Musiałam się skoncentrować na tym, żeby przeżyć. Rahab sprawiała wrażenie zadowolonej ze mnie, dopóki ciężko pracowałam, robiłam, co mi kazano, i zachowywałam się z pokorą. Tak więc się zachowywałam. Starałam się być niewidzialna.

Pewnego dnia Rahab poleciła mi pomóc przy krojeniu cebuli do gulaszu, który gotowała na kolację. Pierwszy raz pozwoliła mi dotknąć ich jedzenia. Musiała dojść do wniosku, że jednak nie zarażą się ode mnie żadnymi chorobami. Następnego dnia kazała mi wyłuskać fasolę przygotowywaną na dahir, po rama-danic drugie co do ważności muzułmańskie święto. Siedziałyśmy w kuchni, gdy odezwał się dzwonek do drzwi. Rahab przygotowała dla czterech przybyłych z wizytą pań herbatę i zaprosiła je do salonu.

— Więc znalazłaś sobie niewolnicę — powiedziała jedna z kobiet przyciszonym głosem. — Bardzo byśmy chciały ją zobaczyć. Gdzie jest? Jaka jest?

— Jest w kuchni — odparła Rahab z dumą. — Chodźcie zobaczyć.

Rahab i jej goście pojawili się w drzwiach. Siedziałam przy stoliku, łuskając fasolę. Zerknęłam na rząd wymalowanych arabskich twarzy, wpatrujących się we mnie, jakbym była jakimś zwierzęciem. Pełnymi podziwu spojrzzeniami obrzuciły kuchnię.

— Oooch, masz taką wysprzątaną kuchnię — westchnęła jedna z nich. — Lśni jak nowa.

— Tak — powiedziała Rahab. — Pokazałam jej, jak co się robi z wyjątkiem gotowania. Codziennie sprząta dom, zmywa i pierze.

— Hm... Cudownie. I nie musisz jej nic płacić? Za każdym razem, kiedy jej potrzebujesz, jest na miejscu? Czy tak to działa? Nigdy nie ma wolnego?

— Nie — odpowiedziała Rahab. — Żadnych dni wolnych, żadnych wakacji. Żadnej pensji. Zawsze tu jest. Należy do mnie.

## Próba krwi

Mieszkałam w dom Rahab jakieś sześć miesięcy, kiedy przeżyłam potworny szok. Pewnego ranka poszłam wziąć prysznic i z przerażeniem odkryłam, że majtki mam pobrudzone krwią. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięła. Nie czułam bólu, nie mogłam więc się niczym zaciąć. Martwiłam się, ale wiedziałam, że muszę zacząć pracę, więc włożyłam czyste majtki i miałam nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Jakąś godzinę później zaczął boleć mnie brzuch. Pobiegłam do łazienki i odkryłam, że wciąż krwawię. Teraz byłam naprawdę zmartwiona. Co się ze mną dzieje? Rozejrzałam się po łazience, ale nie znalazłam niczego do zatamowania krwawienia. Wyszłam na zewnątrz i spod drzewa guawy podniosłam nieduży kamyk. Próbowałam użyć go do zatamowania krwi, ale było to zbyt bolesne. Mogłam tylko ponownie wyprać majtki i wrócić do pracy.

Gdybym była w wiosce, po prostu pokazałabym majtki mamie. „Popatrz, *umi* — powiedziałałabym. Co się dzieje? Czy coś jest nie tak z moim obrzezaniem?”. A potem mama usiadła by ze mną i wszystko mi wyjaśniła.

Gdy stałam przy zlewie i zmywałam, weszła Rahab i krzyknęła głośno.

— *Yebit!* — zawołała. — Fúj! *Yebit*, co to jest?



— Co takiego, pani Rahab? — zapytałam, omal nie wyskakując ze skóry. Myślałam, że coś źle zrobiłam.

— Przestań zmywać — poleciła surowo. — *Yebit*, masz okres?

— Okres? — zdziwiłam się. — A co to jest okres?

— Spójrz na swoją sukienkę. Patrz! Tam. Co to za bałagan?

Spojrzałam tam, gdzie wskazywała, i zobaczyłam z tyłu sukienki dużą czerwoną plamę. Bardzo się zawstydziałam.

— Nie wiesz, co to jest okres? — zapytała z niedowierzaniem. — Nigdy wcześniej tak nie krwawiłaś?

— Nie — odparłam drżącym głosem. — Musiałam się skaleczyć albo coś.

— Nie. Nie skaleczyłaś się — westchnęła. — Zaczekaj tu chwilę. Nie ruszaj się i nigdzie nie siadaj.

Rahab zniknęła w rodzinnej łazience i wróciła, niosąc watę.

— Włóż to do majtek, żeby wchłonęło krew — powiedziała. — I przebierz się! To, co masz na sobie, jest upaprane!

— Ale nie mam więcej ubrań — wyszeptalam, bliska łez.

— Och, rozumiem. W takim razie zaczekaj. Zniknęła w swojej sypialni. Tym razem wróciła z dwiema parami własnych majtek. Długi czas stałam pod prysznicem, próbując znów poczuć się czysta po całym tym szoku i upokorzeniu. Wciąż nie wiedziałam, co mi dolega, ale teraz przynajmniej miałam coś do zatamowania krwawienia. Zwinęłam kawałek waty w kulkę i wepchnęłam go do środka.

— No — powiedziałam do siebie — to powinno przynajmniej powstrzymać krwawienie.

Przebrałam się i wróciłam do kuchni.

— Wzięłaś prysznic? — zapytała Rahab. — Umyłaś się jak należy?

Skinęłam głową.

— Dobrze. — Wręczyła mi pałeczkę dezodorantu, do którego używania już się przyzwyczaiałam. — Masz, użyj tego. A potem dokończ zmywanie.

Następnie kazała mi pokroić cebulę, ponieważ wciąż jeszcze

szkowałyśmy różne rzeczy na dahir. Po półgodzinie wróciła do kuchni, sprawdzić, jak sobie radzę. Właśnie odłożyłam nóż i ocierałam oczy wierzchem dłoni, próbując powstrzymać cebulowe łzy.

— **Wiesz, *yebit*** — powiedziała — może weźmiesz tę cebulę, nóż i deskę i pójdziesz na frontowy dziedziniec. Wieje tam miły wietrzyk, będzie ci łatwiej. — Ale kiedy wstałam, z przerażeniem obejrzała mnie z tyłu.

— Co się, do licha, dzieje? — zapytała ze złością. — Znów cała jesteś brudna! Co zrobiłaś z watą, którą ci dałam? Zjadłaś? Jak ci się udało znów tak zapaprać? Wracaj do łazienki i się przebierz.

Po raz pierwszy Rahab była dla mnie prawie miła, ale teraz krzyczała i naprawdę się rozzłościła, jakby myślała, że robię to celowo.

— ***Mailesh***, pani Rahab — wyszeptałam. — Przepraszam. — Odłożyłam nóż i wyszłam z kuchni.

— **Zaczekaj** — powiedziała. — Ile waty zużyłaś? Idź po nią i mi pokaż.

Poszłam po watę i oderwałam maleńką kuleczkę jak ta, której użyłam. Potem zaniosiłam ją do kuchni pokazać Rahab.

— **Gdzie jest wata, *yebit*?** — zapytała ostro. — Kazałam ci ją tu przynieść.

— Przyniosłam, proszę pani — odparłam, wyciągając w jej stronę ułożoną na dłoni białą kuleczkę.

Rahab spojrzała na moją rękę i prychnęła.

— **Myślisz, że jesteś jak butelka, co? Że możesz sobie włożyć korek i zatrzymać krew?**

Stała tak, śmiejąc się, a ja patrzyłam w podłogę.

— **Ale nie wiem, co robić** — wymamrotałam, bliska płaczu.

Rahab śmiała się tak długo, że po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Pomyślałam, że całe to wydarzenie ma również zabawną stronę, więc także się roześmiałam. Dziwne uczucie. Po sześciu miesiącach piekła w jej domu nagle proszę, razem się śmiejemy.

— Spójrz, bierzesz watę, odrywasz duży kawałek, o tak, zwijasz go trzy razy i robisz sobie podkładkę — wyjaśniła. — Musi być odpowiednio duża. Wkładasz ją do majtek i zmieniasz trzy razy dziennie. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

— A teraz idź do swojej łazienki i kiedy skończysz, bardzo starannie umyj ręce. Potem masz wrócić i skończyć z cebulą.

Następnego dnia nie krwawiłam już tak bardzo, nie bolał mnie też brzuch. Trzy dni później wszystko się skończyło. Z początku myślałam, że wata musi mieć magiczne właściwości lecznicze, ale miesiąc później z przerażeniem przekonałam się, że znów mam okres. Jakiś czas potem podsłuchiłam, jak Rahab narzeka przy mężu:

— Mustafa, dostałam dzisiaj okresu i ból jest gorszy niż zwykle. Możesz pójść do sklepu po watę i coś przeciwbólowego? Mam zamiar zostać dzisiaj w łóżku i spróbować to przespać.

Teraz więc wiedziałam, że nie tylko ja mam okres. Rahab też to miała. Ona także używała waty i nawet brała tabletki przeciwbólowe. Poczułam się lepiej. Wyglądało to na coś normalnego, ucieszyłam się, że nie umieram na jakąś straszną chorobę.

## Groźba śmierci

Tamtego pierwszego roku Rahab biła mnie mniej więcej raz na tydzień. Często bez żadnego powodu. Nawet nie wiedziałam, co właściwie źle zrobiłam. Często biła mnie po twarzy, a także tłukła po głowie butami z drewnianą podeszwą. Chwytała też miotłę albo pas.

Pewnego dnia rozkazała mi splukać węzem patio od frontu. Był wczesny wieczór na początku pory suchej. O tej porze roku rodzina i goście do późna siadywali na zewnątrz. Wyszłam przed dom i odkręciłam kurek, a potem odszukałam końcówkę węża w ogrodzie. Struga wody tryskała wielkim łukiem z drzewa grapefruitowego, na które wąż został odwieszony. Krople wody skrzyły się w świetle wieczornego słońca. Przypomniało mi to nadejście deszczu w górach Nuba, kiedy wszystkie dzieci wybiegały z domów, żeby krzyczeć, tańczyć i śpiewać deszczową piosenkę.

Zanim pomyślałam, co robię, weszłam pod strugę wody i zaczęłam podskakiwać, śpiewając *Are kukure, are kondu dukre* — nadchodzi deszcz, za dużo deszczu! Przez kilka błogich chwil znajdowałam się tysiące mil od tego okropnego domu, z powrotem w mojej wiosce. Byłam z przyjaciółkami, śpiewaliśmy, szczęśliwi, ponieważ wiedzieliśmy, że w tym roku czekają nas dobre zbiory. Znowu otaczała mnie miłość i dobroć. Rahab

musiała usłyszeć mój śpiew. Nagle woda została zakręcona. Przystałam tańczyć, uśmiech zamarł mi na ustach. Zapadła śmiertelna cisza. Zza drzewa wyszła Rahab.

— Dlaczego przerwałeś? — odezwała się sarkastycznie. — Wydawało mi się, że świetnie się bawisz.

Stałam w milczeniu, z opuszczonymi ramionami. Zdałam sobie sprawę, że oczekam wodą, i obawiałam się tego, co nastąpi.

— Chodź tu! — warknęła. — I podaj mi szlauch. Co za głupią piosenkę śpiewałeś?

Zdjęłam wąż z drzewa i podeszłam z chłupotem, wpatrując się w ziemię.

— Wiesz, która godzina? — rzuciła ostro. — Za chwilę przychodzą goście. Podaj mi to.

Wyciągnęłam wąż w jej stronę, sądząc, że być może zamierza sama spłukać patio, ale ona wyrwała mi go i chwyciła mnie za ramię. A potem zaczęła bić mnie tym węzem po plecach i ramionach. Uderzała wciąż od nowa, a ja płakałam i błagałam, żeby przestała.

— Zamknij się! — wrzeszczała. — Zamknij się! Zaniknij się! Zamknij się!

Biła mnie mocniej niż kiedykolwiek do tej pory. Słyszałam, jak gumowa rura ze świstem przecina powietrze. Cienka, mokra sukienka nie stanowiła żadnej ochrony. Starłam się zdusić krzyki i łzy, bo wydawało się, że im więcej płaczę, tym większe ogarniają szaleństwo. Wreszcie uderzyła po raz ostatni, szczególnie mocno, w ramiona. Gdy puściła moją rękę, upadłam na ziemię. Leżałam tak u jej stóp, starając się nie płakać, głośno dysząc w wilgotną trawę.

— Przestań skamleć! — warknęła. — Nie umiesz się zachować, jeżeli nie dostaniesz batów. Jeżeli kiedykolwiek znów zrobisz coś takiego, postaram się o prawdziwy bat, a potem stłukę cię jak osła. Słyszysz? Zresztą nie jesteś lepsza od osła.

Leżałam na ziemi, skręcając się z bólu, zwinięta w kłębek, modląc się, żeby sobie poszła.

— A teraz idź i sprzątnij patio, jak ci kazałam — rzuciła

ostro. — Przyjdę sprawdzić za dziesięć minut. Jeżeli do tej pory nie skończysz, to cię zabiję.

Odwrociła się i odeszła energicznym krokiem. Potykając się, wstałam, chwyciłam szlauch i popędziłam spłukać patio. O tej porze roku, podczas pory suchej, codziennie wiał *harmattan*, gorący, suchy wiatr znad Sahary. Przynosił wielkie chmury kurzu, który osiadał na wszystkim. Całe patio pokrywała gruba warstwa pyłu. Pracowałam gorączkowo, trzęsąc się tak bardzo, że ledwie mogłam utrzymać szlauch. Naprawdę wierzyłam, że Rahab przyjdzie i mnie zabije, jeżeli nie skończę na czas.

Kiedy goście siedzieli na patio, plotkując, znalazłam chwilę, żeby pójść do łazienki. Podciągnęłam wilgotną sukienkę i spojrzałam w lustro. Plecy i ramiona miałam poznaczone czerwonymi, zaognionymi szramami. Tamtej nocy leżałam w szopie i płakałam, nie będąc w stanie zasnąć. Z powodu bólu mogłam leżeć tylko na boku. Przywykłam już do samotnego płaczu. Był jedynym moim pocieszeniem.

Wróciłam myślami do tego, co się stało. Przez tych kilka chwil w ogrodzie czułam się tak cudownie szczęśliwa. Myślałam o domu i o tym, jak tańczyłam i śpiewałam z pozostałymi dziećmi, kiedy nadchodził deszcz, a mama i ojciec z uśmiechem patrzyli na mnie z progu chaty. Wracałam, ociekając wodą, ojciec przekomarzał się ze mną a mama znajdowała ciepłe miejsce przy ogniu. Rozpaczliwie tęskniłam za domem. Byłam bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, by uciec. Jeśli tego nie zrobię, Rahab na pewno mnie zabije. Tamtej nocy coś sobie obiecałam: bez względu na wszystko ucieknę i w jakiś sposób wrócę w góry Nuba. Pojadę do domu.

Dlaczego ci Arabowie tak bardzo nas nienawidzą? Przypomniałam sobie pierwsze dni w szkole, gdy arabscy nauczyciele bili nas za rozmawianie w języku nuba. Wydawało się, że nic nie rozwściecza ich bardziej niż to, że mówiliśmy naszym językiem. Sądzę, że działo się tak dlatego, że nie potrafili go zrozumieć i tym samym język stanowił dla nich zagrożenie.

A teraz język nuba był jedyną rzeczą, której Rahab nie mogła kontrolować. Mogła przez cały dzień wywrzaskiwać do mnie rozkazy po arabsku, mogła przeklinać po arabsku, kiedy mnie biła, ale nie mogła odebrać mi mojego języka. Tego jednego zakątka mojej duszy nie była w stanie zabić.

Któregoś dnia przyszyły z wizytą dwie przyjaciółki Rahab z mężami i dziećmi. Rahab przygotowała herbatę, podczas gdy ja ustawiałam na srebrnej tacy najlepsze filiżanki z cienkiej porcelany. Wówczas nie pozwalała mi jeszcze dotykać biszkoptów, ponieważ wciąż obawiała się, że jestem nieczysta, więc sama ułożyła je na ozdobnym talerzu.

— Kiedy herbata będzie gotowa, przynieś tacę do salonu, *yebit* — rozkazała.

Pięć minut później weszłam do salonu. Dzieci bawiły się skakanką, jednym końcem przywiązaną do stołowej nogi. Nagle jeden z chłopców celowo podstawił mi nogę. Upadałam jak w zwolnionym tempie. Próbowałam ratować to, co było na tacy, filiżanki, cukiernice, talerz biszkoptów i dzbanuszek do mleka, ale oczywiście wszystko poleciało na podłogę, a na mnie wylał się dzbanek wrzącej herbaty. Przez ułamek sekundy leżałam bez ruchu. Zapadła grobowa cisza. Trzęsłam się, bo wiedziałam, co nastąpi.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się jeden z chłopców, wskazując na mnie. — Patrzcie! Wszystko stłukła.

— Nie podchodźcie bliżej — powiedziała do nich Rahab. — Włóżcie buty, żebyście nie nadepnęli na odłamki szkła.

Potem odwróciła się do mnie.

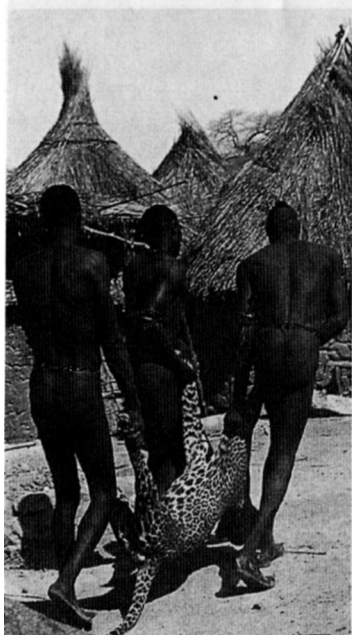
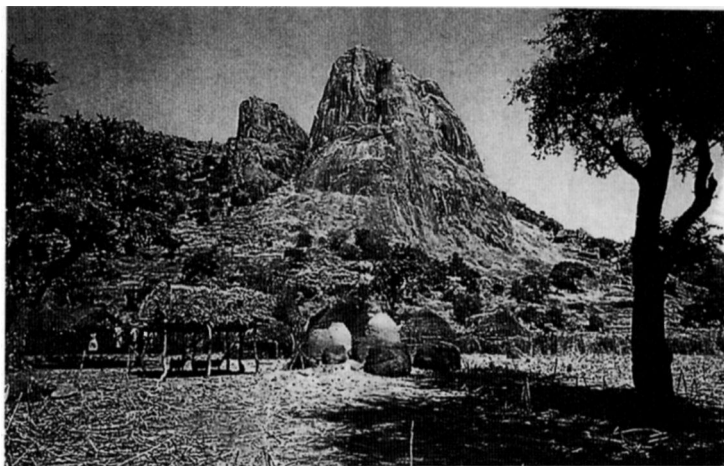
— Ślepa jesteś, *yebit*?! — wrzasnęła. — Ślepa jesteś?!

Chwyliła skakankę i zaczęła mnie bić. Kilka pierwszych ciosów trafiło w głowę, więc podniosłam ręce, żeby ochronić twarz.

— *Mailesh, mailesh* — jęczałam.

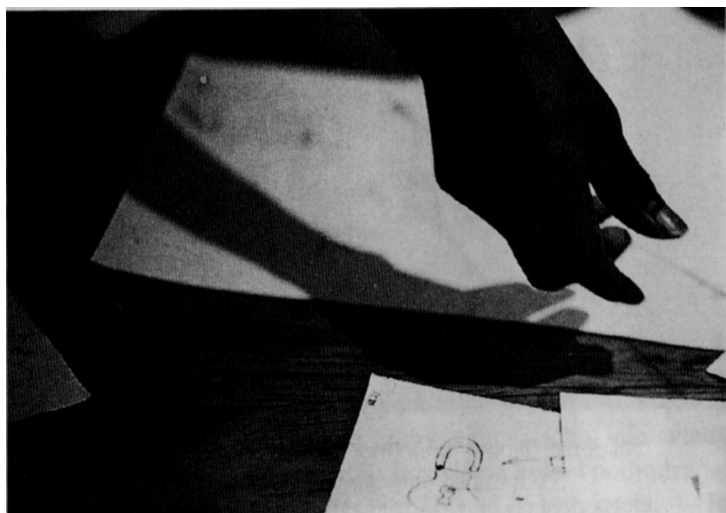
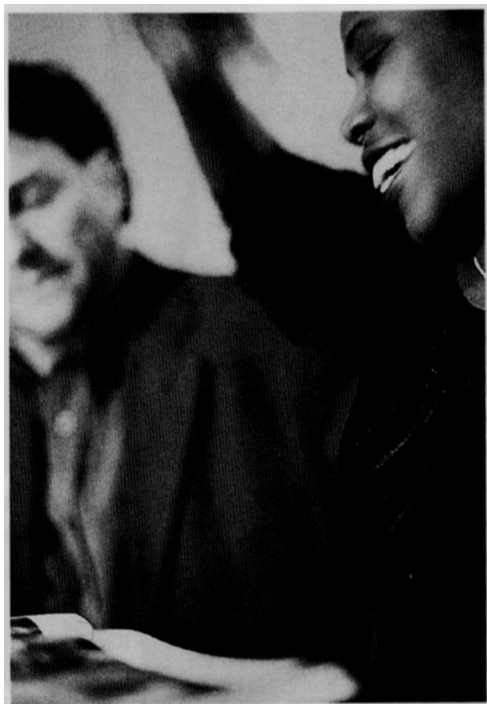
Rahab przestała na chwilę, żeby nabrać tchu, ale wtedy usłyszałam, jak jedna z przybyłych z wizytą kobiet podjudza ją:

— Tak! Nie przestawaj! Zbij ją! Zbij ją! — krzyknęła. — To



Na górze: Typowy krajobraz skalny w okolicy Dillingu  
Po lewej na dole: powrót z polowania  
Na dole po prawej: dziewczyny przynoszące wodę







**Lewa strona: Mende i Damien podczas pracy nad książką**

**Z lewej na dole: Mende przypomina sobie, rysując**

**Prawa strona: Mende w Londynie**

**Prawa na dole: Mende demonstruje *kak*, grę w kamienie**



**Mende Nazer dzisiaj - rozpromieniona i pewna siebie**

jedyny sposób! Wtedy zapamięta, żeby więcej tego nie robić, prawda?

Skuliłam się, gdy Rahab podwoiła wysiłki, bijąc mnie po ramionach i plecach. Kobiety zachęcały ją przez cały czas, słyszałam też śmiechy mężczyzn.

— Przestań płakać! — wrzasnęła Rahab, zadyszana. — Zamknij się! Zamknij się! Nie chcę słyszeć nawet, jak oddychasz.

Byłam przerażona, że naprawdę zabije mnie tą linką. Gdy wreszcie przerwała, jeden z gości nachylił się do mnie z uśmiechem.

— A więc, jesteś ślepa? — zapytał.

Pomyślałam, że może stara się być miły.

— Nie — wyszlochałam — nie jestem ślepa.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

— Nie jest ślepa — rechotał. — Więc może po prostu głupia.

Wszyscy pozostali także zaczęli się śmiać.

— Nie widziałam skakanki — wyszlochałam. — Potknęłam się. Nie chciałam.

— Zamknij się — syknęła Rahab. — Zamknij się. I sprzątnij cały ten bałagan, którego narobiłaś.

Filizanki z delikatnej porcelany, używane tylko z okazji przyjścia gości, leżały potłuczone na podłodze. Na dywanie walał się cukier i pokruszone biszkopty. Większość herbaty wylała się na mnie, więc cała byłam poparzona. Na dywan rozlało się też mleko.

— Szybko! Przynies mydliny — ostro nakazała Rahab. — Nie chcę smrodu skwaśniałego mleka na moich najlepszych dywanach.

Poszłam po śmietniczkę i szczotkę, ale największe kawałki potłuczonej porcelany musiałam pozbierać ręką i kiedy wydłubywałam je z dywanu, skaleczyłam się w mały palec. Wiedziałam, że nie wolno mi zabrudzić krwią dywanu, więc pospiesznie poszłam do kuchni, opróżniłam śmietniczkę i zaczęłam napełniać miskę wodą z mydłem. Jednocześnie płukałam przecięty palec pod zimną wodą. W tej samej chwili do kuchni weszła Rahab.

— Co ty wprawiasz! — wrzasnęła. — Nie zmywaj krwi w naszym zlewie! Tu szykujemy jedzenie! Jesteś obrzydliwa. Idź i wymyj się w swojej łazience. I lepiej się pospiesz. Nie chcę, żeby mleko na dywanie zaczęło śmierdzieć.

Popędziłam do łazienki, zadowolona z kilku chwil samotności. Najpierw umyłam palec pod kranem, potem oderwałam długi pas waty, żeby zrobić z niego opatrunek. Kiedy się tym zajmowałam, nagle przypomniał mi się dzień w górach Nuba, który teraz wydawał się odległy o całe wieki. Musiałam mieć jakieś dziewięć lat i szykowałam się, żeby pójść do łóżka.

— Mende — odezwała się mama — chcesz się napić gorącego mleka?

— Bardzo poproszę, *umi* — odparłam. Ale kiedy mama szykowała mleko, zasnęłam.

— Chodź, Mende, mleko gotowe. — Mama obudziła mnie delikatnie.

Widząc, jaka jestem zaspana, zaniósła mnie bliżej ognia, posadziła na stołku, wzięła parującą tykwę pełną mleka i przytknęła mi do ust.

— No, śpioszku — powiedziała, uśmiechając się do mnie — wypij mleko, które dla ciebie przygotowałam.

Mleko było pyszne. Gdy wypić zaczęłam, ile mogłam zmieścić, odstawiłam naczynie, ale ześlizgnęło się i gorące mleko wylało się na moje nogi. Krzyknęłam, a mama i ojciec, zerwali się na równe nogi.

— Oparzyłaś się, Mende? — zapytała mama niespokojnie. — Gdzie? W nogę?

Ojciec także był zmartwiony.

— Czy było gorące? — pytał. — Bolało cię?

— Nie, *ba*. Nie było wcale takie gorące. Nic mi nie jest, *umi* — powiedziałam. Tata wziął mnie na ręce i tulił, dopóki znów nie zasnęłam.

Podniosłam wzrok znad przeciętego palca i w łazienkowym lustrze zobaczyłam swoją twarz. W świetle nagiej żarówki na policzkach lśniły ślady łez. Jak bardzo odmienne życie prowa-

dziłam teraz. Właśnie oblałam się wrzącą herbatą i nikogo to nie obeszło. Rozcięłam sobie palec i nikt mi nie pomógł. Zamiast tego zostałam zbita i obrzucona obelgami. Wszyscy cieszyli się z mojego bólu, śmiali z mojego strachu i zakłopotania. Chciałam umrzeć. Ale wróciłam do kuchni, wzięłam miskę gorących mydlin i zaczęłam czyścić dywan.

## Wiara, nadzieja i tożsamość

Czasami zdarzało się, że Rahab przyłapywała mnie na marzeniach na jawie. Kryłam się wtedy w krzakach, wpatrując w bramę prowadzącą na ulicę. Obserwowała mnie przez długi czas, zanim wreszcie ją zauważyłam. Wtedy zaczynała mnie oskarżać.

— Więc o czym myślisz, *yebit*? Och, nie mów mi! Myślisz o ucieczce. No to pozwól, że ci powiem, co się z tobą stanie, jeżeli spróbujesz uciec. Każę Abdulowi Azzimowi wziąć jeźdźców, żeby znaleźli i zabili całą twoją rodzinę. A kiedy przywiozą cię tu z powrotem, ogolę ci głowę i obrzeżam cię. Wszyscy wiedzą, że Nuba są *khulluf*, nieczyści. I że są niewiernymi.

Nie było sensu przypominać Rahab, że już zostałam obrzezana i że jestem muzułmanką. Rahab i Mustafa uważali się za bardzo dobrych muzułmanów. Każdy muzułmanin ma dywanik modlitewny, *muslajyah*. Rahab i Mustafa posiadali przepiękne *muslajyah* — miękkie, jedwabiste i ozdobione skomplikowanymi wzorami. Rahab z dumą powiedziała mi, że ich *muslajyah* pochodzą aż z Arabii Saudyjskiej, najświętszego kraju islamu. Przynajmniej raz w życiu każdy muzułmanin powinien odbyć pielgrzymkę do Mekki w Arabii Saudyjskiej, miejsca urodzenia proroka Mahometa. Wiedziałam, że Rahab i Mustafa planują pojechać tam już niedługo. Przed każdą

z pięciu codziennych modlitw odbywali rytualne oczyszczenie, obmywając ręce, twarz i stopy. Potem zwracali się twarzami na wschód i odmawiali modlitwy cicho i gorliwie.

Od pierwszego dnia spędzonego w domu Rahab wiedziałam, że muszę modlić się codziennie, jak robiłam to w domu. W moim pokoju nie znalazłam niczego, co można by wykorzystać jako *muslajyah*, używałam więc prześcieradła zdjętego z łóżka. Tylko tyle mogłam zrobić. Kiedy udało mi się znaleźć wolną chwilę, zniktałam w szopie i modliłam się. Modlitwy stanowiły dla mnie źródło wielkiej siły. Podczas pierwszych tygodni udawało mi się modlić tak, żeby Rahab nie zdawała sobie z tego sprawy. Wymyślała mi, że znikam, ale nigdy nie powiedziałam jej dlaczego. Któregoś popołudnia poszłam się pomodlić, nie sprawdzając, gdzie jest Rahab. Ukłękłam i wyciągnęłam ręce odwrócone wnętrzem dłoni w górę. Poprosiłam Allaha, żeby pomógł mi uciec i zabrał mnie z powrotem do mojej rodziny. Nagle usłyszałam, że Rahab woła:

— *Yebit*, gdzie jesteś? — Usiłowałam szybko skończyć modlitwę, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i do szopy wpadła Hanin. Kiedy mnie zobaczyła, odwróciła się i zawołała:

— Mamo! Mamo! Jest tutaj i się modli!

Po chwili w drzwiach stanęła Rahab.

— Hmm... — powiedziała, robiąc pogardliwą minę — więc próbujesz nas naśladować, tak? Naprawdę myślisz, że modlitwy są dla ludzi takich jak ty? Czarnych jak ty? Tak myślisz?

W milczeniu zwiesiłam głowę, ale w duchu powiedziałam do niej: „Myślisz, że zaczęłam się modlić od dzisiaj? Robię to od urodzenia. Możesz mnie rozdzielić z mamą i ojcem, możesz mnie pozbawić domu, ale nie możesz pozbawić mnie mojej wiary. Najpierw będziesz musiała mnie zabić”.

Po tym wydarzeniu Rahab zawsze usiłowała mnie powstrzymać.

— Idziesz się pomodlić, prawda? — pytała. — Nie masz czasu na modlitwy. Zresztą co ty sobie wyobrażasz? Nie wiesz? Islam nie jest dla czarnych, takich jak ty.



Za każdym razem, gdy odmawiałam modlitwy, czułam, jak w moim sercu umacnia się duch buntu. Wierzyłam, że Allah mi pomaga, dając siłę, by sprzeciwić się tej okrutnej kobiecie. Myślałam: ja jestem muzulmanką i ona jest muzulmanką, czcimy tego samego Boga, więc dlaczego ona nie pozwala mi się modlić? Ale im więcej o tym myślałam, tym lepiej zdawałam sobie sprawę, że wszyscy moi gnębiciele to muzulmanie. Bandy ci krzyczeli: „*Allah akbar*”, gdy zaatakowali naszą wieś. Handlarz niewolników Abdul Azzim także był muzulmaninem. Rahab i jej rodzina również. Wszyscy ci ludzie uważali się za dobrych muzulmanów, a jednak zabijali, gwałcili, torturowali i zniewolili Nuba z mojego plemienia, choć także byliśmy muzulmanami.

Pamiętałam lekcje Koranu w szkole. Pamiętałam, co było tam powiedziane: że wszyscy muzulmanie muszą się nawzajem szanować. Że nie ma różnicy między białymi a czarnymi, wszyscy ludzie są równi. Jedyna różnica między ludźmi polega na tym, jak postępują, czy są dobrzy i pobożni i czy szanują Boga.

Któregoś dnia udało mi się przemycić do szopy stary worek po cukrze i stał się on moim *muslaiyah*. Był brązowy, jutowy i miał na wierzchu napis CUKIER po angielsku. Codziennie prosiłam Boga, żeby pomógł mi być wolną i zabrał mnie z powrotem do mojej rodziny. A czasami modliłam się o zemstę: „Allahu, proszę, pozwól mi uciec. Allahu, proszę, pozwól mi wrócić do domu. Allahu, proszę, pozwól mi znaleźć moją rodzinę. Allahu, proszę, spraw, żeby Rahab umarła. Ale proszę, Boże, najpierw każ jej cierpieć, tak jak ona kazała cierpieć mnie”.

Pewnego ranka, mniej więcej po roku przybywania w tym domu, sprzątałam pokój dziewczynek. Jak zwykle ich rzeczy porozrzucane były wszędzie. Przywiązywałam się do dziewczynek coraz bardziej, mimo ich bałaganiarskich nawyków. Bardzo lubiły, kiedy opowiadałam im bajki. Ich ulubioną opowieścią była bajka, którą pamiętałam ze szkolnych czasów, o tygrysie, który musiał mówić prawdę. Opowiedziała ją nam moja nauczycielka arabskiego, Fatima. Kiedy powiedziałam ją

dziewczynkom po raz pierwszy, przestraszyły się, bo mówiła o groźnym tygrysie, ale kiedy skończyłam, Hanin podeszła do mnie i mocno mnie uściskała.

— To wspomniała historia, Mende — powiedziała. — Ten tygrys tak naprawdę jest miły, prawda? Bo wszyscy powinniśmy mówić prawdę?

Gdy zbierałam rzeczy Hanin z podłogi, zatrzymałam się, żeby przejrzeć jeden z jej szkolnych podręczników. Przywołał wszystkie wspomnienia z najwcześniejszych szkolnych czasów. Przypomniałam sobie, że byłam najlepsza w klasie, razem z moją przyjaciółką Kehko. Uczyłam się pilnie, bo marzyłam o tym, żeby zostać lekarzem. A teraz najbliższy kontakt ze szkołą, na jaki mogłam liczyć, to zerknięcie na książki, które sześćioletnia córka Rahab zostawiła rozrzucone po pokoju. Ci ludzie ukradli mi dzieciństwo i marzenia.

Wiedziałam, że muszę być ostrożna. Nie wolno mi było poplamić łzami książek. Gdybym to zrobiła, Hanin naskarżyłaby Rahab. Gdy wróciłam do sprzątanía, zauważyłam pod łóżkiem małego miśka. Wyglądał dokładnie jak Uran, moja kotka. Nie zastanawiając się, wygarnęłam go spod łóżka i ukryłam pod spódnicą. Co noc tuliłam się do tej wypchanej zabawki i rozmawiałam z nią, jakby była Uran. To było niemądre, przecież koty nie potrafią mówić, jednak w mojej głowie Uran mówiła i stała się moją jedyną przyjaciółką.

— Pamiętasz, Uran, kiedy pierwszy raz byłaś w ciąży — szeptałam do niej w ciemności — a ja myślałam, że zjadłaś za dużo myszy? A tak naprawdę miałaś urodzić kocięta.

— Oczywiście, że pamiętam, Mende — odpowiadała Uran. — Jak mogłabym zapomnieć? Niełatwo jest nosić w brzuchu czworo kociąt.

— A kiedy już urodziłaś dzieci, byłaś taka duma. I pozwoliłaś mi je brać do ręki i tulić.

— To kocięta, a nie dzieci, Mende. Tak, całą noc spędziłam, wylizując je do czysta, żebyś zobaczyła, jakie są piękne, kiedy obudzisz się rano.

Gdybym się nie bała, zabrałabym dziewczynkom kolejne misie, żeby były ojcem i mamą. Wkrótce miałabym przy sobie całą rodzinę. Coraz bardziej pogrążałam się we wspomnieniach i marzeniach na jawie. Życie u Rahab było zbyt trudne, żeby się nad nim zastanawiać. Musiałam schronić się w jakiejś szczęśliwszej, alternatywnej rzeczywistości.

Z upływem czasu ustaliłam pewne zasady postępowania. Jeśli się ich trzymałam, byłam mniej narażona na bicie. Po pierwsze, jeśli Rahab kazała mi coś zrobić, musiałam się upewnić, czy dokładnie zrozumiałam, czego chce. Słuchałam bardzo uważnie, a potem powtarzałam to, co powiedziała. Po drugie, jeżeli kazała mi coś zrobić, musiałam to robić najszybciej jak potrafię. Bez przerw na rozmowę czy zabawę z dziewczynkami. Po trzecie, musiałam zminimalizować ryzyko wypadku. Nie miało znaczenia, czy nastąpił z mojej winy, zawsze byłam bita. Po czwarte, cokolwiek do mnie mówiła, nie wolno mi było się sprzeciwiać.

W końcu nauczyłam się ukrywać wszystko, co mogłoby przypomnieć jej o moim pochodzeniu. Nigdy nie mówiłam w nuba. Nigdy nie śpiewałam żadnych piosenek Nuba. I nigdy, przenigdy nie wspominałam o swoim poprzednim życiu.

Po napadzie udało mi się zachować pojedynczy sznur pięknych białych koralików, z czarnymi brzegami. Dostałam je od mamy i nigdy nie zdejmowałam. Pewnego dnia Rahab zauważyła je pod moją sukienką.

— Co to jest, *yebit*? — zapytała. — Paciorki? Tylko dzikusy to noszą. Zdejmij je.

— Zdejmę — powiedziałam — ale proszę pozwolić mi je zatrzymać.

Rahab zrobiła krok w moją stronę, chwyciła koraliki i próbowała zerwać je z mojej szyi, ale sznurek był mocny. Złapała więc jeden z kuchennych noży i przecięła go.

— Patrz — rzuciła szyderczo — zobacz, jakie są brudne. — Powąchała paciorki i wykrzywiła się. — Cuchną — oznaj-

miła. — Cuchną jak czarni. Jak dzikusy. — Z tymi słowami odwróciła się do kosza na śmieci.

— Proszę ich nie wyrzucać — błagałam. — Proszę. Proszę pozwolić mi je zatrzymać.

— Nie, *yebit* — ucięła. — Nie możesz ich zatrzymać. — Ale nagle zmieniła zdanie. Wyjęła z szuflady plastikową torebkę, umieściła w niej koraliki i włożyła do kieszeni. Może wiedziała, że próbowałabym je odzyskać, gdyby wyrzuciła je do śmieci. Przez cały tydzień sprawdzałam śmieci, ale ich nie znalazłam. Zostało mi ukradzione ostatnie namacalne wspomnienie po mojej rodzinie.

Z czasem zbliżyłam się do dzieci Rahab. Ponieważ zaczęłam również gotować i karmiłam je, spędzały ze mną więcej czasu niż z matką. Kiedy mnie nie było, wzywały mnie z płaczem. Gdy bawiły się w swoim pokoju, wołały: „Chodź, Mende, chodź się pobawić! Chodź nam poczytać!”. Z początku bałam się, że Rahab może być przeciwna takiej bliskości. Kiedy zjawiłam się w jej domu, powiedziała dzieciom, że jestem „brudna” i „roznoszę choroby”, ale szybko zdała sobie sprawę, że mogą być jednocześnie służącą i opiekunką do dzieci. Oznaczało to, że będzie miała więcej czasu na zakupy, leniuchowanie przy telewizji czy przyjmowanie przyjaciółek. Gdy dzieci zaczęły okazywać mi prawdziwe uczucie, odpowiedziałam im tym samym. Mogłam znowu poczuć się jak istota ludzka.

Przez dwa lata nie opuszczałam domu. Pewnego ranka Rahab oznajmiła, że zabiera mnie do parku.

— Zmień to brudne ubranie — nakazała. Była w ciąży z trzecim dzieckiem i chyba potrzebowała mojej pomocy, ponieważ ciągle czuła się zmęczona. Gdy się przebrałam, znalazłam Rahab czeszącą dziewczynki. Miały na sobie śliczne, odświętne sukienki i lśniące buciki. Poszliśmy do samochodu.

— Otwórz bramę, *yebit* — powiedziała Rahab.

Gdy przejechała obok mnie, kazała mi zamknąć bramę i usiąść z tyłu, obok Usry. Wyjechałyśmy w uliczkę, przy której stały piękne domy. Przykleiłam się do szyby, zafascynowana,

że widzę coś, co znajduje się poza czterema ścianami domu, będącego przez ostatnie dwa lata moim więzieniem. Świeciło słońce, ludzie swobodnie spacerowali po ulicach i wyglądali na szczęśliwych. Zazdrościłam im, że są wolni, ale przynajmniej w końcu opuściłam dom.

Jechałyśmy jakieś dziesięć minut i moim oczom ukazał się wielki obszar wody. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałam. Nie było widać drugiego brzegu. Ku mojemu przerażeniu, samochód skręcił z głównej drogi i zmierzał prosto w stronę wody. Nagle znalazłyśmy się wysoko ponad nią, w niebie. Myślałam, że za moment spadniemy. Z chorobliwą fascynacją wpatrywałam się w wodę pod nami. Kiedy jednak spojrzałam na Rahab i dziewczynki, żadna z nich nie wyglądała na przestraszona.

Wtedy zauważyłam, że po wodzie pływają jakieś rzeczy i strasznie przy tym chlapią. Z tej odległości wyglądały jak olbrzymie wodne zwierzęta. Oczywiście była to rzeka Nil i łódzie, ale wtedy tego nie wiedziałam. Pomyślałam: Tu, w Chartumie, woda jest wielka jak niebo! A żaby, które w niej mieszkają, to olbrzymie potwory. Jeżeli naprawdę wpadniemy, na pewno nas zjedzą". W końcu bezpiecznie przejechałyśmy na drugi brzeg. Mniej więcej pół godziny później dotarłyśmy do parku, gdzie czekała na nas jedna z przyjaciółek Rahab.

— *Yebit*, weź dzieci, żeby się pobawiły — poleciła mi. — Tylko pamiętaj, będę cię miała na oku.

Rahab i jej przyjaciółka rozsiadły się w cieniu drzewa, podczas gdy ja bawiłam się z dziećmi w chowanego. Zdjęłam sandały i spacerowałam po trawie, między drzewami. Przypomniało mi to spacer w lasach gór Nuba. Oczywiście nie było tu wielkich wzgórz i wysokich drzew, ale tak bardzo przypominało to dom, że poczułam się szczęśliwa po raz pierwszy od bardzo długo czasu. Zaczęłyśmy jeździć do parku co miesiąc. Cieszyłam się na te wyprawy z całego serca, ale oczywiście oszukiwałam się, myśląc, że naprawdę zaczynam być traktowana jak członek rodziny. Wciąż przecież byłam niewolnicą.

W porze deszczowej dom przeżywał inwazję moskitów. Polecono mi co noc rozpylać w sypialniach środek przeciw moskitom, ale w szopie nie miałam nic, żeby się przed nimi ochronić. Którejś nocy obudziłam się i zaczęłam wymiotować. Dostałam dreszczy i czułam przejmujące zimno. Traciłam i odzyskiwałam przytomność, miałam koszmarne sny. Znów przeżywałam atak na naszą wioskę i to, jak mój biedny ojciec starał się mnie uratować, a wszystko to z psychodelicznymi szczegółami. Śniło mi się, że Rahab bije mnie na śmierć, a ja nie mogę uciec. Śniło mi się, że łóżko się obraca i obraca, a ja nie mogę z niego zejść. Usiłowałam wstać, ale byłam zbyt słaba. Kiedy rano Rahab przyszła mnie obudzić, nawet ona zauważyła, że coś jest nie w porządku.

— O co chodzi, *yebit?* — zapytała.

— Jestem chora — wyszeptałam. — Mam gorączkę i wymiotuję.

— Wymiotujesz? To gorzkie wymioty?

— Tak, gorzkie i żółte.

— Och... masz po prostu malarię, to wszystko. Przyniosę ci tabletki.

— Masz, weź to — powiedziała, gdy wróciła po pięciu minutach. — Zaraz poczujesz się lepiej. Prześpij się z godzinę, a potem bierz się do roboty.

Wzięłam tabletki, ale były bardzo, bardzo gorzkie i kiedy tylko je połknęłam, znów zwymiotowałam. Spiętrzyłam na sobie prześcieradło, koc i materac, ale i tak marzłam. Po półgodzinie byłam rozpalona. Gorączka nie ustępowała i zostałam w szopie przez trzy dni. Rahab pytała codziennie, czy mi lepiej i czy jestem gotowa zacząć pracę. Wołała mnie, żebym przyszła do kuchni, mówiąc, że na stole czeka na mnie jedzenie.

— Słuchaj, nie ma sensu zabierać cię do lekarza — rzekła, kiedy drugiego dnia byłam zbyt chora, żeby wstać. — Przepisze ci to samo lekarstwo, które ja ci daję.

Do szopy często przychodziły dziewczynki.

— Chodź się z nami pobawić, Mende — prosiły, ciągnąc mnie za włosy.

— Nie mogę, jestem chora — odpowiadałam. — Ale proszę, przynieście mi trochę wody.

Gdy tak leżałam, myślałam o czasach, kiedy chorowałam w domu, w wiosce. Mama grzała nad ogniem olej, żeby zmieszać go z herbatą i aromatycznymi ziołami. Wcierała tę miksturę w całe moje ciało. Gotowała dla mnie supę ze specjalnych leśnych nasion i kwiatów — była rzadka i łatwa do wypicia, ale bardzo pożywna. „Musisz jeść, bo nie wyzdrowiejesz”, mówiła. Chociaż w naszej wsi nie było lekarza, mama robiła wszystko, co mogła, żebym poczuła się lepiej.

Rahab przeciwnie, nie zrobiła dla mnie niczego, kiedy po raz pierwszy chorowałam na malarię. Teraz wiem, że malaria jest śmiertelną chorobą. Później miałam drugi, jeszcze poważniejszy atak. Z powodu bicia po głowie zaczęłam też miewać silne migreny, Rahab ani razu nie zabrała mnie do lekarza i nie okazała troski o moje zdrowie. Lecz jeśli myślałam, że nie może traktować mnie jeszcze gorzej, bardzo się myliłam.

## Mordercze zamiary

Pewnego wieczoru Rahab i Mustafa wydawali kolejne przyjęcie. Zapowiedziało się ze dwanaście rodzin. Po sprzątnięciu domu spędziłam cały dzień w kuchni, z Rahab. Przygotowałyśmy wołowinę i kurczaka curry z ryżem oraz mnóstwo sałatek. Zrobiłam też świeży sok, wyciskając pomarańcze, grapefruity i guawy. Około siódmej zaczęli napływać goście. Najpierw pili napoje na patio, kolacja miała być podana później, w jadalni. Gdy usiedli do stołu, ja zostałam w kuchni, żeby posprzątać, ale co chwilę przeskadzały mi dzieci gości.

— Daj mi więcej soku! Chcę następną colę! Daj mi jeszcze chrupek! — żądały.

Wkrótce co najmniej tuzin dzieciaków wspinał się na meble i próbował ściągać różne rzeczy z kuchennych zakamarków. Nie mogłam jednocześnie sprzątać i pilnować ich wszystkich. Rodzice najwyraźniej nawet nie próbowali nad nimi zapanować.

— Wspaniale — usłyszałam głos jednego z gości. — Dom Rahab jest taki duży, dzieci mają masę miejsca do zabawy. — Dla nich oznaczało to spokojny, miły wieczór bez naprzykrzających się pociech.

Do czasu, gdy zaczęłam podawać gościom herbatę, kuchnia stała się centrum dziecięcych zabaw. Dzieci wspinały się na krzesła, otwierały szafki i wyciągały ich zawartość. Było to



niebezpieczne i usiłowałam zmusić je, żeby z tym skończyły, ale wiedziałam, że nie wolno mi wymagać od dzieci posłuszeństwa. Kiedyś, gdy zastałam Hanin skaczącą z łóżka, upomniałam ją. Rahab usłyszała to i jak burza wpadła do pokoju. „Nie waż się krzyczeć na moje dzieci, wrzasnęła. Jeżeli Hanin będzie niegrzeczna, masz przyjść i mi powiedzieć”. Wzięłam więc Hanin na stronę i cicho z nią porozmawiałam.

— Hanin, proszę, uspokój się — poprosiłam. — Zabierz dzieci do salonu, niech tam się bawią.

— Nie pójdę! Nie pójdę! — zaczęła krzyczeć. — Chcę moją filiżankę.

— Dam ci twoją filiżankę.

— Nie! Chcę wziąć ją sama.

— Ale jeżeli wszyscy będziecie wspinali się na krzesła i stoły, pospadacie i zrobicie sobie krzywdę — usiłowałam przemówić jej do rozsądku.

— Nie spadnę. Zobaczysz.

Nic więcej nie mogłam zrobić, więc wróciłam do zmywania. Nagle rozległ się trzask i krzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam młodszą córkę Rahab, Usrę, która spadła ze stołu i uderzyła głową o podłogę. Poszła za przykładem Hanin, sięgając po swoją filiżankę. Podniosłam ją i zobaczyłam, że rozcięła sobie wargę. Nie było to poważne skaleczenie, ale ranka krwawiła i Usra głośno płakała. Dzieci zgromadziły się dookoła, gdy próbowałam ją uspokoić.

— Co się stało?! Co się stało?! — zapytała Rahab, wpadając pędem z patio. — Co się stało mojemu maleństwu?! — krzyknęła, biorąc córkę w ramiona.

— Wspinała się na stół... — zaczęłam, ale Rahab mi przerwała.

— Dlaczego nie kazałaś jej przestać?

— Próbowałam, ale nie chciała mnie słuchać. Byłam zajęta zmywaniem...

Jednak zanim zdołałam skończyć zdanie, Rahab dostała szału. Krzyknęła na mnie, każde zdanie akcentując mocnym pchnięciem w pierś.

— Myślisz, że to ważne, *yebit* \ Cholerne zmywanie! Myślisz, że to ważniejsze niż moje maleństwo! Jesteś całkiem głupia? Powinnaś się była nimi opiekować, a nie zajmować cholernymi talerzami!

Nigdy nie widziałam Rahab tak rozzłoszczonej. Próbowałam się cofnąć, ale zapędziła mnie do kąta. A potem pchnęła tak mocno, że upadłam i uderzyłam się o róg stolika. Zrobiony był z metalu i ostra krawędź rozorała mi nogę. Poczułam palący ból. Moja prawa noga była rozcięta od miejsca poniżej kolana aż do wnętrza uda. Przez ułamek sekundy widziałam dwa zwisające kawałki bladego ciała. Po chwili z rany zaczęła tryskać krew.

Usłyszałam własny krzyk wywołany szokiem i bólem. Poczulałam, że Rahab chwyta mnie za ramię i woła: „Mende! Mende! O mój Boże! Mende! Odezwij się”, ale miałam wrażenie, że wpadam w długi ciemny tunel. Ostatnie, co pamiętam, to wyraz przerażenia na twarzy Rahab, gdy odwróciła się do swoich przyjaciół i powiedziała: „O mój Boże. Jeżeli umrze, będę miała poważne kłopoty”.

Musiałam przez jakiś czas być nieprzytomna. Gdy wreszcie się ocknęłam, czułam się jak we śnie. Rozchyliłam powieki i stwierdziłam, że leżę w łóżku w jakimś dziwnym pokoju. Zauważyłam Rahab chodzącą tam i z powrotem, a potem znów straciłam przytomność. Jakiś czas później znowu się ocknęłam. Nieprzytomnie rozejrzałam się dookoła. Zobaczyłam Rahab, Mustafę i jedną z przybyłych z wizytą pań. Wszyscy wyglądali na zdenerwowanych. Przy łóżku siedziała pielęgniarka.

— Budzi się — powiedziała. — Nic jej nie będzie.

Rahab chwyciła mnie za rękę.

— Mende? Mende? Och, *Alhamdallilah*, Bogu dzięki — usłyszałam jej głos. Uśmiechnęłam się do niej słabo. Wszystko wciąż było zamazane. Próbowałam przypomnieć sobie, co się stało. Pamiętałam, że upadłam i się zraniłam, ale nie mogłam zrozumieć, jak w końcu znalazłam się w łóżku w miejscu, które wyglądało jak szpital. Tak przyzwyczaiałam się do okrucieństwa Rahab, że nie rozumiałam, dlaczego nagle jest taka uszczęś-

liwiona faktem, że żyję. Byłam ranna, a ona się o mnie troszczyła. W moim zmaconym umyśle Rahab przez kilka chwil przypominała mi mamę.

Moje myśli poszybowały do czasów w górach Nuba, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Poszłam do lasu po chrust z moją najlepszą przyjaciółką Kehko i dwiema innymi dziewczynkami. Miałyśmy na głowach wielkie toboły suchych gałęzi. Gdy ruszyłyśmy przez las, poczułam ostry ból w stopie. Krzyknęłam i upadłam, a tłumok z chrustem spadł prosto na mnie.

Przyjaciółki natychmiast przybiegły z pomocą. Bały się, że ukąsił mnie wąż. Ja też, bo ból był nieznośny, ale kiedy obejrzałyśmy stopę, znalazłyśmy wbity w nią wielki cierń. Przeszedł na wylot, ale prawie nie było krwi, tak ciasno utkwiał w ranie. Wspierając się na ramionach przyjaciółek, skakałam ścieżką, aż dotarłyśmy do rzeki. Nie było sposobu, żebym zdołała ją przebyć, więc Kehko została ze mną, a dwie pozostałe popędziły przodem, żeby sprowadzić pomoc.

Pamiętam, jak leżałam na brzegu rzeki, gdy zaczął zapadać zmierzch, a z lasu za nami dochodziły nocne odgłosy zwierząt. Byłam bardzo zadowolona, że jest ze mną Kehko. Poczułam wielką ulgę, gdy zobaczyłam mojego ojca spieszenie idącego ścieżką i prowadzącego osła, na którego grzbiecie jechała mama. Postanowili spróbować usunąć cierń w wiosce. Gdy ojciec szycował prowizoryczne nosze, mama trzymała moją głowę na kolanach. Pamiętam, że wyglądała na bardzo zmartwioną. Głaskała mnie po głowie i całowała, powtarzając łagodnie: „Mende, maleńka, nic ci nie będzie. Nie martw się. Nie martw się. Jestem tutaj”.

Zastanawiałam się, czy Rahab okazywała mi teraz taką miłość jak mama? Nie czekałam długo na odpowiedź. Iluzja macierzyńskiej troski prysła. Gdy tylko nie było w pobliżu szpitalnego personelu, Rahab usiadła obok mnie, żeby powiedzieć mi do ucha parę słów.

— A teraz posłuchaj, *yebit* — wyszeptała. — Ostrzegam cię, jeżeli ktokolwiek zapyta cię, co się stało, powiesz, że

weszłaś na krzesło, żeby sięgnąć po coś w kuchni i spadłaś. Jeżeli zapytają, kim jestem, powiesz, że płacę ci za pracę służącej. A jeżeli zapytają o twoich rodziców, powiesz, że mieszkają w górach Nuba i przyjechałaś do Chartumu znaleźć pracę. Rozumiesz?

W końcu Rahab i jej przyjaciółka wyszły i zostałam sama. Wciąż byłam tylko dzieckiem i tęskniłam za miłością i uczuciem. Rahab była kiepskim substytutem matki, właściwie najgorszym, jakiego dziecko może pragnąć. Ale nie miałam nikogo innego. I gdzieś w głębi serca wciąż żywiłam nadzieję, że się zmieni, pokocha mnie i się mną zaopiekuje.

W rzeczywistości Rahab nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się, że ma niewolnicę. Gdybym umarła, byłaby winna zamordowania mnie.

Leżałam w szpitalu już trzy dni. Opiekowała się mną uroczą pielęgniarka. Pochodziła z południowego Sudanu i miała na imię Nungha. Była czarna jak ja i miała wyraziste, negroidalne rysy. Rahab przychodziła do szpitala codziennie i podczas trzeciej wizyty miała pierwsze starcie z Nunghą.

— Chcę dzisiaj zabrać Mende do domu — powiedziała. — Będę się nią opiekowała, w domu też może brać lekarstwa.

— Obawiam się, że to niezbyt dobry pomysł — odparła Nungha. — Ma głęboką ranę. Musi leżeć pod kroplówką, bo straciła za dużo krwi. Opatrunek trzeba zmieniać trzy razy dziennie.

— Wszystko to możemy robić w domu — upierała się Rahab.

— Jestem pewna, że doktor nie pozwoli jej zabrać — twardo odparła Nungha.

Widziałam, że Rahab jest zirytowana. Zaczynałam naprawdę lubić Nunghę. Gdy Rahab nie przestawała się kłócić, Nungha straciła cierpliwość.

— Kim właściwie jest ta dziewczyna? — zapytała. — Pani córka? Nie może nią być, jest zupełnie do pani niepodobna.

— Nie, to moja służąca — ucięła Rahab. — A zresztą, co to panią obchodzi? Pracuje w moim domu.

— Och! Więc dlatego chce ją pani zabrać — powiedziała Nungha, wpadając w złość. — Ponieważ jest pani służącą! Nie wiem, jak poda jej pani w domu kroplówkę. Zabrałaby ją pani do domu, gdyby była pani córką? Nie sądzę!

— Pytam tylko dlatego, że się o nią martwię. — Rahab starała się uspokoić Nunghę. — Nie mogę spać po nocach, kiedy nie ma jej w domu.

— Cóż, jeżeli chce się pani sprzeczać, może pani się zwrócić do doktora. Jeśli o mnie chodzi, to ona nie opuści szpitala, dopóki lekarz nie zdecyduje, że jest w wystarczająco dobrej formie, żeby wyjść. I na tym koniec.

Wkrótce Rahab wyszła, a Nungha została, żeby ze mną porozmawiać.

— Mende, moja droga, powiedz mi, gdzie jest twoja mama? — zapytała, siadając na brzegu łóżka.

— Moja mama jest w górach Nuba, ciociu. Stamtąd pochodzę. Przyjechałam tu sama pracować dla tej pani — dodałam, przypominając sobie instrukcje Rahab.

Byłam zdumiona, widząc, że Nungha przeciwstawia się Rahab: kobieta czarna jak ja sprzeciwiała się Arabce. Wszyscy czarni, których widziałam od dnia napadu, bali się Arabów. Ponieważ wszyscy, poza Nunghą, byli niewolnikami.

— A skąd ty pochodzisz, ciociu? — zapytałam.

— Z południa kraju, z plemienia Shuluk. Słyszałaś o Shuluk?

— Nie, ciociu, nie słyszałam.

— Cóż, właściwie jesteśmy tacy sami jak wy. Wy jesteście Nuba, my Shuluk, są też Dinka i Nuer i wiele innych czarnych plemion na południu. Widzisz, nawet moje imię brzmi jak nazwa twojego plemienia. Mam na imię Nungha, a wy jesteście Nuba — powiedziała ze śmiechem.

Kiedy się roześmiała, był to głąboki, gardłowy śmiech, prosto z serca. Ja także się roześmiałam. Tak dobrze było znów się z kimś śmiać.

— Mam małą dziewczynkę, pięcioletnią, i dwunastoletniego chłopca. Masz *tu* w Chartumie jakichś krewnych?

— Nie. Wszyscy są w górach Nuba.

— Żadnych kuzynów? — zapytała ze smutnym uśmiechem. — Cóż, w takim razie ja będę dla ciebie jak kuzynka. Kiedy masz wolny dzień? W piątek?

Pamiętałam o ostrzeżeniach Rahab. Skinęłam głową.

— Dobrze. W czwartki, kiedy skończysz pracę, przyjdź do szpitala i pójdziemy do mnie do domu. Możesz u mnie zostać do soboty rano, a potem odstawię cię z powrotem do domu.

Uwielbiałam Nunghę za jej życzliwość i odwagę w przeciwstawieniu się Rahab. Musiałam ją jednak okłamać i nienawidziłam tego. Po raz pierwszy od trzech lat opuściłam dom Rahab, nie licząc wizyt w parku. Chciałam opowiedzieć Nundze o wszystkim, ale bałam się, że jeśli to zrobię, Rahab zabierze mnie ze szpitala i zabije. Trzy długie lata spędziłam pod całkowitą kontrolą Rahab. Biła mnie, wymyślała i zabiła we mnie poczucie własnej wartości. Wierzyłam, że jestem jej niewolnicą, a ona moją panią. Wierzyłam, że sprawuje nade mną pełną kontrolę i ma władzę nad moim życiem i śmiercią.

Po kłótni z Nunghą Rahab nie mogła nie pokazywać się w szpitalu, ale za każdym razem, gdy Nungha widziała Rahab, krzątała się w swoim szeleszczącym, świeżutkim uniformie i z rękami na biodrach pogardliwie mierzyła ją wzrokiem. Wystarczyło, żeby te dwie kobiety na chwilę skrzyżowały spojrzenia, a powietrze zaczynało iskrzyć. Nungha zawsze wygrywała te potyczki, zmuszając Rahab do odwrócenia wzroku. Potem pochylała się nade mną i gładziła po głowie.

— Moja śliczna dziewczynka. Jak się dzisiaj czujesz? — pytała. — Chciałabyś, żeby coś ci przynieść? Trochę soku? Jakieś słodycze?

— Chciałabym soku, ciociu, poproszę — odpowiadałam. W duchu trzęsłam się ze śmiechu, bo widziałam, że Rahab gotuje się ze złości.

— Dobrze, Mende, pójdę i przyniosę ci soku — mówiła Nungha, rzucając przez ramię znaczące spojrzenie na Rahab. — Nie martw się. Zaraz wracam.

Gdy tylko Nungha wychodziła, Rahab nachylała się nade mną i syczała mi do ucha:

— Czy ta czarna kobieta zadawała ci jakieś pytania? Co jej powiedziałaś?

— Nic — odpowiadałam. — Nie rozmawia ze mną. Daje mi tylko lekarstwa i się mną opiekuje.

Nie chciałam wyzdrowieć. Uwielbiałam leżeć w szpitalu i modliłam się, żebym nigdy nie musiała go opuścić. Byłabym taka szczęśliwa, gdybym nigdy już nie zobaczyła Rahab. Ale Rahab zdawała sobie sprawę, że szykują się kłopoty, więc wymyśliła okrutne zagranie. Pewnego ranka, po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu, Nungha przyszła i delikatnie usunęła szwy. Kiedy skończyła, pomogła mi przekuśtykać parę razy przez oddział.

— Musisz być zmęczona, moja kochana — stwierdziła wreszcie. — Chodź, połóż się z głową na moich kolanach i prześpij się. Teraz, kiedy masz zdjęte szwy — ciągnęła, patrząc na mnie z uśmiechem — myślę, że niedługo będziesz w stanie wrócić do domu. Ale najpierw musimy zobaczyć, co powie doktor, dobrze?

Dokładnie w tym momencie zjawiała się Rahab. Zobaczyła mnie z głową na kolanach Nunghi, rozmawiającą i śmiejącą się. Gdy Nungha wyszła, Rahab spojrzała na mnie z szyderczym uśmiechem.

— Och... więc znalazłaś kogoś, kto głaszcze cię po głowie i mli, tak? Naprawdę myślisz, że ona cię lubi, prawda? No to coś ci powiem. Jesteś głupia. Nie zorientowałaś się? Pomyśl o tym. Czy wszystkie pielęgniarki są takie? Nie. Tylko ta jedna. Bardzo miło cię traktuje, prawda? Nie zastanawiałaś się, dlaczego? Cóż, kiedy już naprawdę jej zaufasz, po kryjomu da ci zastrzyk i nie będziesz wiedziała, co się dzieje. Kiedy już cię uspi, zabierze ci całą krew i sprzeda innym pacjentom. A potem zrobi cięcie, tutaj — zaznaczyła placem linię w poprzek mojego brzucha — i wymię ci wszystkie organy i też je sprzeda.

Nie, pomyślałam, to nieprawda. Nungha nie mogłaby zrobić

czegoś takiego. Ale Rahab mówiła tak przekonująco, że nie wiedziałam, co myśleć. Byłam załamana.

— Widziałam, że za bardzo się z nią zaprzyjaźniłaś i zaczęłaś jej ufać — dodała — więc pomyślałam, że lepiej cię ostrzegę. I dlatego właśnie chciałam zabrać cię do domu.

Po wyjściu Rahab leżałam cicha i zamyślona. Nie mogłam uwierzyć, że to, co mi powiedziała, jest prawdą. Nie wiedziałam, komu ufać.

Nungha oznajmiła w końcu, że doktor pozwolił mi wracać do domu, ale tylko pod warunkiem, że czuję się na siłach. Nie wiedziałam, co robić. Rahab powiedziała, że Nungha może mnie zabić i sprzedać części mojego ciała, ale alternatywą był powrót do więzienia. Zaczęłam płakać i mimo opowieści Rahab, mocno przytuliłam się do Nunghi.

— Nie płacz, moja śliczna — mówiła, głaszcząc mnie po głowie. — Zobaczą się z tobą za dwa tygodnie, pojedziemy do mnie i urządzimy wielkie przyjęcie.

W tamtej chwili instykt mówił mi, że Nungha jest miłą uczciwą współczującą osobą. Kusiło mnie, żeby wyznać jej całą prawdę, wyrzucić z siebie to wszystko jednym wielkim, pospiesznym, łzawym wyznaniem. Jednak powstrzymał mnie potworny strach przed Rahab. Po prostu nie umiałam pokonać tego lęku. Następnego ranka wyszłam ze szpitala i nigdy więcej nie zobaczyłam Nunghi. Lekarz powiedział Rahab, że muszę odpoczywać przez co najmniej dwa tygodnie, ale kiedy tylko dotarłyśmy do domu, rozkazała mi znów zacząć pracę.

— Byłaś w tym szpitalu o wiele za długo — rzuciła ostro. — Zresztą lekarz mówił, że ci lepiej. W domu jest bardzo brudno, więc możesz zacząć od kuchni.

Którejś nocy kilka tygodni później Rahab zapomniała zamknąć drzwi do mojej szopy. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Kiedy obudziłam się rano, wszyscy domownicy jeszcze mocno spali, poszłam więc na tył domu opróżnić beczki z pomyjami.



Gdy Rahab przyszła mnie obudzić, zastała drzwi otwarte, a mój pokój pusty. Wpadła w panikę, myśląc, że uciekłam. Po chwili zorientowała się jednak, że po prostu wstałam sama i zaczęłam pracę. Myślę, że to ją przekonało, że porzuciłam wszelkie nadzieje na ucieczkę.

Od tamtej pory częściej zabierała mnie ze sobą. Gdy byliśmy poza domem, zaczęła nawet mówić do mnie „Mende”, chociaż w domu nadal najbardziej lubiła zwracać się do *mnie yebit*. Nie wymyślała mi już tak często i rzadziej biła. W tym czasie urodziła trzecią córkę imieniem Tuta i czwartą, Abir. Obie urodziły się po moim przybyciu do ich domu, więc byłam stałym elementem ich życia. Zwłaszcza Abir naprawdę się do mnie przywiązała.

A ja powoli zapomniałam o mojej rodzinie. Teraz wstyd mi to przyznać, ale po mniej więcej czterech latach moje wspomnienia po prostu zaczęły blaknąć. Kiedy pojawiłam się w domu Rahab, oznajmiła mi, że zostanę z nią przez resztę życia, a ja w to uwierzyłam. Gdy tylko myślałam o mojej cudownej, kochającej rodzinie, czułam ból i żal. Byłam przekonana, że wszyscy zginęli podczas napadu. Myślenie o tym było zbyt straszne, więc po prostu wymazałam to z pamięci.

Zaczęłam wmawiać sobie, że w tej sytuacji moja przyszłość jest teraz ta, w Chartumie. Miałam nową rodzinę, chociaż byłam ich niewolnicą a oni moimi panami. Nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o przeszłości, wspominać śmiech i miłość, kto pomógłby mi przywrócić moją prawdziwą tożsamość. Nie miałam niczego namacalnego, co przypominałoby mi życie w plemieniu Nuba, bo ani jedna rzecz nie przetrwała napadu. Zaczęłam wierzyć, że Arabowie są wszechpotężni, że mają nadane im przez Boga prawo, by nami rządzić. Dowody na to widziałam w swoim codziennym życiu w Chartumie. Byłam przekonana, że tak wygląda świat: Arabowie zniewalają czarnych i są niepokonani. Ale wszystko to już niedługo miało się zmienić.

## Zemsta

Ce<liennie słyszałam za bramą dudnienie żołnierskich butów. Myślałam, że gdzieś w pobliżu musiał znajdować się wojskowy obóz treningowy. Któregoś ranka wyrzałam na ulicę i zobaczyłam szereg młodych rekrutów biegnących z tupotem. Mieli ogolone głowy, ubrani byli w workowate białe spodnie i bluzy. Śpiewali. Przypominali mi mężczyzn, którzy napadli na moją wioskę.

*Allah akbar, yahoude* — Bóg jest wielki! Jest z nami.

*Allah akbar, yahoude* — Bóg jest wielki! Jest z nami.

Zanosimy nasze pobożne modlitwy! On jest z nami.

Zanosimy nasze pobożne modlitwy! On jest z nami.

Nie wiedziałam, skąd wzięli się ci mężczyźni, ale wyglądali, jakby szykowali się na wojnę. Z czasem usłyszałam więcej o tej wojnie. Piątek jest dla muzułmanów dniem świętym i wtedy nadawano w telewizji specjalny program *Sahad El Fidah* — zbawienie. Jeżeli Rahab wyszła z pokoju i zostawiła włączony telewizor, zakradałam się tam i oglądałam ten program. W jakiś dziwny sposób mnie fascynował.

Pokazywał zdjęcia armii sudańskiej i mudzahedinów walczących ramię w ramię i zwyciężających w wojnie przeciw

zbuntowanej armii z południowego Sudanu. Widziałam drastyczne obrazy czarnoskórych trupów, w tle grała patriotyczna muzyka. Najważniejsza część programu nosiła tytuł *Shuhada* — męczennicy. Prezentowała wszystkich młodych ludzi, którzy zginęli w danym tygodniu, najprawdopodobniej walcząc w dżihad, świętej wojnie przeciw „niewiernym” z południowego Sudanu. Matki trzymały w górze ich fotografie i mówiły o tym, jakie są szczęśliwe, że ich synowie zostali męczennikami i poszli prosto do raju, połączyły się z Allahem.

Widok zabitych czarnych ludzi umocnił we mnie przekonanie, że Arabowie są niebezpieczni. Jednak pewnej nocy wszystko się zmieniło. Obudziłam się nagle bardzo wcześnie rano, ponieważ całe powietrze nad moją szopą wibrowało od serii ogłuszających świstów. Kilka sekund później nastąpiły potężne wybuchy. Niedługo potem usłyszałam syreny karetek pędzących przez miasto. Chciałam wyjść i zobaczyć, co się stało, ale byłam zamknięta.

Następnego ranka przysłuchiwałam się Rahab i Mustafie z podnieceniem rozmawiającym przy śniadaniu. Ich także obudziły hałasy. Wyszli na zewnątrz, żeby zobaczyć ogromny pomarańczowy błysk na horyzoncie. Najwyraźniej coś się paliło, ale nie wiedzieli nic więcej.

Wiele lat później poznałam prawdę o tym ataku. Świszczący dźwięk, który wszyscy słyszeliśmy, okazał się odgłosem sześciu pocisków Cruise przelatujących nisko nad naszą dzielnicą. Tydzień wcześniej amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii zostały wysadzone przez terrorystów, a w wybuchach zginęły setki Afrykanów i Amerykanów. Sudan był jednym z dwóch krajów oskarżonych o wspieranie Osamy Bin Ladena, terrorysty, który, jak sądzono, stał za wysadzeniem ambasad. Wybuchy to były pociski trafiające w fabrykę w Chartumie, produkującą jak przypuszczano, broń dla terrorystów. Atak został wyznaczony na wczesne godziny poranne, przed przyjściem pracowników, i zginęło w nim mniej niż tuzin ludzi. Oczywiście wówczas o tym wszystkim nie wiedziałam.

Tamtego wieczoru do domu Rahab i Mustafy napływał nieprzerwany strumień gości, chcących przedyskutować wydarzenia poprzedniej nocy. Przez cały czas byłam zajęta podawaniem im herbaty. Gdy wchodziłam i wychodziłam z salonu, podsłuchiwałam, o czym rozmawiali, i widziałam, że wyglądali na rozzłoszczonych i zmartwionych.

— Ci Amerykanie są źli! — krzyczał jakiś mężczyzna. — Chcą zabić nas wszystkich.

— Głupi Amerykanie! — mówił inny. — Siedzą sobie bezpiecznie na swoich okrętach wojennych i do nas strzelają. To nasze rodziny i dzieci mogły zostać zabite.

— Ile osób zginęło? — zapytał ktoś.

— Setki. A kolejni są w szpitalach, ranni.

— To bardzo złe wiadomości, bardzo złe — powtarzał w kółko Mustafa, kręcąc głową.

Przerwali, żeby obejrzeć telewizję, ponieważ na ekranie pokazano pożar fabryki. Na ziemi leżały butelki lekarstw i wybuchały pod wpływem żaru ognia.

— Ci Amerykanie to niewierni! — ostro stwierdziła Rahab. — Wiecie, dlaczego to robią? Robią to, bo nie znają Allaha. Nie znają Boga i myślą, że mogą bezkarnie zabijać wyznawców islamu.

Później, sama w kuchni, rozważyłam to, co usłyszałam. Gdzieś w świecie są ludzie potężniejsi niż Arabowie, pomyślałam z ponurą satysfakcją. Nie potrafiłam powstrzymać szerokiego uśmiechu. Pierwszy raz w życiu widziałam, że Arabowie znaleźli się w kłopotach. Nie byli już wszechpotężni. Nie byli niezwyciężeni. Siedziałam w milczeniu i modliłam się do Allaha, żeby Amerykanie wystrzelili dość pocisków, by doszczętnie spalić Chartum. Nie obchodziło mnie, czy zginę razem ze wszystkimi. Modłę się, żeby te bomby spadły tutaj, na twój dom, Rahab, i żeby ciebie też zabiły.

Całą noc leżałam w szopie, nie śpiąc, czekając na deszcz amerykańskich pocisków spadających na Chartum, ale nic się nie wydarzyło. Następnego dnia pokazano w telewizji zdjęcia

tłumów wściekłych ludzi na ulicach, palących amerykańskie flagi, krzyczących: „Śmierć Ameryce” i „Śmierć Anglii”. Rzucali kamieniami w ambasady brytyjską i amerykańską i powybijali wszystkie okna. Przez cały miesiąc dom Rahab pełen był rozzłoszczonych gości, przeklinających Amerykanów i Brytyjczyków.

## Ratuj mnie

Rahab często jeździła w odwiedziny do swojej matki, do odległego miasta Kassala, zostawiając mnie, żebym opiekowała się dziećmi, jednak pewnego razu, gdy byłam u niej od prawie czterech lat, postanowiła zabrać mnie ze sobą. Byłam bardzo podniecona: po raz pierwszy miałam wyjechać z Chartumu. Mustafa zawiózł nas na dworzec autobusowy i wyruszyliśmy do Kassali. Czekало nas sześć czy siedem godzin jazdy płaską, jałową krainą. Odnowiło to moje wspomnienia z jazdy z gór Nuba do Chartumu z tyłu ciężarówki handlarza niewolników.

Rodzice Rahab mieszkali w ogromnym domu. Najwyraźniej byli bardzo bogaci. U matki Rahab pracowały trzy służące. Ja miałam zamieszkać z nimi w kwaterach za głównym domem. Była dziewczyna do sprzątania, dziewczyna do prania i dziewczyna zajmująca się gotowaniem. Wszystkie pochodziły z Erytrei, jednego z krajów sąsiadujących z Sudanem. Matka Rahab uznała mój przyjazd za dobrą okazję, żeby dać służącym wolne, więc skończyło się tym, że wykonywałam całą ich pracę i do tego własną.

Po tygodniu dziewczyny wróciły. Ich praca była łatwa w porównaniu z tym, co musiałam codziennie robić, a jeszcze, jak wiedziałam, płacono im pensje. Mogły brać wolne, żeby od-

wiedzie rodzinę, i nigdy nie bito ich ani nie wyzywano. Zastanawiałam się dlaczego. Doszłam do wniosku, że muszę się czymś od nich różnić. Ale czym? Czy chodzi o to, że ja jestem czarna, a one wyglądają na Arabki? Czy o to, że pochodzę z plemienia Nuba? Kto zdecydował, że one będą służącymi, a ja niewolnicą? Kto? Rahab? Przeznaczenie? Bóg?

Dni mijały, a ja coraz wyraźniej dostrzegałam różnice między nami i popadałam w coraz większe przygnębienie. One miały nowe ubrania, ja stare szmaty. One były dobrze traktowane, mnie wyzywano i bito. Któregoś dnia, wcześnie rano, stałam na podwórzu, śmiejąc się i plotkując ze służącymi. Robiliśmy tyle hałasu, że nie usłyszałam wołania Rahab.

— Dlaczego nie odpowiadasz, *yebifl* Gdzie są dzieci?! — krzyknęła na mnie ze złością, pojawiając się w drzwiach. — Dlaczego ich nie pilnujesz, jak ci kazałam?

Nie czekając na moją odpowiedź, Rahab chwyciła but z drewnianą podeszwą i uderzyła mnie w głowę. Przez sekundę panowała grobowa cisza, gdy przestraszona przypadłam do ziemi. Potem, kiedy Rahab zamierzyła się ponownie, jedna z dziewczyn podskoczyła, żeby ją powstrzymać. Jaimaea była bardzo piękną Erytrejką i już wcześniej okazała mi życzliwość.

— Co pani wyprawia! — odezwała się, gniewnie błyskając oczyma. — Czemu ją pani bije? Dzieci są we frontowym pokoju, bawią się z dziećmiakami pani siostry. Przed chwilą je widziałam. Za co ją pani bije?

— Nie twój interes—warknęła Rahab—więc się nie wtrącaj.

— Och nie? Cóż, teraz to już mój interes — odparła Jaimaea wyzywająco. — Jeżeli jest pani służącą, to dla pani pracuje, ale to wszystko. Nie daje to pani prawa, żeby ją bić.

Rahab rozejrzała się dookoła. Wszystkie służące zerwały się już na nogi. Zdała sobie sprawę, że jest w mniejszości.

— Chodź, *yebit* — rzuciła do mnie, odwracając się na pięcie. — Za mną!

Rahab zaprowadziła mnie przed dom. Kipiała złością, ale teraz już nie na mnie, tylko na Jaimaeę.

— Posłuchaj uważnie — zasyczała mi do ucha, chwytając za ramię. — Jeżeli te dziewczyny będą cię pytały, powiesz im, że dla mnie pracujesz. I że płacę ci o wiele więcej pieniędzy niż one kiedykolwiek dostały. Lepiej uważaj. Jeżeli powiesz im cokolwiek innego, zabiję cię.

Tego wieczoru jak zwykle poszłam zjeść z dziewczętami.

— Dobrze się czujesz, Mende? — natychmiast zapytała Jaimaea. — Dlaczego ta suka cię uderzyła?

— Uderzyła mnie, bo nie uważałam na dzieci — powiedziałam cicho.

— To nie powód, żeby cię bić. Dlaczego jej na to pozwalasz?

— Pracuję dla niej — wymamrotałam, pamiętając groźby Rahab. — Płaci mi mnóstwo pieniędzy, więcej niż wy dostajecie.

— Och, i to jest powód, żeby pozwolić się bić, tak? — szczerzo stwierdziła Jaimaea. — Mende, ona nazywa cię **yebit**. Wiesz, że **yebit** to prawdziwa obelga, prawda? Czy nie wie, jak masz na imię?

— Zna moje imię — wyszeptałam. — Ale zawsze tak mnie nazywa.

— Cóż, to głupia suka — stwierdziła Jaimaea. — Płaci ci dużo, żeby móc cię bić i obrażać. Posłuchaj, obiecaj mi, że kiedy wrócisz do Chartumu, zrezygnujesz z pracy u tej kobiety, dobrze? Znajdź sobie inną arabską rodzinę, dla której będziesz pracowała. Mnóstwo ludzi potrzebuje służących. Nawet jeżeli mniej ci zapłaca.

W tym momencie do pokoju weszła Althoma, siostra Rahab. Spojrzała na Jaimaeę. Przez kilka sekund panowała napięta cisza.

— Dlaczego sprawiasz kłopoty, Jaimaeo? — zapytała ze złością. — Podsłuchałam, co mówisz. Dlaczego okłamujesz Mende?

— Nie kłamię i nie sprawiam kłopotów — odparła Jaimaea. — Po prostu mówię Mende prawdę. Mende jest służącą. Jeżeli nie chce zostać z Rahab, może od niej odejść.



— To nie twój interes — wybuchnęła Althoma — więc przestań się wtrącać. Rahab powiedziała mi, co się stało. To nie ma nic wspólnego z tobą.

— Owszem, ma. Mende jest jeszcze mała. Nie jest dość duża, żeby przeciwstawić się Rahab. Dlatego Rahab tak ją traktuje i to się musi skończyć.

Między Althoma i Jaimaea rozpięta się ostry pojedynek na wrzaski. Siedziałam cicho, skulona ze strachu, i chciałam zniknąć. Wiedziałam, że dla mnie skończy się to bardzo źle. Po chwili przyszła Rahab i przyłączyła się do kłótni. Przerażona, wpatrywałam się w podłogę i szlochałam. Nigdy wcześniej nikt nie mówił tak do Rahab, otwarcie próbując mnie bronić.

— Kazałam ci nie wtykać w to nosa! — nawrzeszczała na Jaimaeę Rahab.

— I co z tego? Jest pani okrutną, złą kobietą — odparła Jaimaea. — Czemu miałabym przyjmować od pani jakieś polecenia? Paskudnie traktuje pani Mende tylko dlatego, że jest mała. Nie zostałamby w pani domu nawet godziny.

— Nie muszę wysłuchiwać takich rzeczy od zwykłej służącej — ucięła Rahab. — I nie potrzebujemy też, żeby osoby takie jak ty pracowały dla naszej matki. Jest masa służących, które potrzebują pracy. Pora, żebyś odeszła.

— Dobrze. Nie zostanę w takim miejscu. Wypłaćcie mi teraz moje pieniądze. Odchodzę.

— Możesz wrócić jutro, żeby odebrać pieniądze. Teraz jest środek nocy.

— Nie. Nie wrócę jutro. I nie wyjdę stąd, dopóki mi nie zapłacicie.

Rahab zniknęła na parę minut i wróciła z plikiem banknotów. Zapłaciła Jaimaei należną pensję i kazała jej wyjść. Dziewczyna nie miała nawet czasu, żeby się z nami pożegnać, tym bardziej ze mną. Kiedy odeszła, Rahab powiedziała, że nie wolno mi wrócić do kwatery służących i nawet z nimi rozmawiać. Dwa dni później wyjechałyśmy i nigdy więcej nie widziałam Jaimaei.

Dlaczego nie powiedziałam jej prawdy, kiedy miałam okazję?

Czemu skłamałam, tak jak kazała mi Rahab? Czemu okłamywałam ludzi, którzy próbowali mi pomóc? Po wszystkich tych latach Rahab całkowicie zniszczyła moje poczucie tożsamości i własnej wartości. Uwierzyłam, że jako istota ludzka nie mam żadnych praw. Żyłam w stanie ciągłego lęku przed nią. I wciąż byłam tylko dzieckiem.

Zbuntować się przeciw temu wszystkiemu, zbuntować się przeciw kobiecie, którą nazywałam panią i która nazywała mnie niewolnicą, było nie do pomyślenia. Nawet rozważanie tego nie leżało w granicach moich możliwości. Teraz wiem, że powinnam była zaufać Jaimaei, i jestem przekonana, że naprawdę starałaby się mnie ratować. Może nawet pomogłaby mi wrócić w góry Nuba, spróbować odnaleźć moją rodzinę. A jednak wróciłam z Rahab do Chartumu. I już niedługo miałam odkryć, dlaczego była przekonana, że jestem jej własnością.

## Niewolnictwo i czystość

Pewnego wieczoru, krótko po naszym powrocie do Chartumu, przyszedł z wizytą trzy przyjaciółki Rahab. Jak zwykle podałam im w salonie herbatę i ciasto. Dwie z kobiet nigdy wcześniej nie były w domu Rahab, więc szybko je oprowadziła. Gdy znów usiadły w salonie, Rahab była chyba przekonana, że jestem w dziecięcej sypialni, więc nie mogę podsłuchać, o czym rozmawiają, ja jednak siedziałam w kuchni.

— Masz taki ładny, przewiewny dom — pochwaliła jedna z kobiet. — I tak tu czysto. Nawet na dziedzińcu. Jakim sposobem znajdujesz czas, żeby utrzymać go w takim stanie?

— Och, ja tego nie robię — powiedziała Rahab ze śmiechem. — To ta dziewczyna, która podała wam herbatę.

— Co? — zapytała tamta, zaskoczona. — Ta mała dziewczynka robi to wszystko? Utrzymuje dom w tak nieskazitelnym porządku całkiem sama?

— Tak — odparła Rahab z dumą. — I wyobraź sobie, opiekuje się też dziećmi. I robi większość rzeczy w kuchni.

— Co? Niesamowite! — uznała kobieta. — Gdzie ją znalazłaś? Marzę, żeby mieć w domu taką dziewczynę.

— Jasne — powiedziała druga kobieta. — Wszystkie chciałbyśmy znaleźć takie dziewczęta. Ale ile musisz jej płacić? I gdzie w dzisiejszych czasach można znaleźć kogoś takiego?

— Och, nie. — Rahab konspiracyjnie zniżyła głos. — Umknęło wam najlepsze. Widzicie, nie płacę jej żadnej pensji. Ani grosza. Ale z początku musiałam zapłacić za nią masę pieniędzy.

— Przepraszam — odezwała się ta druga kobieta. — Co powiedziałaś? Czy powiedziałaś, że musisz jej płacić masę pieniędzy? Czy że musiałaś za nią zapłacić masę pieniędzy?

— Powiedziałam, że musiałam zapłacić masę pieniędzy za nią—powtórzyła Rahab. — No, wicie, żeby ją kupić. Jest moja.

— Och... — odezwała się tamta. — Teraz rozumiem. Kupiłaś ją. To *abda*, prawda? Cóż, powiem tylko: mów, dokąd mamy pójść, żeby postarać się o taką jak ona!

— Więc... chcecie, żebym wam powiedziała? — drażniła się z nimi Rahab. — Cóż, a jak bardzo chcecie się tego ode mnie dowiedzieć?

— Daj spokój, Rahab — błagały kobiety. — Umieramy z ciekawości. Wiesz, jak mało pożyteczne są zwykłe służące.

— Owszem. Zupełnie nie ma z nich pożytku. A więc chcecie powiedzieć, że nie znacie Abdula Azzima?

— Nie. Kim jest Abdul Azzim?

— To człowiek, który sprowadza *abids* tu, do Chartumu. Możecie pójść do niego i też sobie taką kupić, jeśli naprawdę chcecie. Tylko miejcie świadomość, że musicie dużo zapłacić. Naprawdę uważacie, że was na to stać?

— Och... więc ile? Weźmy na przykład twoją *abdę*. Ile cię kosztowała?

— Hm... nie wiem, czy zdołam sobie przypomnieć. Wiem, że wtedy uważałam, że dużo — powiedziała Rahab. — Nie, dokładnie nie pamiętam. To było parę lat temu. Ale z pewnością była warta nawet więcej. Zresztą do tej pory cena poszła w górę. Najlepiej spotkać się z Abdulem Azzimem i go zapytać.

— Cóż, musi się to opłacać, prawda? Robisz wstępną inwestycję, a potem nic cię to już nie kosztuje. No, wiesz, te służące cały czas chcą mieć wolne, jeździć w odwiedziny do rodzin i tak dalej. Ale *abda* jest z tobą cały czas, prawda?

— Tak—potwierdziła Rahab entuzjastycznie. — Pozwólcie, że wam powiem, że mieć w domu taką *abdą* jak ona to prawdziwe błogosławieństwo. Życie już nie jest takie jak przedtem.

— Ale czy nie sprawia kłopotów? To znaczy, tak po prostu robi, co jej się każe?

— Wiecie — wyznała Rahab przyciszonym głosem — to jest najbardziej zdumiewające. Nigdy nie sprawia kłopotów. Myślę, że ci czarni są w pewnym sensie do tego stworzeni. Przypuszczam, że byli niewolnikami od pokoleń. Nigdy nie narzekają. Po prostu się z tym godzą.

Zaczęły dyskutować, jak miło jest nie mieć żadnych domowych prac do zrobienia. Przestałam słuchać. Jak dla mnie, ostami kawałek układanki wskoczył na miejsce. Z tego, co mówiła Rahab, wynikało, że Abdul Azzim zarabiał na życie, sprzedając arabskim rodzinom dziewczynki takie jak ja. Abdul Azzim sprzedał mnie Rahab i dlatego była przekonana, że ma mnie na własność.

Gdy tej nocy zostałam zamknięta w szopie, godzinami nie mogłam zasnąć. Nie potrafiłam uwierzyć, że takie jest moje przeznaczenie: zostałam sprzedana jako niewolnica i pozostanę niewolnicą przez resztę życia. Wszystko wydawało się ostateczne. Tamtej nocy modliłam się: „AHahu, proszę, pomóż mi. Proszę, znajdź dla mnie sposób na ucieczkę od Rahab i jeźdźców, i Abdula Azzima, tych, którzy mnie zniewolili. Allahu, tylko ty możesz mi pomóc”.

W tym czasie miałam już więcej swobody, ponieważ Rahab była przekonana, że porzuciłam myśl o ucieczce. Wciąż jeszcze nie uodporniłam się na jej nastroje, a stawała się okrutna zupełnie nagle. Podczas szkolnych wakacji dawała mi klucze do szopy. Ponieważ cała rodzina sypiała do późna, wstawałam o świcie, żeby posprzątać frontowy dziedziniec. Któregoś ranka w porze śniadania Rahab wyszła z domu i powiedziała:

— *Yebit!* Idź do sklepu i kup jajka. Masz tu pieniądze.

Już wcześniej pozwalano mi na wyjście do sklepu, ale zawsze z jednym ze starszych dzieci w roli przewodnika. Za każdym

razem, gdy posłusznie wracałam z zakupami, Rahab nabierała coraz większej pewności, że nie będę próbowała uciekać. Prawdę mówiąc, tak bardzo ceniłam sobie te chwile wolności, że nie chciałam narażać się na ich utratę. Samo wyjście z domu i spacer ulicą to była wielka radość.

Teraz jednak pierwszy raz pozwolono mi wyjść samej. Po drodze zobaczyłam dzieci bawiące się na ulicy. Przyspieszyłam kroku, kupiłam jajka i popędziłam z powrotem. Dzieci jeszcze tam były, bawiły się w berka, biegając po całej ulicy. Miałam szesnaście lat, ale odkąd ukończyłam dwanaście, w ogóle się nie bawiłam. Przez kilka minut patrzyłam, jak dzieci biegają i śmieją się. Nagle usłyszałam wołanie Rahab:

— *Yebit*, posłałam cię, żebyś kupiła jajka, a nie się bawiła. Chodź tu!

— Nie bawiłam się — powiedziałam, gdy weszłam przez bramę. — Chciałam tylko popatrzeć na dzieci.

Reakcją Rahab było trzykrotne postukanie mnie po głowie.

— Widziałam, że się bawiłaś — ucięła. — Hanin czeka na śniadanie i jest głodna. Idź i usmaż jej jajka. Kiedy skończysz, pokrój cebulę.

Zorientowałam się, że Rahab ma fatalny humor. Poszłam do kuchni i usmażyłam jajka. Potem pokroiłam cebulę i zaczęłam smażyć ją w głębokim tłuszczu, zgodnie z instrukcją, używając do mieszania metalowej chochli.

— Zrobiłaś jajka? — zapytała Rahab, wchodząc do kuchni.

— Tak, proszę pani.

— Hanin! — zawołała przez salon. — Hanin! Chodź i zjedz śniadanie!

Hanin przybiegła i usiadła przy stole, a Rahab wzięła talerz z jajkami.

— Co to ma być?! — wrzasnęła, wpatrując się w talerz, a jej zły humor przerodził się we wściekłość. — Kazałam ci zrobić jajka w koszulkach, nie smażone.

Zanim zdążyłam zareagować, złapała mnie za ramię. Drugą ręką chwyciła chochlę z patelni i przycisnęła mi rozgrzany

metal do przedramienia. Krzyknęłam, czując straszny ból, skóra zaskwierczała. Po moim ręku spłynęły krople wrzącego tłuszczu.

— Ty głupia dziewczyno! — wołała, przekrzykując moje wrzaski. — Popełniłaś dzisiaj o jeden błąd za dużo! Najpierw przyłapałam cię na zabawie, kiedy posłałam cię po jajka. Teraz smażyś jajka zamiast zrobić je w koszulkach. Dam ci nauczkę, której nie zapomnisz.

Z tymi słowami oderwała chochłę od mojej ręki, a wraz z nią warstwę spalonej skóry. Chwyciłam się za wewnętrzną stronę przedramienia, mając wrażenie, że zemdleję z bólu.

— A teraz, **yebit**, zrób jajka w koszulkach, jak ci kazałam — rzuciła ostro, odwracając się do mnie plecami. — A kiedy skończysz, idź i przynieś mi klucz od twojej szopy. Chcę go z powrotem. Najwyraźniej przychodzą ci do głowy głupie pomysły. Nie wolno ci więcej samej wychodzić.

Przyciskając oparzoną rękę do boku jak złamane skrzydło, usiłowałam sięgnąć po jajka, ale nie mogłam napełnić garnka wodą i wbić do niej jajek, mając tylko jedną sprawną rękę. Zaczęłam szlochać.

— Dlaczego płaczesz? — naskoczyła na mnie Rahab.

— Oparzyła mi pani rękę — rozpłakałam się. — Nie mogę przygotować jajek. Za bardzo mnie boli.

— Patrzcie tylko! I co takiego się stało, **yebit**? Popełniasz błąd, robisz coś głupiego i zostajesz ukarana. Czego się spodziewasz?

Jednak nie tylko gwałtowność Rahab stanowiła problem. Miałam już około szesnastu lat i wyrosłam na młodą kobietę. Zdawałam sobie sprawę z własnego uroku. Wiedziałam, że jestem szczupłą, ciemna i atrakcyjna. Żaden arabski mężczyzna nie spojrzełby otwarcie na czarną dziewczynę taką jak ja, szczególnie jeśli przyszedł z żoną, ale kiedy byli w domu sami, wygadało to zupełnie inaczej.

Pewnego dnia Mustafa miał gości, przyjaciela z nową żoną. Dopiero co się pobrali i kobieta wciąż jeszcze miała na stopach i dłoniach wymyślne wzory ze ślubnej ceremonii wymalowane czarną henną. Rahab wyjechała. Gdy zrobiłam gościom śniadanie, słyszałam, jak opowiadają Mustafie o swoim ślubie. Wyjeżdżali na miesiąc miodowy i zatrzymali się u nas tylko na kilka dni. Ponieważ nie było Rahab, czułam się odprężona i szczęśliwa.

Gdy podawałam herbatę, zauważyłam, że mężczyzna się we mnie wpatruje, ale pomyślałam, że jest po prostu arogancki i zachowuje się obraźliwie. Jego żona zabrała herbatę na frontowy dziedziniec, usiadła nad ceramicznym pojemnikiem do palenia wonności, zapaliła kadzidełko sandałowe, owinęła się kocem i zanurzyła w dymie o słodkim zapachu. Wonności mają przygotować młodą żonę dla męża, sprawiając, że będzie pachniała pięknie i kusząco.

Podeszłam do niej, by podnieść zsuwający się koc. Uśmiechnęła się do mnie i postąpiłam chwilę koło niej, wdychając cudowny zapach dymu. Po chwili Mustafa zawołał mnie do domu i poprosił, żebym przygotowała więcej herbaty. Ponieważ dopiero co parzyłam herbatę, byłam nieco zaskoczona. Gdy weszłam do salonu, zauważyłam, że Mustafa zabrał Hanin na dwór, pokazać jej palenie wonności. Zostałam sama z gościem. Poszłam do kuchni, nachyliłam się nad piecykiem gazowym i nagle ze strachu o mały nie wyskoczyłam ze skóry. Usłyszałam ciężki oddech, ktoś stał tuż za mną. To Arab zakradł się do kuchni.

Próbowałam się odwrócić i stawić mu czoło, ale zaczął napierać na mnie z całej siły. Przesunął ręką po moim brzuchu i najwyraźniej mnie obmacywał. Czułam, że się do mnie przyciska. Przez kilka sekund stałam jak skamieniała, ponieważ przypomniałam sobie arabskiego jeźdźca, który napadł mnie w lesie, a tymczasem mężczyzna usiłował wsunąć mi rękę pod sukienkę. Obróciłam się i gwałtownie go odepchnęłam, lecz on, zupełnie tym niezrażony, starał się przycisnąć usta do moich ust i znów siłą wziąć mnie w swoje spocone objęcia.



— No, dalej! Przecież to lubisz! — wyszeptał z groźbą w głosie.

— Zwariował pan! — syknęłam zdesperowana. — Co pan robi! Czego pan chce? Mam zacząć krzyczeć tak głośno, żeby pańska żona usłyszała?

— Nie! Nie. Ćśśś. — Przyłożył palec do ust. — Nie krzycz, bo będą kłopoty. No, chodź. Nie mów mi, że ci się to nie podoba.

— Puszczaj — syknęłam, odpychając go. — Chyba że pan chce, żeby żona usłyszała, jak krzyczę! Jeżeli przyszedł pan tu po herbatę, to trzeba mnie poprosić i zaczekać w salonie, a jaja panu przyniosę.

Stał, uśmiechając się szeroko. Zauważyłam ślinę w kąciuku ust. Byłam zła i przestraszona. Wiedziałam, że nie przyszedł do kuchni po herbatę. Zdawałam sobie sprawę, że moją jedyną obroną jest krzyk. Ale wiedziałam też, że jeżeli Rahab się o wszystkim dowie, i tak obwini mnie.

— No, chodź — przymilił się. — Wiem, że byś chciała. Ty też to wiesz, więc w czym problem?

— Problem w tym, że jeśli pan zaraz nie wyjdzie, zacznę krzyczeć tak, żeby usłyszała to pańska żona — odparłam chłodno. — Proszę pamiętać, że to ona jest kobietą, którą pan dopiero co poślubił.

To chyba ostudziło jego namiętność. Odsunął się ode mnie i odwrócił do drzwi. Gdy wyszedł, zobaczyłam, że robi gest w stronę kogoś siedzącego w salonie, kierując w dół kciuk. A potem usłyszałam, jak Mustafa parska śmiechem, a mężczyzna się do niego przyłącza. Pięć minut później zaniósłam im herbatę. Z trzaskiem postawiłam ją na stole. Wciąż jeszcze trzęsłam się ze strachu i złości. Namówiłam Hanin, żeby powiedziała Mustafie, że dzieci chcą w nocy mieć mnie przy sobie, w swoim pokoju, ponieważ Rahab wyjechała. Wiedziałam, że tam będę bezpieczna.

Następnego dnia wróciła Rahab i tak się to skończyło. Mustafa nigdy nie próbował mnie molestować. Rahab rządziła domem żelazną ręką i Mustafa się jej bał. Jednak nie był to

koniec kłopotów z mężczyznami, którzy odwiedzali dom. Po tym przypadku miały miejsce inne incydenty, ale nauczyłam się bronić. Jedynym plusem tego, że Rahab była moją panią, okazał się fakt, że budziła lęk. Żaden mężczyzna nie chciał wejść jej w drogę ani narazić się na jej gniew. I ryzykować, że powie jego żonie, jak to został przyłapany na molestowaniu należącej do niej niewolnicy z plemienia Nuba.

## Do Londynu?

Pewnego dnia, w szóstym roku przebywania w domu Rahab, zostałam wezwana do salonu. Rahab właśnie skończyła długą rozmowę telefoniczną.

— **Yebit**, zrób mi herbaty — rozkazała. — Potem chcę z tobą porozmawiać.

Gdy wróciłam, poprosiła, żebym usiadła. Była to tak niezwykła prośba, że nie wiedziałam, co robić, więc usiadłam na dywanie przed nią.

— Nie, siadaj tam — powiedziała z uśmiechem. Poklepała miejsce obok siebie. — Chodź, usiądź tutaj, przy mnie. A więc, **yebit**, teraz wiesz już dokładnie, co masz do roboty w tym domu, prawda?

— Tak, proszę pani — odparłam.

— Dobrze, więc powiedz mi, co tu robisz.

— Sprzątam dom, piorę, gotuję — wymamrotałam cicho. — Parzę herbatę. Prasuję. Opiekuję się dziećmi. Sprzątam patio i dziedziniec.

— Dobrze. Więc teraz chcę cię wysłać do Londynu. Wiesz, gdzie to jest?

— Co?

— Powiedziałam, że chcę cię wysłać do Londynu. W Anglii. Chcę cię posłać do domu mojej siostry. Pamiętasz ją, prawda? Poznałaś ją kiedy przyjechała w odwiedziny ze swoim mężem.

Rahab kompletnie mnie zaskoczyła i nie wiedziałam, co powiedzieć. Wpatrywała się we mnie, a ja wbiłam wzrok w podłogę, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

— Słyszałaś, co powiedziałam? — odezwała się w końcu.

— Tak, proszę pani — odparłam.

— Dobrze. Cóż, chcę cię wysłać do Londynu, żebyś robiła w domu mojej siostry dokładnie to samo co tutaj. Będiesz jej posłuszna dokładnie tak jak mnie. Zrobisz wszystko, co ci każe. Czy to rozumiałe?

— Tak — wymamrotałam.

— Dobrze. — Była bardzo z siebie zadowolona. — Więc teraz załatwimy wszystko, a potem wyślemy cię do Londynu. Rozumiesz?

— Tak — mruknęłam. — Ale kto wtedy będzie sprzątał dom? Będę musiała zostawić Hanin i Usrę, Tutę i Abir. Kto się nimi zaopiekuje?

— Chcę jechać do Londynu z Mende! — zawołała Hanin, która także przyszła do salonu. — Chcę pojechać z Mende i zamieszkać z naszą ciocią.

— Wiem, że będziesz tęskniła za dziećmi — powiedziała Rahab z uśmiechem. — A one za tobą — dodała, gładząc Hanin po głowie. — Ale Hanan właśnie urodziła bliźnięta. Jest zmęczona i potrzebuje pomocy. To dlatego chcę cię wysłać do Londynu. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

— Dobrze. A teraz wracaj do pracy. Wychodząc, zabierz tacę.

Zaczęłam zmywać po herbacie, a w głowie miałam mętlik i nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim sądzić. Potrzebowałam chwili samotności, żeby pomyśleć. Szybko skończyłam pracę, przygotowałam kolację, sałatkę jajeczną z orzechami, podałam do stołu, a potem sprzątnęłam po kolacji. Usiadłam przy stoliku w kącie i zjadłam resztki. Pozmywałam brudne

naczynia i zamiotłam kuchnią. Wreszcie przyszedł czas na sen w sypialni.

Gdzie jest Londyn?, zastanawiałam się, leżąc na cienkim materacu. Jak się tam dostaną? Dlaczego chce mnie odesłać? Jak mnie tam będą traktowali? Nie mogłam zadać Rahab żadnego z tych pytań. Wiedziałam, że potraktowałyby mnie jak głupią ignorantkę. Na własnej skórze przekonałam się, że najlepiej po prostu zgadzać się ze wszystkim, co mówi, ale bardzo się martwiłam. Przez ponad sześć lat nauczyłam się, jak przeżyć jako niewolnica w domu Rahab w Chartumie. Wiedziałam, jak się zachowywać, żeby uniknąć bicia i najgorszych obelg. Jak unikać seksualnych napaści. Jak strzec swoich nielicznych radości. Krótko mówiąc, znałam zasady. A teraz wszystko to miało się zmienić.

Ale przede wszystkim byłam bardzo związana z córkami Rahab. Stały się moją rodziną i moimi przyjaciółkami, nie chciałam ich stracić. Gdy tylko o tym pomyślałam, zdałam sobie sprawę ze smutnej absurdalności tego, co mi chodzi po głowie. O czym ja myślę?, pytałam siebie. Jestem smutna, bo mam zostawić dzieci, Hanin, Usrę, Tutę i Abir. Dzieci Rahab. Rodzinę Rahab. A co z moją własną rodziną? Co z **ba, umi**, Babo, Kunyant, Shokan, Kwandsharanem i wszystkimi w domu, w górach Nuba?

Siedząc tak w ciemnościach, zdałam sobie sprawę, że właściwie uznałam wszystkich z mojej prawdziwej rodziny za zmarłych. Przyzwyczyłam się nie myśleć o nich, ponieważ było to zbyt bolesne. Uświadomienie sobie tej prawdy wstrząsnęło mną do głębi. Leżałam i płakałam, płakałam bez końca. Myślałam o wszystkim, co mnie spotkało. Bandyci zabrali mnie z wioski do Dillingu. Potem Abdul Azzim przywiózł do Chartumu. Następnie Rahab przyprowadziła do tego domu. Byłam coraz dalej od rodziny i domu, a teraz miałam zostać wywieziona z Sudanu i nawet z Afryki. Czy Rahab sprzedała mnie swojej siostrze?, zastanawiałam się, rozżaloszona. A może po prostu dała mnie jej w prezencie?

Wiadomość, że mam być wysłana za granicę, ponownie obudziła we mnie miłość do rodziny. Jak lunatyczka przedzierałam się przez ten koszmar. Kurczowo trzymałam się fałszywej nadziei, że tu, w Chartumie, jest mój dom. Ale teraz miałam po prostu zostać przekazana dalej jak użyteczny sprzęt domowy. Jedyne miejsce, gdzie kiedykolwiek zaznałam prawdziwej miłości i lojalności, to była moja prawdziwa rodzina. W jakiś sposób musiałam ich odnaleźć. Minęło już tyle czasu. Nawet nie wiedziałam, czy przeżyli napad. Ostatnie myśli, które krążyły mi po głowie przed zaśnięciem, były pełnymi złości myślami o ucieczce i nadzieją na połączenie się z rodziną. Zасыpiając, modliłam się do Allaha, żeby przekazał mi wieści o rodzinie. Nie spodziewałam się, że moje modlitwy zostaną tak szybko wysłuchane.

## Żyją!

Kilka tygodni później Rahab szykowała się, żeby pójść na wesele. Włożyła najdroższe buty, piękną suknię i mnóstwo złotej biżuterii. Ja czytałam dzieciom w sypialni bajkę Ezopa. Tę, w której mały chłopiec trzy razy woła, żeby ratować go przed wilkiem. Po pierwszych dwóch razach ojciec biegnie na pomoc i odkrywa, że chłopiec tylko udawał, że jest tam wilk, by zwrócić na siebie uwagę. Więc kiedy za trzecim razem usłyszał chłopca wołającego „wilk!”, pomyślał, że to żarty, i nie pospieszył mu z pomocą. Jednak tym razem wilk naprawdę się zjawił i porwał chłopca do lasu.

Właśnie dotarliśmy do morału, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Pobiełam otworzyć. To przysłała jedna z przyjaciółek Rahab, która wybierała się z nią na ślub. Spojrzałam ponad jej ramieniem i zobaczyłam samochód pełen dzieci. O mało nie wyskoczyłam ze skóry; z tyłu samochodu siedziała dziewczyna Nuba, którą natychmiast poznałam. To była Kumał, moja przyjaciółka z sąsiedniej wsi, która została porwana podczas tego samego napadu co ja. W tym momencie ona też mnie zauważyła. Widziałam, że rozpoznała mnie i że jest wstrząśnięta. Przez kilka sekund patrzyłyśmy sobie w oczy.

— *Yebit! Yebit!* — Przyjaciółka Rahab potrząsała moim

ramieniem. — *Yebit!* Zasnęłaś, czy co? Pytałam cię, gdzie jest Rahab? Jest gotowa?

Rahab? Pobiegłam do domu. Nie była jeszcze gotowa, więc poprosiła mnie o wprowadzenie przyjaciółki do salonu, żeby tam poczekała. Gdy kobieta weszła do domu, udałam, że zamykam za nią drzwi, ale zamiast tego wymknęłam się i pobiegłam przez żwirowy podjazd do samochodu. Kumał wpatrywała się we mnie, gdy nachyliłam się do okna.

— Czy to ty Kumał? — zapytałam. — Czy to ty Kumał? To naprawdę ty?

Zobaczyłam, jak porusza ustami w odpowiedzi, ale nic nie słyszałam, więc ruchem ręki pokazałam, by opuściła okno.

— Kumał! To ty, Kumał? — powtórzyłam bez tchu.

— Mende! — krzyknęła. — Mende! To nie możesz być ty.

Wyskoczyła z samochodu i padłyśmy sobie w ramiona. Czułam jak drży, kiedy szlochała na moim ramieniu.

— Nie mogę uwierzyć, że to ty — mówiłam przez łzy.

— O Allahu! Tak dobrze cię widzieć. Tak dobrze cię widzieć — płakała.

— Co to za kobieta, z którą jesteś? — zapytałam, gdy trochę doszłam do siebie. — Czy jest przyjaciółką Rahab? Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

— Tak, tak, to przyjaciółka Rahab — odparła Kumał. — Ale nie chcę o niej rozmawiać. Słuchaj, powiedz mi, miałaś jakieś wiadomości o swojej rodzinie?

— Nie. Wiesz coś? Och, proszę, mów! Proszę!

— W takim razie mam dla ciebie dobre wieści. Słuchaj...

— Ale skąd? — zapytałam, chwytając ją za rękę. — Gdzie coś słyszałaś? Co wiesz?

— Mende, uspokój się. Musimy być ostrożne, żeby nas nie zobaczyły. Pewnego dnia Allah, to ta kobieta, posłała mnie do sklepu. Kiedy tam przyszłam, zobaczyłam mężczyznę, który wyglądał, jakby pochodził z plemienia Nuba, i nie mogłam się opanować, tylko się na niego gapiłam. Z początku go nie poznałam, ale podszedł i zapytał, skąd jestem. Powiedziałam



mu, że jestem Nuba z plemienia Karko. Wtedy chwycił mnie za ramię: „Czy to ty Kumał?”, zapytał. „Tak. A kim ty jesteś?”, chciałam wiedzieć. „Nie poznajesz mnie? Jestem Shadal. Poznaliśmy się na turnieju zapasów. Po napadzie wszyscy w wiosce myśleli, że nie żyjesz! Jestem ze stron Mende. Znasz Mende, prawda? Zniknęła podczas tego samego napadu co ty”. Potem opowiedział mi wszystko o mojej rodzinie. Zapytał mnie o ciebie i powiedziałam, że ostatnio widziałam cię w obozie wojskowym w Dillingu. Wtedy przekazał mi wieści także o twojej rodzinie. Oni wszyscy żyją, Mende. Przeżyli napad. Powiedział mi to na wypadek, gdybym kiedyś cię spotkała. Twoja mama i ojciec i wszyscy mają się dobrze.

O mój Boże! Moja rodzina żyje! O mój Boże! O Allahu, dzięki ci! O dzięki ci, dzięki, dzięki! Czułam, że za chwilę zemdleję. Nie wiedziałam, śmiać się czy płakać, ale Kumał mnie podtrzymała i mówiła dalej:

— Potem Shadal zapytał, gdzie mieszkam. Powiedział, że pójdzie ze mną, żeby rzucić okiem na dom i spróbować znaleźć jakiś sposób, by pomóc mi uciec. Więc poszliśmy razem, starając się trzymać blisko żywopłotu. Nagle zauważyłam samochód Hallah jadący drogą w naszą stronę. Wiedziałam, że zaczęła mnie szukać, skoro nie było mnie od tak długiego czasu. Krzyknęłam do Shadala, żeby schował się w krzakach, a potem popędziłam w stronę samochodu. Kiedy do niego dotarłam, widziałam, że Hallah mało nie wyskoczy ze skóry z wściekłości. Otworzyła drzwi, wciągnęła mnie do środka i zaczęła bić. „Gdzie byłaś, wrzeszczała. Gdzie byłaś? Ty głupia, leniwa, czarna dziwko. Nie było cię ponad godzinę!”. Wtedy ostami raz poszłam do sklepu — dodała Kumał cicho. — Nigdy więcej nie pozwoliła mi pójść. I wtedy ostami raz widziałam Shadala.

Gdy tylko Kumał skończyła swoją opowieść, usłyszałam, jak Rahab otwiera drzwi.

— Mende? Mende! Gdzie jesteś? — zawołała.

— Szybko! — powiedziała Kumał. — Idź! Woła cię!

— Nie — odparłam. — Nie idę. Zostaję tu porozmawiać z tobą.

— Ale czy cię nie zbije? — zapytała Kumał.

— Oczywiście, że zbije — powiedziałam. — Ale zostanę.

Wiadomość, że moja rodzina żyje, dodała mi sił. Znaczyło to dla mnie więcej niż cokolwiek innego, nawet więcej niż gdyby właśnie powiedziano mi, że zostałam uwolniona. Bez rodziny, do której mogłabym wrócić, jaki byłby sens odzyskania wolności? Dokąd miałabym pójść? Kto by mnie kochał i się o mnie troszczył? Gdzie znalazłabym dom? A teraz wiedziałam też, że gdzieś w Chartumie szukają nas ludzie z naszego plemienia. Ten mężczyzna, Shadal, czy mógł być tym samym Shadalem, którego Babo pokonał podczas zapasów i potem został jego przyjacielem?

— O, tu jesteś — powiedziała Rahab, zauważając mnie. — Więc znasz tę dziewczynę? — Już miałam jej odpowiedzieć, kiedy odwróciła się znów do swojej przyjaciółki i wróciła do plotek. — Kochanie, tak strasznie długo nie było cię w Chartumie. Kiedy widziałam cię ostatnio?

— Och, chyba na ślubie Fatimy, jakiś rok temu.

Przynajmniej na razie nie wydawały się nami zainteresowane, więc Kumał i ja dalej szeptałyśmy w nuba.

— Myślisz, że zobaczysz znów Shadala? — zapytałam. — Czy mógłby przekazać wiadomość mojej rodzinie? Powiedzieć im, że żyję? Czy mógłby sprowadzić ich do Chartumu, żeby pomogli mi uciec?

— Mogę spróbować, ale Hallah nie pozwala mi już chodzić do sklepu. Nienawidzę jej.

— Myślisz, że uda nam się jeszcze zobaczyć?

— Nie wiem. Jeżeli Rahab wybierze się odwiedzić moją panią, myślisz, że weźmie cię ze sobą?

— Może. Ale tak czy owak niedługo może mnie tu nie być. Rahab powiedziała, że wyśle mnie do Anglii, do Londynu.

— Do Anglii! Dlaczego?

— Właściwie nie wiem. Powiedziała tylko, że wyśle mnie do domu swojej siostry w Londynie.

— Dobrze. Słuchaj. — Kumał pociągnęła mnie w stronę samochodu. — Mam dla ciebie numer telefonu. To mój kuzyn i wiem, że jest w *bilabarra*. Kiedy tam dotrzesz, pomoże ci.

*Bilabarra* znaczy dosłownie „daleko, w obcym kraju”. Kumał pogrzebała w torebce i znalazła ogryzek ołówka, ale nie miała papieru.

— Chce ci się pić — powiedziałam do niej głośno po arabsku. — Zaraz pójde i przyniosę ci szklankę wody.

Popędziłam do domu, złapałam szklankę, chlupnęłam do niej trochę wody i wyciągnęłam z kosza skrawek papieru. Znow wybiegłam na dwór, ale zdążyły już wszystkie wsiąść do samochodu. Podałam Kumał szklankę wody i jednocześnie wepchnęłam jej w dłoń skrawek papieru. Kumał przełknęła wodę i szybko nabazgrała numer. Ukradkiem podała mi go z pustą szklanką w chwili, gdy Hallah włączyła silnik. Krzyknęłam Kumał „do widzenia” i samochód ruszył. Ostatnie, co widziałam, to jej twarzyczkę, gdy przejeżdżały przez frontową bramę.

## **Nowe tysiąclecie, nowa niewolnica**

Zbliżał się koniec roku. Nie rozmawiano ze mną więcej o wyjeździe do Londynu. Cieszyła mnie myśl, że pomysł najwyraźniej został zapomniany. Spotkanie Kumał wszystko zmieniło. Przez całe tygodnie przepełniała mnie nadzieja. Może Kumał znów skontaktowała się z Shadalem?, myślałam. Może pojechał w góry Nuba powiedzieć mojej rodzinie, że żyję? Może już są w Chartumie, szukając Kumał i mnie? Może nawet teraz planują, jak mnie uratować?

Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty i wszyscy dookoła przygotowywali się do powitania nowego tysiąclecia. To znaczy wszyscy oprócz mnie. Podczas gdy Rahab i Mustafa poszli na przyjęcie, ostatnią noc dwudziestego wieku spędziłam w domu, pracując jak zwykle. Nawet nie miałam świadomości, że kończy się jedno stulecie i zaczyna kolejne. Następnego dnia musiałam wstać wyjątkowo wcześnie, żeby przygotować wszystko na wielkie wyjście do parku. Napełniłam kosz piknikowy jedzeniem i butelkami świeżego soku, a Mustafa załadował go na tył kombi. W parku przyłączyliśmy się do grupy przyjaciół Rahab i Mustafy i rozłożyliśmy się na piknik w cieniu dużego drzewa.

Dzieci dołączyły do dużej grupy chłopców i dziewczynek, bawiących się w chowanego. Pilnował ich z tuzin czarnych

dziewcząt, niektóre z nich wyglądały na bardzo młode. Uśmiechałyśmy się nerwowo do siebie. Przypominały mnie z czasów, kiedy zostałam przywieziona do Chartumu.

Rozejrzałam się po parku, mając nadzieję zauważyć gdzieś Kumał albo nawet Ashe, kobietę z plemienia Nuba z domu Abdula Azzima. Szukałam też wzrokiem Nunghi, miłej pielęgniarki ze szpitala, ale nie dostrzegłam żadnej z nich. W końcu zebrałam się na odwagę, żeby porozmawiać zjedną ze stojących obok mnie czarnych dziewczynek, która wyglądała na mniej więcej dwanaście lat.

— Witaj, siostrzyczko — powiedziałam po arabsku.

— Witaj — odparła nieśmiało.

— Skąd jesteś?

— Z Nuba.

— Z Nuba! Z jakiego plemienia?

— Nunghi.

— Nunghi! — powtórzyłam uradowana. — Ja z Karko. Twoje plemię mieszka obok mojego.

Nunghi przychodzili na zawody zapaśnicze, byli naszymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, ale to jedno plemię spośród wszystkich naszych sąsiadów nie mówiło tym samym narzęciem co my. Rozmawiałyśmy zatem po arabsku, choć ona znała ten język bardzo słabo.

— Mam na imię Mende. A ty, siostrzyczko?

— Katuna.

— Katuna. Jakie śliczne imię. Gdzie jest twoja rodzina, Katuno?

— Nie wiem — wyszeptła. — W naszym domu był pożar, a potem jeźdźcy wpadli do środka i mnie złapali.

Była dokładnie taka jak ja, kiedy zostałam porwana.

— Nie płacz — szeptałam, ściskając ją mocno. — Nie płacz.

— Tęsknię za moją mamusią — wyszlochała. — Tak bardzo za nią tęsknię.

Gdy delikatnie pogłaskałam ją po głowie, zauważyłam, że ma na szyi piękny sznur jasnoczerwonych paciorków.

— Och! Masz piękne paciorki — zauważyłam, starając się ją rozweselić. — Ale, Katuno, nie noś ich tak na szyi. Zdejmij je i ukryj. Jeżeli tego nie zrobisz, zabiorą ci je.

Katuna skinęła głową. Nadal głaskałam jej śliczne włosy. Gdyby dzieci bawiły się wystarczająco długo, pomyślałam, może miałabym czas je zapleść. Ale wtedy wyczułam z tyłu jej głowy wielkiego guza. Ostrożnie rozdzieliłam włosy i znalazłam zaognioną, pokrytą strupem ranę.

— Co ci się stało, Katuno?

— Popchnęła mnie, upadłam i uderzyłam głową w ścianę — powiedziała cicho. — Było mnóstwo krwi.

— Czy zabrała cię do szpitala?

— Nie — wyszeptła. — Dała mi tylko coś miękkiego i białego i kazała przyłożyć z tyłu głowy.

— I to wszystko?

Katuna przytaknęła.

— Teraz, kiedy wcieram olej we włosy, wcieram trochę i tam, żeby się poprawiło. Ale wciąż boli.

Powiedziałam, że powinnyśmy spacerować podczas rozmowy, żeby Rahab albo pani Katuny nie mogły nas podsłuchać. Złapałam się na tym, że daję jej taką samą radę, jaką Asha dała mi w domu Abdula Azzima, gdy dopiero co przybyłam do Chartumu.

— Posłuchaj mnie, Katuno, jeżeli ona każe ci coś zrobić, musisz być jej posłuszna. Jeżeli cię zawoła, musisz iść. Kiedy wyda ci polecenie, słuchaj uważnie, żebyś potrafiła dokładnie je wypełnić. I bez względu na wszystko, nigdy jej się nie odcinaj.

Zastanawiałam się, ile niewolnic takich jak my jest dzisiaj w tym parku? Pewnie setki. Ile mogłoby opowiedzieć historie takie jak nasza — o biciu, wyzwiskach, wykorzystywaniu i samotności? Tyle złamanych serc, skradzionego dzieciństwa i zrujnowanego życia. Nie mogłam dłużej rozmawiać z Katuną. Musiałam zabrać dzieci i podać kolację. Zresztą, co jeszcze mogłam jej powiedzieć? Nie byłam w stanie jej pomóc. Tamtego wieczoru położyliśmy się późno. Zapalono świece —

symbolizowały nadzieję u początku nowego tysiąclecia. Tylko jaką nadzieję niosło to nowe tysiąclecie niewolnicom takim jak Katuna i ja?

Tuż po Nowym Roku Rahab postanowiła odwiedzić swoją siostrę Hanan w Londynie.

— *Yebit*, za jakiś tydzień jadę do Londynu. Zostaniesz tu z dziećmi. Przyjedzie moja siostra Althoma i zostanie tu z tobą. Rozumiesz?

— Tak, pani Rahab.

— Masz się zachowywać najlepiej jak potrafisz, słyszysz? Rób wszystko, co ona ci każe. I masz też opiekować się dziećmi.

— Tak, pani Rahab.

Rahab spędziła poza domem około miesiąca. Althoma była znacznie miłsza od niej, nigdy nie krzyczała ani mnie nie biła. Z powodu nieobecności Rahab nie przychodziło do nas wielu gości, więc nie musiałam całego czasu spędzać na gotowaniu, a dzieci poprosiły, żebym spała w ich pokoju. Przez miesiąc byłam szczęśliwa: nikt mną nie pomiatał, mogłam spać w domu i miałam znacznie mniej pracy. Dla mnie oznaczało to prawie wakacje. Gdy wróciła Rahab, przywiozła torby prezentów. Mustafa dostał bardzo piękny błękitny krawat, dzieci całe stopy kolorowych zabawek. Przywiozła prezent nawet dla mnie — trzy pary majtek, zapakowane razem. Jedna para była czerwona, jedna fioletowa i jedna niebieska. Uznałam, że są piękne. Po raz pierwszy ktoś dał mi prawdziwy prezent. Zastanawiałam się dlaczego. Dowiedziałam się kilka dni później.

— Pamiętasz, jak ci mówiłam, że jedziesz do Londynu? — zapytała Rahab, znajdując mnie w kuchni.

— Tak, pani Rahab.

— Cóż, teraz pojedziesz, bardzo niedługo. Rozmawiałam o tym z siostrą. Bardzo by chciała mieć cię tam na miejscu.

— Tak, pani Rahab.

Nawet nie zaczęłam przetrawiać tej wiadomości, gdy rozległ

się dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć i zobaczyłam Abdula Azzima i jego żonę Joahir. Nie widziałam ich od mojego przyjazdu do Chartumu.

— Witaj — powiedział Abdul Azzim, szczerząc zęby. — Jak się masz? Spójrz — zwrócił się do Joahir — jak wyrosła. Pamiętasz jej imię, kochanie?

— Jej imię? — zastanowiła się Joahir. — Nie, zaczekaj, daj mi pomyśleć.

— Mam na imię Mende — powiedziałam cicho.

— A tak, zgadza się. Mende — powtórzyła Joahir. — Mende. Teraz sobie przypominam, mój drogi.

Gdy wprowadzałam ich do salonu, zapytałam o Ashę.

— Och... Więc pamiętasz Ashę? — zdziwiła się Joahir. — Cóż, u niej wszystko dobrze.

— Tak. Pamiętam, że była dla mnie bardzo miła.

— Tak — przyznała Joahir, uśmiechając się protekcyjnie. — To dlatego lubimy, żeby zajmowała się dziewczynkami, kiedy po raz pierwszy zjawiają się w Chartumie. Wszystkim jest dzięki temu łatwiej.

Abdul Azzim wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam go w wojskowym obozie w Dillingu, ubranego w prostą galabiję i sandały. Ale Joahir sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zamożnej. Miała na sobie piękną długą suknię, złoto dosłownie z niej kapało. Podałam im herbatę w salonie, a potem uniknęłam do kuchni.

— Więc jaka ona jest? — usłyszałam, jak Joahir pyta Rahab.

— Och, wspaniała — odparła Rahab ze śmiechem. — Bardzo czysta i ciężko pracuje. Ostatnio w ogóle nie muszę jej bić.

— Cóż, to po prostu idealnie — stwierdziła Joahir, śmiejąc się razem z nią. — W końcu dostarczamy tylko to, co najlepsze, prawda, kochanie?

— Ale, mówiąc poważnie, Abdulu Azzimie, mam zamiar wkrótce wysłać ją do Londynu — ciągnęła Rahab — do mojej siostry, Hanan. O tym właśnie chciałam z wami pomówić.

— Jest bardzo czystą i dobrą pracownicą a mimo to wysy-



łasz ją do Londynu? — zdziwił się Abdul Azzim. — To bardzo miło z twojej strony. Cóż za dobra siostra z ciebie.

— Bez trudu załatwimy dla ciebie kolejną *abdę*, więc się nie martw — dodała Joahir. — Rozumiem, że twoja siostra nie jest w stanie znaleźć żadnej w Londynie, zgadza się?

— Tak, właśnie. No dobrze, porozmawiajmy o interesach — powiedziała Rahab. — Słuchaj, Abdulu Azzimie, jeżeli załatwisz mi następną, skąd mam pewność, że będzie równie dobra jak ta?

— Cóż... chcesz, żebym wszystkie wypróbował, a potem najlepszą zatrzymał dla ciebie? — zapytał Abdul Azzim. Wszyscy zaczęli się śmiać. — Nie mają dołączonej gwarancji, jak wiesz. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby znaleźć dla ciebie taką samą jak ona, *insz Allah*.

— Dobrze. A kiedy?

— Niech pomyślę. Kiedy znów pojedę do Dillingu? Hm... Prawdopodobnie w ciągu miesiąca. Nie mogę zagwarantować, że będą tam mieli jakieś *abids*. Ale mogę spróbować też w innych miejscach.

— Dobrze. Tylko proszę, załatw to najszybciej jak się da. Obiecałam wysłać ją do Londynu w ciągu miesiąca, a nie poradzę sobie bez pomocy.

— Nie martw się, Rahab — powiedział Abdul Azzim. — Zostaw to mnie.

A zatem jechałam do Londynu, a Abdul Azzim miał przywieźć na moje miejsce inną dziewczynkę. Pomyślałam o wszystkim, co wycierpiałam z rąk Rahab. Wiedziałam, że tak samo będzie zachowywała się w stosunku do następnej dziewczyny. Jedyne, co mogłam zrobić, to spróbować nauczyć tę nową, jak najlepiej sobie z nią radzić. Jeśli będę miała ku temu okazję. Po siedmiu czy ośmiu latach doprowadziłam moje umiejętności do perfekcji. Wyglądało na to, że czeka mnie ciężka praca.

Część 3

# Podróż ku wolności

## Kłamstwa

Kiedy Rahab postanowiła wysłać mnie do Londynu? Długo zastanawiałam się nad tą kwestią. Gdy zjawiłam się w jej domu, miałam zaledwie dwanaście lat. Byłam mała, przestraszona i łatwo mnie było kontrolować. Teraz miałam lat dziewiętnaście i wyrosłam na młodą kobietę. Czas, kiedy Rahab mogła zdominować mnie fizycznie, dobiegał końca. Wiedziała też, że wzbudzam zainteresowanie wielu mężczyzn odwiedzających dom. Im częściej to zauważała, tym bardziej ją to złościło. Dorosłam do starych ubrań, które mi dała, tak że teraz pasowały idealnie. Im atrakcyjniej wyglądałam, tym bardziej zazdrosna stawała się Rahab. Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny, gdy nawet Mustafa zaczął zwracać na mnie uwagę.

— Nie noś tej sukienki! — warczała. — Idź i włóż stare robocze ubranie.

Jeżeli wcierałam we włosy olejek i zaplatałam je w war-koczyki, zaczynała się denerwować.

— *Yebit!* Zakryj włosy! — krzyczała na mnie. — Załóż swoją *hijab* — muzułmańską chustę na głowę. — Chcesz, żeby wszyscy mężczyźni, którzy przychodzą w odwiedzin, zobaczyli twoje włosy? No chcesz?

Ci mężczyźni nigdy nie mówili mi komplementów wprost. Nie mówili: „Och, Mende, ładnie dzisiaj wyglądasz”. Nie mogli

przyznać, że uznają mnie, czarną niewolnicą z plemienia Nuba, za atrakcyjną. Ale przyłapywałam ich, jak się na mnie gapią, próbowali też dobierać się do mnie. W końcu sama chciałam, żeby Rahab zamykała moją szopą na noc. Martwiłam się, że któryś z nich może czegoś próbować. Co dziwne, zazdrość Rahab i jej chęć kontrolowania mnie prawdopodobnie oszczędziły mi najgorszych doświadczeń. Nawet Mustafa bał się jej śmiertelnie. Podobnie działała na innych gości płci męskiej.

Mimo to jestem pewna, że gdy dojrzałam, Rahab poczuła się zagrożona i częściowo z tego powodu postanowiła wysłać mnie za granicę. Tydzień po jej powrocie z Londynu miałam już zrobione w zakładzie obok domu zdjęcie. Uważałam, że wyglądam bardzo smutno i brzydko, kiedy tak spoglądałam z kawałeczka papieru. Rahab zajęła się też wyrobieniem mi paszportu. Następnie poszłyśmy postarać się o wizę brytyjską. Rahab powiedziała mi, że „ma właściwe układy”, co daje pewność, że bez problemów dostaniemy wizę, ale ostatecznie okazało się to dość trudne. Przed naszą pierwszą wizytą w Ambasadzie Wielkiej Brytanii w Chartumie Rahab dała mi dokładne wskazówki, co mam mówić.

— Słuchaj uważnie, *yebit* — powiedziała. — Ludzie z ambasady zadadzą ci masę pytań i musisz odpowiedzieć na nie dokładnie tak, jak ci każe. Rozumiesz? Jeżeli tego nie zrobisz, będą kłopoty.

Skinęłam głowa.

— Tak, pani Rahab.

— Dobrze. Jeżeli zapytają, jak cię traktuję, powiesz, że bardzo dobrze. Jeżeli zapytają, co się dzieje, kiedy jesteś chora, powiesz im, że zostajesz zabrana do lekarza. Jeżeli zapytają o wakacje, powiesz, że jeździsz zobaczyć się z matką i ojcem. Rozumiesz?

Skinęłam głową. Kazano mi kłamać, ale nie miałam wyboru.

— Jeżeli zapytają, dla kogo będziesz pracowała w Londynie, powiesz, że dla pana Alego Bashira Gadalli, jasne? Nie mów, że jedziesz pracować dla Hanan i Ala Koronky. Rozumiesz?

— Tak, proszę pani — odparłam cicho, ale byłam podej-

rzliwa. — Ale dla kogo tak naprawdę będę pracowała, proszę pani? Jeżeli dla Hanan i Ala Koronky, dlaczego mam mówić, że dla Alego Bashira Gadalli?

— Nie twoja sprawa — rzuciła zirytowana. — Po prostu powiedz im to, co ci mówię. Będziesz oczywiście pracowała dla mojej siostry, ale jeżeli im to powiesz, nie dadzą ci wizy. Więc musisz powiedzieć, że dla Alego Bashira Gadalli.

— Tak, proszę pani. Ale dlaczego nie pozwolą mi pojechać, jeżeli powiem, że chodzi o Hanan? — nalegałam.

— Skończ z tymi pytaniami, *yebii* — ucięła. — Rozumiesz, co masz powiedzieć, czy nie?

— Mam powiedzieć, że zamieszkałam u Alego Bashira Gadalli.

— Dobrze. A teraz obiecuję ci coś wyjątkowego. Jeżeli będziesz dobrze pracowała dla Hanan w Londynie i robiła, co ci każą, przywieziemy cię z powrotem do Sudanu przy okazji następnej rodzinnej wizyty. A potem zabierzemy cię, żebyś zobaczyła się ze swoją rodziną. Więc, jak widzisz, wyjazd do Londynu to najlepszy sposób, żebyś znów zobaczyła rodzinę.

Nie uwierzyłam Rahab. Nawet Abdul Azzim, handlarz niewolników, nie miał pojęcia, gdzie jest moja rodzina, więc jak Rahab mogłaby mnie do nich zabrać? Nie chciałam jechać do Londynu. Spotkanie z Kumał zmieniło wszystko w moim życiu. Wiedziałam teraz, że moja rodzina wciąż żyje i ludzie z mojego plemienia starają się nas uratować. Może szukają mnie nawet teraz? Gdybym została w Chartumie, istniał przynajmniej cień nadziei. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym po prostu odmówiła wyjazdu do Londynu, ale wciąż bardzo bałam się Rahab. Miała nade mną całkowitą władzę. Przywykłam do poddawania się jej woli: jeżeli mówiła, że muszę jechać, to musiałam jechać.

Kiedy przybyliśmy do ambasady brytyjskiej w centrum Chartumu, Rahab kazano zaczekać w recepcji. Mnie skierowano do oszklonego okna, za którym siedział *hawaja* — biały czło-

wiek. Popchnęłam w jego stronę pieniądze na wizę i formularz i spojrzałam na niego przełomie. Dopiero drugi raz w życiu widziałam z bliska białego człowieka. Pierwszy raz, gdy dwóch **hawajas** dostarczyło żywność do naszej wioski w górach Nuba. Ten napisał coś na kawałku papieru, po czym mi go wręczył. Zaczął mówić do mnie po angielsku, ale ruchem ręki pokazałam, że nie rozumiem, więc zawołał jakiegoś Araba, żeby tłumaczył.

— Przede wszystkim — powiedział — u kogo będziesz mieszkała, czym się ta osoba zajmuje i jak długo masz zamiar zostać w Wielkiej Brytanii?

— Nazywa się Ali Bashir Gadalla — odpowiedziałam. — Nie wiem, czym się zajmuje ani jak długo tam zostanę.

— Nie wiesz?

— Nie wiem.

Zobaczyłam, że **hawaja** kręci głową, a potem mówi coś do tłumacza.

— Co powiedział? — zapytałam niespokojnie Araba.

— Mówi, że jest zaskoczony, że nie wiesz, jaki zawód wykonuje ten człowiek ani jak długo masz tam zostać.

Kazano mi wyjść i zaczekać. Po jakichś dwudziestu minutach przyszedł do mnie tłumacz.

— Mam tu dla ciebie list — powiedział. — Musisz wysłać to do swojego pracodawcy w Wielkiej Brytanii, ma odpowiedzieć na te pytania. Gdy dostaniesz odpowiedź, wróć do nas.

— Co się stało, **yebif!** — zapytała Rahab, gdy tylko wyszłam.

— Dali mi ten list.

Gdy wsiadłyśmy do samochodu, Rahab zaczęła czytać.

— W porządku — stwierdziła, ruszając. — Będę musiała to wysłać mojej siostrze do Londynu.

— A teraz posłuchaj — odezwała się po kilku minutach jazdy. — Zapomniałam powiedzieć ci o pewnych rzeczach. Jeżeli cię zapytają jakiego rodzaju pracę będziesz wykonywała w Londynie, powiesz im, że taką samą jak to, co robisz tutaj. Sprzątnie, gotowanie i zmywanie. Nie mów, że będziesz też opiekowała się dziećmi.

— Dobrze — powiedziałam.

— Jeżeli cię zapytają, jak długo zostaniesz w Londynie, powiedz im, że przez sześć miesięcy.

— Tak. Sześć miesięcy.

Dwa dni później Rahab przysłała do kuchni pokazać mi faks z Londynu, podający szczegóły, jakich żądał człowiek z ambasady. Pojechaliśmy tam i wręczyłam list innemu *hawaja*. Kiedy skończył czytać, zaczął zadawać kolejne pytania, i tym razem tłumaczem był Arab. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zaczął pytać o moją pracę w Londynie.

— Ile twój pracodawca, pan Ali Bashir Gadalla, będzie ci płacił za tydzień?

Nie wiedziałam. Rahab nic mi na ten temat nie mówiła.

— Nie wiem — odparłam.

— Przepraszam, czy powiedziałaś, że nie wiesz?

— Tak. Nie wiem.

— Jedziesz do Londynu pracować dla tego człowieka przez sześć miesięcy i nie wiesz, ile ci będą płacili?

— Nie, nie wiem.

Zobaczyłam, że *hawaja* kręci głową i wpatruje się we mnie.

— Rozumiem — mruknął. — A ile wolnych dni będziesz miała w tygodniu?

— Nie wiem.

— Nie przypuszczam też, żebyś wiedziała, ile godzin dziennie będziesz pracowała?

— Nie. Nie wiem.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, ile ci zapłacą, ile będziesz miała dni wolnych i ile godzin codziennie będziesz pracowała? — Śmiał się, ale był to miły śmiech.

— Zgadza się. Nie wiem. — Uśmiechnęłam się do niego nieśmiało. Był bardzo wysoki, miał długi nos i włosy koloru piasku. I niezwykle oczy, jakich nigdy wcześniej nie widziałam, jasnoniebieskie. Przypominały niebo i lśniły, kiedy się uśmiechał. Byłam zaskoczona tym, jaki jest sympatyczny i przyjacielski. Powiedział coś do tłumacza i obaj wybuchnęli śmiechem.

— Anglik mówi, że nie chce ci zadawać więcej pytań — przetłumaczył Arab. — Mówi, że jeżeli zapyta cię o coś jeszcze, i tak odpowiesz „nie wiem, nie wiem, nie wiem”.

Kazano mi zaczekać pięć minut. Potem Anglik wręczył mi list.

— Weź to ze sobą—powiedział z uśmiechem. — Będziemy potrzebowali kolejnych odpowiedzi, więc obawiam się, że będziesz musiała znów tu wrócić.

— Czy to moje zezwolenie na podróż? — zapytałam.

— Nie, obawiam się, że nie. Jeszcze nie — odparł Arab. — Anglik mówi, że nigdy przedtem nie słyszał, żeby ktoś tyle razy mówił „nie wiem”!

Roześmiałam się razem z nimi, ich śmiech był bardzo zaraźliwy. Zastanawiałam się, czy Anglik mógł pomyśleć, że jestem uroczą dziewczyną. Z pewnością w ten sposób na mnie patrzył. Rozmawialiśmy już tak długo, że zdenerwowana Rahab wpatrywała się w drzwi.

— Dlaczego to tak długo trwało? — zapytała, gdy wróciłam do recepcji. Zaczęła czytać list. — Och — parsknęła, kręcąc głową. — Och Allahu... Ten Anglik jest naprawdę paskudny. Skąd wziął te wszystkie pytania? Cóż, w takim razie musimy po prostu przygotować kolejne odpowiedzi. Przypuszczam, że nie miałaś pojęcia, co mu powiedzieć?

— Nie. Byłam w stanie powiedzieć tylko „nie wiem”.

— Ile razy to powtórzyłaś? — wykrzyknęła.

— Straciłam rachubę. Może pięć albo sześć.

Rahab usiłowała się na mnie rozzłościć, ale nie mogła po-wstrzymać śmiechu.

— Powiedziałaś „nie wiem” pięć albo sześć razy? A co Anglik na to?

— Śmiał się — odparłam.

Kiedy wróciłyśmy do domu, Rahab przefaksowała drugi list do Londynu i następnego dnia dostała odpowiedź, więc pojechaliśmy do ambasady po raz trzeci. Kiedy Anglik mnie zobaczył, uśmiechnął się szeroko.



— Witam — powiedział wesoło. — Witaj „nie wiem”. Jak się masz, „nie wiem”?

Uśmiechnęłam się do niego wstydliwie i wręczyłam mu nowy list.

— Aha! Więc przyniosłaś nowy list, zgadza się? Znakomicie. Zobaczmy.

— Dobra robota, „nie wiem”. Nie będziesz już więcej musiała mówić „nie wiem”. Nie muszę już zadawać ci więcej pytań, wszystko jest tu, w liście.

Tłumacz wręczył mi dokument, który przygotował Anglik.

— Gratulacje. Jedziesz do Anglii. A teraz weź ten numerek i zaczekaj tam. Za jakąś godzinę dostaniesz paszport z wizą.

Było to osiemnastego maja dwutysięcznego roku. Mniej więcej trzy tygodnie później Rahab oznajmiła mi, że w nadchodzącym tygodniu wyjadę do Londynu. Przez ostatnie dni w gospodarstwie Rahab musiałam wyjątkowo ciężko pracować, robiąc ogromne pranie i prasowanie i sprząając dom od góry do dołu. Musiałam umyć ściany i wszystkie okna, co było poważnym zadaniem, biorąc pod uwagę fakt, że cały front domu stanowiła jedna ściana ze szkła. Wypolerowałam meble, wyszorowałam kuchnię i łazienkę, uporządkowałam sypialnię i wszystkie szafki.

Dzień przed wyjazdem Rahab dała mi swoją starą torbę podróżną. Wykonano ją z taniej imitacji skóry, ale ja uważałam, że jest wyjątkowo śliczna. Spakowałam moje nieliczne rzeczy: cztery stare sukienki, dwie spódnice, trzy bluzki, trzy pary majtek i pomarańczowe klapki. I oczywiście Uran. To było wszystko, co miałam na tym świecie. Potem Rahab i ja spakowałyśmy dwie wielkie torby, które miałam zabrać do Londynu dla Hanan: napełniłyśmy je przyprawami, workami orzechów i wielką ilością sudańskich kiełbasek. W końcu byłam gotowa do podróży.

## Historia Nanu

Tamtego wieczoru pracowałam w kuchni, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Poszłam otworzyć i znów na progu stali Abdul Azzim i jego żona Joahir.

— Witaj. Czy jesteś gotowa do podróży? — zapytał Abdul Azzim, uśmiechając się szeroko.

— Tak — powiedziałam, wprowadzając ich do salonu. Byłam pewna, że nie przyszli życzyć mi szczęśliwej podróży.

Gdy weszli, zauważyłam niedużą czarnoskórą dziewczynkę, niespokojnie stojącą za nimi. Wydawała się w tym samym wieku co ja, gdy zjawiłam się w domu Rahab. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Wyglądała na przestraszoną i zagubioną. Nigdy nie zapomnę tej chwili. To ona miała zająć moje miejsce.

— Chodź za mną — rzucił Abdul Azzim do dziewczynki.

Gdy mijała mnie po drodze do salonu, próbowałam zorientować się, skąd pochodzi. Byłam pewna, że należy do Nuba, ale nie umiałam stwierdzić, czy jest z mojego plemienia. Gdy zamknęłam drzwi, usłyszałam, jak Rahab mówi:

— *Yebit*, idź do kuchni po swój stołek i przynieś go dla tej dziewczynki.

— Usiądź tutaj, siostrzyczko — powiedziałam po arabsku, wręczając jej stołek.

— Dziękuję — odparła.

Rahab kazała mi przyrządzić herbatę.

— Chodź, siostrzyczko — powiedziałam. — Chodź do kuchni i pomóż mi przy herbacie

— Nie — ostro rzuciła Rahab. — Ona tu zostaje. Muszą z nią pomówić.

Gdy byłam w kuchni, Abdul Azzim, Joahir i Rahab gawędzili. Potem Rahab zwróciła się do dziewczynki:

— Zostajesz tu i będziesz dla mnie pracowała — powiedziała wolno, używając prostych arabskich słów, chcąc mieć pewność, że zostanie zrozumiana. — Mam nadzieję, że będziesz równie dobra jak ta dziewczyna, która robi herbatę. Ona mieszkała u mnie przez ponad siedem lat. Pracuje bardzo ciężko i zawsze mnie słucha. Zachowuje się tak dobrze, że nigdy nie musiałam jej karać.

Wróciłam do pokoju z herbatą. Dziewczynka wpatrywała się w podłogę, niezdolna podnieść wzroku na Rahab.

— Będziesz sprzątała dom i zmywała naczynia — ciągnęła Rahab — zamiatała dziedziniec i patio. Możesz to tu zostawić — powiedziała do mnie, kiwając głową w stronę tacy. — Idź i weź prysznic. Nie będziesz miała na to czasu rano, przed wyjazdem na lotnisko.

— Tak, pani Rahab — powiedziałam i odwróciłam się, żeby wyjść. Gdy to zrobiłam, zorientowałam się, że dziewczynka na mnie patrzy. Widziałam w jej oczach zmieszanie i brak nadziei. Miałam wrażenie, że woła: „Proszę, pomóż mi. Proszę, nie zostawiaj mnie”.

Kiedy skończyłam mycie, usłyszałam, że Abdul Azzim i Joahir żegnają się z Rahab przy frontowych drzwiach. Pomyślałam, że to może być dobry moment, żeby zastać małą samą. Poszłam do salonu zabrać tacę z filiżankami.

— Mam na imię Mende — zwróciłam się do dziewczynki po arabsku. — Jak ci na imię, siostrzyczko?

— Mam na imię Nanu — wyszeptwała.

— Chodź do kuchni, Nanu — powiedziałam — i zjedz kolację.

— Muszę skorzystać z toalety. I chce mi się pić. Mogę dostać trochę wody?

Zabrałam ją do łazienki. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi, zapytałam szeptem:

— Skąd jesteś, Nanu?

— Z Gwali, starsza siostró.

Gwali leży daleko od terenów mojego plemienia, ale plemię Gwali mówi językiem podobnym do naszego, więc byłyśmy w stanie rozmawiać w języku nuba. Gdyby Rahab nas podsłuchiwała, niczego by nie zrozumiała.

— Czy możesz dać mi gorącej wody? — zapytała Nanu.

— Po co ci woda, Nanu?

— Bo tam na dole bardzo mnie boli — wyszeptała, wskazując między nogi. Gdy tylko wykonała ten gest, zrobiło mi się niedobrze. Wiedziałam, co musiało ją spotkać.

— Czy ktoś próbował cię skrzywdzić, Nanu? — zapytałam, kucając i obejmując ją, a łzy napłynęły mi do oczu.

— Tak — wyszeptała. — I cały tydzień strasznie mnie boli i nie przestaje lecieć krew.

— Zaczekaj tutaj, Nanu — powiedziałam, tuląc ją mocno. — Pójdę i przyniosę coś, od czego się lepiej poczujesz.

Gdy poszłam do kuchni, próbowałam ukryć łzy, ocierając je wierzchem dłoni. Wiedziałam, że gdyby Rahab zorientowała się, że Nanu i ja płakałyśmy, zaczęłyby się kłopoty. Podczas przygotowywania herbaty zalała mnie fala wspomnień. Przypomniałam sobie gorący cuchnący oddech leżącego na mnie Araba. Ból i męczarnię po gwałcie. Gdy wróciłam do łazienki, Nanu siedziała na zamkniętym sedesie, czekając na mnie. Wciąż popłakiwała.

— Nie płacz, Nanu — poprosiłam, delikatnie gładząc ją po głowie. Podałam jej szklanek soku. — Proszę, wypij to.

Gdy skończyła, wskazałam jej miskę z ciepłą herbatą.

— Umyj się tym tam na dole. Będzie cię mniej bolało. Musisz się tak myć codziennie. Jutro wyjeżdżam i nie będę mogła ci pomóc.

— Tak, starsza siostró. Wiem, że wyjeżdżasz. Pani mi powiedziała.

Potem zabrałam Nanu do mojej szopy, uważając, żeby Rahab nas nie widziała. Posadziłam ją na materacu i kazałam zaczekać.

— To był mój pokój przez kilka ostatnich lat — wyjaśniłam — ale myślę, że teraz ty będziesz tu mieszkała.

Poszłam do kuchni i zagrzałam trochę oleju sezamowego. Gdy był ciepły, wróciłam do szopy.

— Nanu, natrę cię olejem — powiedziałam, biorąc kawałek waty. — Z początku to może boleć, ale potem poczujesz się lepiej. Tak robiła moja mama po tym, gdy zostałam obrzezana.

Nanu skinęła głową. Usiadłam przy niej na materacu i zaczęłam wcierać jej olej w krocze. Zemdliło mnie od tego, co zobaczyłam. Kiedy była mniejsza, musiano poddać ją obrzezaniu, tak jak mnie, ponieważ teraz została dosłownie rozpruta. Wcierałam olej w rany, starając się nie sprawiać Nanu bólu. Przytuliła się do mnie i znów rozpłakała, ale wiedziałam, że nie tylko z bólu, a z powodu okropnych wspomnień.

— Nanu, opowiedz mi, co się stało — poprosiłam.

— Mój ojciec umarł jakieś sześć miesięcy temu — zaczęła, płacząc cichutko. — Przez długi czas miał gorączkę, więc mieszkałam sama z mamą i braciszkiem. Mama miała zaraz urodzić dziecko i byłam taka podniecona, gdy zastanawiałam się, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka.

Pewnej nocy spaliśmy w naszej chacie, mamę obudziło skrobanie do drzwi. Pomyślała, że to nasz pies, który sypiał na dworze. Podeszła sprawdzić, ale zobaczyła na dworze mężczyznę, który usiłował wejść. Przyłożyła palec do ust, żebym była cicho i wycofała się spod drzwi. Potem wzięła mojego braciszka, który nadal spał, i zaprowadziła nas na tył chaty.

Przykucnęliśmy w cieniu za spichlerzem z prosem. Nagle

usłyszeliśmy skrzypienie otwieranych drzwi i ten człowiek zaczął się skradać w naszą stronę. Tak cicho jak tylko mogła, mama podniosła braciszka i włożyła go do spichlerza. Potem ukryła mnie obok niego, ale sama była za gruba, żeby wejść do środka, ponieważ była już w siódmym albo ósmym miesiącu ciąży. Więc po prostu kucnęła i próbowała się schować. Po chwili usłyszałam jej krzyki, kiedy ten człowiek ją złapał.

Słyszałam, jak krzyczał do niej po arabsku: „Gdzie twój mąż? Gdzie twoje dzieci?”. „Mój mąż nie żyje. Nie mam dzieci, powiedziała mama przerażonym głosem. Jestem w ciąży z pierwszym dzieckiem”. Wiedziałam, że próbuje nas chronić — zaszlochała Nanu. — Tuliłam mocno mojego braciszka, starałam się nie płakać i nie hałasować, ale łzy płynęły mi po twarzy. Słyszałam odgłosy walki i mamę, jak krzyczy: „Proszę, nie zabijaj mnie! Nie zabijaj! Proszę!”. Potem wszystko ucichło.

Zorientowałam się, że ten człowiek podkłada ogień pod chatę. Słyszałam syk płomieni, wszędzie był dym. Wystawiłam głowę ze spichlerza i zobaczyłam, że wszystko się pali. Wskoczyłam i odwróciłam się, żeby pomóc wyjść bratu, ale wtedy dostrzegłam mamę, która leżała oparta o dół spichlerza. Światło ognia odbijało się w wielkiej kałuży krwi. Ten człowiek poderznął mojej mamie gardło.

„Mamusi! Mamusi!” — zawołałam. Ukłękłam i potrząsnęłam ją za ramiona, ale oczy miała otwarte i szkliste, i wiedziałam, że nie żyje. Potem zobaczyłam, że jej brzuch został rozcięty i dziecko leży w kałuży krwi na podłodze. Nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam, czy dziecko jeszcze żyje, czy umarło. Musiałam ratować braciszka. Ogień był wszędzie dookoła. Chwyciłam stołek i próbowałam dosięgnąć do spichlerza, żeby go wyciągnąć, ale nie mogłam się do niego dostać.

— Tak mi przykro — wyszeptałam, tuląc mocno Nanu i kołysząc. — Tak mi przykro. Nie płacz. Mnie przydarzyło się to samo. Nie jesteś sama.

— Ogień był wszędzie — Nanu dygotała w moich objęciach — ale po prostu musiałam uciekać. Kiedy dotarłam do drzwi, były jedną ścianą płomieni, więc z krzykiem przez nie przebiegłam. W ten sposób się poparzyłam — łkała, przesuważąc ręką po lewym ramieniu i policzku.

Zauważyłam, że skórę miała czerwoną i pokrytą bąblami.

— Biegłam i biegłam, najszybciej jak umiałam, ale tak strasznie mnie bolało. Kiedy nie mogłam już dalej iść, upadłam pod dużym drzewem. Ludzie uciekali na wszystkie strony. Nie wiedziałam, co robić. Wtedy zobaczyłam, że w moją stronę idzie jakiś Arab. Zerwałam się i próbowałam uciekać, ale był za szybki. Chwycił mnie i przydusił do ziemi.

Dalej historia Nanu w mniejszym czy większym stopniu stanowiła powtórzenie mojej. Została zabrana z wioski przez arabskiego jeźdźcę razem z innymi dziewczynkami i chłopcami. Wsadził ją na swojego konia, a potem wielokrotnie gwałcił, gdy byli w lesie. Jeźdźcy zabrali Nanu i resztę dzieci do obozu wojskowego — sądząc z opisu, był to ten sam, do którego zabrano mnie.

Nagle usłyszałam krzyk Rahab:

— *Yebit!* Mende! Chodź tu. Już późno. Rano musisz jechać na lotnisko. Czas spać.

Błagałam Rahab, żeby pozwoliła mi zostać na noc z Nanu, ale nie pozwoliła. Kazała mi pójść spać do dzieciennego pokoju.

— Zanim pójdziesz do łóżka, chcę z tobą pomówić — dodała.

Gdy wróciłam do szopy po swoje rzeczy do spania, Nanu leżała zwinięta w kłębek na materacu.

— Dokąd idziesz? — wyszeptwała, wyciągając do mnie rękę. — Zostań to i śpij ze mną.

— Nie mogę z tobą zostać, Nanu, kochanie. Tak mi przykro. Pani Rahab kazała mi spać w domu.

Pogładziłam Nanu po głowie i tuliłam najdłużej jak mogłam.

— Pa, pa — powiedziałam — spróbuj teraz zasnąć, Nanu. I pamiętaj, jak Rahab każe ci coś zrobić, musisz być jej posłuszna, inaczej cię zbije. Chyba tego nie chcesz, prawda, Nanu, moje kochanie?

Zdażyłam tylko rozłożyć swój materac w pokoju dzieciennym, kiedy weszła Rahab.

— Pamiętasz, co ci powiedziałam, *yebit*? — odezwała się. — Że będziesz w Londynie wykonywała taką samą pracę jak tutaj? Pamiętasz, prawda?

Skinęłam głową.

— Dobrze. Cokolwiek Hanan każe ci zrobić, będziesz jej posłuszna. Czy to jasne?

Ponownie skinęłam głową.

— Tak, pani Rahab.

Sen nie nadchodził. Nie dawało mi spokoju to, co opowiedziała Nanu. Wiedziałam, co ja teraz czeka: lata bicia i harówki. Myślałam też o swojej rodzinie. Wiedziałam, że wciąż jeszcze żyją, ale teraz miałam zniknąć w bardzo, bardzo odległym kraju. Jak miałabym kiedykolwiek wrócić do domu? Ledwie się zdrzemnęłam, gdy weszła Rahab i mnie obudziła. Gdy wyszłam do toalety, zauważyłam, że otwiera drzwi szopy.

— *Yebit* — zawołała Rahab do Nanu — czas wstawać! Kiedy się umyjesz, przyjdź do kuchni, usiądź przy swoim stole w kącie i zaczekaj na mnie.

— Idź po swoją torbę — poleciła mi. — Pospiesz się, bo musimy niedługo ruszać.

Poszłam do szopy. Nanu leżała zwinięta na materacu. Ledwie zdażyłam uściskać ją po raz ostami, a Rahab zawołała mnie do domu. Powiedziała, że mam czas na filiżankę herbaty. Kilka minut później wróciła z Nanu.

— *Yebit*, zacznij od czyszczenia zlewu i umycia wszystkich brudnych naczyń — powiedziała do niej. — Jeżeli nie będzie mnie, kiedy skończysz, możesz zacząć sprzątanie reszty domu. Rozumiesz?



— Tak, pani Rahab — odparła Nanu, dokładnie tak jak jej kazałam.

— Jesteś gotowa? — zwróciła się Rahab do mnie. — Idziemy. Zanieś torby do samochodu.

— Czy mogę pożegnać się z dziećmi? — zapytałam.

— Tak, ale się pośpiesz. Musimy iść.

Kiedy kilka dni wcześniej powiedziałam dzieciom Rahab, że wyjeżdżam, były tym bardzo przejęte. Hanin powiedziała nawet, że „chce pojechać z Mende i zamieszkać z cicią w Londynie”. Poprzedniego wieczoru, zanim położyły się do łóżek, ostatecznie się z nimi pożegnałam. „Będziecie musiały przyjechać odwiedzić mnie w Londynie”, powiedziałam im. A teraz, wszedłszy do ich pokoju, zobaczyłam, że wszystkie dziewczynki jeszcze mocno śpią więc tylko ucałowałam każdą delikatnie w policzek i wyszłam. Gdy mijałam kuchnię, zobaczyłam drobną zgarbioną sylwetkę Nanu. Stała przy zlewie. Uściskałam **japo** raz ostami, patrząc jej głęboko w oczy i życząc, żeby była silna.

Lotnisko wyglądało jak większa wersja dworca autobusowego w centrum Chartumu, tego, z którego wyruszyliśmy do matki Rahab do Kassali. Kręciły się tam tysiące ludzi, panował chaos i gwar. Rahab pokazała przy wejściu mój bilet, a mężczyzna w mundurze położył moje bagaże na taśmie transportowej. Rahab wręczyła paszport i bilet mężczyźnie, który siedział za jednym z wielu biur. Wtedy po raz pierwszy widziałam mój bilet lotniczy. Urzędnik przejrzał paszport, a potem zerknął na nas.

— Która z pań podróżuje? — zapytał.

— Ona — Rahab wskazała na mnie.

Mężczyzna spojrział na mnie, na mój paszport i znów na mnie. Najwyraźniej sprawdzał, czy rzeczywiście jestem osobą ze zdjęcia w paszporcie. Gdy się co do tego upewnił, wręczył mi formularz.

— Proszę to wypełnić — powiedział z uśmiechem. — Może pani przejść dalej.

Rahab zabrała mi formularz i wypełniła go. Potem przeszliśmy do bramki wylotów i stanęliśmy na końcu długiej kolejki. Rahab zaczęła powtarzać swoje instrukcje.

— Kiedy dotrzesz do Londynu, pamiętaj, że masz robić dokładnie to, co ci każe Hanan... — Mówiła i mówiła, aleja nie słuchałam. Wreszcie jakiś mężczyzna poprosił mnie o paszport i bilet. Rahab nie pozwolono wejść dalej. Przeszłam przez drzwi do bramki wylotów. Odwróciłam się i pomachałam Rahab, a ona mnie. Potem zeszłam schodami na rozległą tłuczniewą nawierzchnię, a Rahab zniknęła.

## Strach przed lataniem

Spodziewałam się zobaczyć ludzi wsiadających do samolotu, ale zamiast tego wszyscy wchodzili do autobusu. Poczułam się niepewnie. Myślałam, że to lotnisko, nie dworzec autobusowy, ale najwyraźniej było to jedno i drugie. Stojąc tak i czekając na samolot, widziałam, jak autobus trzykrotnie dokądś odjeżdża, zawsze pełen ludzi. Gdy kierowca wrócił po ostatnich pasażerów, zawołał do mnie:

— Hej! Jedziesz czy nie?

— Nie czekam tu na autobus — powiedziałam twardo. — Czekam na samolot.

Kierowca wybuchnął śmiechem. Wysiadł i objął mnie ramieniem.

— Chodź, siostrzyczko, wsiadaj do autobusu, bo przegapisz swój lot. Chyba nigdy wcześniej nie leciałaś, co? Autobus podwozi pasażerów do miejsca, skąd startuje samolot.

Gdy wchodziłam po autobusowych schodkach, myślałam, że umrę ze wstydu, ale jakaś Arabka wzięła mnie za rękę i posadziła obok siebie.

— Wygląda na to, że podróżujesz sama — powiedziała uprzejmie.

— Tak — potwierdziłam.

— W takim razie chodź i usiądź koło mnie. Zaopiekuję się tobą.

Powiedziała, że ma na imię Fatima. Ze swoim małym synkiem jechała do Londynu.

— Pozwól, że zerknę na twój bilet — zaproponowała. — Dobrze. Miejsca nie są numerowane. Wolno ci usiąść w samolocie, gdzie zechcesz, więc możesz usiąść z nami.

Autobus zatrzymał się i weszliśmy po schodach do samolotu. Gdy zajęliśmy miejsca, zaczął do nas przemawiać mężczyzna w eleganckim mundurze. Rozpoczął od wyjaśnienia, co powinniśmy zrobić, jeśli samolot wpadnie do morza. Potem pokazał, jak włożyć żółte kamizelki z dołączonym gwizdkiem i rurką. Napełnił się powietrzem, wyjaśnił, żebyśmy mogli unosić się na wodzie. Potem opowiedział o maskach, które powinniśmy założyć na twarze, żeby oddychać. Zaczęła mnie ogarniać panika. Ze sposobu, w jaki mówił, wyglądało, że spodziewają się, że samolot się rozbije.

— Boję się, ciociu Fatimo. Co się stanie, jeżeli się rozbijemy? Nie umiem pływać.

— Nie martw się, ja też nie umiem — odparła z uśmiechem. — Musimy po prostu się modlić, żeby wszystko było dobrze i żebyśmy, *insz Allah*, dolecieli bezpiecznie.

— Ale jeżeli się rozbijemy, czy mi pomożesz?

— Nie potrafię pomóc nawet sobie. Tyle razy latałam, ale nigdy nie udało mi się opanować tego, co powinnam robić z wszystkimi tymi maskami i żółtymi kamizelkami. Ale nigdy do tej pory się nie rozbiliśmy, więc się nie martw.

Fatima pomogła mi zapiąć pas. Poczułam, jak samolot zaczyna powoli jechać. Gdy skręcił, nagle zaczął przyspieszać i jakaś siła wepchnęła mnie w siedzenie. Gdy z rykiem mknął po pasie, z przerażeniem trzymałam się podpórek fotela.

— Nie martw się — Fatima przekrzykiwała ryk silnika — gdy już będziemy w powietrzu, zrobi się miło i cicho.

Kiedy samolot gładko wzbił się w powietrze, zaczęłam się trochę odprężyć, ale wtedy z przerażeniem zauważyłam, że ogłuchłam.

— Co się stało z moimi uszami? — zawołałam do Fatimy. — Nic nie słyszę.

— W porządku — roześmiała się. — To normalne. Po prostu dużo przełykaj i słuch wróci.

Po niezbyt długim czasie inny mężczyzna w mundurze zbliżył się przejściem między fotelami i podał mi tacę z jedzeniem. Gdy zobaczył, że postawiłam ją na kolanach, z siedzenia przede mną wyciągnął stolik.

— Proszę tu postawić tacę — powiedział, uśmiechając się do mnie.

— Co to takiego, ciociu Fatimo? — Nie potrafiłam niczego rozpoznać, bo było zapakowane w plastik i folię.

— To dżem, to masło, tu sałajka i sałata, a *ta* masz chleb — wyjaśniła.

Jedna z torebek miała na wierzchu narysowaną cytrynę, więc myślałam, że wyciska się ją na sałatę, ale kiedy otworzyłam opakowanie, znalazłam w środku wilgotną chusteczkę. Wsypana sól do herbaty, przekonana, że to cukier, więc musiał mi wystarczyć sok pomarańczowy. Po skończonym posiłku poczułam, że muszę skorzystać z łazienki. Wstrzymywałam się najdłużej jak mogłam. W końcu byłam zmuszona obudzić Fatimę, która zapadła w drzemkę.

— Przepraszam, muszę iść do łazienki — powiedziałam zawstydzona.

Fatima kazała mi pójść na tył samolotu, gdzie była toaleta, ale za bardzo się bałam, żeby wstać i spacerować po samolocie.

— Zaczekam, aż się zatrzyma na następnym przystanku — oznajmiłam. Myślałam, że będzie tak jak w autobusie, którym jechałyśmy do Kassali. — Wtedy pójde do łazienki.

— Obawiam się, że samolot nie zatrzymuje się na przystankach. — Fatima nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — Prawdę mówiąc, następny przystanek to Londyn, za cztery czy pięć godzin. Nie ma się czego bać. Spójrz na tych ludzi — wskazała na niedużą kolejkę z tyłu samolotu. — Wszyscy idą do toalety i nic im nie jest.

— Ale co się stanie, jeżeli będę w kio, a samolot nagle skreśli? Czy nie wypadnę? — Wyobraziłam sobie, że toaleta to zwykła dziura w podłodze, z której wszystkie brudy lecą wprost w powietrze.

— Jesteś o wiele za duża, żeby wpaść do toalety — uspokoiła mnie Fatima.

W końcu nie mogłam już dłużej wytrzymać, więc poszłam wolno, trzymając się oparcia, i przyłączyłam się do kolejki. Gdy nadeszła moja kolej, otworzyłam drzwi i wsadziłam głowę do środka, żeby zobaczyć, co tam jest. Potem postawiłam we wnętrzu jedną nogę i ostrożnie sprawdziłam podłogę.

— Hej, wchodzi pani czy nie? — usłyszałam za sobą zniecierpliwiony męski głos.

— Owszem, wchodzę — odparłam.

Gdy znalazłam się w środku, z zaskoczeniem stwierdziłam, że wszystko jest mniej więcej takie samo jak w normalnej toalecie. Gdy skończyłam, usiłowałam rozpracować, jak działa spłuczka. Zauważyłam rączkę, ale nie zamierzałam za nią pociągnąć, ponieważ bałam się, że zostanę wyrzucona w powietrze, więc tylko umyłam ręce w maleńkiej umywalce i wyszłam. Słyszałam, że niski mężczyzna na zewnątrz irytuje się coraz bardziej i byłam zadowolona, że nie spuściłam wody.

Wczesnym popołudniem wylądowaliśmy na lotnisku Heathrow w Londynie. Gdy wyrzałam przez okno, zobaczyłam mnóstwo samolotów i całe mile pasów startowych. Potoczyliśmy się w stronę długiego niskiego budynku.

— To Londyn — sennie oznajmiła Fatima. — Czy wyjdzie po ciebie jakaś rodzina? A może chcesz, żebym znalazła ci taksówkę?

— Ktoś powinien po mnie przyjść.

— W takim razie chodź ze mną, pomogę ci przejść przez lotnisko — zaproponowała.

Rahab powiedziała mi, że dotarcie do Londynu będzie łatwe, bo Hanan po mnie wyjdzie. Spodziewałam się zastać ją czekającą na mnie po wyjściu z samolotu, ale jedyne, co zobaczyłam,

to tłum obcych ludzi. Lotnisko Heathrow było przerażające, ogromne i zatłoczone. Zobaczyłam wielu *hawajas* — białych ludzi — albo innych obco wyglądających cudzoziemców. Gdyby nie Fatima, jestem pewna, że bym się zgubiła. Szłyśmy przez labirynt korytarzy, a mnie przelatywały przez głowę tysiące pytań. Czy Hanan mnie znajdzie? Co zrobię, jeśli nie? Gdyby coś poszło nie tak, nie miałam pieniędzy, nie mówiłam po angielsku i absolutnie nikogo nie znałam.

Przestraszona, trzymałam się blisko Fatimy. Wkrótce znalazłam się w olbrzymim budynku. Rozejrzałam się na w pół ze strachem, na w pół z zachwytem: były tam poruszające się klatki schodowe ze stojącymi w nich ludźmi, dach był ze szkła, wszędzie lśniły lustrzane powierzchnie. Czułam się, jakbym trafiła do wnętrza statku kosmicznego z rodzaju tych, które widziałam w telewizorze Rahab. W porównaniu z tym, lotnisko w Chartumie wyglądało jak zakurzona szopa. Były to sklepy, kawiarnie, telefony i restauracje — wszystko pod ogromnym szklanym dachem. Po jakimś czasie zaczęłam się zastanawiać, czy tak wygląda cały Londyn — jeden wielki zadaszony budynek, gdzie nawet samochody jeżdżą po krytych dachach.

W końcu dotarliśmy do wielkiego holu i przyłączyłyśmy się do długiej kolejki. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że wszyscy trzymają w rękach paszporty, więc ja też wyjęłam swój. Kolejka pełzła naprzód i widziałam, że z przodu stoi rząd mężczyzn i kobiet *hawaja*, przeglądających każdy paszport i zadających pytania.

— Co się teraz stanie? — zapytałam Fatimę drżącym głosem.

— Nie martw się. Po prostu podaj im swój paszport i formularz. Chcą tylko sprawdzić, czy na fotografii naprawdę jesteś ty.

Gdy dotarliśmy na początek kolejki, Fatima zrobiła krok, a ja ruszyłam za nią ale kobieta *hawaja* zza biurka machnięciem ręki kazała mi się cofnąć, wskazując, że powinnam zaczekać.

— Zostań tam — powiedziała Fatima przez ramię. — Zaczekam, aż dołączysz do mnie po drugiej stronie biurka.

Skinęłam głową, ale bardzo się denerwowałam. Przyglądałam się, jak kobieta kartkuje paszport Fatimy i zadaje pytania. Słyszałam, że Fatima odpowiada po angielsku, ale nie rozumiałam ani słowa. Zaczęłam wpadać w panikę. Jak odpowiem na pytania tej kobiety. Może mnie nie przepuści? Co wtedy zrobić? Dokąd pójdę? Gdy przyszła moja kolej, wręczyłam kobiecie paszport i gdy to robiłam, zauważyłam, że trzęsie mi się ręka.

— Dziękuję — powiedziała kobieta z uśmiechem. Pamiętałam to angielskie słowo z lekcji w szkole, w górach Nuba.

Przejrzała mój paszport, zerkając jednocześnie na mnie. Potem zaczęła zadawać pytania po angielsku. W odpowiedzi na każde kręciłam głową. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. W końcu ruchem ręki kazała mi zaczekać z boku. Podeszła do mężczyzny przy biurku obok i zaczęła z nim rozmawiać. Zobaczyłam, jak kręci głową i patrzy na mnie. Serce miałam w gardle. O czym dyskutowali? Spojrzałam poprzez ladę na Fatimę. Pokręciłam głową, jakbym mówiła „Nie wiem, co się dzieje”. W końcu kobieta wróciła do mnie, napisała coś w moim paszporcie, postawiła stempel i wręczyła mi go z uśmiechem. Stałam, czekając, co teraz będzie.

— Idź — powiedziała, machając ręką — Idź. Teraz możesz przejść.

Nie zrozumiałam, co powiedziała, ale zrozumiałam jej gest. *Allhamdallilah*, Bogu dzięki, pomyślałam, wzdychając z ulgą. Pobiełam przyłączyć się do Fatimy.

— No widzisz! Przeszłaś — powiedziała, obejmując mnie. — Nie było tak źle, prawda? Chodźmy po nasz bagaż.

Stanęliśmy przy szerokim ruchomym pasie z walizkami i torbami pojawiającymi się na nim w magiczny sposób.

— Ile masz toreb? — zapytała Fatima.

— Trzy.

— Kiedy przyjadą, musisz je szybko złapać, dobrze? Zdołasz je rozpoznać?

— Chyba tak — odparłam nerwowo.



Uważnie obserwowałam innych ludzi, zabierających swoje torby, gdy przejeżdżały obok nich. Gdy pojawiły się moje, popędziłam i złapałam je. Fatima zostawiła ze mną swojego synka i poszła po dwa wózki. Przepchnęłyśmy je do kolejnego wielkiego holu i zobaczyłam tam długi rząd pełnych oczekiwania twarzy. Czy właśnie tu spotka się ze mną Hanan? Przed wyjazdem z Chartumu Rahab pokazała mi ostatnią fotografię siostry, żebym potrafiła ją rozpoznać. Nigdzie jej jednak nie widziałam. Zobaczyłam Araba, który objął Fatimę i mocno ją uściskał. To na pewno jej mąż, pomyślałam. Właśnie zaczął prowadzić rodzinę do wyjścia, gdy Fatima przypomniała sobie o mnie.

— Och, zaczekaj, pozwól mi tylko sprawdzić, czy z tą dziewczyną wszystko w porządku — powiedziała. — Nigdy wcześniej nie leciała samolotem.

— Masz jakiś sygnał od osoby, która po ciebie wyszła? — zwróciła się do mnie.

— Nie — odparłam. Nie chciałam, żeby Fatima mnie zostawiła. Byłam przerażona na myśl o samotnym pozostaniu na lotnisku.

— Słuchaj, muszę już iść, ale nie podoba mi się, że mam cię tak tu zostawić. Masz numer telefonu osoby, która po ciebie przyjdzie? Mój mąż może zadzwonić do niej z komórki i do wiedzieć się, gdzie się podziała.

— Nie, nie mam.

— W takim razie, co zrobisz, jeżeli nikt nie przyjdzie?

— Nie wiem — stwierdziłam bliska łez.

— Posłuchaj, nie martw się. Muszą wiedzieć, którym samolotem i o której przylatujesz, więc wszystko będzie w porządku. Na pewno niedługo się zjawią.

Mimo słów Fatimy nie czułam, że wszystko jest w porządku. Znalazła mi krzesło, na którym mogłam usiąść przy swoich torbach i poczekać. „Pa”, powiedziała, oglądając się na mnie z pełnym winy uśmiechem i znikając w tłumie. Bardzo się bałam. Otaczały mnie tysiące ludzi, ale nigdy w życiu nie

czułam się taka samotna. Czekałam i czekałam, a gdy minęły całe wieki, zobaczyłam, że idzie w moją stronę kobieta w *hijab*, mużułmańskiej chuście na głowie. Próbowałam rozpoznać, czy to Hanan. Wydawała się nieco młodsza, ale mimo to już miałam się zerwać i ją powitać, gdy zobaczyłam, że obejmuje starą Arabkę, siedzącą kilka miejsc dalej. Więc to jednak nie Hanan. Zaczęłam się zastanawiać, co się stanie, jeżeli zrobi się naprawdę późno. Czy zamkną lotnisko? Jeśli tak, to czy zostanę wyrzucona na ulicę? Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać.

— Co się stało? — usłyszałam zadane po arabsku pytanie. Podniosłam wzrok i zobaczyłam kobietę siedzącą obok. — Dlaczego płaczesz?

— Czekam na kogoś, ale nie przyszedł.

— Nie martw się. Wszyscy na kogoś czekamy. W końcu przyjdą. Zawsze przychodzą.

Nakazałam sobie przestać płakać i być dzielną. Gdy ocierałam oczy brzegiem rękawa, usłyszałam za sobą głos:

— Przepraszam, ty jesteś Mende?

Odwrociłam się i zobaczyłam wysokiego czarnoskórego mężczyznę.

— Mende Nazer? — zapytał ponownie. — Ty jesteś Mende?

— Tak — oparłam jednocześnie zdenerwowana i uspokojona. — A kim pan jest?

— Nazywam się Peter. Zostałem tu przysłany przez Hanan, żeby cię odebrać. Chodź ze mną. Musimy znaleźć jeszcze dwie osoby z Sudanu, które też odbieram.

Gdy podniosłam się, żeby odejść, Arabka uśmiechnęła się.

— Widzisz, mówiłam, że po ciebie przyjdą. Miałam rację.

— Nie pochodzi pani czasem z Sudanu? — zapytał ją Peter, rozpoznając akcent. Okazało się, że ta kobieta i jej mąż to właśnie te dwie osoby, po które wysłano Petera. Gdy tylko wyszliśmy na dwór, zdałam sobie sprawę, że jest przejmująco zimno. A przynajmniej tak mi się wydawało. Drżałam i spoglądałam w niebo. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego nieba, było płaskie, matowe i szare. Ukradkiem zerknęłam na zegarek

Petera. Piąta. Ponieważ nie było chmur, zaczęłam się zastanawiać, gdzie podziało się słońce.

W Sudanie o tej porze roku świeciło jasno przez cały dzień, więc zastanawiałam się, czy przyjechałam do Anglii w trakcie zaćmienia Słońca, czy czegoś podobnego. W Chartumie niedawno miało miejsce zaćmienie, zmieniając światło dnia w przyćmioną szarość, podobną do tej, która spowijała lotnisko. Wszyscy stali na dworze i walili, w co się dało. Hałas był ogłuszający. Miało to zmusić Słońce do przebudzenia się i odstraszyć zaćmienie. Rozejrzałam się, ale wyglądało na to, że nikt nie przejmuje się powstrzymaniem zaćmienia Słońca tutaj, na lotnisku Heathrow.

Teraz wiem, że zjawiłam się w Londynie w zwyczajny, mglisty, letni dzień. Wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam beton i asfalt. Poszliśmy do windy, a potem do wielkiego budynku pełnego samochodów. Wzmogło to moje wrażenie, że tutaj, w tym dziwnym kraju, wszystko znajduje się pod dachem: ludzie, sklepy, restauracje i samochody. Nawet słońce wydawało się pozostawać w ukryciu.

Peter zaprowadził nas do dużego, lśniącego samochodu. Usiadłam z tyłu, obok Sudanki. Gdy wyjechaliśmy z parkingu, przepełniała mnie radość, że jednak zostałam w końcu przez kogoś odnaleziona. Byłam szczęśliwa, że mogłam rozsiaść się w ciepłe i zacisze wygodnych siedzeń. Chociaż był czerwiec, w porównaniu z temperaturami w Sudanie było naprawdę zimno. Peter włączył ogrzewanie i dwaj mężczyźni z przodu zaczęli rozmawiać. Gdy zrobiło się ciepło, kobieta zapadła w drzemkę, ale ja byłam zbyt podniecona i zdenerwowana, żeby spać, więc patrzyłam przez okno na ten zdumiewający nowy kraj.

Stanęliśmy w kolejce innych aut wyjeżdżających z lotniska. Po jakimś czasie wyjechaliśmy na szeroką drogę z trzema czy czterema rzędami samochodów jadących w tym samym kierunku. Była to największa droga, jaką kiedykolwiek widziałam. Więc w końcu byłam tu, na ziemi *hawajas*. Obserwowałam

ludzi. Ich jasna skóra przypomniła mi mężczyzn malujących ciała podczas zawodów zapaśniczych w górach Nuba. Wyglądali jak duchy, a ich długie nosy przypominały dzioby *shengokorów*, leśnych kurczaków, które wydziobywały ziarno na polach mojego ojca.

Przypomniałam sobie, co ojciec powiedział mi kiedyś o *hawajas*, żyjących dawniej w górach Nuba. „Twój dziadek opowiedział mi wszystko o *hawajas*, którzy wtedy tu mieszkali. Zawsze byli bardzo poważni i pełni godności. Nie dało się z nimi pożartować, bo nie mieli poczucia humoru”. Zastanawiałam się, jak to będzie mieszkać tutaj, w kraju *hawajas*.

Zerknęłam na drugą stronę drogi i zauważyłam, jak jest zielono. Zielone drzewa i żywopłoty, i zielone pola. W Sudanie wszystko było brązowe, zakurzone i suche. W tym kraju musi przez cały czas padać. Gdy wjechaliśmy do miasta, zachwycałam się wysokimi budynkami, sięgającymi do samego nieba. Wyciągałam szyję, żeby zobaczyć ich szczyty. Potem jechaliśmy wzdłuż długich szeregów identycznych połączonych ze sobą domków, ze schludnymi podwórkami pełnymi ślicznych kwiatów.

Przed wyjazdem Rahab powiedziała mi, że Anglia jest bardzo piękna, a ludzie zawsze uśmiechnięci. Cóż, na razie nie widziałam zbyt wielu uśmiechniętych twarzy, ale uznałam, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Czułam się jak we śnie, sunąc przez to zdumiewające miasto w cichym samochodzie. Jechaliśmy całe wieki, zanim dotarliśmy do dzielnicy, gdzie domy były większe, każdy z dużym ogrodem. Wyglądały bardzo okazale, otoczone schludnymi trawnikami, żywopłotami i drzewami. W końcu zwolniliśmy i skręciliśmy na podjazd.

## Uwięziona

Poszłam za Peterem przez długi, wysadzany drzewami podjazd, bardzo załęczniona, mocno ściskając torby. Znów miałam zacząć wszystko od nowa u nowych państwa. Pamiętałam moje pojawienie się w domu Rahab i to, jak okrutnie mnie traktowała. Czy ci ludzie będą traktowali mnie tak samo? Przypomniałam sobie wszystko, czego nauczyłam się przy Rahab, w jaki sposób unikać bicia czy wymyślania. Nigdy się nie odcinać. Nigdy niczego nie stłuc. Zawsze na wszystko odpowiadać „tak, proszę pani”. Gdy czekaliśmy, aż ktoś nam otworzy, powtarzałam sobie cicho: „Mende, pilnuj się, Może jest lepsza niż jej siostra. Może gorsza. Po prostu nie wiesz”.

— Cześć — wykrzyknął chłopiec, który otworzył drzwi. — Kto ty jesteś? — Za nim zauważyłam Hanan.

— Witajcie — wykrzyknęła. — Jak się macie? Wchodźcie, wchodźcie.

Uściskała dwójkę arabskich gości, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, odwróciła się, żeby uściskać i mnie. Byłam wstrząśnięta. Dlaczego mnie uściskała? Przepełniała mnie nadzieja. Czy będę tu dobrze traktowana? Czy Hanan będzie dla mnie miła? Za Hanan zjawił się Al Koronky, jej mąż.

— Witajcie, witajcie — powiedział, wprowadzając przybyłego mężczyznę do domu. — Jak się macie? Jak podróż? Jak lot?

Ruszyłam za nimi korytarzem do dużej bawialni w odległym końcu domu. Zauważyłam, że dom Hanan jest większy niż dom Rahab. Przeżyłam kolejne zaskoczenie, gdy wszyscy rozsiedli się na wygodnych fotelach, a Hanan ruchem ręki nakazała mi usiąść razem z nimi. Przycupnęłam na brzegu sofy z rękami splecionymi mocno na kolanach, czując się bardzo nieswojo. Nie wiedziałam, co robić. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie, że Hanan poszła do kuchni przyrządzić napoje i nie poleciła mi sobie pomóc. W górach Nuba, gdy ktoś czuł się bardzo nieswojo, mówiliśmy, że wygląda jak zmokły kurczak. Kurczak, którego złapie deszcz, kuli się i otrzepuje pióra, wyglądając przy tym bardzo żałośnie. Właśnie tak się czułam.

Hanan wróciła z tacą napojów. Zdumiałam się, gdy wręczyła mi sok w identycznej szklance jak te, z których pili pozostali goście. Po raz pierwszy, odkąd zostałam porwana, siedziałam w salonie jak normalny człowiek. Dziwne, wcale mi się to nie podobało. Tyle lat traktowano mnie jak niewolnicę, że do tego przywykłam.

— Jak się mają Rahab i dzieci, Mende? — zapytała Hanan.

Mende. Zwróciła się do mnie moim prawdziwym imieniem. Nie *yebit* ani *abda* albo w inny obraźliwy sposób. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym ja zwróciła się do niej po imieniu zamiast „pani”?

— Wszystko u nich w porządku... Hanan — odpowiedziałam. Byłam bardzo zaskoczona, gdy nie zareagowała wymysłami.

— Więc, jak rozumiem, podróżowałaś razem z naszymi gośćmi aż z Sudanu?

— Nie — odparłam.

— Nie. A dlaczego? Mówiłam Rahab, że polecą tym samym lotem co ty, więc mogliby się tobą zająć. Nie zorganizowała ci wspólnej podróży z nimi?

— Nie wiem. Spotkaliśmy się już tutaj, w Londynie.

— Więc jak zdołałaś sama przejść przez kontrolę paszportową i cło?

— Pomogła mi kobieta z samolotu. Była bardzo miła i pokazała, co robić.

— Cóż, chwala Allahowi, jesteś tutaj. To najważniejsze.

Hanan, jej mąż i pozostali goście rozpoczęli niezobowiązującą rozmowę o locie, życiu w Chartumie i Londynie. Byłam szczęśliwa, że nikt już nie zwraca na mnie uwagi. Po kilku minutach do pokoju wpadły dzieci Hanan, robiąc nieopisany hałas. Bliźniacy wyglądali na mniej więcej dwa lata, a trzej starsi chłopcy mieli od pięciu do dziewięciu lat.

— To jest Mende — przedstawiła mnie Hanan. — Pamiętacie? Ta dziewczyna, o której mówiłam, że przyjedzie dla nas pracować.

— No, powiedzcie mi „cześć” — odezwałam się do dzieci.

— To jest Mohamed — ciągnęła Hanan. — To jest Ibrahim. To Assi. A bliźniaki to Rami i Omar.

Pięciu chłopców! Bliźniaki wyglądały słodko i spróbowałam się do nich uśmiechnąć, ale jednocześnie pamiętałam, co powiedziała mi Rahab, że będę musiała opiekować się wszystkimi dziećmi Hanan. Powiedziała mi też, że będę sprzątała i gotowała dla całej rodziny, a z tego, co widziałam, dom wydawał się znacznie większy i bardziej luksusowy niż u Rahab. Dla mnie oznaczało to więcej pracy.

W końcu Hanan zwróciła się do mnie:

— Chodź. Weź torbę. Pokażę ci twój pokój.

Zaprowadziła mnie do pokoiku na tyłach domu. Był mniej więcej wielkości mojej szopy u Rahab, bez okien, ale w porównaniu z szopą, wydawał się pałacem. Na podłodze leżał ciemnoniebieski dywan, na ścianie wisiało lustro, pod którym stało biurko. Było tam nawet normalne łóżko z materacem, odpowiednimi prześcieradłami i czymś w rodzaju gigantycznego, puchatego koca.

— To twój pokój — oznajmiła Hanan. — Teraz możesz iść spać. Musisz być bardzo zmęczona. Jutro zaczniesz pracę.

Hanan miała rację. Byłam wyczerpana i zmarznięta. Wpełzłam w ubraniu pod kołdrę. Pierwszy raz w życiu spałam w praw-

dziwym łóżku. Cudowne uczucie. Gdy zasypiałam, moje serce przepełniała nadzieja. Nie mogłam uwierzyć, jak miło traktuje mnie Hanan. Zostałam uściskana, wszyscy tak uprzejmie ze mną rozmawiali. Dostałam sok w takiej samej szklance jak inni. Miałam pokój z dywanem i prawdziwym łóżkiem. Nie traktowano mnie w ten sposób od czasów dzieciństwa w górach Nuba. Czy mogłam pozwolić sobie na marzenia, że ta rodzina naprawdę potraktuje mnie jak równą sobie?

Zaraz potem znalazłam się w wielkim samolocie, który rozbił się nad morzem. Wszyscy zakładali żółte kamizelki ratunkowe, nadmuchiwali je i odpływali, aleja nie potrafiłam pływać i nikt mi nie pomógł, więc pograżałam się w wodzie i tonęłam. Poszłam na dno, na dno zimnego, czarnego morza. Spojrzałam w górę, niebo było tylko maleńkim punkcikiem. Wiedziałam, że tonę, ale byłam zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek na to poradzić. A potem się obudziłam. Gwałtownie usiadłam na łóżku, przerażona, gorączkowo łapiąc oddech. Nie wiedziałam, gdzie jestem, ale czułam, że zamierzam.

Mój pokój był właściwie przerobionym schowkiem, dobudowanym na tyłach domu. Nadal stał w nim stary rower i jakieś kartony spiętrzone w kącie. Jednak główny problem stanowiło to, że był zimny. Znalazłam elektryczny grzejnik i udało mi się odkryć, jak go włączyć. Powiesiłam kołdrę nad grzejnikiem, żeby ciepłe powietrze trafiało prosto do mojego łóżka. Tej pierwszej nocy i przez wiele następnych praktycznie spałam z tym grzejnikiem.

— Czas wstawać — zawołała Hanan, otwierając drzwi mojego pokoju następnego dnia wcześniej rano. — No, chodź. Chcę ci pokazać, jak przygotować dzieciom pudełka z lunchem. Pospiesz się. Przyjdź zaraz do kuchni.

Kuchnia była większa niż u Rahab, znajdowało się w niej wiele lśniących białych urządzeń, które stały na podłodze i blatach. Nie miałam pojęcia, do czego służą bo nigdy niczego



podobnego nie widziałam. Serce mi zamarło. Będę musiała nauczyć się korzystania ze wszystkich tych nowych maszyn, pomyślałam. Wyglądały na drogie i skomplikowane. Bałam się, że zrobię coś nie tak i je popsuję, i że zostanę za to ukarana.

— Rahab powiedziała ci, co będziesz tu robiła, prawda? — zapytała Hanan.

— Tak — odparłam.

— To samo, co robiłaś u niej w domu. Sprzątanie, gotowanie i pranie. Ale tu jest znacznie łatwiej. Mamy maszyny, które robią wiele z tych rzeczy. To jest pralka, więc nie musisz prać w ręku. Później pokażę ci, jak jej używać. Chcę też, żebyś prasowała i składała rzeczy, a potem układała je w szafach. Mamy też zmywarkę do naczyń, ale używamy jej tylko wtedy, gdy jest dużo zmywania. Normalnie będziesz zmywała ręcznie, dobrze?

Skinęłam głową.

— Tak, Hanan.

— Chcę też, żebyś pilnowała dzieci, kiedy wrócą ze szkoły.

Skinęłam głową.

— Tak, Hanan.

— W takim razie chodź i zobacz, jak przygotowuję im lunch. Będziesz robiła to co rano, zanim wyjdą do szkoły.

Hanan pokazała mi, jak robić ulubione przez dzieci kanapki. Wskazała, w których szafkach są paczki z chrupkami. Musiałam nauczyć się, jakie są ulubione chrupki każdego z dzieci. Każde miały inne opakowanie: z solą i octem — zielone, z serem i cebulą — żółte i tak dalej. Potem mąż Hanan zawiózł starsze dzieci do szkoły. Kiedy pojechali, Hanan i ja usiadłyśmy, żeby wypić w kuchni po filiżance herbaty.

— No więc teraz chcę, żebyś zaczęła sprzątać kuchnię, wszystkie szafki, w środku i na zewnątrz.

Skinęłam głową.

— Tak, Hanan.

— Jeżeli będziesz głodna, w lodówce jest mleko, a tu są płatki kukurydziane. Wiesz, co to takiego? Płatki śniadaniowe.

Je sieje z mlekiem i cukrem w misce, o tak. Parzyłaś u Rahab herbatę, prawda? Jeżeli zechcesz herbaty, możesz się poczęstować. Który kubek byś chciała?

— Nie wiem. Wszystkie są ładne.

— A teraz pokażę ci, jak korzystać z pralki. Tu wkłada się brudne ubrania, ale trzeba oddzielać kolorowe od białych, bo inaczej kolory wyblakną.

Skinęłam głową ale nie rozumiałam, co ma na myśli. Wiedziała tylko, że najlepiej zawsze zgadzać się ze wszystkim. Hanan pokazała mi, gdzie wsypywać proszek do prania i wprawiający w oszołomienie rząd pokręteł i gałek, które miałam wciskać, żeby wybrać właściwy program. Zdażyłam się już całkiem pogubić. Zmartwiona uznałam, że narobię sobie więcej kłopotów, jeżeli zniszczę wszystkie ubrania, niż przyznając się, że czegoś nie rozumiem.

— Przepraszam, Hanan — powiedziałam — ale pomieszały mi się wszystkie te litery i cyfry, i rzeczy. I jak zmienię wodę, kiedy będzie brudna?

— Nie musisz zmieniać wody — roześmiała się Hanan. — Ta maszyna robi to wszystko za ciebie. Posłuchaj, przy kilku pierwszych praniach zawołaj mnie, a ja nastawię pralkę, ale musisz uważnie się przyglądać i uczyć, jak to robić samodzielnie.

— Dobrze, spróbuję — powiedziałam niepewnie.

— Jeżeli czegoś nie zrozumiesz albo będziesz czegoś potrzebowała, po prostu przyjdź i zapytaj.

— Jest jedna taka rzecz — wyznałam z wahaniem.

— Co takiego?

— Było mi zimno wczoraj w nocy — wymamrotałam. — Nie mogłam zasnąć.

Hanan stwierdziła, że to jej o czymś przypomniało — w moim pokoju ogrzewanie nie działało jak należy. Obiecała poprosić męża, by zadzwonił do jakiegoś człowieka, który to naprawi, ale nigdy tego nie zrobiła.

Gdy Hanan zniknęła w salonie i włączyła telewizor, poczułam

przypływ nadziei. Była o wiele miłsza niż siostra. Kazała mi dla siebie pracować, ale robiła to z uśmiechem. Może moje życie w Londynie będzie szczęśliwsze? Większą część dnia spędziłam na czyszczeniu i szorowaniu kuchni, tak samo jak pierwszego dnia w domu Rahab. Zauważyłam, że Hanan drzemie w salonie z nogami na sofie. Bliźniaki bawiły się na dywanie. Wciąż było mi zimno. Pracowałam naprawdę ciężko — ścierając kurz, szorując i czyszcząc — częściowo także po to, żeby się rozgrzać. Gdy skończyłam, przyszła Hanan i z jednej z szafek wyciągnęła kolejną maszynę.

— To jest odkurzacz do czyszczenia dywanów. Miałaś taki w Chartumie?

— Nie — odparłam. — Czyściłam dywany szczotką.

— Cóż, to jest o wiele lepsze. Patrz uważnie, to pokażę ci, jak go używać.

Odkurzacz był to cylinder na kołach z przymocowaną długą, giętką, plastikową rurą. Uznałam, że jest brzydki, przypominał węża z ostro zakończonym pyskiem. Hanan go włączyła. Głośny, wyjący dźwięk sprawił, że podskoczyłam. Gdy Hanan zaczęła zasysać brud z dywanów, dźwięk zmienił się w niepokojące syczenie. Nie tylko wyglądał jak wąż, wydawał też taki sam odgłos. Byłam przerażona.

— Czy nie masz szczotki? — zapytałam. — Nie podoba mi się ta rzecz. Czy nie mogę czyścić dywanów szczotką?

— Nie, nie możesz. Szczotka nie wyczyści dywanów jak należy, tak jak to robi ta maszyna. Przywykniesz do niej. Chcę, żebyś odkurzała codziennie. Masz, spróbuj.

Delikatnie przytrzymałam rurę i krzyknęłam, kiedy chwyciła brzeg mojej sukienki, a potem zaczęła go wciągać z wysokim wyciem. Zupełnie jakby próbowała mnie ugryźć. Hanan się roześmiała, wyłączyła odkurzacz i powiedziała, żebym nie była niemądra.

Dom miał kształt litery L z ogromnym salonem na parterze, który przechodził w jadalnię z lśniącym drewnianym stołem i krzesłami. Na górze mieściły się cztery sypialnie, drugi salon

i dwie łazienki. Z tyłu domu znajdował się rozległy trawnik otoczony drzewami i mniejszy ogród z wysokim żywopłotem. Podjazd między dwoma rzędami drzew prowadził przed front domu. Pomyślałam, że pan Al Koronky musi być bardzo bogaty.

Tamtego pierwszego dnia skończyłam sprzątać około dziewiętej wieczorem. Byłam taka zmęczona, że chciałam tylko spać, ale kiedy weszłam do kuchni, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. W zlewie stała nowa góra naczyń, a na stole brudne talerze. Resztki jedzenia leżały nawet na podłodze. Okazało się, że bliźniaki Hanan strasznie bałaganią przy jedzeniu. Zanim skończyłam zmywanie, rodzina poszła do łóżek. Już miałam schronić się w moim pokoiku, gdy Hanan zeszła z góry, przygotować bliźniakom gorące mleko.

— Och — powiedziała radośnie — jest tak czysto. Rahab mówiła, że bardzo dobrze pracujesz. Miała rację.

Dopiero po północy padłam w końcu w ubraniu na swoje małe łóżko. Wciągnęłam grzejnik pod kołdrę i szybko zasnęłam. Tamten pierwszy dzień narzucił rozkład zajęć na dzień następny i wiele kolejnych. Wstawałam około wpół do siódmej i nakrywałam do śniadania. Potem parzyłam herbatę i przygotowywałam pudełka z lunchem dla trójki starszych dzieci. Następnie sprzątałam po śniadaniu i zaczynałam sprzątać dom. W porze lunchu przygotowywałam posiłek dla Hanan i bliźniaków. Codziennie pracowałam do późnej nocy. Wkrótce Hanan kazała mi także zmieniać bliźniakom pieluchy. W weekendy miałam pilnować, żeby dzieci były cicho, podczas gdy pan Al Koronky odpoczywał, i sprzątać, i zmywać tak, żeby mu nie przeszkadzać.

Po skończonej pracy wolno mi było modlić się w moim pokoiku. Znalazłam tam zwinięty w kącie *muslaiyah* — islamski dywanik modlitewny, mały, tani, wykonany z rafii. Jednak dla mnie był wyjątkowy. Tu nie musiałam ukrywać się z modlitwami. Hanan i jej mąż szcycili się swoim przywiązaniem do islamu. Gdy Hanan wychodziła z domu, zawsze wkładała długie, luźne ubrania i chustę na głowę. Wierzyli, że są dobrymi, oddanymi muzułmanami.

Od samego początku dużo bardziej bałam się Ala Koronky'ego niż Hanan. Wyglądał na zasadniczego i zachowywał się bardzo wyniośle. Rozkazywał mi: „Mende, zrób mi herbaty” albo „Mende, zrób mi kawy”. Naprawdę przestałam go lubić, kiedy kazał mi codziennie czyścić swoje buty. Ale najgorszy był dzień, w którym polecił mi umyć samochody. Na podjeździe stały dwa duże auta. Wyszłam z wiadrem mydlin i drugim z czystą wodą. Lśniły nowością i bałam się, że je uszkodzę. Tak uważałam, że mycie trwało całe wieki. Moje ręce zdążyły rozmoknąć i zmarznąć na kamień.

W domu Hanan nie bito mnie ani nie wyzywano. Hanan traktowała mnie całkiem miło, ale musiałam pracować tak samo ciężko jak w Chartumie, może nawet ciężiej. Czy wciąż traktowano mnie jak niewolnicę? A może w jakimś sensie przyjęli mnie do rodziny? Niewiele z tego rozumiałam.

Hanan przesypiała całe popołudnia. Przez resztę dnia oglądała telewizję albo czytała czasopisma. Prawie nikt jej nie odwiedzał. Bardzo różniła się od Rahab, której życie upływało wśród roju znajomych. Wyglądało na to, że Hanan nie ma własnego życia. Mijały tygodnie i dzień był podobny do dnia. Może traktowano mnie lepiej, ale każdy dzień był harówką. Wszystko wskazywało na to, że czeka mnie tylko niszcząca duszę, mozolna praca. Czułam się bardzo, bardzo samotna.

Nie mogłam tego znieść. Zmieniłam się, może dlatego, że znalazłam się tak daleko od Sudanu. Mniej więcej trzy tygodnie po przyjeździe do Londynu postanowiłam podjąć jakieś działania. Wciąż miałam numer telefonu, który Kumał dała mi w Chartumie. Powiedziała, że jej kuzyn jest w *bilabarra*, daleko, w obcym kraju. Miałam nadzieję, że w Anglii. Jeśli tak, zastanawiałam się, czy Hanan pozwoliłaby mu przyjść mnie odwiedzić. Traktowała mnie w sposób tak odmienny niż Rahab, że uznałam, iż warto ją zapytać. Zresztą, co miałam do stracenia? Zastałam ją w salonie, szykującą się do popołudniowej drzemki.

— Czy mogę chwilkę z tobą pomówić, Hanan? — zapytałam zdenerwowana.

— Tak. O co chodzi? — odparła sennie.

— Nic takiego — wymamrotałam, wracając do kuchni. Tamtego dnia nie potrafiłam zebrać się na odwagę, żeby ją zapytać. Minął niemal tydzień, zanim znów weszłam do salonu, by spróbować po raz drugi.

— Hanan — odezwałam się. — Mogę cię o coś zapytać?

— Tak — uśmiechnęła się. — O co?

Drżącą ręką wyciągnęłam z kieszeni kawałek papieru z numerem.

— Mam tu numer telefonu, który dała mi w Chartumie przyjaciółka. Możesz mi powiedzieć, czy to w Anglii? Czy byłoby możliwe, żebym do nich zadzwoniła?

— Pokaż mi to! — nakazała ostro, zrywając się z sofy. Chwyciła kawałek papieru, zerknęła na niego, a potem zaczęła zarzucać mnie pytaniami.

— Kto ci zapisał ten numer? Mów! Kto to był?

— Ja go zapisałam — wyszeptalam.

— Nie! Mów prawdę! Kto ci go zapisał?

— Ja to zapisałam. Naprawdę. Ja — wymamrotałam. — Ale numer dostałam od Kumał.

— W takim razie, kim jest Kumał? No, dalej, gadaj! W naszej rodzinie nie ma nikogo, kto by się nazywał Kumał, prawda?

— Nie. Ona nie jest z waszej rodziny. To tylko moja przyjaciółka.

— Twoja przyjaciółka! A skąd dokładnie ta przyjaciółka?

— Moja przyjaciółka z Chartumu.

— Skąd ją znasz? — zapytała podejrzliwie. — Nie miałaś w Chartumie żadnych przyjaciół.

Drżącym głosem opowiedziałam Hanan o tym, jak spotkałam Kumał w domu Rahab i że była dawną przyjaciółką z mojego plemienia. Kumał dała mi ten numer, w razie gdybym chciała zaprzyjaźnić się z kimś z Nuba. Powiedziała, że tojej kuzyn i że jest w *bilabarra*, więc nawet nie wiedziałam, czy to w Anglii.

— Przepraszam — wyszeptalam. — Jeżeli nie chcesz, żebym z nim rozmawiała, to nie będę.

— Nie! — rzuciła ostro. — Z pewnością nie chcę. Nie chcę, żebyś się z kimkolwiek kontaktowała. Słyszysz? Z nikim. — Spojrzała na papierek. — Zresztą to bardzo stary numer. Wszystkie numery telefonów w Londynie się zmieniły.

Z tymi słowami podała kartkę, rzucając skrawki papieru na podłogę.

— Masz inne numery? Daj mi swoją torbę.

W mojej torbie nie było jednak niczego oprócz paszportu.

— Aha! Paszport! Schowam go w bezpiecznym miejscu. Nie ufam ci już.

Po tym wydarzeniu moje relacje z Hanan zaczęły się pogarszać. Nie była już tą miłą kobietą, która uściskała mnie, gdy zjawiłam się w jej domu. Krzyczała na mnie bez powodu, wyzywała. I bardzo uważnie obserwowała. Pozwalało mi wychodzić na zewnątrz tylko wtedy, kiedy musiałam wynieść śmieci do kubłów na podjeździe. Zauważyłam, że Hanan nie spuszcza mnie z oka, stojąc w oknie na górze. Zdałam sobie sprawę, że z powodu incydentu z numerem telefonu zaczęła się obawiać, że ucieknę.

Zastanawiałam się, czy w Chartumie życie nie było lepsze. Do domu Rahab przychodzili przynajmniej jacyś ludzie, był hałaśliwy i pełen życia. Mogłam spędzać czas na słońcu, sprzątając dziedziniec obok sadu albo pracując w ogrodzie. Posyłano mnie czasem do sklepu na rogu i mogłam popatrzeć na dzieci bawiące się na ulicach. Ale przede wszystkim tęskniłam za dziećmi Rahab. Szczególnie za młodszymi, które rosły razem ze mną i traktowały mnie jak starszą siostrę. Tęskniłam za ciepłem i uczuciem, jakie mi dawały. Chłopcy Hanan także byli mili, choć hałaśliwi, ale nie byłam z nimi w żaden sposób związana.

Kilka dni później miałam się przekonać, jak podejrzliwa stała się Hanan. Przygotowywałam ryż i kurczaka curry na niedzielny obiad. Zauważyłam, że worek na śmieci jest pełny, więc zawiązałam go i wyniosłam przed dom. Gdy wrzucałam worek do kubła, popatrzyłam na podjazd. Ulicą szedł tłum ludzi. Słyszałam, jak radośnie rozmawiają i śpiewają. Wyglądało

na to, że świetnie się bawią i zapragnęłam przyjrzeć im się z bliska. Zerknęłam przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie obserwuje, a potem wślizgnęłam się między drzewa i przekradłam na początek podjazdu, skąd mogłam lepiej widzieć. Kobiety miały na sobie powłóczyste szaty w jasnych kolorach. Na plecy spływały im długie, lśniąco czarne włosy. Mężczyźni włożyli eleganckie garnitury.

Stali przed barwnym budynkiem, który z wyglądu trochę przypominał meczet. To na pewno wesele, pomyślałam. Ludzie zaczęli tańczyć i śpiewać w rytm muzyki dochodzącej z głośników umieszczonych na dachach zaparkowanych samochodów. Mężczyźni patykami wybijali rytm. Nagle przypomniały mi się zawody zapaśnicze w górach Nuba. Brzmiało to zupełnie jak hałas, który robili ludzie z plemienia Nuba, uderzając o siebie pustymi wewnątrz patykami, gdy zapaśnicy biegli w koło w wielkim okręgu, skandując „Eeh-ha! Eeh-ha! Eeh-ha!”. Stałam tam jakieś pięć minut, uśmiechając się do siebie. Pragnęłam przyłączyć się do nich, bawić się, śpiewać i tańczyć. Nagle usłyszałam krzyk:

— *Yebit* Mende! *Yebit* Mende! Gdzie jesteś?! — To była Hanan.

Na dźwięk słowa *yebit* wróciły wszystkie najgorsze wspomnienia. Odwróciłam się i pobiegłam podjazdem najszybciej, jak potrafiłam. Miałam nadzieję, że Hanan mnie nie widziała, że uda mi się dostać do domu, zanim zorientuje się, gdzie byłam. Ale gdy wypadłam zza drzew, zobaczyłam, że stoi przed frontowymi drzwiami.

— Co ty wyczyniasz, *yebit*! — krzyknęła, gdy stanęłam przed nią.

— Wynosiłam śmieci, Hanan, tylko wyrzucałam śmieci — wyjąkałam.

— Kubły nie stoją na końcu podjazdu, prawda? Prawda, *yebit*! — wrzasnęła. — Są tutaj, dokładnie przed naszymi oczami. Nie myśl, że cię nie widziałam! Myślisz, że jestem głupia! Co tam robiłaś? Odpowiadaj! Co knujesz?



— Poszłam tylko popatrzeć na wesele, to wszystko. Tylko na parę minut. Przepraszam.

— Nie rób tego nigdy więcej, słyszysz? — ucięła.

— Tak, Hanan. Przepraszam. Przepraszam — powiedziałam, dusząc się od powstrzymywanego płaczu.

— Nie rozumiesz? Londyn to bardzo złe miejsce. Pełno tu morderców i niebezpiecznych, złych ludzi. Wszystko może cię spotkać! Wszystko! Natychmiast wracaj do środka.

Gdy weszłam do domu, zamknęła za mną drzwi, włożyła klucz do kieszeni i pomaszerowała do kuchni.

— Za mną, *yebit* — rzuciła ostro przez ramię.

Frontowe drzwi zawsze były zamknięte, ale klucz zostawiano w drzwiach. Oznaczało to, że jeśli musiałam wyrzucić śmieci, mogłam samą je otworzyć. Zamek bardzo zgrzytał i słychać go było w całym domu. Teraz po raz pierwszy Hanan wyjęła klucz. Po raz pierwszy też zwróciła się do mnie *yebit* — tą samą okrutną obelgą, której używała Rahab. Zrozpaczona poszłam za nią do kuchni.

— Mówiłam ci, *yebit!* Mówiłam! — napadła na mnie z krzykiem. — Nie wolno ci wychodzić na zewnątrz. Tam jest niebezpiecznie. Nie słuchasz, co do ciebie mówię? — Teraz przypominała mi Rahab. Do takiego zachowania przywykłam w Chartumie. Znow traktowano mnie jak niewolnicę.

— Jeżeli mi nie wierzysz, pozwól, że coś ci powiem — ciągnęła. — To właśnie spotkało ostatnią dziewczynę, która była tu przed tobą. Miała na imię Khayria i była bardzo złą dziewczyną. Któregoś dnia wyszła i nigdy nie wróciła. Po prostu zniknęła. Albo ktoś ją zamordował, albo zgubiła się w tym ogromnym mieście. A może po prostu umarła z zimna. Nie wiemy. Nigdy jej nie znaleźliśmy. Jeżeli wyjdiesz na zewnątrz, spotka cię to samo. Tu jest niebezpiecznie. Teraz mnie rozumiesz?

— Tak, Hanan — wyszeptalam.

— Cokolwiek się z nią stało, już nigdy nie wróci do Sudanu, więc nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Nigdy więcej. Chcesz, żeby z tobą stało się to samo?

— Nie, Hanan.

— Więc nigdy więcej nie wolno ci wychodzić na dwór. Słyszysz? To zabronione. Jeżeli to zrobisz, sama zobaczysz, co cię spotka. W Londynie jest wielu złych ludzi. Znajdą cię i zabiją. A wtedy nigdy nie zobaczysz rodziny. Chyba nie chcesz, żeby tak się stało?

Podeszła i objęła mnie. Gniew minął i starała się znów być przyjacielska.

— Jeżeli nie będziesz wychodziła i będziesz dobrze pracowała, jadąc do Sudanu, zabierzemy cię ze sobą, żebyś spotkała się z rodziną. Zamierzamy wybrać się tam w tym miesiącu na wakacje. Chciałabyś tego, prawda?

Skinęłam głową.

— Tak, Hanan — powiedziałam.

Nie wierzyłam jednak w jej obietnice. Jakim cudem mogła odnaleźć moją rodzinę, nawet gdyby chciała? To był tylko wybieg, żeby wymusić na mnie posłuszeństwo. Nigdy wcześniej nie okazała cienia zainteresowania moją rodziną. Nigdy mnie o nich nie zapytała, a ja nigdy o nich nie wspominałam. Ale skądś wiedziała, że rozpaczliwie pragnę się z nimi zobaczyć. Jedyne, co umiałam wymyślić, to że powiedziała jej o tym Rahab. To było takie okrutne, te gierki, w które mnie wciągały.

Gdy znalazłam się w swoim pokoju, wróciłam myślami do tego, co Hanan powiedziała o dziewczynie, która była tu przede mną. Biedna Khayria. Skąd pochodziła? Czy także była niewolnicą? Czy uciekła? Jeżeli tak, to dokąd? I jak? Z pewnością nie miała żadnej rodziny tu, w Londynie. Więc kto jej pomógł? Może została zamordowana, dokładnie tak, jak powiedziała Hanan. Wyobraziłam ją sobie zagubioną i samotną na ulicach Londynu. Nie mogłam znieść tej myśli.

Zaczęłam popadać w coraz większe przygnębienie. Wydawało mi się, że moja obecna sytuacja jest bez wyjścia. Zaczęłam żyć przeszłością starając się odtworzyć bliskość i uczucia mojej

rodziny. Najlepiej pamiętałam miłość rodziców i to, jacy byli ze mnie dumni. Myślałam o dniu, w którym wygrałam jeden z wyścigów podczas szkolnego dnia sportu. Szkołę otwarto wcześniej i powitaliśmy wszystkich gości uroczystą paradą. Przymaszerowaliśmy w zwartym szyku przez szkolne podwórze, a potem skłoniliśmy się dyrektorowi, a następnie publiczności. Zauważyłam w tłumie podniecone twarze rodziców. Odbyło się sześć różnych wyścigów — sprint, bieg na długim dystansie, wyścig w workach i nasza własna wersja wyścigu z jajkiem i łyżką.

Zamiast wyścigu z jajkiem i łyżką rozegraliśmy wyścig z cytryną i łyżką. Mieliśmy w górach Nuba dużo kurczaków, ale nikt nie jadał jajek, bo uważano to za marnotrawstwo. Pilnowaliśmy, żeby zawsze wylęgały się z nich kurczęta, bo wszyscy uwielbialiśmy jeść kurczaki. Jajka były więc zbyt cenne, żeby marnować je na prawdziwy wyścig z jajkiem i łyżką. Zamiast tego zaczęliśmy od ukłęknięcia z rękami związanymi za plecami przed kopcem ziemi, na szczycie którego leżały cytryny. Każde z nas trzymało w ustach łyżeczkę. Musieliśmy pochylić się, podnieść cytrynę łyżką i wystartować do biegu. Pierwsza osoba, która przekroczyła linię mety z cytryną wciąż leżącą na łyżce, zostawała zwycięzcą.

W pierwszym roku szkoły to ja wygrałam ten wyścig. Byłam taka dumna — udało mi się pokonać nawet chłopców z mojej klasy, w tym Mohameda, klasowego kujona. Pod koniec dnia poszłam odebrać od dyrektora szkoły nagrodę. Była to torba słodczy, ołówek i zeszyt do ćwiczeń. Byłam taka szczęśliwa, ponieważ wiedziałam, że rodzice są tam i mnie obserwują.

Gdy wróciliśmy do domu, mama mocno mnie uściskała. „Tak się martwiłam, powiedziała. Zwłaszcza wtedy, kiedy zobaczyłam, jak szybko biegniesz. Ale wygrałaś!”. Ojciec odegrał dla mnie powtórkę z biegu w workach, skacząc po podwórzu w starym worku po prosie. Wszyscy skręcaliśmy się ze śmiechu. Potem wyjęłam torbę ze słodczami. Połowa już została zjedzona, ale resztą poczęstowałam rodzinę. Dla nas

była to uczta życia, bo nigdy nie było nas stać na kupowanie takich przysmaków.

Po tym, jak Hanan przyłapała mnie na obserwowaniu wesela, drzwi wejściowe były zawsze zamknięte. Coraz częściej używała wobec mnie wyzwiska *yebit* i wymyślała mi. „Dlaczego nie zrobiłaś tego, co ci kazałam? Nie słyszałaś, *yebit*, krzyczała na mnie. Jesteś głucha? Jesteś głupia?”.

Pewnego dnia około czwartej po południu usłyszałam dzwonek do drzwi. Trochę za wcześnie, żeby Al Koronky przywiózł dzieci ze szkoły. Chłopcy wpadli do domu i przyłączyli się do mnie w kuchni.

— Dlaczego wróciliście wcześniej? — zapytałam. — Gdzie ojciec?

— Musi zostać w pracy do późna — wyjaśnił Mohamed, wyjmując z lodówki colę.

— Więc kto was przywiózł?

— Kierowca z ambasady. Przyjechaliśmy też samochodem z ambasady.

— Jakiej ambasady? Dlaczego jechaliście ich samochodem?

— Mój ojciec pracuje w ambasadzie sudańskiej. Nie wiedziałaś?

— Nie — odparłam. — A co tam robi?

— Pełni obowiązki ambasadora — z dumą wyjaśnił Mohamed. — Wiesz, co to znaczy?

— Nie.

— W tej chwili jest w ambasadzie najważniejszą osobą. Człowiek, który jest jakby dyrektorem ambasady, ambasador, na jakiś czas wyjechał do Sudanu, więc mój ojciec zajął jego miejsce.

Właściwie nie zrozumiałam, co mówił Mohamed, ale stało się dla mnie jasne, że Koronky musi być kimś bardzo ważnym w sudańskim rządzie. Wiedząc, jaki jest potężny, zaczęłam bać się go jeszcze bardziej.

Mijały tygodnie i popadałam w coraz większą depresję. Czułam się taka osamotniona. W Chartumie przynajmniej dzieci

Rahab traktowały mnie z miłością, ale dla synów Hanan byłam kimś obcym. Nie opuszczałam domu i pracowałam od świtu do północy — niekochana, wszystkim obojętna. Znalazłam się w pułapce w środku tego dziwnego miasta, które, jak mi powiedziano, jest ponure i niebezpieczne. Miałam tylko pracę, pracę, pracę. Jedyne, na co czekałam, to sen w zimnym pokoiku.

Nowi państwo obudzili we mnie nadzieję, ale teraz wszystko się zmieniło. Płakałam po nocach, czułam się jak w więzieniu, tysiące mil od domu. Rozpaczliwie usiłowałam przypomnieć sobie cudowne dzieciństwo w górach Nuba. Tam zawsze był ktoś, z kim mogłam porozmawiać, pobawić się, pośmiać, ktoś, z kim mogłam usiąść i zjeść, przed kim mogłam się wypłakać. Dlaczego moje życie stało się takie puste i beznadziejne?

Przypomniałam sobie o moich marzeniach, żeby zostać lekarzem. Pamiętałam, jak rozmawiałam o tym z ojcem, a on obiecał mi wsparcie. Gdy o tym rozmyślałam, łzy same napływały mi do oczu.

A teraz czułam się, jakbym została na zawsze uwięziona w tym domu w Londynie. Myślałam o Ashy, starej kobiecie z plemienia Nuba, którą spotkałam w domu handlarza niewolnikami. Tak jak mnie, schwytano ją jako dziewczynkę, ale kiedy ją poznałam, była już starą kobietą. Czy skończę tak samo, spędzając resztę życia w niewoli?

## Samobójstwo?

Miałam wrażenie, jakbym już nie żyła i była duchem, bezwolnie przechodzącym z jednego dnia w następny. Nic dziwnego, że zaczęłam myśleć o tym, żeby się zabić. W kuchni było dużo ostrych noży. Podczas napadu na naszą wieś widziałam napastników dźgających ludzi w szyje i serca, więc uznałam, że to musi być najłatwiejszy sposób na zabicie kogoś. Może to także najlepszy sposób na zabicie siebie?

Pewnego dnia wzięłam nóż i wolno przejechałam nim po palcu wskazującym. Ostrze bez trudu cięło do krwi. Myślałam, żeby pójść do swojego pokoju, położyć się na łóżku i po prostu pchnąć się nożem. Nie bałam się. Miałam tylko nadzieję, że umrę szybko i nie będę cierpieła. Zabicie się wydawało się znacznie lepszą alternatywą niż pozostanie przy życiu. Jedynym moim zmartwieniem było to, że Hanan odkryje mnie, zanim umrę, i zawiezie do szpitala.

Gdy rozmyślałam o samobójstwie, zaczęłam też zastanawiać się, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdybym nie opuściła gór Nuba. Miałam teraz mniej więcej dwadzieścia lat. W plemienu Nuba nie zapisujemy dat urodzenia i nie obchodzimy urodzin, ale potrafiłam z grubsza ocenić swój wiek. Nawet gdybym poszła na studia, żeby zostać lekarzem, i tak wyszłabym za mąż przed piętnastymi urodzinami. Taka była tradycja. Mój

narzeczony z dzieciństwa, Juba, przyszedłby i upomniał się o mnie, a potem odbyłaby się ślubna ceremonia, taka sama, jaką miała moja siostra Kunyant. Zbudowalibyśmy własny *shal*, w pobliżu chat mamy, ojca i obu siostr. Pewnie miałabym już własną rodzinę.

Tak dobrze pamiętałam dzień, w którym mama powiedziała mi, że jestem zaręczona z Jubą. Miałam wówczas niespełna siedem lat i nosiłam wyłącznie sznurek paciorków wokół talii. To były drobne czerwone i białe paciorki z jednym dużym, czerwonym z przodu. Któregoś wieczoru mama powiedziała, że chce mi je zdjąć i zastąpić sznurkiem czarnych koralików.

— Ale ja je uwielbiam, *umi*, proszę, nie zabieraj mi ich — rozpłakałam się. — Nie chcę nosić tych okropnych czarnych.

— Nie martw się, Mende — odparła. — Chcę je tylko nawlec na nowo. Jeżeli tego nie zrobię, nitka pęknie i je zgubisz. Zaraz dostaniesz je z powrotem.

Gdy nachyliła się, żeby założyć mi czarne paciorki, oznajmiłam:

— Nie chcę tych czarnych. Chcę moje własne.

— Dlaczego są dla ciebie takie ważne? — zapytała mama ze śmiechem.

— Ty mi je dałaś, więc są wyjątkowe.

— Nie, to nie ja — odparła, kręcąc głową. — Te paciorki dał ci twój narzeczony, mężczyzna, który się z tobą ożeni.

— Ja też wezmę ślub, tak samo jak Musa i Kunyant? — wykrzyknęłam z niedowierzaniem. — Czy to prawda, *umil* — Mama skinęła głową, a ja zaczęłam tańczyć z radości po podwórzu. — Kunyant, Kunyant, pewnego dnia ja też wyjdę za mąż, tak samo jak ty! — zawołałam najgłośniejszym głosem.

— Jesteś jeszcze mała, dlaczego tak się cieszysz na wyjście za mąż? — zapytała Kunyant ze śmiechem. — Ja nie chcę być mężatką chociaż jestem starsza!

Wtedy ojciec chwycił mnie za rękę i posadził sobie na kolanach.

— Nie jesteśmy jeszcze gotowi odstąpić cię mężowi — zachichotał. Splunął dwukrotnie na czubek mojej głowy i pogładził

po włosach, co jest tradycyjnym w plemienu Nuba błogosławieństwem. — Niech Allah cię chroni i błogosławi, żebyś była szczęśliwa i dobrze wyszła za mąż.

— Kto się ze mną ożeni? — zapytałam mamę.

— Cóż, to dobry, odważny człowiek. Ma wielkie pola i hoduje proso. Postanowił cię poślubić, ponieważ słyszał, z jakiej dobrej rodziny pochodzisz — powiedziała z dumą mama. — Słyszał, że twój ojciec jest bardzo silny i odważny. Ale mieszka daleko, więc nie zobaczysz go, dopóki nie dorośniesz. Kiedy nadejdzie pora, przyjdzie po ciebie i wyjdiesz za mąż.

Kontrast szczęśliwego życia w rodzinnym domu z sytuacją, w jakiej znalazłam się teraz, sprawił, że poczułam się jeszcze bardziej beznadziejnie. Długo rozważałam, jak najlepiej się zabić i jak to zrobić, żeby nie znaleziono mnie, zanim umrę. Jedno mnie powstrzymało: Hanan za parę tygodni wyjeżdżała do Sudanu. Obiecała, że zabierze mnie ze sobą i że znów zobaczą rodzinę. Właściwie nie wierzyłam jej. Byłam pewna, że wykorzystuje to jako sposób na kontrolowanie mnie, ale oczywiście jakaś część mnie chciała wierzyć, że naprawdę mnie ze sobą weźmie. Ta nadzieja pomagała mi przetrwać z dnia na dzień. Uznałam, że poczekam i zobaczą, co się wydarzy. Nie byłam naiwna, ale dzięki tej nadziei miałam po co żyć.

W tym samym czasie zaczęłam bardzo źle się czuć. Co rano znajdowałam na poduszce kępy włosów. Zaszokowana zdałam sobie sprawę, że wypadają. Gdy spojrzałam w lustro, doszłam do wniosku, że wyglądam na wyczerpaną i chorą. Twarz miałam wychudzoną i żółtą, ramiona zgarbione jak u staruszki. Moja skóra zrobiła się sucha i łuskowata jak u ryby i schodziła płatami.

Którejś nocy obudziłam się z pulsującym bólem w ustach. Ząb bolał mnie tak bardzo, że nie mogłam zasnąć. Zastanawiałam się, co robić. Gdy byłam dzieckiem, moją mamę też rozboleł ząb. Przyglądałam się, jak uciera trochę soli z liściem pewnego drzewa i wkłada tę papkę do ust. Chociaż nie mogłam znaleźć tego drzewa tu, w Londynie, wiedziałam, że w kuchni jest sól.



Zrobiłam kompres z waty z solą i włożyłam to do ust. Gdy wychodziłam z kuchni, zjawiła się Hanan ubrana w szlafrok.

— Dlaczego nie śpisz o tej porze? — zapytała podejrzliwie.

— Ząb mnie boli, więc przykładam do niego sól.

— Gdzie cię boli? — zapytała, wyjmując z lodówki mleko.

— Tutaj — powiedziałam, wskazując miejsce w ustach, z tyłu — i cała ta strona twarzy.

— Oczywiście, że w ustach — stwierdziła zirytowana. — Nie widzę, gdzie pokazujesz, kiedy tak wkładasz tam palec. Rano dokładnie to obejrzymy.

Sól trochę zmniejszyła ból i udało mi się zasnąć. Następnego dnia wstałam i jak zwykle zaczęłam pracę.

— No i jak się czujesz? Lepiej? — zapytała Hanan, gdy zeszła do kuchni.

— Tak, lepiej — skłamałam.

— To dobrze — odparła z wyraźną ulgą. — Dentysta w Londynie jest bardzo drogi.

Przez jakieś osiem lat Rahab, z wyjątkiem wypadku w kuchni, ani razu nie zabrała mnie do lekarza, nawet kiedy miałam malarię, więc po prostu przyjęłam do wiadomości, że Hanan również mnie do lekarza nie zabierze. Niedługo potem zaczęła szykować się do wyjazdu do Sudanu. Całymi dniami kupowała prezenty, zostawiając dzieci pod moją opieką. Wracała obładowana upominkami w fantazyjnych opakowaniach. Rozpaczliwie wypatrywałam jakiegokolwiek znaku, że zabierze mnie ze sobą. Nigdy jednak o tym nie wspomniała. Czułam taką złość, że chciałam wrzeszczeć i krzyżeć. Któregoś ranka Hanan zajmowała się w bawialni pakowaniem i zawołała mnie, żebym jej pomogła. Uklękłam przy niej i zaczęłam składać dziecięce ubranka.

— *Yebit*—zaczęła wolno — wiesz, że w przyszłym tygodniu jadę na wakacje do Sudanu. Jadę sama, zostawiam cię tu z dziećmi i moim mężem. Po tygodniu do mnie dołączą, a ty zostaniesz tutaj. Rozumiesz?

Zapadła cisza. Gotował się we mnie taki gniew, że nie mogłam mówić. W końcu cicho, ale stanowczo, odparłam:

- Nie.
- Przepraszam?
- Powiedziałam nie — powtórzyłam. Byłam zaskoczona własną odwagą. — Nie zostanę sama z twoim mężem. Nie mogę. To niewłaściwe.
- Co ty powiedziałaś? — zapytała z niedowierzaniem. — Mam nadzieję, że nie powiedziałaś tego, co sędzę, że powiedziałaś.
- Powiedziałam, że nie mogę zostać sama z twoim mężem — powtórzyłam stanowczo. Gniew dodawał mi odwagi.
- Co?! — naskoczyła na mnie. — Mówisz, że nie ufasz mojemu mężowi! Jest ważnym człowiekiem w rządzie. To dobry, porządny człowiek. Jak śmiesz sugerować coś innego! Będą tu też dzieci. W czym problem?
- Nie mówię nic przeciw twojemu mężowi — odparłam. — Ale jest niewłaściwe, żebym została tu sama z mężczyzną. Jestem niezamężną kobietą i w islamie to niedozwolone. To wszystko.
- Hanan milczała przez kilka sekund. W Chartumie Rahab zaprzeczała, że jestem muzułmanką, twierdząc, że islam nie jest dla czarnych. W jej mniemaniu to usprawiedliwiało poniżanie mnie. Ale Hanan nigdy nie miała nic przeciwko mojej wierze. Ona, i jej mąż szcycili się, że są dobrymi muzułmanami. Zastanawiałam się, jak mogli tak myśleć, traktując mnie, muzułmankę, w tak okrutny sposób. Gdy studiowałam Koran w szkole, nauczyłam się, że ludzie są jak zęby grzebienia — wszyscy jednakowi i równi. Jako muzułmanką, Hanan wiedziała, że nie powinna postępować wbrew zasadom islamu, gdy chodzi o innego muzułmanina. Wykorzystałam to teraz przeciwko niej. Czułam się pewniej: znalazłam sposób, żeby stawić jej czoło. A przynajmniej tak myślałam.
- Tak, oczywiście, wiem — powiedziała w końcu. — Ale to nie jest jakiś tam mężczyzna, prawda? To mój mąż. Wiesz, że możesz mu ufać. Jest bardzo religijny i bardzo uważający, jeśli chodzi o te kwestie. Pomyśl o tym, jestem pewna, że zmienisz zdanie.

I na tym zakończyła temat. Ale tydzień później przyszła do mnie i przedstawiła mi inny plan. Cała rodzina pojedzie do Sudanu, a ja zamieszkać u jednego z ich przyjaciół w Londynie.

— Co to za przyjaciel? — zapytałam. — Czy jest żonaty?

— Tak — powiedziała niecierpliwie — jest żonaty. Ma porządną muzułmańską żonę i dzieci. Więc zamieszkaś w ich domu. Czy to cię zadowala?

— Tak. — To powinno być właściwe.

Ale dzień przed wyjazdem Hanan powiedziała mi, że plany znów się zmieniły. Ona wyjeżdża z dziećmi, ale mąż zostanie jeszcze przez tydzień. Ja też, żeby się o niego troszczyć. Potem on dołączy do rodziny, a ja zamieszkać w domu ich przyjaciela. Teraz miałam przez tydzień mieszkać sama z jej mężem. W islamie było to niedopuszczalne.

— Dlaczego zmieniłaś zdanie? — zapytałam przestraszona. — Tak jest jeszcze gorzej niż poprzednio. Wiesz, że nie mogę zostać tu sama z mężczyzną.

— Nie ma o czym mówić, *yebit* — rzuciła ostro, odwracając się do mnie. — Ani słowa więcej na ten temat. Mój mąż ma tu w Londynie pewną bardzo ważną pracę, więc zostaje i ty także. I na tym koniec.

Byłam zła i zdenerwowana. Hanan nie zabiera mnie do Sudanu, nie zobaczę mojej rodziny, a w dodatku zostawia mnie w Londynie samą ze swoim mężem. W nocy prawie nie spałam. Wpadłam w czarną rozpacz, bo teraz wiedziałam na pewno, że nie zobaczę mojej rodziny. I przerażało mnie zostanie w domu sam na sam z Alem Koronkym.

Następnego dnia, gdy skończyłam pracę, poszłam do swojego pokoju i płakałam, i płakałam. Gdy tak szlochałam w poduszkę, przypominały mi się wszystkie momenty w życiu, gdy przebywałam sam na sam z mężczyzną. Czułam się wtedy bezpieczna i spokojna, ponieważ tym mężczyzną był mój ojciec. Kiedyś poszliśmy razem na pole, szykując się do sadzenia prosa.

Któregoś wieczoru leżałam z głową na jego kolanach i gawędziliśmy przy ogniu. Chmury otulały górskie szczyty jak koc.

— Popatrz, Mende — powiedział ojciec — chmury otulają góry.

— Któregoś dnia, **ba**, bardzo bym chciała dotknąć chmur — oznajmiłam rozmarzona. — Jakie są, twarde czy miękkie?

— Cóż, dawno temu niebo znajdowało się tak nisko, że można było dotknąć chmur. Ale pewnego dnia chciwa kobieta szykowała wielką misę kleiku z prosa. Gdy podsyciała ogień, pomyślała sobie, że mogłaby wziąć chmury i zjeść je z kleikiem, bo były miękkie i kremowe jak masło. Wreszcie kleik zaczął wrzeć. Ale kiedy już miała chwycić trochę chmur i zjeść, niebo zauważyło, jaki wielki rozpałała ogień, i bardzo się zaniepokoiło, ponieważ bało się, że rozpuszczą się wszystkie chmury. Bało się tak bardzo, że pędem uciekło od ziemi, aż znalazło się tak daleko i wysoko jak teraz. Więc gdyby nie ta chciwa kobieta, mogłabyś sięgnąć i dotknąć nieba i sprawdzić, jakie miękkie są chmury.

Przestałam płakać. Myśl o ojcu podniosła mnie na duchu na tyle, by znów stawić czoło światu. Gdy wyszłam ze swojego pokoju, dom wydawał się całkiem opuszczony. W salonie i kuchni panował bałagan, więc wzięłam się do sprzątanía. Przynajmniej mogłam czymś się zająć. Nagle usłyszałam otwierające się na górze drzwi i dźwięk głosów. Weszłam cicho po schodach i zajrzałam do górnego salonu. Al Koronky siedział sam, oglądając telewizję, przed nim na podłodze leżały niedzielne gazety.

— Gdzie jest Hanan? — zapytałam drżącym głosem.

— Nie wiesz? Pojechała na lotnisko z dziećmi.

— Nie pożegnali się ze mną?

— Nie. A dlaczego mieliby to robić? — rzucił ostro. — Byli spóźnieni i się spieszyli. A teraz zaparz mi kawę.

## Moi wybawiciele

Pod koniec tygodnia Koronky także wyjechał do Sudanu. Musiałam pojechać z nim na lotnisko, a potem kierowca zawiózł mnie do domu jego przyjaciół. Przed wyjazdem Hanan udzieliła mi dokładnych instrukcji, co mogę, a czego nie mogę robić podczas pobytu u nich.

— Rób wszystko, o co cię poproszą—powiedziała. — Bądź pomocna i posłuszna. Ale najważniejsze, żebyś nie ruszała się z domu. Bez względu na wszystko nie wolno ci wychodzić, nie licząc tego, że Omer zabierze cię, żebyś sprzątnęła nasz dom, a będzie to robił co tydzień.

Zostałam podrzucona pod dom, w którym miałam zamieszkać, około siódmej wieczorem. Drzwi otworzył szeroko uśmiechnięty Arab.

— Witamy, witamy. — Wziął moją małą torbę. — Wejdz, wejdz. Ty jesteś Mende?

Gdy tylko zrobiłam pierwszy krok, wyczułam w tym domu atmosferę szczęścia. Od razu poczułam się jak u siebie.

— Jestem Omer — mówił mężczyzna, prowadząc mnie korytarzem. — Chodź, Mende, poznaj moją żonę. Ma na imię Rabab.

— Cześć, Mende — powiedziała Rabab, mocno mnie ścisnąc. — Od tygodnia na ciebie czekam. I wreszcie przyjechałaś.

Czego chcesz się napić? Wchodzi. Jest herbata, kawa, sok owocowy albo mleko. Na co masz ochotę?

Z początku przytłaczała mnie ich uprzejmość i nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam natychmiast ukryć się w kuchni. Ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że Rabab i Omer to naprawdę dobrzy ludzie. Mieli dwie córki w wieku pięciu i siedmiu lat. Ponieważ dom był mały, oddali mi pokój młodszej córki, podczas gdy ona miała dzielić pokój z siostrą. Był uroczy, z dużym oknem wychodzącym na ulicę. Pozwolono mi spać do późna, a potem wziąć prysznic. Sypiałam do dziesiątej albo dłużej. Potem schodziłam na dół i jadłam z Rabab śniadanie.

Jeśli świeciło słońce, Rabab proponowała piknik w parku. Szło się do niego dziesięć minut spacerem ładnymi uliczkami, przy których stały ceglane domy. Z początku bałam się wychodzić z powodu wszystkich ostrzeżeń Hanan. Rabab pozwalała swoim dziewczynkom biec ulicą przed nami, najwyraźniej nie uważała, żeby cokolwiek im zagrażało. W parku znajdował się plac zabaw i dzieci uwielbiały bujać się na huśtawkach i kręcić na karuzeli.

Tamtej niedzieli Rabab zabrała mnie na wielki rynek w miejscu, które nazywało się Shepherds Bush. Chciała kupić prezenty dla wszystkich swoich przyjaciół i rodziny w Sudanie. Kupiła ubrania, zabawki i urządzenia elektryczne, a dla mnie biały stanik z koronki. Był to bardzo miły gest, ale ponieważ przez dwadzieścia lat nie nosiłam stanika, uznałam, że jest raczej niewygodny. Zabierała mnie też ze sobą, gdy odwiedzała przyjaciółki, więc siedziałam i plotkowałam, jakbym była wolnym człowiekiem. Zaczynało mi się to podobać. Zdałam sobie sprawę, że Hanan okłamała mnie co do Londynu. To wcale nie było złe ani niebezpieczne miejsce. Właściwie wydawało się bardzo miłe i przyjazne.

W każdą sobotę po lunchu Omer zabierał mnie do domu Koronkych na sprzątanie. Był tam jeden ciekący grzejnik z podstawionym wiadrem. Musiałam je opróżnić, żeby woda nie przeciekła przez sufit, ale poza tym nie miałam zbyt wiele

do roboty, ponieważ nikt nie bałaganił ani nie brudził. Któregoś dnia dzieci Hanan pokazały mi, jak włączać telewizor i zmieniać programy, więc siedziałam i oglądałam telewizję, dopóki Omer po mnie nie przyjechał.

Wszystkie programy były po angielsku, więc nic z nich nie rozumiałam, ale mogłam patrzeć na obrazy. Oglądałam sobotnią operę mydlaną (teraz wiem, że nosi tytuł *Family Affairs*). Z zaciekawieniem przypatrywałam się, jakie naprawdę jest życie w Anglii. Ze zdumieniem zauważyłam, że wiele postaci w telewizji całuje się i ściska. Pokazywano nawet ludzi w łóżku. Byłam zaszokowana, szczególnie gdy niektórzy mężczyźni najwyraźniej całowali dwie różne kobiety *hawaja*. Uznałam, że to oznacza, iż muszą mieć więcej niż jedną żonę, jak mężczyźni w górach Nuba.

Za pierwszym razem, gdy Omer zabrał mnie do Koronkych, zamknął drzwi wejściowe od zewnątrz. Gdy jednak nadeszła druga sobota, wręczył mi klucz i powiedział, kiedy po mnie przyjedzie. Nikt mnie już nie zamykał. Nikt nie pilnował. Traktowali mnie jak zwykłego członka rodziny.

— Mieszkałaś z siostrą Hanan, Rahab, w Chartumie, prawda? — zapytał Omer któregoś wieczoru, gdy zjedliśmy kolację.

— Tak. Byłam u niej kilka lat przed przyjazdem tutaj.

— To miło — stwierdziła Rabab. — Więc znasz całą rodzinę?

Skinęłam głową. Było jasne, że nic nie wiedzą o mojej sytuacji. Nie chciałam im o tym mówić. Mimo przyjacielskiego zachowania, nie ufałam im. Martwiłam się, że mogą zabronić mi wychodzenia z domu, jeśli dowiedzą się, że jestem niewolnicą. To była jedyna szansa na zakosztowanie odrobiny wolności i za nic nie chciałam jej stracić. Któregoś wieczoru po trzech tygodniach mojego pobytu u Rabab płakałam w swoim pokoju, kiedy Rabab zawołała mnie na kolację. Ich dobroć sprawiała, że mocniej odczuwałam, jak bardzo żałosne jest moje życie. Gdy nie schodziłam na dół, Rabab posłała po mnie córkę Raszę.

— Chodź, Mende, kolacja — powiedziała dziewczynka, wpadając do pokoju. Zauważyła moje łzy. — Dlaczego płaczesz, Mende? — zapytała, wspinając się, żeby usiąść obok mnie na łóżku.

— Nie płaczę, Rasha — powiedziałam, ocierając oczy. — Po prostu boli mnie głowa.

Usłyszałam Omera wołającego z dołu:

— Chodźcie wy dwie! Mende, Rasha! Zejdźcie na dół na kolację. Czekamy.

— Tato, Mende płacze — krzyknęła Rasha.

Omer wszedł na górę, żeby się do nas przyłączyć.

— No, Mende — powiedział łagodnie — o co chodzi? Czemu płaczesz? Zejdź na dół i zjedz z nami.

— To nic takiego — powiedziałam, kręcąc głową. — Nie jestem głodna. Nie chcę niczego jeść, tylko tyle.

— Cóż, jeżeli ty nie jesz, my też nie — oznajmił Omer. — Wtedy wszyscy będziemy chodzili głodni.

Roześmiałam się i osuszyłam łzy, a potem zesłam z nim na dół.

— Co się stało, Mende? — zapytała Rabab, kiedy usiadłam przy stole. — Myślisz o swojej rodzinie? Wszyscy tęsknimy za naszymi rodzinami, nie płacz. No, dalej. Jedzmy, bo wystygnie.

Następnego dnia była sobota i Omer po raz trzeci zabrał mnie do domu Koronkych. Ponieważ nie miał samochodu, pojechaliśmy autobusem. Dotarcie tam zajmowało około trzydziestu minut i Omer spędzał czas na pogawędce ze mną. W końcu zapytał:

— Mende, dlaczego wczoraj płakałaś?

Płakałam, ponieważ czas spędzony z Rabab i Omerem przypomni mi moje szczęśliwe, pełne miłości dzieciństwo.

— No, proszę cię, mnie możesz powiedzieć — nalegał. — Czy ktoś cię źle traktował? Tak? Czemu jesteś smutna?

— Nie — odparłam cicho. — Nikt mnie źle nie traktował.

— Więc dlaczego płakałaś? No, proszę, powiedz mi. Czym się martwisz?



— Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy — powiedziałam, wyglądając przez okno i czując wzbierające łzy. — Byliście o wiele miłsi niż ktokolwiek w domu Koronkych.

— Czy dlatego płakałaś? Ponieważ byli dla ciebie niedobrzy?

— Nie — skłamałam. — Tylko tęsknię za moją rodziną.

— Hej, każdy tęskni za rodziną. Ja też tęsknię za swoją. To nie powód, żeby płakać. Jeżeli ciężko pracujesz tu, w Londynie, możesz zarobić niezłe pieniądze i część im wysłać. Ja właśnie tak robię.

Skinęłam głową.

— A właściwie, co takiego robisz w domu Koronkych?

— Wszystko. Sprzątam dom. Piorę i prasuję. Gotuję, zmywam, opiekuję się dziećmi.

— Robisz to wszystko? — zapytał, marszcząc brwi. — Ile godzin dziennie pracujesz?

— Godzin? Jak to godzin? — powiedziałam, kręcąc głową. — Po prostu pracuję cały czas.

— Jak to pracujesz cały czas?

— Pracuję cały czas.

— Słuchaj, jesteśmy na miejscu. — Autobus zatrzymał się właśnie pod domem Koronkych. — Teraz muszę jechać do pracy, ale mam kilka pytań, które chcę ci później zadać.

Gdy tylko zajęliśmy miejsca w autobusie w drodze powrotnej do domu, zaczął znowu:

— No więc powiedz mi dokładnie, jak długo codziennie pracujesz?

Milczałam przez kilka chwil, po czym powiedziałam:

— Nie mogę ci więcej powiedzieć.

— Dlaczego nie? — zapytał zaskoczony.

— Ponieważ nie wiem, czy mogę ci ufać.

— Co to ma znaczyć? — Wydawał się urażony.

— Jeżeli ci powiem, możesz powtórzyć Koronky'emu — wyszeptałam, wyglądając przez okno. — Albo Rabab, a potem ona powie Hanan.

— Nie bądź niemądra. Nikomu nie powiem. To zostanie między nami. Jeżeli mi powiesz, może będę mógł ci pomóc. Jeżeli mi nie powiesz, nic z tego, prawda? Musisz komuś zaufać.

— Dotarliśmy do domu — stwierdziłam z ulgą gdy autobus zatrzymał się na naszym przystanku.

— Dobrze, ale porozmawiajmy znów w następną sobotę. Chcę, żebyś mi powiedziała, co się dzieje.

Omer pracował z Alem Koronkym w ambasadzie, więc obawiałam się, że wszystko mu powtórzy. Ale wiedziałam też, jaka byłam szczęśliwa i jak dobrze się czułam podczas tych kilku tygodni, gdy mieszkiałam z jego rodziną. Zaczęłam nawet przybierać na wadze. W następną sobotę zdecydowałam, że odpowiem na pytania Omera.

— Słuchaj, Mende, będziesz musiała mi zaufać. Nic nikomu nie powiem i postaram ci się pomóc. Obiecuję.

— Dobrze — powiedziała cicho. — Co chcesz wiedzieć?

— No tak... Więc ile dokładnie godzin dziennie pracujesz?

— Cały dzień. Cały dzień codziennie, przez cały tydzień.

— Jak możesz pracować cały dzień? Musisz być wyczerpana. Czy oni nigdy nie dają ci wolnego?

— Nie dają. I tak, jestem wyczerpana.

— Ale nie mogą cię zmuszać, żebyś tak pracowała. Musisz mieć dni wolne. Tak mówi prawo.

— Ale zmuszają.

— Dobrze — westchnął. — Więc ile ci płacą za godzinę pracy?

— Co?

— Płacą — powtórzył. — No, wiesz, twoja pensja. Płacą ci od godziny, za tydzień, czy jak to działa?

— Nie dostaję żadnej zapłaty.

— Co to ma znaczyć, że nie dostajesz zapłaty? To niemożliwe.

— Cóż, nic mi nie płacą.

— Dlaczego? Słuchaj, Mende, Koronky świetnie wie, że tutaj w Londynie nie można zmuszać ludzi, żeby pracowali za

darmo. I nie mogą ci kazać pracować przez cały tydzień, bez wolnego. To nielegalne. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć? W ambasadzie, gdzie obaj pracujemy, mamy kobiety, które zajmują się sprzątaniami. Płacą im za każdą przepracowaną godzinę, powiedzmy od dziewiątej do piątej czy coś w tym rodzaju. I mają pewną liczbę wolnych dni co miesiąc.

— Cóż, ja tylko pracuję i nikt mi nic nie płaci — wymamrotałam.

— Słuchaj, nie mów Koronki'emu, że ja ci to powiedziałem, ale nie mogą kazać ci pracować, nie płacąc. To nielegalne. Mówisz mi prawdę, tak? Naprawdę nic ci nie płacą?

— Powiedziałam ci: nic mi nie płacą — powtórzyłam. Zaczynałam być zła. Miałam wrażenie, że Omer mi nie wierzy.

— Cóż, jeśli to prawda, dlaczego w ogóle przyjechałaś do Londynu, żeby dla nich pracować? I jeżeli ci nie płacą dlaczego po prostu nie odejdziesz i nie znajdziesz innej pracy?

Nie odpowiedziałam. Wyglądałam przez okno.

— Spójrz na mnie, Mende — powiedział zirytowany. Chwytał mnie za brodę i odwrócił moją głowę. — Słuchaj, chcę, żebyś zrozumiała, że nikt nie pracuje w Londynie, jeżeli mu nie płacą. Takie jest tutaj prawo.

Skinęłam głową i znów odwróciłam się do okna. Nie rozumie, pomyślałam. Świetnie wiedziałam, że normalni, wolni ludzie nie pracują za darmo. Oczywiście, że o tym wiedziałam. I wiedziałam, że normalni ludzie pracują określoną liczbę godzin i mają dni wolne. Aleja nie byłam „normalnym człowiekiem”. Zawsze zmuszano mnie do pracy za darmo. Nigdy nie zaznałam niczego innego. Byłam niewolnicą, za którą zapłacono.

Gdy myślę o tym teraz, dochodzę do wniosku, że Omer mógł domyślić się, jaka jest naprawdę moja sytuacja. W końcu był Sudańczykiem, a w Sudanie niewolnictwo nie jest takie rzadkie. Ale może nie chciał tego wiedzieć? Gdyby odkrył całą prawdę, musiałby zgłosić to policji. A to oznaczałoby konieczność konfrontacji z jednym ze starszych kolegów z pracy. Byłby to koniec jego kariery dyplomatycznej.

Byłam jednak Omerowi wdzięczna. Tych kilka tygodni spędzonych w jego domu pokazało mi, że Londyn jest jednak dobrym, przyjaznym miejscem. Dzięki temu, jak traktowała mnie jego rodzina, zdałam sobie sprawę, że znowu mogę być człowiekiem. A teraz Omer pomógł mi zrozumieć, że jestem osobą, która ma prawa, i że w tym kraju nie można trzymać kogoś jako niewolnika. Otworzył mi oczy na moją rzeczywistą sytuację. Po rozmowie z nim postanowiłam, że spróbuję uciec. Jeśli wrócę do życia niewolnicy, to albo mnie to zabije, albo zabiją się sama. Teraz miałam szansę i musiałam ją wykorzystać, zanim wrócą Koronky i Hanan.

Zastanawiałam się, czy mogę poprosić o pomoc Omera, ale uznałam, że z racji bliskiego kontaktu z Koronkym postawiłoby go to w trudnej sytuacji. Musiałam znaleźć kogoś spoza kręgu kolegów i przyjaciół Hanan i Koronky'ego. W Londynie mieszkają na pewno Sudańczycy, wśród których znajdują się ludzie z plemienia Nuba. W minionych tygodniach raz czy dwa byłam już sama w okolicznych sklepach, by zrobić zakupy dla Rabab. Postanowiłam zaproponować, że znów tam pójde i wtedy postaram się poszukać pomocy. Modliłam się do Allaha, żebym w godzinie potrzeby znalazła przyjaciela. Następnego ranka oznajmiłam Rabab, że pójde po zakupy.

— Na pewno sobie poradzisz? — zapytała życzliwie. — Nie zgubisz się, prawda?

— Nic mi nie będzie — zapewniłam ją. — Nie idę daleko.

— Tylko uważaj na ulicy, dobrze? Rozejrzyj się w obie strony i upewnij się, czy nic nie jedzie.

Kiedy załatwiłam, co miałam załatwić, pospiesznie ruszyłam do parku. Dzień był słoneczny i kręciło się tam wielu ludzi. Uważnie przyglądałam się wszystkim spotkanym czarnym, ale nikt nie wyglądał ani nie mówił jak Sudańczyk. Nazajutrz Rabab zabrała mnie na długą wyprawę po zakupy, więc dopiero następnego dnia udało mi się znów wyjść samej. Poszłam do centrum handlowego, mając nadzieję, że może tam dopisze mi szczęście. Po półgodzinie wypatrzyłam w sklepie z butami

czarnoskórego mężczyznę, który, jak uznałam, mógł być Sudańczykiem. Weszłam i stanęłam obok niego. Zbierając całą odwagę, powiedziałam *Salam alejkum*, co po arabsku oznacza „witaj”.

Odwrocił się i uśmiechnął.

— Cześć — powiedział po angielsku.

— Czy mówisz po arabsku? — zapytałam go w tym języku.

— Co? — zapytał, uśmiechając się i wzruszając ramionami. — Przepraszam?

Uśmiechnęłam się przepraszająco, odwróciłam i szybko wyszłam. Byłam zakłopotana i zła na siebie, czułam narastającą rozpacz. Dlaczego nie nauczyłam się choćby kilku słów po angielsku? Rabab i Omer na pewno by mi pomogli, gdybym tylko poprosiła. Teraz bałam się kogoś zaczepić. Myślałam, że będę w stanie rozpoznać Sudańczyka z twarzy, ale się pomyliłam. Następnego dnia zmusiłam się, żeby znów spróbować. Po lunchu powiedziałam Rabab, że chcę wyjść. Dzień był szary, a jej młodsza dziewczynka leżała przeziębiona w łóżku, więc wiedziałam, że będzie musiała zostać w domu i się nią zajmować.

— Dlaczego chcesz wyjść? — zapytała Rabab, zaskoczona. — Jest okropny, zimny dzień.

— Chcę tylko odetchnąć świeżym powietrzem. To nie potrwa długo, tylko spacer do sklepu.

Wiedziałam, że to prawdopodobnie moja ostatnia szansa, żeby poszukać pomocy. Za dwa dni miała wrócić rodzina Koronkych. Przez pół godziny błąkałam się po centrum handlowym, ale nie mogłam wypatrzeć nikogo, kto wyglądałby na Sudańczyka. Zaczynałam czuć się naprawdę beznadziejnie. Może mój pomysł jest po prostu głupi? Może powinnam zrezygnować? Zaczęło padać, więc zatrzymałam się na zadaszonym przystanku autobusowym. Zerknęłam na pobliski warsztat. Kilku chłopaków myło samochody. Mieli na sobie jaskrawożółte kombinezony i w większości byli czarnoskórzy. Miałam wrażenie, że ta praca sprawia im przyjemność.

Z boku inni pracownicy przygotowywali opony i tam wypatrzyłam mężczyznę, który, jak uznałam, mógł pochodzić z południowego Sudanu. Już raz się pomyliłam, ale warto było spróbować. Weszłam, wymijając leżące wszędzie opony i narzędzia. Mężczyzna przykucnął i pompował koło. Podeszłam i stanęłam blisko niego, mając nadzieję, że mnie zauważy i odezwie się pierwszy, ale był skoncentrowany na pracy, a w tle głośno grało radio. W końcu zmusiłam się, żeby przemówić.

— *Salam alejkum* — powiedziała cicho, ale albo mnie nie usłyszał, albo nie zrozumiał. Miałam ochotę odwrócić się i wyjść, jednak zmusiłam się, żeby spróbować ponownie. — *Salam alejkum* — powtórzyłam trochę głośniej.

— *Alejkum wasalam*, siostrzyczko! — wykrzyknął zaskoczony, odwracając głowę, żeby na mnie spojrzeć. — Skąd się tu wzięłaś? — pytał dalej po arabsku.

— Jestem z Sudanu — powiedziała z sercem w gardle.

— Hej! Ja też jestem z Sudanu — uśmiechnął się szeroko. — Ale chodzi mi o to, skąd się teraz wzięłaś? Pojawiłaś się znikąd!

— Och... po prostu wyszłam na zakupy.

— Dobra — skinął głową przesuając się, żeby sprawdzić kolejne opony. — Więc z której części Sudanu pochodzisz? Z południa, tak?

— Nie. Jestem z gór Nuba.

— Nuba? Dobra. Cóż, ja jestem z południa, więc jesteśmy jak brat i siostra. Jak długo jesteś w Londynie? Jak się nazywasz?

— Mam na imię Mende — powiedziała nieśmiało. — Jestem tu od trzech miesięcy.

— Mende. Ładne imię. — Ciągłe się uśmiechał. — O wiele łatwiejsze niż moje. Jestem Aluan Akuat Boi. Trudne, co? — zachichotał. — Gdzie mieszkasz?

— Och, tu w pobliżu — odparłam wymijająco. Na sekundę zapadła cisza, zanim zapytałam: — Czy znasz w Londynie innych ludzi z Sudanu?

— Tak. Bardzo wielu. Szukasz kogoś konkretnego?

— Znasz jakichś ludzi z plemienia Nuba? — Starałam się, aby mój głos nie zdradził przepełniającej mnie rozpaczy.

Zastanawiał się przez parę chwil, po czym uśmiechnął się szeroko.

— Tak — powiedział. — Tak. Znam jedną osobę Nuba.

— Naprawdę?

— Tak — zachichotał. — Chcesz, żebym się z nim skontaktował? Mam jego numer w komórce. Słuchaj, mogę do niego zadzwonić i jeśli chcesz, możesz się z nim spotkać. Wygląda na to, że dałabyś się zabić, żeby spotkać kogoś z Nuba.

— Cóż, tak. Ale czy mogę najpierw porozmawiać z nim przez telefon?

Wiedziałam, że nie będę mogła wyjść jeszcze raz z domu, nie chciałam narażać Rabab i Omera na kłopoty. Musiałam zaczekać, aż wrócą Hanan i Al Koronky. Aluan zadzwonił z komórki. Kiedy już zaczynałam tracić nadzieję, usłyszałam, że ktoś odebrał.

— Halo, Babo? — odezwał się Aluan. — Cześć, to ja. Mam tu kogoś, kto chce z tobą rozmawiać. — Wręczył mi komórkę. — Proszę — powiedział — masz. Ma na imię Babo.

Serce mi podskoczyło. Babo! Babo, imię mojego ukochanego brata. Może to dobry znak?

— Cześć, Babo — wyszeptałam nerwowo. Ręka mi drżała.

— Witaj, siostrzyczko — odpowiedział.

— Twój przyjaciel powiedział mi, jak masz na imię. Czy znasz moje imię?

— Nie, mała siostrzyczko. A jak się nazywasz?

Przełknęłam z trudem. Byłam taka podniecona, że zaschło mi w ustach.

— Nazywam się Mende — powiedziałam. — I nie jestem mała. Mam dwadzieścia lat.

— No dobrze — roześmiał się. — Mówisz, jakbyś była Nuba.

— Tak. Pochodzę z plemienia Karko.

— Karko? Cóż, będziemy musieli w takim razie mówić po arabsku. Języki twojego i mojego plemienia za bardzo się różnią. Więc, siostrzo z plemienia Karko, co robisz u mojego dobrego przyjaciela Aluana?

Odeszłam w ką, żeby nikt nie usłyszał, co mówię.

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedziałam cicho.

— Jakiej pomocy?

— Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi uciec. Musisz uwierzyć w to, co ci zaraz powiem. Jestem trzymana w Londynie jako niewolnica w domu Sudańczyka.

Opowiedziałam mu swoją historię najszybciej jak mogłam. Tamy puściły i nie potrafiłam przestać. Gdy skończyłam, w telefonie zapadła pełna osłupienia cisza.

— Czy mówisz prawdę? — odezwał się w końcu Babo. — Tu, w Londynie? Trzymają cię jako niewolnicę tu, w Londynie?

— Tak. To wszystko prawda. Musisz mi uwierzyć — szlochałam. — Musisz mi pomóc. Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić, a już dłużej nie wytrzymam.

— Dobrze — powiedział łagodnie. — Uspokój się. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, obiecuję. Ale najpierw musimy się spotkać. Teraz nie mogę przyjść. Jestem w pracy. Daj mi numer telefonu, żebym mógł zadzwonić do ciebie później i jakoś to zorganizujemy.

— Nie mam numeru telefonu.

— Nie masz komórki? Albo telefonu, którego możesz użyć?

— Nie.

— Cóż, możesz mi w takim razie podać adres? No wiesz, nazwę ulicy albo numer domu?

— Wiem tylko, że to gdzieś w Willesden Green.

— Nie znasz adresu?

— Nie. — Zaczynałam tracić nadzieję. — Ale wiem, że mój pan wykonuje tu w Londynie bardzo ważną pracę — zdradziłam, mając nadzieję, że to może jakoś pomóc Babo. — Jest wysoko postawiony w sudańskiej ambasadzie.

— Dobrze. Więc jak się nazywa?



- Nazywa się Abdul Mahmoud Al Koronky.
- Dobra. Spróbuję się dowiedzieć, gdzie jest ten dom.
- Jak? — zapytałam niespokojnie. — Proszę, nie pytaj

Koronky'ego ani nic.

— Nie martw się — uspokoił mnie. — Oczywiście, że nie. W sudańskiej społeczności tu, w Londynie, wszyscy się znamy. Dowiem się w ten czy inny sposób.

Babo powiedział, że postara się skontaktować ze mną jak najszybciej. Ustaliliśmy, że jeśli znajdzie numer telefonu, spróbuje zadzwonić do mnie w domu Koronkych. Jeśli rodziny nie będzie, odbiorę i powiem „halo” w języku nuba, żeby wiedział, że to ja. Jeśli telefon odbiorą Hanan albo Koronky, nie odezwie się i odłoży słuchawkę. Babo dał mi też numer swojej komórki, który zapisałam na kawałku papieru. Jeśli będę miała okazję do niego zadzwonić, zadzwonię. Plan nie był idealny, ale najlepszy, jaki zdołaliśmy wymyślić w tych okolicznościach.

Gdy wróciłam do domu Rabab, powiedziałam jej, że oglądałam w sklepach telefony komórkowe i poprosiłam, żeby nauczyła mnie, jak się korzysta z takiego telefonu. Bawiłyśmy się jej komórką i zwykłym telefonem, zmieniając dźwięk dzwonka i udając, że do siebie dzwonimy, aż obie zaczęłyśmy się śmiać z naszych wygłupów. Nazajutrz wcześniej rano musiałam pożegnać się z Rabab, Omerem i dziećmi. O dziewiątej przyjeżdżał kierowca z ambasady, żeby zawieźć mnie do domu Koronkych. Ze łzami w oczach podziękowałam Rabab i Omerowi za ich dobroć, a oni powiedzieli, że będą za mną tęsknili. Koronky mieli wrócić z Sudanu tego samego wieczoru, więc cały dzień spędziłam na gotowaniu, sprzątaniu i zakładaniu świeżej pościeli. O szóstej usłyszałam, że dzwoni telefon. Z podnieceniem zaczęłam się zastanawiać, czy to może być Babo? Popędziłam i podniosłam słuchawkę.

— Halo? — odezwałam się nerwowo. Ale dzwonił Omer. Powiedział, że Koronky i rodzina opóźnili powrót o trzy dni, więc później przyjedzie mnie zabrać. Rozczarowana odłożyłam słuchawkę. Ledwie to zrobiłam, gdy telefon znów zadzwonił.

— Halo? — powiedziałam ponownie. Nie było odpowiedzi. — Halo — powtórzyłam. Potem przypomniałam sobie **0** naszym planie. — *Kenwengjero* — powiedziałam, co znaczy „halo” w języku nuba.

— Mende, czy to ty?

— Babo! — krzyknęłam. — Tak, to ja, Mende.

— Możesz mówić?

— Tak, nikogo tu nie ma. Nie wróćajeszcz przez trzy dni.

— Słuchaj. Udało mi się znaleźć adres, numer telefonu i wszystko. Byłem tam nawet, żeby rzucić okiem na dom. Nadal jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

— Tak! — prawie krzyknęłam do słuchawki. — Muszę się stąd wydostać.

— Dobra. Cóż, jeśli Koronki i reszta wciąż są nieobecni, mogę przyjechać po ciebie teraz?

— Nie możesz. Niedługo zjawi się tu Omer i zabierze mnie z powrotem do siebie, do domu. Jeżeli teraz ucieknę, Omer i Rabab zostaną obwinieni. Byli dla mnie tacy dobrzy, to nie w porządku. Muszę zaczekać, dopóki nie wróca Koronki.

— Cóż, dobrze. Ale to trudniejsze. Skoro wracają za trzy dni, to będzie piątek. Dobra. Przyjadę w poniedziałek. W ten poniedziałek, jedenastego września. To pierwszy dzień, który mam wolny. Dzięki temu będę miał czas, żeby zorganizować samochód. Zrobimy tak. Wynieś śmieci przed dom. Sprawdź, czy nikt cię nie obserwuje. Potem pobiegnij podjazdem najszybciej jak możesz i nie oglądaj się za siebie. Będę na ciebie czekał tuż przy końcu podjazdu. Wszystko jasne? Rozumiesz? Będę tam na ciebie czekał od trzeciej do wpół do czwartej po południu.

— Dobrze — odparłam nerwowo.

— No więc wtedy się zobaczymy, tak? — mówił Babo uspokajająco. — I pamiętaj, nie pakuj torby ani nie rób niczego, co wyglądałoby podejrzanie. Wyjdź po prostu, tak jak stoisz.

— Tak. Och, Babo? Dziękuję, Babo, dziękuję.

— W porządku — rzucił cicho. — Ale to jeszcze nie koniec.

Bądź silna i odważna. Wyciągniemy cię stamtąd. Och, jeszcze jedna sprawa. Jest inny Nuba, nazywa się Monir Sheikaldin, poprosiłem go, żeby mi pomógł. Chce tylko krótko z tobą pomówić. Postaram się, żeby zaraz do ciebie zadzwonił, skoro nikogo tam nie ma, dobrze?

Kilka minut później telefon zadzwonił ponownie. To był pan Sheikaldin. Powtórzyłam mu moją opowieść i wtedy on też dał mi numer swojej komórki.

— Słuchaj, Mende, gdybyś miała jakieś kłopoty, po prostu spróbuj do nas zadzwonić — zachęcił mnie. — Potrafisz korzystać z telefonu? Możesz dzwonić do mnie albo Babo o dowolnej porze, gdybyś się bała albo czymś martwiła.

Gdy odłożyłam słuchawkę, czułam się jednocześnie szczęśliwa, przestraszona i podniecona. Kolejne trzy dni spędziłam w domu Omera, po czym znów odwieziono mnie do Koronkych. Rodzina zjawiła się w domu wieczorem. Musiałam ugotować kolację, a wkrótce zmieniałam bliźniakom pieluszki i znów po nich sprzątałam. Hanan nie przywiozła mi nic z Sudanu, nawet żadnych wiadomości o mojej rodzinie. Nie wierzę, żeby zadała sobie trud, żeby się z nimi skontaktować albo chociaż dowiedzieć, gdzie są. Było tak, jakby Koronki nigdy nie wyjeżdżali. Hanan powiedziała mi, że Rahab i jej rodzina mają się dobrze, ale tak naprawdę już mnie to nie interesowało. Zapytałam ją o Nanu, dziewczynkę z plemienia Nuba, która zastąpiła mnie jako ich domowa niewolnica.

— Ma na imię Nanu? — zapytała Hanan. — Och, wszystko u niej dobrze, jak sądzę. Właściwie nie zauważyłam.

Tamtej nocy, a także następnej, prawie nie spałam. Wciąż od nowa analizowałam plan ucieczki. Co może się nie udać? A jeśli nie będzie śmieci do wyniesienia? A jeśli Hanan będzie mnie obserwowała z okna na górze? A jeśli zauważy mnie biegnącą podjazdem? Jeśli po dotarciu do drogi nie zastanę tam Babo? Byłam podniecona i przestraszona jednocześnie, ale teraz nic nie mogło mnie powstrzymać.

Myślałam o mojej rodzinie. Jak dali radę przetrwać? Napad

musiał bardzo utrudnić im życie. Zastanawiałam się, czy mają dość jedzenia. Myślałam o tym, że mogłabym zarobić jakieś pieniądze w Londynie, gdy już ucieknę, i wrócić do Sudanu. Wyobrażałam sobie, że jadę autobusem z Chartumu do Dillingu, a potem w góry Nuba, biegnę przez wieś, szukam mamy i ojca. Wyobrażałam sobie, jak siadamy przy ogniu i opowiadamy sobie o czasie, który upłynął, odkąd ostatnio siedzieliśmy razem jako kochająca się rodzina.

W poniedziałek jedenastego września wstałam wcześniej i zajęłam się swoimi obowiązkami. Przeraziłam się, gdy Al Koronky nie wyszedł o zwykłej porze do pracy i cały ranek spędził w domu. Jest poniedziałek, więc dlaczego nie idzie do ambasady? Och, nie, pomyślałam, nie wychodzi! Jak mam się teraz wydostać z domu? Kiedy rozważałam plan ucieczki, wyobrażałam sobie, że jestem w domu tylko z Hanan i bliźniakami. Wiedziałam, że drzwi wejściowe będą zamknięte od środka, ale gdy rodzina była w Sudanie, miałam czas, żeby przeszukać dom. Odkryłam, że zapasowy klucz do frontowych drzwi trzymano w ukrytej szufladzie w stole w salonie. Wymyśliłam, że otworzę drzwi i wymknę się, gdy Hanan urządzi sobie popołudniową drzemkę.

Ale teraz był tu także Al Koronky i nie wiedziałam, co robić. Czekała na mnie wielka sterta prasowania i tym razem bardzo mnie to cieszyło. Miałam coś, czym mogłam się zająć do wpół do czwartej. W kółko powtarzałam sobie plan ucieczki i stawiałam się coraz bardziej nerwowa. Co pięć minut przyłapywałam się na tym, że zerkam na ścienny zegar. Prasowanie szło mi fatalnie. O trzeciej poszłam do jadalni rozwiesić pranie. Zamknęłam za sobą drzwi i wyrzałam na zewnątrz przez firanki. Chciałam sprawdzić, czy Babo już jest, ale nie mogłam niczego zobaczyć, bo widok zasłaniały drzewa. Poszłam do swojego pokoju. Pociłam się i było mi słabo ze zdenerwowania. Nie wiedziałam, jak się wydostać z domu i uniknąć złapania.

Rozejrzałam się po pokoju, spojrzałam na kilka należących do mnie rzeczy. Uran, moja kotka zabaweczka leżała na poduszce. Pod wpływem impulsu chwyciłam ją i wepchnęłam w majtki. Nie mogłam jej zostawić. Potem usłyszałam, jak Hanan woła mnie z kuchni:

— *Yebit*, idę odebrać dzieci ze szkoły. Zostawiam bliźniaki tutaj, z tobą.

Skinęłam głową, starając się nie patrzeć jej w oczy. Byłam pewna, że wie, iż coś szykuje. Krzyknęła do Koronky'ego, który był na górze:

— Chodź, kochanie! Jestem gotowa.

— Już idę — odkrzyknął.

Hanan przekręciła klucz w drzwiach wyjściowych i wróciła, by wyjąć buty z szafki pod schodami. Och, Boże, pomyślałam. Zamierzają wyjść dokładnie o tej samej porze, o której mam się spotkać z Babo! Zdałam sobie sprawę, że muszę uciekać teraz, dopóki drzwi są otwarte i mam jeszcze szanse ucieczki. Chwyciłam worek ze śmieciami i wybiegłam przez drzwi, drżąc na całym ciele. Gdy pędem minęłam Hanan, która siedziała w holu, wiążąc sznurowadła, usłyszałam, że po schodach schodzi Al Koronky.

Wrzuciłam śmieci do kubła i odwróciłam się, żeby spojrzeć na dom. Wyglądało na to, że szczęście mi sprzyja. Nikt jeszcze nie wyszedł. Odwróciłam się i zaczęłam biec podjazdem, przez cały czas oglądając się przez ramię i spodziewając się zobaczyć, że któreś z nich mnie goni. Byłam oszalała z przerażenia. Gdy dotarłam do drogi, ogarnął mnie nowy lęk. A jeśli Babo tam nie ma? Co, jeśli go nie ma?! Och, proszę, Allahu, niech tam będzie! Spraw, żeby tam był! I wtedy po przeciwnej stronie drogi zauważyłam wysokiego czarnoskórego mężczyznę, machającego do mnie gorączkowo.

— Chodź! No, chodź! — poruszały się bezgłośnie jego usta. — Biegiem, Mende! Biegiem!

Na łeb, na szyję popędziłam przez drogę i wpadłam prosto w jego ramiona.

— Szybko! Szybko! — krzyknęłam. — Idą po mnie! Idą! Musimy uciekać! Teraz! Musisz mnie ukryć!

Pobiegliśmy ulicą, Babo trzymał mnie za rękę. Zabrał mnie na skwerek, gdzie ukryliśmy się za wielkim, rozłożystym drzewem. Szalałam ze strachu, nie mogłam przestać płakać.

— Jesteśmy za blisko — jęczałam. — Jesteśmy za blisko. Znajdą nas. Przyjdą i mnie złapią. Musimy uciekać.

— Już dobrze, już dobrze — mówił Babo uspokajająco, obejmując mnie. — Nie martw się. Nie pozwolę im cię zabrać. Zostaniemy w ukryciu i zadzwonię. Czeka na nas samochód.

Słyszałam, jak Babo wyjaśnia przez komórkę, gdzie dokładnie jesteśmy, i kilka sekund później obok nas zatrzymał się samochód. Zostałam wrzucona do środka jak worek i ruszyliśmy z piskiem opon. Skuliłam się obok Babo, żeby nie było mnie widać.

— Gonia nas? Czy nas gonia? Proszę. Wyrzyj przez okno. Zobacz, czy jadą za nami. Boję się. Boję się. Boję się.

— Nie bój się, Mende — powiedział ze śmiechem. — Wszystko w porządku. Nikt za nami nie jedzie.

— Cześć, Mende — usłyszałam spokojny głos z siedzenia kierowcy. — Jestem Monir. Musisz nas posłuchać i się uspokoić. Uratowaliśmy cię. Jesteś bezpieczna. Ochronimy cię. Nikt nie przyjdzie i cię nie zabierze.

— Posłuchaj Monira, Mende — odezwał się Babo. — Nie ma się już czym martwić. Jesteś bezpieczna. Jedziemy do prawniczki. Ona pomoże ci uzyskać pozwolenie na pobyt tu, w Anglii. A potem zabierzemy cię do domu Monira. Na początek zamieszkaś z nim, jego żoną i dziećmi. W porządku? Jesteś wolna.

Z początku nie umiałam przyjąć tego do wiadomości. Byłam pewna, że do tej pory Koronky zdążył się zorientować, że uciekałam, i mnie goni. Wierzyłam, że będą próbowali ponownie mnie porwać. W moim przekonaniu Koronky posiadał władzę absolutną. Był rządem i prawem. Nie potrafiłam uwierzyć, że kiedykolwiek przestanie mi zagrażać. Znalazłam się w nie-

znanym mieście, w obcym kraju, tak strasznie daleko od domu, nie rozumiałam tutejszego języka. Jedyni ludzie, jakich znałam, to ci dwaj mężczyźni z plemienia Nuba, z którymi jechałam teraz samochodem. Ale Babo powiedział, że jestem wolna. A Monir zapewnił, że jestem bezpieczna i nikt nie może przyjść i mnie zabrać. To byli moi ludzie, ludzie z plemienia Nuba, i wiedziałam, że mogę im ufać. Wiedziałam, że mówią prawdę. Więc może czasy mojego niewolnictwa naprawdę dobiegły końca? Może naprawdę jestem wolna?

## Rozpaczliwa walka o azyl

Odkąd uciekłam, minęły dwa lata. Londyn stał się moim nowym domem i miejscem, gdzie zakosztowałam pierwszych chwil wolności. Co to dla mnie znaczy? Dla mnie wolność jest tak cenna, że nie oddałabym jej za nic na świecie. Zrozumiałam, że dla tych, którzy mieszkają na Zachodzie, jest czymś oczywistym. Zawsze ją mieli. Jest ich niezauważonym, nierozpoznanym, stale obecnym towarzyszem i przyjacielem. Ale dla tych z nas, którzy pochodzą z krajów takich jak Sudan, wolność jest cudowna i cenna. A dla tych, którzy jak ja byli niewolnikami, wciąż pozostaje wyjątkowo pięknym, niepowtarzalnym doświadczeniem. Nawet teraz, dwa lata po ucieczce, wciąż jestem zdumiona, gdy słyszę, jak ludzie otwarcie krytykują brytyjski rząd. Albo kiedy urządzają na ulicach Londynu demonstracje czy demaskują w prasie polityków. Wciąż mnie zadziwia, że nikt nie zostaje aresztowany, ukarany czy uwięziony.

Dla mnie wolność jest jednak także czymś przerażającym. Porwano mnie, gdy byłam dzieckiem. Koniec dzieciństwa i wczesne lata wieku dorosłego spędziłam w niewoli. Przez cały ten czas pozbawiona byłam wolności. Nie byłam osobą. Tak naprawdę nie istniałam. Nie miałam lekarza, dentysty, szkoły, przyjaciół, rodziny, pieniędzy, konta w banku, podatków do płacenia, niczego nie kupowałam ani nie sprzedawałam. Nie



prowadziłam pamiętnika, nie wypełniałam żadnych dokumentów, nie dzwoniłam ani nie odbierałam telefonów, nie wysyłałam ani nie odbierałam listów, nie płaciłam rachunków. Nie podejmowałam żadnych decyzji co do własnego życia, o wszystkim decydowano za mnie. Kiedy wstać, jakie ubrania nosić, kiedy zaczynać pracę, jeść, kiedy spać. Krótko mówiąc, nie nauczyłam się niczego, czego uczy się normalny człowiek, dorastając. Po ucieczce musiałam decydować o każdej najdrobniejszej kwestii w moim życiu i nie potrafiłam tego robić.

Zaczęłam uczyć się od zera nawet najbardziej podstawowych rzeczy: jak korzystać z pieniędzy, niewielkiej tygodniówki, którą rząd brytyjski przyznaje ubiegającym się o azyl, co to jest konto bankowe, jak wpłacać pieniądze i jak je wypłacać. Ale najpierw musiałam poznać koncepcję pieniędzy, powiedziano mi, że nie powinnam oddawać wszystkiego pierwszej osobie, która poprosi mnie o pożyczkę. Musiałam się nauczyć, jak gotować dla siebie i jak regularnie jeść trzy posiłki dziennie (wciąż jeszcze się tego uczę) i jak zawierać przyjaźnie. Wszyscy, których do tej pory spotkałam, to byli moi właściciele, ich rodziny i krąg ich przyjaciół. Byli też niewolnicy jak ja. Wiedziałam, że nie mogę na nikim polegać ani za bardzo się do kogoś zbliżyć. Stopniowo zdawałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie rozumiem samej idei przyjaźni, tego, że przyjaciel to ktoś, przed kim nie trzeba wszystkiego ukrywać i komu można powierzyć swoje najgłębsze tajemnice oraz lęki. Że prawdziwy przyjaciel nigdy na człowieka nie napada i nie bije bez powodu. Nigdy nie obraża i zawsze traktuje cię jak równego sobie.

Musiałam nauczyć się także podstawowych zasad dobrego wychowania. Tego, że chowanie się za drzwiami i podsłuchiwanie jest niegrzeczne. Nabrałam tego zwyczaju w Chartumie, bo tylko w ten sposób mogłam się dowiedzieć, co się dzieje i jakie moi państwo mają wobec mnie zamiary. Nauczyłam się siedzieć przy stole z innymi ludźmi i jadać z nimi kolacje, przestałam też sprzątać ze stołu, gdy tylko odłożono noże

i widelce. Nie pędziłam już do kuchni, żeby natychmiast pozmywać, choć tam ciągle czuję się znacznie swobodniej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Wciąż jedną z najtrudniejszych dla mnie rzeczy jest jadać w restauracji i być obsługiwana przez innych. Wydaje mi się, że to nie w porządku. Ostatnio jadłam kolację z angielskim politykiem kobietą, która chciała usłyszeć moją historię. Zabrała mnie do prywatnego klubu w Londynie, w okolicy Green Park. Gdy tylko skończyliśmy pierwsze danie, po prostu nie umiałam się powstrzymać, żeby nie wstać i nie sprzątnąć ze stołu.

— Tylko odniosę talerze — powiedziałam z zakłopotanym uśmiechem.

— Ależ proszę, moja droga! Wygląda na to, że tutejszej obsłudze przyda się drobna pomoc. Myślę, że kuchnia jest tam — dodała, wskazując w stronę drzwi.

Zebrałam puste talerze i ruszyłam w stronę kuchni. Idąc tak, wpadłam na jedną z kelnerek. Była to czarnoskóra dziewczyna i wyglądała, jakby też pochodziła z Afryki.

— Co robisz? — zapytała zaskoczona, widząc naręcze brudnych naczyń. — Och... kuchnia? Jest tam, za tymi drzwiami. Och i dzięki... — krzyknęła za mną gdy znikiałam w kuchni — ...ale nie ma potrzeby, żeby po sobie zmywać!

Musiałam się nauczyć, jak bezpiecznie chodzić po ulicach i unikać potrącenia. Jak korzystać z autobusu, żeby dostać się z punktu a do b. Nawet teraz wciąż jeszcze nie opanowałam sekretów londyńskiego systemu komunikacji publicznej. Nie zdobyłam się też na odwagę, żeby skorzystać z metra. Wiem, że to najszybszy sposób przemieszczania się, ale przypomina mi schodzenie do grobu; gdy idę w dół po schodach w rozświetloną neonami ciemność stacji mam wrażenie, że schodzę do grobu. Wolę autobusy. Może są powolne, ale przynajmniej jeżdżą po ziemi, w dziennym świetle. Chociaż z autobusami także miewam problemy. Kilka tygodni temu chciałam wskoczyć do autobusu numer trzydzieści osiem, żeby pojechać do domu, ale ruszył, gdy wsiadałam, i ciągnął mnie po ulicy przez

jakieś sto jardów. Trzymałam się z całej siły poręczy, a moje stopy szorowały po jezdni. Krzyczałam, żeby autobus się zatrzymał, a zaszokowani pasażerowie wpatrywali się we mnie przez okno. Chociaż był już październik, miałam na nogach sandały, ponieważ nie przyzwyczaiałam się do noszenia półbutów. Gdy kierowca zdał sobie sprawę, co się dzieje, i stanął, całe stopy miałam pokaleczone i posiniaczone.

Gdy siedziałam skulona na ulicy i płakałam, dwaj czarnoskórzy mężczyźni, jadący tym autobusem zaczęli się kłócić. Jeden z nich krzyczał na mnie, że jestem głupia, wsiadam do odjeżdżającego autobusu i zatrzymuję teraz wszystkich pasażerów. Drugi zaczął mnie bronić, mówiąc, że nie zrobiłam tego celowo i jestem ranna. Przez chwilę myślałam, że się pobiją ale potem zjawiała się policja w samochodzie z migającym niebieskim światłem i wyjąca syreną. Podeszli do mnie dwaj policjanci w czystych mundurach. Przestraszyłam się. W Sudanie ludzie boją się policji. Zastanawiałam się, czy mnie aresztują albo zbijają. Nie przywykłam jeszcze do tego, że w Anglii policja chroni ludzi i im pomaga oraz stoi na straży prawa. Kucnęli przy mnie i zapytali uprzejmie, czy nic mi nie jest. Najpierw sprawdzili, czy nie jestem poważnie ranna i czy nie trzeba wezwać karetki. Gdy uznali, że mam tylko drobne skaleczenia i siniaki, zapytali, czy potrafię znaleźć drogę do domu.

— Gdzie mieszkasz, kochanie? — zapytał jeden z funkcjonariuszy.

— W Hackney — odpowiedziałam.

— Dobrze, ale gdzie w Hackney? Chcę zapisać twoje nazwisko i adres, ponieważ musimy sporządzić raport z wypadku.

— Nie znam dokładnie ulicy ani numeru... po prostu wiem, jak się tam dostać pieszo — wyjaśniłam.

Spojrzeli na mnie z mieszaniną zdziwienia i niedowierzania.

— Nie znasz własnego adresu?

— Nie — odparłam. Zastanawiałam się, jak mam im to wyjaśnić? Jak wyjaśnić, że nie znam nazwy ulicy ani numeru,

bo nie tak widzę świat? Jak mam wyjaśnić, że to dziesięć minut piechotą z górki od przystanku, na którym wysiadam? Że to żółty dom z niebieskimi drzwiami i czerwonymi schodami? Obok szkoły, w połowie ulicy, po przeciwnej stronie warsztatu wulkanizacyjnego? W końcu załatwiłam sprawę, podając policjantom nazwę angielskiej szkoły, do której chodzę, i nazwę części Londynu, w której się mieści. Wyglądało na to, że to im wystarczy. Upewnili się, że bezpiecznie wsiadłam do następnego autobusu numer trzydzieści osiem i ze śmiechem pomachali do mnie, kręcąc głowami. Zastanawiałam się, co sobie o mnie pomyśleli? Co pomyśleli o dziewczynie z afrykańskiego buszu, która stara się odnaleźć drogę w największym mieście Europy?

Najtrudniej jednak było nauczyć się nie bać. W dniu, w którym uciekałam, byłam pewna, że ci, którzy tak długo trzymali mnie w niewoli, będą mnie ścigali. Paraliżowała mnie myśl, że wysledzą nasz samochód, złapią mnie i znajdę się w jeszcze gorszej sytuacji niż do tej pory. Gdyby mnie złapali, wiem, że za ucieczkę zostałamby surowo ukarana. Przez lata żyłam w przeświadczeniu, że ci, którzy traktowali mnie jak niewolnicę, mają nade mną całkowitą, nieograniczoną władzę. Długo mnie przekonywano, że Anglia to wolny kraj i władze ochronią mnie przed takimi ludźmi jak ci, którzy mnie zniewolili. Stopniowo nauczyłam się nie bać sama jeździć autobusem do szkoły, sama chodzić do sklepu po mleko albo siedzieć w domu i oglądać telewizję.

Mój strach przed ponownym schwytaniem nie był całkiem bezpodstawny. W dniu, w którym uciekałam, zaczęły się telefony do domu osoby, która mnie uratowała. Nie powiedziano mi o tym, ponieważ starano się mnie chronić, ale jeden z telefonów był od Rahab, mojej dawnej pani w Chartumie. Była bardzo zła i chciała ze mną rozmawiać. Gdy mój wybawiciel zaprzeczył, że jestem u niego, Rahab zaczęła grozić. Powiedziała, że odnalazła moją rodzinę i każe ich wszystkich wtrącić do więzienia. Dzwoniła jeszcze kilka razy, a potem zaczął wydzwaniać człowiek z ambasady sudańskiej w Londynie. Skończyło się na

tym, że kilku ministrów sudańskiego rządu interweniowało osobiście, próbując wyrzucić presję na tych, którzy pomogli mi uciec, żeby przestali mnie osłaniać. Gdy odmówili, rodzina, u której mieszkałam, zaczęła odbierać anonimowe telefony z Sudanu. „Wiemy, gdzie mieszka wasza rodzina, mówił z groźbą w głosie jakiś mężczyzna, i wiemy, jak ich znaleźć”. Wszystko to zostało zgłoszone brytyjskiej policji, ale telefony nie skończyły się do dnia dzisiejszego.

Wydaje się więc, że nawet teraz nie jestem całkiem bezpieczna ani wolna. Kilka miesięcy po mojej ucieczce niektórzy przywódcy plemienia Karko zostali aresztowani i zmuszeni do wydania oświadczeń stwierdzających, że moja historia nie jest prawdziwa. Potem sytuacja jeszcze się pogorszyła. Do człowieka, który mnie uratował, zadzwonił mój brat Babo. Człowiek ten nie powiedział mi o tym od razu, ponieważ zorientował się, że Babo został zmuszony do wykonania tego telefonu i nie mógł swobodnie mówić. Poprosił Babo, żeby zadzwonił do mnie później, z bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby mówić otwarcie. Z oczywistych powodów nie mogę zdradzić, co to za miejsce, ale najpierw brat, potem moja siostra Kunyant, a wreszcie ojciec i mama zdołali skontaktować się ze mną telefonicznie. Niemożliwością jest opisanie, jak wspaniale było znów z nimi rozmawiać po wszystkich tych latach rozłąki. Mama śmiała się i śmiała, mówiąc, że mój akcent tak bardzo się zmienił, że ledwie rozumiem, co mówię w nuba. Ojciec prosił, żebym przyjechała do domu, bo jedyne, czego pragnie, to znów mnie zobaczyć.

Ale było to słodko-gorzkie doświadczenie. Brat powiedział mi, że rodzina po raz pierwszy dowiedziała się, że żyję, kiedy zostali aresztowani. Mamę, ojca i brata wytropiono w górach Nuba i zmuszono do udania się do Chartumu. Powiedziano im, że jestem w Anglii i że zostałam porwana, a następnie sprzedana chrześcijańskim ekstremistom. Poinformowano ich, że prze-

szłam na chrześcijaństwo i znalazłam się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Dostali napisane na maszynie oświadczenia i powiedziano im, że jedyny sposób, żeby mnie uratować, to je podpisać. Oczywiście nikt z nich nie potrafił przeczytać tych oświadczeń i nie mieli pojęcia, co w nich napisano (moi rodzice i Babo są niepiśmienni). Bardzo jasno przedstawiono im też konsekwencje, jakie poniosą, jeśli odmówią współpracy. Wszyscy podpisali dokumenty stwierdzające, iż moja opowieść nie jest prawdziwa. Zrozumiałam, dlaczego to zrobili. Powiedziałam im, że gdyby w przyszłości znaleźli się w równie przymusowej sytuacji, też ich zrozumiem. Nie mieli wyboru, jak tylko zrobić to, co im nakazano.

Wyjaśniłam rodzicom, że wszystko, co im powiedziano, jest nieprawdą wręcz przeciwnie, nie zostałam porwana w Londynie, tylko uciekłam na wolność, nie przeszłam na chrześcijaństwo i teraz, po raz pierwszy od ośmiu lat, mogę swobodnie praktykować islam. Jestem bezpieczna po latach bicia, wykorzystywania i zniewolenia. Rodzice wysłuchali tego z wielką ulgą. Po głosie słyszeli, że jestem szczęśliwa. Zorientowałam się, że mama i ojciec są już starzy. Mama bardzo źle słyszy, ponieważ podczas najazdu na wieś została uderzona w głowę. Ojciec nie miał tak silnego głosu jak dawniej. Jednak nie stracili ducha ani dumy i wiedziałam, że wciąż kochają mnie z całego serca. Ojciec rozzłościł się, gdy mu powiedziałam prawdę, ponieważ zorientował się, że został oszukany. Powiedział, że jeśli znów spróbują go zmusić do podpisania czegokolwiek, odmówi. Nie obchodziło go nawet to, że może będą próbowali go zabić. Woli umrzeć jako dumny człowiek z córką na wolności niż pokonany z córką niewolnicą.

Tak więc koszmar lat spędzonych w niewoli nie skończył się wraz z ucieczką. Zmienił się rodzaj cierpienia. Nie martwiłam się już tak bardzo o własną przyszłość czy bezpieczeństwo, martwiłam się za to o bezpieczeństwo mojej rodziny w Sudanie i o tych, którzy pomogli mi odzyskać wolność.

W ciągu tych dwóch lat nabrałam przekonania, że Anglia

jest wolnym krajem, który przestrzega praw człowieka i broni słabych. Wierzyłam, że angielskie władze mnie ochronią. Jednak wydarzenia kilku ostatnich tygodni zachwiały moją wiarę w bezpieczną przyszłość.

W dniu ucieczki złożyłam prośbę o azyl. Nigdy wcześniej nie słyszałam o koncepcji azylu, miałam tylko nadzieję, że gdy będę wolna, zdołam jakoś zarobić w Londynie dość pieniędzy, by stać mnie było na powrót do Sudanu. Mogłabym przedostać się w góry Nuba tak, żeby nikt mnie nie zauważył, odnaleźć rodzinę i zniknąć. Jednak dwa lata po ucieczce moje podanie o azyl wciąż jeszcze nie zostało rozpatrzone, ale wszyscy dookoła — przyjaciele, prawnicy, życzliwe osoby, dziennikarze — byli pewni, że azyl zostanie mi przyznany. Nikt ani przez chwilę nie myślał o tym, co zrobimy, jeśli podanie zostanie odrzucone. Nikt nawet nie zastanawiał się nad taką możliwością a już najmniej ja. Po wydaniu mojej książki wzrosły naciski na rząd brytyjski, żeby podjął wreszcie decyzję. Wszyscy byliśmy pewni, że będziemy mieli co świętować.

Był deszczowy czwartek, gdy usłyszałam wieści, które wprawiły mnie w panikę i doprowadziły na skraj rozpacz. Właśnie skończyłam lekcje i siedziałam w autobusie. Zadzwoiła moja komórka. Spojrzałam na numer i wiedziałam, że to Damien, brytyjski dziennikarz, który był świadkiem mojej ucieczki i który pomógł mi napisać książkę. Przez minione dwa lata ten człowiek stał się moim bliskim przyjacielem. Pomagał mi na wiele sposobów. Nadałam mu w duchu specjalne imię, Corba, które w języku nuba znaczy „żaden człowiek nie potrafi zrobić tego, co on”. Gdy tylko usłyszałam jego głos, wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Zawsze tak pełen energii, optymizmu i nadziei na lepszy świat, teraz wydawał się wyczerpany i znużony. Wyczułam też w jego głosie strach.

— Mende, dobrze się czujesz? Wszystko w porządku? Jesteś w drodze ze szkoły do domu, zgadza się? Muszę się z tobą

zobaczyć. Teraz. Musisz do mnie przyjechać, natychmiast. Rozumiesz?

— Dlaczego? Co się stało? Proszę, powiedz mi. Wiem, że coś się stało...

— Słuchaj, przyjedź tu zaraz. Powiem ci, kiedy tu dotrzesz. Wszystko będzie w porządku.

— Nie! Powiedz mi teraz! Co się stało? O mój Boże! Co się stało?

— Dobrze, posłuchaj. Odrzucili twoją prośbę o azyl. Nie wiem dlaczego. Właśnie się dowiedziałem. I Bóg jeden wie, że za to zapłaca. Ale musisz się ze mną zobaczyć, teraz. Nie sądzę, żeby nawet Alison, twoja prawniczka, już o tym wiedziała. Musimy zacząć przygotowywać twoje odpowiedzi... Nie martw się...

— O mój Boże! Odeślą mnie z powrotem do Sudanu! Nie! Nie mogą. O mój Boże! Kiedy? Kiedy będą próbowali to zrobić? O mój Boże...

Reszta podróży to jedna biała plama. Gdy dotarłam do Damiena, byłam załamana. Damien dostał wiadomość telefonicznie i jeszcze nie widział dokumentów. Kurier wiozł je właśnie z mojego dawnego domu. Okazało się, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wysłało je na zły adres, mimo że wiele miesięcy temu zostali poinformowani, że zmieniłam mieszkanie. Damien nie miał więc nawet pewności, czy dokumenty widzieli już moi prawnicy. Problem polega na tym, że mam tylko dziesięć dni na przygotowanie odwołania od decyzji, wyjaśnić. Bez tego będą próbowali mnie deportować. Ponieważ dokumenty zostały wysłane na niewłaściwy adres, zostało nam zaledwie parę dni, żeby zdążyć przed ostatecznym terminem złożenia odwołania. Muszę być silna, tłumaczył mi, ponieważ mamy masę roboty.

— O mój Boże. Nie mogą mnie odesłać. Nie mogą. Oni mnie zabiją! O mój Boże... Nie mogą mnie odesłać... — Byłam w szoku.

— Nie martw się. Nikt cię nie odeśle do Sudanu. Nie mogą Mende. Masz prawo do odwołania. I jest wielu ludzi, którzy do



tego nie dopuszczają. Jest Alison, twoja prawniczka do sprawy azylu. Są twoi wydawcy. Wszyscy ci dziennikarze, którzy opisali i przedstawili twoją historię. Są politycy, którzy cię popierają. I jestem ja.

Pierwsze, co zrobił, to przekazał moim wydawcom wiadomość o odrzuceniu prośby o azyl, więc teraz z kolei oni mogli skontaktować się w tej sprawie ze światowymi mediami. Potem dotarł do reszty ludzi tworzących sieć wsparcia — polityków, zespołu prawników i organizacji walczących o prawa człowieka — wszyscy oni mieli pomóc mnie bronić. Właśnie pisał krótkie oświadczenie na temat tego, co się stało. Potrzebował trochę miejsca do pracy, więc poprosił swoją partnerkę, żeby przez jakiś czas się mną zajęła. To urocza Afrykanka imieniem Eva i zrobiła co w jej mocy, żeby mnie pocieszyć, pozwoliła mi też wypłakać się do woli. Powiedziała, że muszę zostać u nich na noc, ponieważ nie powinnam być sama. Zresztą Damien prawdopodobnie będzie mnie potrzebował tu, na miejscu, bo sytuacja szybko się rozwija. Po jakimś czasie rozległ się dzwonek do drzwi. Kurier dostarczył dużą brązową kopertę. Przyglądałam się, jak Damien ją otworzył i zaczął czytać dokumenty.

— Dranie, dranie... — powtarzał w kółko. — Jak, do cholery, mogą pisać takie bzdury i myśleć, że ujdzie im to na sucho? No jak? — W końcu zwrócił się do mnie: — Mende, chcesz wiedzieć, co napisali?

— Tak — odparłam przestraszonym głosem.

— Po pierwsze, że niewolnictwo to nie prześladowanie. Prześladowanie to inny sposób nazwania poważnego cierpienia. Więc próbują powiedzieć, że podczas ostatnich dziesięciu lat swojego życia nie cierpiełaś wystarczająco, żeby kwalifikować się do uzyskania azylu tu, w Wielkiej Brytanii. To niewiarygodne! Czy mogłabyś cierpieć bardziej, niż cierpiełaś? Piszą że chociaż w Sudanie jest niewolnictwo, sudański rząd nie jest w to zamieszany. Taa, jasne. Każdy, kto badał tę sprawę, twierdzi, że jest, ale brytyjski rząd mówi, że nie. Sprytne. Piszą że Sudan to tak duży kraj, że rząd sudański nie zauważy,

jeśli zostaniesz odesłana tam z powrotem. To znaczy... Jezu! Czy ci ludzie są zwyczajnie głupi? To duży kraj, więc cię nie zauważą. Jasne, a co się stanie, kiedy ona po prostu zjawi się na lotnisku, durnie? Och, piszą też, że chociaż Nuba ucierpieli w wojnie, ponieważ zaatakowały ich siły rządowe, teraz w górach Nuba trwa zawieszenie broni, więc możesz bezpiecznie wracać do domu. Cóż, w takim razie wszystko w porządku, prawda? To znaczy, nie szkodzi, że są świadectwa potwierdzające łamanie zawieszenia broni w Sudanie. Na litość boską! Ten, kto to napisał, to kompletny dureń. Nie martw się, Mende. To taka głupota, że nie ma siły, nie przejdzie. Spójrz, są nawet tak głupi, żeby pomylić nazwę twojego kraju i pisać o twoim powrocie do Somalii, nie Sudanu. Durnie! Kompletni durnie! Nie martw się. Alison rozedrze ich na strzępy. A media ich ukrzyżują. Będą wyglądali tak głupio, że zaczną cię błagać, żebyś została.

— Ale jednak się martwię, Damien. Tak się martwię. — Martwiłam się, bo widziałam, że i on jest przejęty. Widziałam, że mimo gniewu Damien się o mnie boi. I to przerażało mnie najbardziej.

— Tak, wiem, że się martwisz. Ja też. Ale jedyne, co możemy zrobić, to zacząć odpowiadać na te bzdury. Więc chodź, siadaj przy mnie i zacznijmy szkicować twoją odpowiedź. No więc, po pierwsze, co odpowiesz brytyjskiemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, gdy twierdzi, że niewolnictwo to nie cierpienie?

„Rząd brytyjski oznajmia, że jego zdaniem nie doświadczyłam wystarczającego prześladowania ani w Sudanie, ani w Wielkiej Brytanii, by usprawiedliwiało to moją prośbę o azyl — napisał. — Czy mogłabym cierpieć bardziej niż cierpiałam przez ostatnich dziesięć lat? Sytuacja mogłaby wyglądać gorzej tylko wówczas, gdyby mnie zabito. W swojej decyzji co do mojego prawa do azylu brytyjski rząd przyznaje, że w strefach wojennych istnieje niewolnictwo i niewolnicy są wysyłani do północnego Sudanu, a jednak odmawia mi przy-

znania azylu, chociaż zostałam pojmana i byłam przetrzymywana jako niewolnica dokładnie w opisany sposób. Rząd brytyjski przyznaje, że ludzie z plemion Nuba byli zabijani, ponieważ zaatakowały ich wojska rządowe, a jednak proponuje mi powrót w góry Nuba. Jakim sposobem mogę być tam bezpieczna? Brytyjski rząd oznajmia, że jeśli zostaną odesłana do Sudanu, sudański rząd mnie nie zauważy. Jak może tak twierdzić, skoro napisałam książkę ujawniającą rolę, jaką odgrywa reżim w sprawach niewolnictwa? Gdy tylko zjawię się na lotnisku, będą o tym wiedzieli, zostaną pojmana i zniknę".

Przeczytaliśmy to, co Damien napisał do tej pory. Gdy uznałam, że to właśnie chciałam powiedzieć, kontynuowaliśmy.

„Rząd brytyjski twierdzi, że nie ma dowodów, by rząd sudański angażował się w moje pojmanie i zniewolenie. Jak może tak twierdzić, gdy ja i inne porwane dzieci zostaliśmy przewiezieni do wojskowych obozów rządu sudańskiego, a do Wielkiej Brytanii zostałam sprowadzona przez sudańskiego dyplomatę? Brytyjski rząd oznajmia, że moja prośba o azyl nie opiera się na cierpieniu spowodowanym rasą religią lub narodowością. Jak może tak twierdzić, skoro zostałam niewolnicą i byłam gnębiona przez Arabów, ponieważ jestem czarna i pochodzę z plemienia Nuba? Brytyjski rząd oznajmia, że nie ma powodów sądzić, iż zostaną zabita, jeśli odeślą mnie do Sudanu. Sudański rząd zabija i torturuje swoich własnych ludzi, a ja należę do tych nielicznych Sudańczyków, którzy odważyli się ujawnić rolę rządu w sprowokowanym wojną niewolnictwie w Sudanie. Jak można twierdzić, że mojemu życiu nic nie zagraża, jeśli zostaną tam odesłana?”.

Potem przeczytaliśmy całe oświadczenie, by upewnić się, że mówi dokładnie to, co chcę, by mówiło. Następnie Damien zaproponował, abym na końcu dodała jakieś ogólne stwierdzenie, które podsumuje moje uczucia. „Od chwili uciezki — napisaliśmy — wierzyłam, że Anglia jest demokratycznym krajem, który przestrzega praw człowieka, sprawiedliwości i wolności. Pierwszy raz w życiu zaczęłam czuć się bezpiecznie

właśnie w tym kraju. Nie mogę uwierzyć, że rząd brytyjski odeśle mnie z powrotem, abym stanęła twarzą w twarz z okropnościami, które z całą pewnością czekają na mnie w Sudanie. Jestem zaszokowana i głęboko wstrząśnięta decyzją o nieudzieleniu mi azylu".

Gdy wieści o odmowie udzielenia mi azylu razem z moim oświadczeniem dotarły do światowych mediów, wywołały burzę protestów. Artykuły z pierwszych stron gazet na całym świecie potępiały decyzję brytyjskiego rządu. Chciały ze mną rozmawiać ekipy filmowe z telewizji niemieckiej, BBC i innych stacji. Przez kilka kolejnych dni moje życie było wyczerpującą rundą wywiadów dla telewizji, radia i gazet. Wszyscy dziennikarze zadawali mi te same pytania. Jak rząd brytyjski mógł wydać postanowienie o odesłaniu pani do Sudanu? Co się z panią stanie, jeśli to zrobią? Jak się pani czuje teraz, gdy odmówiono pani prośbie o azyl? Dużo mówiłam. Dużo płakałam. Czułam, że mój świat się rozpada. Było mi też przykro, że przyczyniam się do krytyki brytyjskiego rządu, jednak wszyscy, którym ufałam, przekonywali mnie, że nie ma innego wyjścia. Trzeba sprawić, by brytyjski rząd zrozumiał, że jeśli nie cofnie swojej decyzji, utonie pod falą protestów w mediach. Muszą zdać sobie sprawę, że jeśli będą usiłowali mnie deportować, drogo za to zapłacą.

Reakcja na wiadomość o odmowie udzielenia mi azylu była niesamowita. Z całego świata nadchodziły listy i e-maile z wyrazami poparcia. Czytanie ich pomogło mi znaleźć odwagę i siłę do walki.

Piętnastoletni chłopak z Niemiec napisał: „Droga Mende, uważam, że na ziemi zbyt wielu ludzi jest ściganych, zabijanych albo terroryzowanych przez innych. Chciałbym, żeby wszyscy ludzie mogli żyć razem i nie walczyć ze sobą. Moja dziewczyna i ja usłyszeliśmy o twojej smutnej historii... Mam nadzieję, że ty i ludzie, którzy cię wspierają jesteście dość silni, abyś mogła żyć w Anglii. Powodzenia i wszystkiego najlepszego. Pozdrowienia, Tim".

Niemieckie małżeństwo pisało z Monachium: „Droga Mende, jesteśmy zaszokowani zamiarem brytyjskiego rządu odesłania cię do Sudanu. Jeżeli uważasz, że mogłoby ci to pomóc, wyrażamy chęć adoptowania cię i nadania ci narodowości niemieckiej. Jesteśmy pewni, że jako Niemka nie będziesz zagrożona deportacją. Jeżeli taki rozwój sytuacji da ci jakąś szansę i jesteś tym zainteresowana, prosimy, skontaktuj się z nami. Zareagujemy bardzo szybko. Wszystkiego najlepszego, uprzejme ukłony, Angelika i Thomas Kaubisch”.

Amnesty International, Antislavery International i Society for Threatened Peoples także wsparły moją walkę o azyl. Zorganizowano kampanię wysyłania e-maili z protestami do brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Napłynęła lawina listów. Przed Ambasadą Wielkiej Brytanii w Berlinie zorganizowano czuwanie ze świecami. Ludzi głęboko poruszyła moja historia i bardzo chcieli mi pomóc. Ja z kolei byłam głęboko przejęta setkami listów, które dostawałam. Szczególnie wzruszyła mnie rodzina, która zaofiarowała się, że mnie adoptuje. Jak dobrze było dowiedzieć się, że są na świecie tak życzliwi ludzie. Zastanawiałam się jednak, jakim sposobem mogliby mnie adoptować? Nie byłam już dzieckiem. Miałam ponad dwadzieścia lat. Moi prawnicy rozważali tę kwestię, im bardziej jednak zagłębiali się w temat, tym silniejszego nabierali przekonania, że w świetle obowiązujących w Europie przepisów dotyczących przyznawania azylu, będę musiała zostać i walczyć tu, w Wielkiej Brytanii. Gdybym próbowała pojechać do Niemiec, tamtejszy rząd miałby obowiązek odesłać mnie do Anglii, kraju, w którym po raz pierwszy poprosiłam o azyl.

Kilka dni po odmowie przyznania mi azylu poznałam przypadkiem inną dziewczynę, której podanie o azyl także zostało odrzucone. Pochodziła z Somalii, kraju położonego niedaleko Sudanu. Była muzułmanką jak ja, i na oko wyglądało, że jesteśmy w tym samym wieku. Jej kraj cieszy się złą sławą. Jest najbardziej zacofany ze wszystkich krajów afrykańskich. Trwa tam wojna. Powiedziała mi, że od siedmiu miesięcy czeka na

rozpatrzenie jej odwołania, a wciąż jeszcze nie zna daty przesłuchania i mało nie oszaleje ze strachu, niepewności i przerażenia.

— Masz mnóstwo szczęścia — mówiła. — Tyle osób cię wspiera. Są potężni ludzie, którzy pomagają ci zdobyć azyl. Media, które robią o tobie programy. Masz przyjaciół, z którymi możesz o tym wszystkim porozmawiać. Mnie nikt nie pomaga ani nie wspiera. Czasami czuję się taka samotna. I tak się boję.

— Nie odeślą cię do Sudanu — oznajmiła Alison Stanley, moja prawniczka do sprawy azylu, kiedy zobaczyłam się z nią kilka dni później. — Nie martw się. Po moim trupie.

Lubiłam tę kobietę. Była dla mnie miła i przyjacielska, ale wyglądało na to, że w razie potrzeby potrafi być diabelnie twarda. Wiele osób mówiło mi, że to najlepszy w Anglii prawnik zajmujący się kwestią azylu. Jeśli ktokolwiek może wygrać moją apelację, to właśnie Alison Stanley z Bindman & Partners. Spotkałam się z nią, żeby omówić kampanię na rzecz mojego azylu. Tydzień wcześniej Alison wypełniła dokumenty potrzebne do odwołania i udało jej się to zrobić przed upływem ostatecznego terminu. Oznaczało to, że dopóki odwołanie nie zostanie rozpatrzone przez sąd, jestem bezpieczna. Oznaczało to również, że zostanę w Wielkiej Brytanii przynajmniej do nowego roku, ponieważ sprawy tego rodzaju zwykle trafiają do sądu po wielu miesiącach. Jednak każdy dzień życia w niepewności i stresie wiele mnie kosztował. Byłam wyczerpana, nerwowa i bardzo, bardzo przygnębiona.

— Wiesz, Mende, moim zdaniem po prostu ktoś coś spieprzył — ciągnęła Alison.

— Co to znaczy?

— Och. Tak. Przepraszam — powiedziała ze śmiechem. — Cóż, nie powinnaś uczyć się ode mnie tego słowa ani go używać. Jest bardzo niegrzeczne.

— A co znaczy?

— Spieprzyć? Cóż, oznacza bardzo wielką pomyłkę. Staram się wyjaśnić ci, chociaż nie najlepiej mi to idzie, że, moim zdaniem, po prostu popełnili błąd. Nie przypuszczam, żeby cię odesłali, ponieważ jesteś trudnym, zwracającym powszechną uwagę przypadkiem. Myślę, że osoba, która podjęła tę decyzję, nie miała pojęcia o twojej sprawie. To tak niechlujny i źle napisany dokument, że to doprawdy szokujące.

— Więc to spieprzenie — powiedziałam, uśmiechając się do niej.

— Nie, nie. Nie spieprzenie. Ktoś coś spieprzył. Ale nie wolno ci używać tego słowa. Twój prawnik nie może uczyć cię brzydkich słów, prawda? A teraz posłuchaj. Nie chcę, żebyś robiła sobie zbyt wielkie nadzieje, ale parę dni temu spotkałam się z szefem działu zajmującego się azylem. Ucięłam sobie z nim pogawędkę i prosiłam, żeby ponownie rozważył decyzję co do twojego azylu. Powiedziałam mu, że to najwyraźniej pomyłka. Co zabawne, w ogóle nie słyszał o twoim przypadku. Właściwie to szokujące, biorąc pod uwagę, że mówią o tym wszystkie media. Ale to potwierdza teorię, że ktoś coś spieprzył. Przepraszam, teorię wielkiej pomyłki. W każdym razie rzecz w tym, że zgodził się na ponowne rozpatrzenie sprawy. Jestem pewna, że zmienią zdanie, Mende. Najwyraźniej popełnili bardzo duży, bardzo głupi błąd. A przy okazji wydania twojej książki i informacji o odmowie przyznania ci azylu podawanych w mediach, zdadzą sobie z tego sprawę. Liczę więc, że za parę tygodni dostaniesz dobre wiadomości.

Gdy to piszę, jestem pełna nadziei. Brytyjski rząd zgodził się ponownie rozpatrzyć moją sprawę. Mam nadzieję i modłę się, żeby przyznano mi azyl. Jeśli nie, wciąż jeszcze mogę złożyć odwołanie. Ale jeśli ostatecznie będą próbowali odesłać mnie do Sudanu, nie pozwolę na to, gdyż zostanę schwytana w chwili przybycia do Chartumu, a potem zniknę. Kto wie, co mnie czeka i do czego zostanę wykorzystana? Kto wie, jak skończy się moje życie? Jednego mogę być pewna, że będzie to potworne i brutalne, złamię mego ducha i zniszczy duszę. Jeżeli rząd

brytyjski faktycznie spróbuje odesłać mnie do Sudanu, zabije się. Znacznie lepiej jest zginąć z własnej ręki, z dumą i nie-  
tkniętym poczuciem własnej wartości niż pozwolić zniszczyć się powoli, a potem zabić.

Dwa lata po ucieczce wydaje się, że koszmar daleki jest od zakończenia i wciąż walczę o swoją wolność. Ciągłe zastanawiam się, co takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na tyle cierpienia. Zadaję też sobie pytanie, czy to cierpienie kiedyś się skończy?

Moja prośba o azyl została odrzucona 10 października 2002 roku. Ponad miesiąc później, 23 grudnia 2002 r., rząd brytyjski przyznał mi status uchodźcy, azyl oraz zezwolenie na stały pobyt w Wielkiej Brytanii.



## Naprawdę wolna?

Zdecydowałam się zabrać głos i napisać tę książkę, ponieważ wiem, że wciąż jeszcze wiele kobiet, dziewcząt i chłopców w Sudanie jest niewolnikami. Kilka z nich znam — Ashę, Katunę, Nanu — i pozostają moimi przyjaciółkami. Jak zresztą mogłabym o tym nie mówić, skoro nareszcie pojawiła się szansa, by widmo niewolnictwa na zawsze zniknęło z mojego tak długo już cierpiącego kraju?

Moje intencje najlepiej chyba odda wywiad, jaki przeprowadził ze mną dla brytyjskiej telewizji Damien Lewis trzy dni po tym, jak uciekłam. Zawiera wszystko, co chciałam powiedzieć. Była to pełna emocji, poruszająca rozmowa i mam nadzieję, że poniższe słowa oddadzą jej nastrój.

### *Teraz, kiedy uciekłaś, jakie to uczucie być wolną?*

Mimo ucieczki wciąż nie mogę uwierzyć, że to prawda. Wciąż się boję, że się zjawią i znów mnie złapią. Nie potrafię uwierzyć, że naprawdę jestem wolna, chociaż żyję i tego doświadczam. Mam wrażenie, że to sen i w rzeczywistości wciąż jestem niewolnicą. Boję się też, że coś stanie się mojej rodzinie, że się na nich zemszczą za to, co zrobiłam.

***Co chcesz powiedzieć ludziom, którzy uważali, że mają prawo trzymać cię w niewoli przez tyle lat?***

Powiedziałabym im, że powinna istnieć sprawiedliwość i dobroć i równość między wszystkimi ludźmi wszystkich kolorów, między czarnymi i białymi, i między wszystkimi religiami. Wszyscy jesteśmy dziełem Allaha i wszyscy zostaliśmy stworzeni takimi samymi. Nic nie uzasadnia tak niesprawiedliwego, okrutnego traktowania ludzi. I chcę, żeby zaprzestali okrucieństwa wobec wszystkich tych ludzi, którzy nadal są niewolnikami w Sudanie.

***Co powiedziałaabyś ludziom na świecie o niewolnictwie w Sudanie dziś?***

Powiedziałabym, że niewolnictwo trwa, właśnie teraz, dzisiaj. Jestem tego przykładem i żywym dowodem, to wszystko spotkało mnie osobiście. Spotkało mnie to w Sudanie, a potem w Londynie. I wiem, że w Sudanie wielu ludzi wciąż przebywa w niewoli. Chcę, żeby ludzie zdali sobie z tego sprawę, jak również z tego, że muszą coś zrobić, żeby to powstrzymać.

***Teraz, gdy jesteś wolna, jakie są twoje nadzieje na przyszłość?***

Jedyne, o czym teraz myślę, to jak przekonać samą siebie, że jestem naprawdę wolna. Na razie nie umiem nawet myśleć o przyszłości. Chcę po prostu przez jakiś czas doświadczyć tego uczucia wolności. Później pomyślę o tym, co może mi przynieść życie.

***Dopiero co uciekłaś i przeżywasz bardzo bolesne chwile. Co daje ci siłę i odwagę, by godzinami opowiadać o tych trudnych, strasznych latach?***

Mam tę siłę, bo teraz wiem, że na świecie są dobrzy ludzie, tu, w Anglii. Tu ludzie są wolni i jest sprawiedliwość. Wszyscy, których spotkałam od chwili ucieczki, otaczają mnie dobrocią i to pozwoliło mi odzyskać trochę pewności siebie. Mam też w sercu moją wiarę, która daje mi siłę.

### ***Czy chciałabyś coś dodać?***

Chcę tylko powiedzieć, że tęsknię za rodzicami i mam nadzieję, że nic im nie jest. Chcę powiedzieć, że pragnę, aby wszyscy ludzie, którzy wciąż żyją w niewoli i nieszczęściu, także zostali uwolnieni. Jak mogę czuć się naprawdę wolna, gdy wiem, że oni wszyscy pozostają niewolnikami?

***Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Czy gdybyś mogła polecieć z powrotem w góry Nuba, gdyby to było możliwe, czy chciałabyś tego? Czy chciałabyś pojechać tam ze mną i ekipą filmową, z powrotem do domu?***

Czy to możliwe? Naprawdę możliwe? Oczywiście, że bym pojechała. Pojechałabyś ze mną? Jeżeli ty byś pojechał, to ja też. Chciałabym tego najbardziej na świecie. Niczego bardziej nie pragnę, niż znów zobaczyć moją rodzinę i mój dom. To moje marzenie.

Nadal marzę o tym, żeby zobaczyć rodziców i zabrać ich na **haj**, wielką pielgrzymkę do Mekki w Arabii Saudyjskiej, do najświętszego grobu islamu. Obowiązkiem każdego muzułmanina jest raz w życiu odbyć **haj** i chcę umożliwić to moim rodzicom. Będę jednak musiała być cierpliwa. A cierpliwość jest cnotą którą wyrobiłam w sobie w czasie wszystkich tych lat spędzonych w niewoli.

Wciąż jeszcze mam uczucie, że przede mną długa droga. Minie wiele lat, zanim moje życie naprawdę nabierze sensu, zanim zrozumieć, dokąd prowadzi mnie ta droga poprzez niewolnictwo ku wolności. I nim zrozumieć, czego chcę od życia. Chodzę do szkoły i uczę się angielskiego jak zwykły uczeń, latam też po świecie, mieszkam w eleganckich hotelach i opowiadam o niewolnictwie na międzynarodowych konferencjach.

Teraz coraz częściej czuję się szczęśliwa, spełniona i wolna. Szczęśliwa, że moje życie należy do mnie, że uczę się i może

pewnego dnia zostanę wykwalifikowaną pielęgniarką i będę pomagała ludziom. Szczęśliwa, że może pewnego dnia spotkam mężczyznę moich marzeń i będę miała dzieci. To dla mnie jedyny sposób, by odbudować życie rodzinne, odzyskać poczucie tożsamości i bezpieczeństwa, czyli to wszystko, co odebrały mi lata niewoli.

Może jednak moja opowieść doczeka się szczęśliwego zakończenia. *Insz Allah*, jeśli taka jest wola Allaha.

## Posłowie

Mende Nazer uciekła jedenastego września roku dwutysięcznego. O jej trudnym położeniu usłyszałem po raz pierwszy kilka dni wcześniej od przyjaciela z plemienia Nuba. Chciał, by świadkiem ucieczki Mende był dziennikarz. Stąd wziętem się w całej tej historii. Dziś, gdy to piszę dwa lata później, Mende Nazer jest młodą, pełną energii, niezwykle inteligentną kobietą, która ma nadzieję i wiarę w przyszłość. Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy w dniu ucieczki, była zaszczutym, przerażonym, trzęsącym się cieniem człowieka. Aż trudno uwierzyć w zmianę, jaka zaszła w niej przez dwa lata wolności w Anglii.

Mende nigdy nie porzuciła marzenia z dzieciństwa, które dzieliła ze swoim ojcem: gdy zostanie jej przyznany azyl w Anglii, chciałyby wyszkolić się na pielęgniarkę, a potem na lekarza. Teraz jej największym marzeniem jest spotkanie z rodziną. Ma też nadzieję, że w przyszłości wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci. Mende zdaje sobie sprawę, że z powodu obrzezania poród może być niebezpieczny zarówno dla niej, jak i dla dziecka. Zaproponowano jej operację odwracającą skutki obrzezania, którą umożliwiała brytyjska państwowa służba zdrowia. Operacja taka znacznie zmniejszyłaby ryzyko podczas porodu. Także uprawianie seksu stałoby się mniej bolesne i nie tak przerażające. Tu jednak kryje się dylemat: Mende obawia się, że jeśli zdecyduje się na operację rekonstruującą a potem wyjdzie za mąż za mężczyznę z plemienia Nuba, może mu się to nie podobać, ponieważ nie będzie miał gwarancji, że wzięł za żonę dziewicę. Aż trudno uwierzyć, jak

ciężko jest zmienić tak archaiczną i nieludzką tradycję jak obrzezanie kobiet.

Równie trudno jest uwierzyć, że w Sudanie nadal handluje się ludźmi. Dziś. Nie trzysta lat temu, gdy my, Brytyjczycy, byliśmy mistrzami tego handlu ludzkim nieszczęściem. Pięćdziesiąt lat po ogłoszeniu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych stwierdzającej, że wszystkie istoty ludzkie są równe i żaden człowiek nie może być niewolnikiem innego.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym pojechałem do Sudanu, przygotować raport dla telewizji Channel 4. Udałem się do południowego Sudanu potajemnie, jako gość niewielkiej organizacji dobroczynnej. Z początku byłem sceptyczny, nie mogłem uwierzyć, że pod koniec dwudziestego wieku czarni Afrykanie są sprzedawani jak bydło. Rzeczywistość okazała się znacznie gorsza, byłem świadkiem przerażających scen. Ci ludzie byli nie tylko kupowani i sprzedawani, łapano ich podczas brutalnych napadów, gdy zarzynano setki ludzi i do gołej ziemi wypalano całe wioski.

Od tamtej pory przygotowywałem materiały na temat niewolnictwa w wielu regionach Sudanu, w tym także w górach Nuba, dla wielu stacji telewizyjnych na całym świecie. Przeprowadziłem wywiady z setkami zbiegłych niewolników i nawet pewną liczbą arabskich handlarzy niewolnikami. Zawsze jest to ta sama potworna opowieść. Z arabskich plemion tworzy się oddziały milicji, które rząd uzbraja w karabiny maszynowe AK47. Nakazuje im się włączyć w *dżihad*, czyli świętą wojnę przeciw czarnym plemionom z gór Nuba i południa. Jako nagrodę wolno im zatrzymywać łupy wojenne — w tym bydło, kozy i ludzi. Napadając na wioski, żywcem biorą tylko kobiety i dzieci. Okazało się, że złamanie woli dorosłych mężczyzn i zrobienie z nich niewolników jest zbyt trudne. Małych chłopców sprzedaje się jako pastuchów, dziewczynki, takie jak Mende, jako niewolnice domowe. Dorosłe kobiety często zostają niewolnicami seksualnymi. Po trwającej dziesiątki lat wojnie Sudan jest jednym z najstabilniej rozwiniętych krajów na świecie, a aktualna cena niewolnika to mniej niż sto pięćdziesiąt dolarów.

Ostatnie raporty Amerykańskiego Biura do spraw Afrykańskich stwierdzają, że „niewolnictwo w Sudanie charakteryzuje się brutalnym porwaniem i uprowadzeniem, przymuszaniem do wytężonej pracy bez zapłaty, odebraniem ofiarom swobody przemieszczania się i wyboru,

zakazem używania języka narodowego i zakazem kontaktów z rodziną". Tysiące historii podobnych do historii Mende zostało udokumentowanych przez organizacje takie jak ONZ, Human Rights Watch i Anti-Slavery International. W przypadku Mende jednak niewolnictwo nie ograniczyło się do terenu Sudanu. Została sprzedana do kraju europejskiego, co dało jej szansę ucieczki. Jednak Nanu, dziewczynka, która zastąpiła Mende w Chartumie, nie ma takiej możliwości. Kto pomoże odzyskać wolność jej i tysiącom takich jako ona, nadal pozostającym w niewoli w Sudanie?

Z pewnością nie obecny rząd Sudanu, reżim Narodowego Frontu Islamskiego. Rząd ten jest, co prawda, sygnatariuszem głównych międzynarodowych konwencji zakazujących niewolnictwa, lecz jednocześnie przyjmuje do wiadomości, że uprowadzenia ciągle mają miejsce. W roku 1999 utworzono Komitet do spraw Eliminacji Urowadzeń Kobiet i Dzieci (CEAWC), co przynajmniej oznacza świadomość istnienia takiego problemu. Jednak reżim odmawia wzięcia odpowiedzialności za czyny popełniane przez arabską milicję, będącą w jego dyspozycji. W rzeczywistości arabska milicja pozostaje bezkarna. W najlepszym wypadku można stwierdzić, że reżim przyryka oczy na problem niewolnictwa w obrębie swoich granic. W najgorszym to postępowanie można odebrać jako uprawomocnienie nadużyć. Z pewnością fakt sprowadzenia Mende Nazer jako niewolnicy do Londynu przez prominentnego członka reżimu nie daje wielkich nadziei.

A jaką rolę w sprawie Mende odegrał Mahmoud Al Koronky i ambasada sudańska w Londynie? Al Koronky w okresie, który obejmuje książka, nie pracował na zbyt wysokim stanowisku. Pełnił funkcję attaché prasowego. Został mianowany pełniącym obowiązki charge d'affaires w poważnie okrojonej misji dyplomatycznej w okresie ochłodzenia kontaktów dyplomatycznych między Wielką Brytanią i Sudanem w bezpośrednim następstwie uderzenia amerykańskich pocisków Cruise w Chartumie. Al Koronky wrócił z rodziną do Sudanu, podobnie jak inni pracownicy ambasady wspomniani w tej książce. Obecnie nie pozostaje w sudańskiej służbie dyplomatycznej i udał się na „przedłużony urlop”.

Jasne jest, że Mende najbardziej cierpiała w Sudanie, a nie w Londynie, w domu Al Koronkych. Mende jest przekonana, że w znacznej mierze zawdzięcza to temu, iż przed przybyciem do Londynu nauczyła

się zachowywać tak, by nie prowokować karania. Nie zmienia to jednak faktu, że i w Londynie cierpiała tak bardzo, iż rozważała popełnienie samobójstwa oraz podjęła ryzykowną próbę ucieczki.

Wyszło na jaw, że przy sprowadzeniu Mende z Chartumu do Wielkiej Brytanii popełniono oszustwo. Gdy po raz pierwszy powiedziano jej, że ma zostać wysłana do Londynu, władze brytyjskie odmówiły Al Koronky'emu wizy dla niej. Stało się tak, ponieważ przed przybyciem Mende sprowadził on z Sudanu inną młodą kobietę, która uciekła, a następnie zwróciła się o udzielenie azylu w Anglii. Jej prośba o azyl nadal jest rozpatrywana, a prawnicy dziewczyny są w kontakcie z prawnikami Mende. To wyjaśnia, dlaczego kazano Mende powiedzieć brytyjskim władzom, że będzie pracowała dla niejakiego Alego Beshira Gadalli, podczas gdy naprawdę jechała do Al Koronkych. Wiza musiała być zagwarantowana przez kogoś innego, ponieważ państwo Al Koronky już raz dostali odmowę.

Walki Mende o uzyskanie prawa do azylu nie ułatwił z całą pewnością artykuł opublikowany wkrótce po jej ucieczce w gazecie „Sunday Telegraph”. Zatytułowany „Sudański dyplomata trzymał niewolnicę w Londynie” stanowił przykład dziennikarstwa niezwykle niekompetentnego i nieodpowiedzialnego. Został opublikowany bez zgody Mende, żaden dziennikarz nie spotkał się też z nią i nie porozmawiał. W konsekwencji tekst zawierał szereg nieścisłości. Stwierdzał na przykład, że bezpośrednio po ucieczce Mende była chora i potrzebowała leczenia szpitalnego, sugerował też, że w domu Al Koronkych była molestowana seksualnie. Żadne z tych stwierdzeń nie było prawdziwe. Artykuł zawierał także coś, co wyglądało na cytaty z wypowiedzi Mende, mimo że dziennikarka nigdy z nią nie rozmawiała. I choć autorka artykułu miała kontakt z niektórymi Sudańczykami zaangażowanymi w pomoc w ucieczce, wszyscy zaznaczali, że jest o wiele za wcześnie, by Mende rozmawiała z kimś z prasy. Choć dziennikarka „Sunday Telegraph” nie skontaktowała się z Mende, najwyraźniej rozmawiała z panią Al Koronky, której wypowiedzi obszernie cytowano w artykule. Pani Al Koronky utrzymywała, że Mende była służącą, którą traktowano jak członka rodziny i wypłacano jej pensję (dwieście funtów). „Dawaliśmy jej nawet to samo jedzenie i zaproponowaliśmy, że ją wykształcimy — powiedziała. — Jestem naprawdę zaszokowana i nie spałam, odkąd uciekła”.

Nie sposób uwierzyć, że szacowana gazeta mogła opublikować tego



rodzaju artykuł, stojący w sprzeczności z interesami wrażliwej osoby ubiegającej się o azyl i że dziennikarka nie rozmawiała z Mende, by zweryfikować całą tę historię. W następstwie publikacji Al Koronky oskarżył „Sunday Telegraph” o zniesławienie. Prawnicy do sprawy azylu uświadomili Mende, że, niestety, nie ma wyboru i musi pomóc „Sunday Telegraph” w obronie, ponieważ wynik sprawy o zniesławienie może mieć niepożądany wpływ na jej prośbę o azyl. Okazało się to dla niej bardzo nieprzyjemne. Mimo uczestnictwa Mende w sprawie doszło do ugody przed procesem i w sądzie odczytano wspólne oświadczenie stron, stwierdzające, że cała historia opublikowana w „Sunday Telegraph” jest nieprawdziwa. Ponownie nie skontaktowano się z Mende w kwestii tego oświadczenia ani go z nią nie skonsultowano. Gdyby przedstawiono jej wersję opowieści z gazety i oświadczenie odczytane w sądzie, miałyby okazję, by sprostować znajdujące się w obu tekstach nieścisłości. Ostatecznie Mende została zaprezentowana jako *au pair* rodziny Al Koronkych, a historia jej porwania i zniewolenia w Sudanie, a potem w Londynie przedstawiona jako stek kłamstw.

Oczywiście historia Mende nie skończyła się w dniu, gdy wyszła na wolność w Willesden Green. Choć może się to wydawać niewiarygodne, próbowano ją zastraszyć i nakłonić do powrotu do niewoli. Szczególnie przygniatają ją lęk o bezpieczeństwo i zdrowie rodziny w Sudanie, i nie bez powodu. Ich również próbowano zastraszyć i wyrzucić na nich presję. Ostatnio Mende udało się nawiązać kontakt z bliskimi — choć ze względów bezpieczeństwa nie mogą zdradzić, w jaki sposób tego dokonała. Powiem jedynie, że byłem świadkiem pierwszej rozmowy z członkami rodziny po latach wymuszonej separacji i była to rozdzierająca scena. Wydaje się, że cała rodzina przeżyła napad, jednak matka została ciężko ranna. Najlepsza przyjaciółka, z którą Mende chodziła do szkoły, Kehko, zginęła.

Historia Mende stopniowo zaczęła przyciągać uwagę polityków i mediów. Książka po raz pierwszy została wydana w Niemczech i po tym wydarzeniu, w uznaniu „siły w przezwyciężeniu skrajnego wyzysku, odwagi w walce o własną wolność i wskazania drogi do odzyskania godności wszystkim cierpiącym kobietom na całym świecie” Hiszpańska Koalicja przeciw Rasizmowi (CECRA) przyznała Mende inauguracyjną Międzynarodową Nagrodę Praw Człowieka za rok 2002.

Od chwili wydania tej książki szereg osób pytało mnie, jak to się stało, że Mende i ja ją napisaliśmy — ja, biały Anglik pod czterdziestkę, i czarna, dwudziestoparoletnia dziewczyna z plemienia Nuba.

Mende i ja wyjechaliśmy z Londynu i na początek udaliśmy się do Wiltshire w zachodniej części Anglii. Mój przyjaciel, Roger Hammond, zaferował nam spokój i ciszę swojego wspaniałego georgiańskiego zamku. Przed opuszczeniem Londynu długo rozmyślałem nad tym, jak najlepiej zabrać się do czekającego nas pisania. Mende znała tylko podstawy angielskiego, ja prawie nie mówiłem po arabsku i ani słowa w nuba! Z początku rozważałem możliwość pracy z angielsko-arabskim tłumaczem. Wiedziałem jednak, że znaczna część historii Mende to sprawy głęboko osobiste, o których trudno jest mówić. Wiedziałem też, że aby szczerze opowiedziała mi swoją historię, musimy się do siebie zbliżyć. Powinna mi zaufać, aby powierzyć mi najbardziej bolesne wspomnienia i lęki. Wiedziałem, że siedzący między nami tłumacz to uniemożliwi.

Omówiłem ten problem z Mende. Uzgodniliśmy, że pracując powoli w języku angielskim i używając słownika angielsko-arabskiego, potrafimy się porozumieć. Obeszliśmy londyńskie księgarnie, kupując wszystko, co tylko zdołaliśmy znaleźć na temat Sudanu, gór Nuba i niewolnictwa. Gdy w końcu dotarliśmy do naszego zamkowego schronienia, żeby zacząć pisanie, okazało się, że mam w samochodzie pokazną bibliotekę! Pamiętam, że pewnego dnia kupiłem album z fotografiami Leni Rifenthal przedstawiającymi ludzi z plemienia Nuba. Mende przez całą drogę do domu autobusem numer trzydzieści osiem z zachwytem go przeglądała. Była taka szczęśliwa... i taka smutna, że ma przed oczami widoki z domu. „To zupełnie jak moja wioska, mówiła, pukając palcem w zdjęcie. Ten człowiek wygląda jak mój tata. Och, to śliczne, śliczne!”. Nachyliła się i delikatnie ucałowała fotografię.

Zaczęliśmy w czerwcu i nie skończyliśmy przed wrześniem. Pracowaliśmy ramię w ramię przy jednym biurku. Mende opowiadała, a ja zapisywałam wszystko na laptopie. Zawsze zadawałem jej te same pytania: „Co widziałaś? Co słyszałaś? Co powiedziałaś? Jaki zapach czułaś? Jak się czułaś?”. Ilekroć mieliśmy problemy z porozumieniem się po angielsku, prosiłem Mende, żeby rysowała to, o czym mówi. Ja także czasem rysowałem, żeby wyjaśnić jakąś kwestię i pytałem: „A więc, czy tak to wyglądało?”. Zapełniliśmy szkicami cały notes formatu

A4, poczynając od pudełka na lunch, które ojciec zrobił dla niej z tykwy, po plan domu jej pani w Chartumie. Czasami nawet odgrywaliśmy jakieś sceny, żebyś miał lepsze pojęcie, jak wyglądały zapasy albo jak chartumska właścicielka pchnęła Mende na kuchenny stół i rozcięła jej nogę. Urządzaliśmy też sobie długie spacerunki po okolicy. Były to miłe przerwy w pracy, ale też pierwsza od chwili schwywania okazja, by Mende znów chodziła po lasach i wzgórzach, miejscach przywodzących jej na pamięć czasy, gdy była mała. To podczas tych przechadzek wróciło do niej wiele wspomnień z dzieciństwa, takich jak cudowna scena, gdy ojciec opowiada jej o tym, z czego zrobione są chmury. Zawsze nosiłem ze sobą notes, żebyś mogli uchwycić takie właśnie momenty. „Chodź, Mende, mawiałem. Usiądź tu. Zapiszmy to. To urocza opowiadka i powinna się znaleźć w książce”.

Poraziła mnie nie tyle potworność historii Mende — jako dziennikarz wiele razy byłem w Sudanie i relacjonowałem wiele okropnych historii zbiegłych niewolników — ile zaskoczyła dokładność, z jaką Mende pamiętała różne rzeczy. Zanim zaczęliśmy pisanie, nie miałem pojęcia, że w pierwszej części książki odmaluję radosny obraz szczęśliwego, pełnego miłości dzieciństwa ani że w tak pełny sposób sportretuję bogactwo tętniącej życiem kultury Nuba. Pytałem Mende: „Jakim cudem zapamiętałaś takie szczegóły? Ja z mojego dzieciństwa nie pamiętam prawie niczego”. Odpowiedź stanowi oczywiście fakt, że Mende pochodzi z kultury o tradycji mówionej. Jej plemię nigdy niczego nie zapisywało, a zrozumienie tego, kim są, zrozumienie swojej tożsamości i przeszłości opierało na wspomnieniach i umiejętności opowiadania. Nawet teraz Mende prawie nigdy niczego nie zapisuje. Staram się zachęcić ją do pisania dziennika i notowania godzin i dat umówionych spotkań, ale z miernym skutkiem.

Większości z tego, o czym napisaliśmy, Mende nigdy nikomu nie opowiadała. Podczas pisania najtrudniejszych części były łzy i szok, jednak jak zauważyła sama Mende, być może taka rozmowa stała się pierwszym krokiem na drodze ku wyleczeniu ran. Po zakończeniu każdej strony odczytywałem ją i upewniałem się, że za pomocą zapisanych słów naprawdę uchwyciłem sens i atmosferę opowieści. Pod koniec tych trzech miesięcy stworzyliśmy liczący trzysta tysięcy słów monolit. Ostateczna wersja książki ma nieco ponad sto tysięcy słów. Podczas kolejnych czterech miesięcy książka została sześć-

czy siedmiokrotnie przeredagowana, aż wreszcie była w pełni ukończona. Przez cały ten czas Mende właściwie mieszkała w moim domu jako gość mojej partnerki i mój (jej sytuacja w schronisku dla azylantów stała się nieznośna). Oznacza to, że w okresie przeredagowywania, jeśli nie byłem czegoś pewny, mogłem zapytać Mende. Ostatnie poprawki redakcyjne przeczytaliśmy z Mende co do słowa, upewniając się, że każdy wyraz i niuans opowieści są takie, jakimi chciała je widzieć.

Ostateczny produkt to niezwykle szczegółowa opowieść o życiu Mende. Każda linijka narodziła się z jej wspomnień i doświadczeń. Jedyne momenty, w których dodałem nieco materiału, to miejsca, gdzie wyjaśnienie faktów było absolutnie konieczne (na przykład w rozdziale 20 — „Zemsta”, gdzie dodałem trochę faktów i liczbę zabitych w amerykańskim ataku przy użyciu pocisków Cruise na zakłady Al Shifa w Chartumie). Mam nadzieję, że uchwyciłem głos pochodzącego z plemienia Nuba dziecka, a potem kobiety w sposób autentyczny i prawdziwy. To przecież opowieść Mende.